

P. 9786 Chit. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 7/466 - 8/467** **1986**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. PIŁSUDSKI: **PSYCHOLOGIA WIĘŹNIA**

Cz. BIELECKI: **KOCHANI MOI SYNKOWIE...**

P. ZNAWCA: **ŻYDZI NOWEGO ŚWIATA**

A STARA EUROPA

REDAKCJA: **OBSERWATORIUM**

J. SURDYKOWSKI: **ROZPAD I KIEŁKOWANIE**

SPIS RZECZY

| | | |
|----------------------------|--|-----|
| Józef Piłsudski: | <i>Psychologia więźnia</i> | 3 |
| — | <i>Apel</i> | 16 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Dziennik pisany nocą</i> | 20 |
| Czesław Bielecki: | <i>Kochani moi synkowie...</i> | 33 |
| Marek Szczukocki: | <i>Można żyć</i> | 71 |
| Jerzy Korczak: | <i>Nieznaczný ruch gąsienicy</i> | 88 |
| Kazimierz Brandys: | <i>Miesiące</i> | 102 |

WIERSZE

| | | |
|--------------------|--|-----|
| Irena Ratuszyńska: | <i>...Mój ty kraju znieawidzony! (Wstęp i przekład W. Woroszyłskiego)</i> | 119 |
|--------------------|--|-----|

ARCHIWUM POLITYCZNE

| | | |
|------------|---|-----|
| Redakcja: | <i>Obserwatorium</i> | 130 |
| Redaktor: | <i>Stan wojenny w PRL a administracja amerykańska</i> | 134 |
| P. Zławca: | <i>Żydzi nowego świata a stara Europa</i> .. | 137 |

K R A J

| | | |
|---------------------|---|-----|
| Paweł Morga: | <i>Co zostaje po Bujaku?</i> | 148 |
| Jan Walc: | <i>Gdy naród budował podziemne struktury...</i> | 155 |
| Waldemar Kuczyński: | <i>4 listopad 1981</i> | 161 |

CI, CO ODESZLI

| | | |
|-----------|-----------------------------------|-----|
| Redakcja: | <i>Juliusz Mieroszewski</i> | 163 |
|-----------|-----------------------------------|-----|

SĄSIEDZI

| | | |
|----------------------------------|--|-----|
| Adam Kruczek: | <i>W sowieckiej prasie</i> | 164 |
| Andrzej J. Chilecki: | <i>Kronika niemiecka</i> | 170 |
| E. Żagiell: | <i>Kronika litewska</i> | 173 |
| „Widnowa”: | <i>Po katastrofie w Czernobylu</i> | 176 |
| K. Morawiecki i N. Gorbaniewska: | <i>Wymiana listów</i> | 177 |

WOLNA TRYBUNA

| | | |
|--------------------|-----------------------------------|-----|
| Jerzy Surdykowski: | <i>Rozpad i kielkowanie</i> | 178 |
|--------------------|-----------------------------------|-----|

KRONIKA KULTURALNA

| | | |
|-------------------|--|-----|
| Karl Dedecius: | <i>L. jak literatura</i> | 193 |
| Józef Czapski: | <i>Więzy nierozzerwalne</i> | 195 |
| Dominik Morawski: | <i>Encyklika o Duchu Świętym</i> | 197 |
| — | <i>Nagrody</i> | 199 |

KSIĄŻKI

| | | |
|------------------------|--|-----|
| M. Broński: | <i>Metoda holenderska</i> | 200 |
| Jerzy R. Krzyżanowski: | <i>Tamta wojna jeszcze trwa</i> | 205 |
| G. Widok: | <i>Encyklopedia NEP</i> | 208 |
| — | <i>Nadstawane nowości wydawnicze</i> | 209 |



| | | |
|---|--|-----|
| — | <i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: amerykańska, kanadyjska, norweska i francuska</i> | 210 |
|---|--|-----|



| | | |
|---|-----------------------------------|-----|
| J. M. Bocheński, Z. K. Łęgiński, K. Marek, A. Mirowski: | <i>Listy do Redakcji</i> | 218 |
| — | <i>Odpowiedzi Redakcji</i> | 220 |
| Zofia Hertz: | <i>Humor krajowy i inne</i> | 222 |

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień - Juillet/Août 1986

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

| | |
|---|------------|
| Dla uczczenia pamięci nieodżałowanego Człowieka i Przyjaciela — Józefa Krakowskiego, zmarłego we Frankfurcie n/Me-nem 26 kwietnia 1986 roku — na Fundusz Kultury składa grono przyjaciół z Frankfortu n/Menem | F.1.200,00 |
| Inż. James J. Jentes, Passaic, NJ (USA) — \$ 50,00 | F. 345,00 |
| Leszek Kaleta, Berlin — DM 20,00 | F. 60,30 |
| Stanisław Komorski, Binningen (Szwajcaria) — zamiast kwia-tów na grób śp. Janka Samsonowicza, działacza opozycji demokratycznej, zamordowanego w Gdańsku przez służbę bezpieczeństwa latem 1983 roku | F. 100,00 |
| Letycja Kozłowska, Monachium — zamiast kwiatów na grób śp. Mamerta Miż-Miszyna | F. 200,00 |
| Hanna Świdarska, Londyn | F. 400,00 |
| W 14-tą rocznicę śmierci niezapomnianego Janusza Jędruszka — zamiast kwiatów na Jego grób — Anna (nazwisko i adres znane Redakcji) | F. 300,00 |
| Dla uczczenia pamięci płk. Wacława Makowskiego złożyli: | |
| — Patricia Connoly (Financial Group, Inc.), Boston, MA (USA) — \$ 25,00 | F. 172,50 |
| — Robert E. i Gertrude Shea, Boston, MA (USA) — \$ 50,00 | F. 345,00 |

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

| | |
|--|-------------|
| A.D.P., Szwajcaria — na fundusz „Solidarności” Walczącej .. | F. 755,28 |
| Marek Bryan, USA — \$ 20,00 | F. 138,00 |
| Kazimierz Dolny (USA) — na fundusz drukarski „Solidarności” .. | F. 300,00 |
| Waldemar Kawałko, Vellmar (RFN) — dla działaczy „Solidar-ności” Walczącej w Kraju — za miesiące maj i czerwiec — DM 40,00 | F. 120,60 |
| Polskie Ugrupowanie Polityczno-Społeczne „Niepodległość — Solidarność”, Stow. Przyjaciół „Solidarności” w Winnipegu, Polish-Canadian Cultural Club w Reginie, Solidarność Emi-gracji — Emigracja Solidarności w Edmontonie, T-wo Przy-jaciół „Solidarności” w Vancouver — zorganizowały w dniach 21-26 kwietnia br. pokazy filmu Ryszarda Bugajskiego „Przesłuchanie” na uniwersytetach w miastach, w których mają swoją siedzibę, zaś zysk z tych pokazów przekazują na pomoc dla podziemnych struktur NSZZ „Solidarność” w Polsce (nadesłał Jan Moczulak) — \$ c. 1.851,20 | F. 9.070,00 |
| Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, Man. (Kanada) — na NSZZ „Solidar-ność” w Kraju (nadesłała Anna Howiecka) — \$ c. 300,00 .. | F. 1.440,00 |
| Winyłowcy z Toronto — \$ c. 53,00 | F. 255,00 |
| Zamiast kwiatów na trumnę śp. Antoniego Macionisa, zmarłego w Brisbane (Australia) 12 maja br. Klub bridżowy i przy-jaciele przekazują na fundusz pomocy rodzinom uwieczonych członków „Solidarności” (nadesłała Ludwika Ostrowska) — \$ A. 260,00 | F. 1.303,00 |

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

Psychologia więźnia

(Odczyt wygłoszony w Warszawie na zaproszenie Komitetu b. Więźniów Politycznych w dniu 24 maja 1925 roku)

Szanowne panie i szanowni panowie!

Zostałem zaproszony przez komitet, mający w opiece byłych więźniów politycznych, do wygłoszenia odczytu na temat psychologii więźnia. Polska jest może jedynym krajem, obecnie istniejącym wśród wielu innych narodów i krajów, gdzie jest możliwym jeszcze mówienie swobodnie o rzeczy, tak kompromitującej człowieka, jak kryminal. I gdy staję przed wami w mundurze najwyższego rangą oficera, w mundurze najwyższego przedstawiciela armii polskiej, i śmiało mówię o kryminale, to jest to jedynie dlatego, że 150 lat historii polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym jak gdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski. Rok za rokiem, dziesiątki lat za dziesiątkami lat, pokolenia za pokoleniami oswajały się z więzieniem, jako z rzeczą codzienną, jako z rzeczą, wchodzącą w myśli ludzkie, tak, jak może gdzie indziej wchodzić inne problemy życia, a nie więzienie.

Literatura jest odbiciem życia, i te czarne literki, rzucane na papier, mają tę własność, że gdy są rzucone ręką talentu, zostają nie tylko świadectwem talentu człowieka, lecz i świadectwem tego, co było w życiu całego miliona ludzi. Jeden z naszych wielkich pisarzy mówił w cudownym wierszu do matki-Polki: „Wcześniej okręcaj łańcuchem szyję dziecka, naucz go oddychać



P.9786 Chł. Arch.

parą zgniłą i wilgotną". Gdzie indziej byłoby to rzeczą niemożliwą; tu mamy zjawisko, że w Polsce prawie przymusowo wdiera się to do uczuć matki — matki, myślącej o przyszłości swego dziecka, matki lękającej się w swoim matczynem sercu jakiegś biedy czy jakiegoś nieszczęścia dla ukochanego dziecka. Dziecko rodziło się jak gdyby predestynowane do rozumowania i myślenia o więzieniu. I gdy zaraz po upadku Polski mamy jedno imię, które najmniejsze dziecko powtarza jeszcze obecnie, jako imię, wiążące się z myślą i sercem polskim, imię Tadeusza Kościuszki — widzimy go, jako jednego z pierwszych prawie, osadzonych w więzieniu zaborców.

Tadeusz Kościuszko, ranny pod Maciejowicami, wywieziony jest nie gdzie indziej, jak do twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu. A imię tak głośnie i rozgłośnie, jak imię wielkiego Mickiewicza — jest również u wstępu życia związane z więzieniem. Nie ma więc żadnej przesady dla tego pokolenia, przed którym przemawiam, gdy mówię o więzieniu, jako o rzeczy zwykłej, tak, jak nie ma przesady, gdy się mówi o bohaterstwie, ofiarności, poświęceniu — gdyż tak szerokim jest to zjawisko, jak daleko sięga wstecz codzienna myśl ludzi przez 150 długich lat. Niech mi wolno będzie z siebie wziąć również ten przykład, który mnie się wydaje także historycznie stwierdzającym wartość więzienia, jako części życia polskiego.

Przybyłem do Polski wprost z więzienia, Magdeburg bowiem był więzieniem, i przybyłem po to, ażeby przy pierwszym rozkwicie życia nowej Polski wejść na najwyższy szczyt reprezentowania jej, jako świeżo wypuszczony z więzienia człowiek. To prawda niechybna. Ta prawda prosta powinna być ujęta nie w sposób naciągany takimi czy innymi słowami nadzwyczajnymi, gdyż prostota tej prawdy historycznej, gdy się mówi o Polsce ojców i praocjów, jest sama za siebie mówiąca i nie potrzebuje zanadto wielkich frazesów.

Gdy zastanawiałem się nad tym, jak mam traktować przedmiot, który wybrałem sobie — psychologię więźnia — zatrzymałem się na najrozmaitszych sposobach. Odrzuciłem je prawie wszystkie, z wyjątkiem jednego, który dla mnie był najłatwiejszym. Nie mam zdolności do badania czegoś tak zwaną naukową metodą. Jedynym przedmiotem, który badałem metodą naukową, jest praca wojenna. Wszystko inne przebiegałem inną metodą. Naukową metodą badać więzienie i psychologię człowieka, zamkniętego w więzieniu, jest to ująć w ramy statystyki zdrowie, zniszczone przez więzienie, statystykę obłąkań, wywołanych przez więzienie, statystykę śmierci przedwczesnej więźniów, skracających sobie życie, statystykę kubicznych metrów powietrza, tej pary zgniłej i wilgotnej, którą oddychać nieraz trzeba. Wszystkie te fakty i falciki dzielić, mnożyć i odejmować na najrozmaitszy

sposób, przerabiać na sposób znaków algebraicznych i ścisnąć tak, bym mógł te rzeczy oddać w krótkim odczycie — jest dla mnie absolutnie niemożliwe. Nie potrafiłbym w taki sposób badać swego własnego życia. Dlatego też, po odrzuceniu tego sposobu, zdecydowałem się na sposób najprostszy, choć może najbardziej egoistyczny. Jestem więźniem, który nie przez jedno więzienie przechodził. A wobec tego, że statystykę wspominałem, to jeżeli wszystkie więzienia i lata więzień policzyć i podzielić przez całą ludność polską, to jednak na jedną moją osobę przypadłoby trochę więcej, niż przeciętnie na niejedną głowę, jeżeliby policzyć ilość ludności polskiej. Dlatego, że byłem niezwykle szczęśliwym w życiu, to i pod tym względem szczęście mi służyło. Albowiem ilość więzień, które przebyłem w życiu, jest już znacznie wyższa, niż ilość więzień, która przypada na każdego przy podziale przez liczbę ludności polskiej. Dlatego też spokojnie i z pewnym prawem i poczuciem moralnym powiedziałem, że gdy będę mówił o psychologii więźnia, to będę mówił więcej o sobie, niż o innych. Albowiem przebyłem przez wielką ilość więzień i niejeden rok straciłem nie na co innego, jak na więzienne życie. A wobec tego, iż podstawa więzienia, baza więzienia materialna, jest jednakowa dla każdego człowieka, nie przypuszczam, bym daleko odbiegł, mówiąc o psychologii tego więźnia, którą sobie przypominam, jako od zasadniczej rzeczy, istniejącej dla każdego więźnia.

Więzienie ma dwie wyraźne cechy zasadnicze, które, gdy się odrzuci wszystkie inne dodatki — streszczają się w sposób nadzwyczaj prosty. Mianowicie więzienie jest po to, aby było ludziom przykro. Dla przyjemności nikogo do więzienia nie wsadzają. Przykre jest dlatego przede wszystkim, że jest to ograniczenie swobody materialnej, ograniczenie swobody materialnej do minimum, ograniczenie swobody ruchu do niewielkiej przestrzeni, przeznaczonej jako miejsce zamieszkania w więzieniu, to znaczy miejsce, ograniczone czterema ścianami, szerszymi czy mniejszymi drzwiami, wiecznie zamkniętymi, oknem zakratowanym. Oto jest więzienie.

Jest to po wtóre fakt, nie ulegający żadnej wątpliwości, że więzień każdy jest poddany codziennej, cegodzinnej obserwacji. Jego życie, jego postępowanie nie zależy od jego chęci i woli. To jest druga cecha, występująca najzupełniej wyraźnie przy pojęciu więzienia. I to bez względu na to, dlaczego, po co i na co — przepraszam, że mówię po galicyjsku — do tej ubikacji został więzień wsadzony. To już zupełnie obojętne.

To są cechy więzienia, które, gdy odrzucić wszystko inne, pozostają stałe i niezmiennie dla każdego więźnia.

Ile razy w więzieniu siedziałem, mając dużo swobodnego czasu

na zastanawianie się, starałem się w ten sposób ułatwić sobie życie więzienne: mówiłem sobie, że moje więzienie jest równie dobre, jak i więzienie poza tymi murami, przez które ludzie życiowo przechodzą. Człowiek, który swej pracy biurowej nie lubi, ma nieznośne uczucie, gdy idzie do pracy biurowej, codziennie jednej i tej samej, codziennie idzie po tej samej ulicy, jest skrepowany w wyborze, musi dojść do pewnego miejsca, do którego nie lubi chodzić, usiąść przy tym samym biurku, wziąć ten sam przeklęty papier do ręki, przepisywać, czy pisać, oglądać te same mury, wiecznie te same, chociaż niezakratowane okna, by potem, znudzony i zmęczony życiem, powracać do siebie, do domu, tymi samymi ulicami, bo jeść mu się chce. Gdy sobie tak przesadnie wymalowałem więzienie tego człowieka — robiłem to umyślnie, ażeby uprzyjemnić swój pobyt, ażeby uświadomić to sobie w przeciwstawieniu do ludzi, którzy mogą chodzić swobodnie po ulicach. To może daje odczuć tę psychologię ogólną człowieka, który wbrew swojej woli, wbrew swojej chęci, wbrew wszystkiemu temu, co jest jego istotą, ma zamkniętą przestrzeń dla swobodnego ruchu i nie znosi tego dlatego, że jest mu to przykre.

Dla drugiej podstawowej rzeczy dobiore, jako przykład, niedobre małżeństwo, gdzie się jest pod okiem, codziennie oglądającym z jakimś podejrzeniem, wtedy, gdy się dobierze para, która parą nie chce być ze sobą. I bez względu na to, mówię jako mężczyzna, czy te oczy są piękne, czy brzydkie, bez względu na to, jakiego są koloru, są to nieznośne oczy, ciężące codziennie na człowieku, od których się oswobodzić nie można, chyba wyraźną ucieczką. Bo do tego ta druga istota ma pełne prawo i spokojnie tego prawa używa i nadużywa. Wobec tego, że mogłoby to wyglądać tak, jakbym powiedział to przeciwko kobiecie, to oświadczam, że i kobieta ma prawo powiedzieć to samo o mężczyźnie w niedobrym małżeństwie. Toteż od razu cofam swe powiedzenie. Zastanawiałem się bowiem w więzieniu nieraz, jak znacznie ciężiej jest kobiecie być w więzieniu, niż mężczyźnie, gdyż ma ona na sobie wiecznie oko jakiegoś brutalnego mężczyzny, mającego prawo we wszystkich chwilach, w których przeważnie uchodzi przed okiem mężczyzny, być podglądaną bez ceremonii, i odczuwa to tak, jak gdyby nastąpienie brutalnej stopy na samą istotę myśli kobiety. To jest więzienie.

Przechodzę do psychologii walki z tym, co więzienie ciężkiego daje. Nie ma bowiem więźnia, który by kiedykolwiek został w więzieniu zamknięty, aby nie zaczął z ciężarem więzienia w ten czy inny sposób walczyć, szukać remedium, lekarstwa na brak swobody materialnej i na tę nieznośną zależność, zależność brutalną, wyrażoną przede wszystkim przez oko, mające prawo co chwila zajrzeć — walki przeciwko warunkom, w których człowiek nie ma nic rozporządzalnego dla siebie.

Pierwsza walka, którą więzień zawsze odbywa, jest to chęć przynajmniej oszukania tych, którzy go do więzienia wtrącili. Oszukać w przestrzeni, która jest zamknięta. Oszukuje się więc oko wiecznie patrzącego stróża. Szuka się wyjścia, aby choć na chwilę to oszukaństwo udać się mogło. Różni ludzie różnie postępują. Ja należę do istot dość zuchwałych. I dlatego robiłem sobie po ciemku nachuchania na szybie, aby choć przez chwilę stróż nic nie widział. Próbowałem schować się do kąta, aby się spłaszczyć, jak papier, przy ścianie.

Wszyscy — jako pierwszą rzecz — odczuwają jako nieszczęście, jako przykrość, jako drażnienie, że się jest wiecznie podglądanym. Potem łatwo się o tym zapomina, łatwo się do tego przyzwyczajają i przechodzą do porządku dziennego nad obcym okiem, które widzi doskonale i samo znudzone przygląda się dlatego, że może to zrobić, a szuka rozrywki, jak więzień szuka rozrywki w swoim więzieniu.

Drugą rzeczą, która przychodzi — a nie ma pod tym względem więźnia na świecie, który by, trochę dłużej w więzieniu siedząc, nie przeszedł przez tę chorobę — to szukanie metod ucieczki z więzienia. Jest to tak psychicznie prawdziwe, że nawet jest jak gdyby prawem, przez które przechodzi więzień wtedy, gdy materialny brak swobody zaczyna mu ciążyć.

Jedni szukają tego za pomocą dowcipnych środków oszukiwania tych, od których więzienie zależy, inni szukają wyjścia za pomocą marzenia o jakichś chytrych, jakichś nadzwyczajnych sposobach przepięłowania krat i tak dalej. Ale jest to zawsze uporczywie wracająca myśl, która człowieka ściga i z którą się człowiek pieści. Uciec z więzienia! Wyjść z braku ruchu materialnego! Stać się człowiekiem, jak inni! Mieć możliwość przejścia się po ulicach!

Zaczyna się wtedy dalej walka wewnętrzna o stworzenie sobie czegoś, co jest niezależnym od nikogo, stworzenia za pomocą siebie samego życia w więzieniu. Na tym może polega najcięższa prawda więzienia. Stworzyć życie z czego? Z siebie samego, sobą samym stworzyć życie, w tak niezwykle postawione warunkach, stworzyć bez nikogo, bez pomocy, szukając w jakiś sposób źródła tego, co ja nazywam „luksusem więzienia”. Luksus więzienia polega na tworzeniu wewnętrznym przez siebie samego czegoś, co jest potrzebne dla mnie tylko i co jest niezależne od tych, którzy człowieka do więzienia wsadzili. Kiedy człowiek szuka materiału do tego, spostrzega, iż jest tak ograniczony w środkach, tak ograniczony w sposobach, że prawie cofa się przed tym zadaniem. Ręce nie mają co robić, narzędzi dla tworzenia czegoś dla siebie nie ma. Materialne rzeczy są tak ograniczone i tak małe, że z trudem myśl pracuje, aby się o coś zaczepić.

Cóż w więzieniu jest? Są ściany, takie czy inne przedmioty, bardzo nieliczne, które się więźniom daje. Czyni się najrozmaitsze próby naśladowania życia, które bije pracą gdzie indziej w szybkim tempie. W więzieniu więc będą muchy i inne stworzonka, które w ten czy w inny sposób w więzieniu się znalazły. I nie jest wcale kłamstwem, że znajdują się ludzie, którzy się zakochiwali nawet w pluskwach, robiąc sobie z nich obiekt swych prac, krystalizując swoją potrzebę niezależności około tak obrzydliwego stworzenia. Cóż mówić o rzeczy, czytanej ongiś przeze mnie, że jeden z więźniów, który długo siedział w więzieniu, wychował sobie pająka, z którym to pajakiem przez dłuższy okres czasu robił *rendez-vous*, próbując go sobie przyswoić, chcąc go nawet cyrkowych sztuczek nauczyć. Jest to mus szukania życia poza warunkami więzienia, stworzenia luksusu, który by dla mnie tylko błyszczał — mus psychiczny więźnia.

Co do mnie, zawsze się śmiałem, że jestem urodzony na więźnia, bo mnie łatwo przychodziło stworzenie sobie czaru życia. Mogłem z duszy swojej wysnuć najniemożliwsze bajki i myśli, jedynie dlatego, że dusza łatwo pod tym względem pracowała. Nie przywiązywałem się do żadnej materialnej rzeczy. A jednak, gdy siebie w różnych więzieniach prześlę, znajdę jedno, co było dla mnie niezwykle przyjemnym. Było mi mianowicie przyjemnym, jeżeli mogłem cokolwiek w celi więziennej przerzucić i poruszyć. Ale w wielu więzieniach nic się poruszyć nie da, bo wszystko jest przytwierdzone i na moc przyśrubowane i nic nie da się poruszyć. Dlatego, między innymi, gdy siedziałem w X pawilonie w Warszawie, czuję rozrzucającą przyjemność, wspominając o nim. W innych więzieniach człowiek nie miał nic dla siebie. Tu wszystko to należało do kogoś, kto miał prawo tym poruszać.

Świetny numer 26 cytadeli warszawskiej w X pawilonie, gdy mnie do niego przyprowadzono, wydał mi się pięknym zjawiskiem, tak, jak numer hotelu, bardzo kiepskiego co prawda, ale hotelu, w którym leży moja waliza, w której mogę przebierać swe rzeczy, które mogę w ten lub inny kąt postawić lub przerzucić, mogę stół kopnąć nogą i odsunąć, a on się usunie i mnie słucha. Jeżeli w ten sposób przedstawiam życie więzienne, to nie sądzę, by to nie stanowiło przyjemności. Mogłem walczyć z warunkami więzienia, miałem szybko i żywą fantazję i umiałem stworzyć sobie życie, życie myśli, życie marzeń, życie rojeń, życie, w którym swobodniej szalałem, niż można szaleć w codziennym życiu, gdzie jest tyle oczu, podglądających człowieka z podejrzaniem. Nie ma żadnej żenady, gdy się zupełnie negliżuje tego pana, patrzącego na mnie. Wtedy tworzyłem wszystko, co mnie się żywnie podobało, bo czasu było dosyć. Jeżeli panowie sądzą, że ja, który miałem pod tym względem swobodną, bujną fantazję,

która przed rzadką rzeczą się zatrzymywała, która przebiegała wszystkie myśli, różnię się pod tym względem od innych więźniów, którzy nie mają tej swobodnej myśli, jaką ja posiadałem, — to jest nieprawda, gdyż ile razy rozpytywałem jakiegoś więźnia, zawsze znajdowałem jedno.

Próbował myślał przeżyć to, co było, próbował znaleźć w sobie czy innych wady. Samokrytyka i samoanaliza jest wyostrowiona z powodu przeżywania raz jeszcze śladów swej przeszłości. Prowadzi to bardzo często więźnia na bardzo błędne i ciężkie drogi, prowadzi to do zniechęcenia ludzi w ten sposób, w jaki by nigdy ich nie nienawidził, gdyby w więzieniu nie siedział. Gdyż przy tej wyostrowionej krytyce ubiegłych czasów człowiek wyodrębnia pewne rzeczy tak silnie, jakby nigdy nie wyodrębnił ich, gdyby żył razem z nimi. Toteż ile razy więźniów, wychodzących z więzienia, widziałem, dostrzegałem u nich ten chorobliwy objaw więzienia.

U iluż więźniów widziałem zawsze chęć stworzenia sobie luksusu niezależnie od siebie! Czym się biedny więzień nie zajmuje! Zaczyna studiować języki. Ten, który nigdy w życiu języków nie studiował, zaczyna to robić. Męczy się biedaczysko nad jakimiś dzikimi słowami obcymi, szuka w nich sensu, nie umie wymawiać, nabiera błędów, których się potem nigdy pozbyć nie może, tak, jak ja w języku angielskim, bo ja w więzieniu nauczyłem się angielskiego języka. Nabrałem błędów, których nigdy poprawić nie jestem w stanie, gdyż się przyzwyczaiłem do fałszywej wymowy. Nie będąc zamiłowany do języków na swobodzie, nie odważyłbym się ich uczyć, a jednak popełniłem ten grzech przeciwko sobie, ucząc się języka angielskiego, i męczyłem się nim w więzieniu.

Byłem ongiś namiętym szachistą, lubiłem szachy szalenie, ale w szachy trzeba grać z kimkolwiek. Próbowałem urządzić sobie szachownicę maleńką i pamiętam, jak w Petropawłowskiej fortecy, nie mając żadnych instrumentów do tego, urządziłem sobie jednak szachownicę na książce, która w każdej celi tam leżała, to jest na Biblii. Za pomocą zapałek, gdyż zapałki miałem w rękę, bo szczęśliwie pozwolono mi palić, robiłem czarne półka, szachy lepiłem tak niezgrabnymi rękami, że wstydę się komukolwiek pokazać moją wieżę i mojego nieszczęsnego laufra. Chowałem to tak sprytnie i umiejętnie przed codzienną rewizją, która się odbywała w celi, by jak najdłużej zachować ten skarb oszukańczy, który zrobiłem w stosunku do bezlitosnych katów. Teraz śmiech mnie wzbiera, gdy przypomnę, jak urządziłem to życie więzienne. Ktoś inny do czego innego ciągnie. I gdy mówię o tej umiejętności tworzenia życia własnego, zawsze wspominam kilku ludzi, których imiona pozostały mi drogimi.

Oto dwóch mieszkańców najcięższego więzienia, jakie Rosja

kiedy miała — Szlisselburgu. Oto jeden z rodaków, pochodzący ze Żmudzi, Janowicz, który, siedząc w Szlisselburgu, bronił się psychicznie od zarazy więzienia, które zabija psychologię ludzką. Wytworzył sobie systematy statystyczne na podstawie wszystkich ubogich źródeł, udowadniające najrozmaiciej jego ukochane pragnienie. Dowodził za pomocą tych skąpych źródeł statystycznych, siedząc w więzieniu szlisselburskim, konieczności niepodległości Polski. Pompował z siebie raczej dane, niż z tych szmatek małych, które mu się udało dostać do czytania. Ileż niezwykle ciężkiej pracy przeszła ta dusza, nim mogła uwierzyć — bo człowiek był inteligentny — że to jest prawdą, co on robi, przy tak ubogim materiale, który on posiada. Zawsze wspominam z pewną przykrością, że człowiek, który tyle czaru umiał wydobyć w więzieniu, wypompował z siebie siły psychiczne do tego stopnia, że gdy go wypuszczono na Syberię, nie wytrzymał życia — skończył samobójstwem. A oto druga postać, która się przesuwa z konieczności na oczy. To jest także mój rodak, wilnianin, Łukaszewicz. Pamiętam go wtedy, gdy jako młodzieniec szedł na ogień matury, jako sława gimnazjalna. Poszedł na przyrodę; był prawie skończony przyrodnik, gdy zamknięto go w Szlisselburgu. Cóż on czynił? Badał trawki rosnące mizernie na podwórzu więzienia, szukał śladów życia tam, w Szlisselburgu, na tej przestrzeni 100 sążni czy 100 metrów kwadratowych. Skończony wielki umysł przyrodniczy, który duszę ratuje w swój sposób. I zawsze, gdy go w Wilnie, w drogim mi uniwersytecie wileńskim, spotygam, widzę, jak ten olbrzym fizyczny z łagodną twarzą, z uśmiechem dzisiaj pracuje.

Jest mus, jest konieczność szukania czegoś przez siebie samego, szukania z okrucich tego, co człowiek wniósł do więzienia, i z tego, co mu do rąk wpada, zlepiania nowego, więziennego, duchowego życia. Wszystko się jednak dzieje w czasie. Czas, ten matematyk, czas, który leczy blizny, czas, który nowe rany zadaje — czas w więzieniu inaczej płynie. Gdy szukałem nieraz w więzieniu określenia, w jaki sposób czas w więzieniu biegnie, to znalazłem określenie, może nonsensowne, że on, stojąc, biegnie szybko. Bo czas właściwie się nie rusza. Czym my, ludzie, czas mierzymy? Tym, że czas ten dzielimy na kawałki, że przeżywamy takie czy inne wrażenie, tym, że jest coś przedtem i potem, mierzymy czas psychicznie. Im więcej mamy wrażeń, tym dzień i godzina jest dłuższa: przynajmniej tak się wydaje. Pomimo, że każda godzina jest jednakowa dla szczęśliwca i nieszczęśliwca, w więzieniu tego nie ma, bo nic się w więzieniu właściwie nie dzieje. Wrażenia więziennne są tak ubogie i nikłe, że dusza się czepia najbardziej nonsensownych rzeczy, aby czas ten na kawałki podzielić. Nie przypuszczam, abym się omylił, gdyż pod tym względem więźniów specjalnie nie badałem, i nie przypuszczam także dlatego,

że do jedzenia nie przywiązuję wielkiej wagi. Ale w więzieniu obiad, kolacja, które dzielą czas na kawałki, są niesłychanie ważnym elementem życia, albowiem służą jako podziałka czasu, jako konieczność, do której myśl wraca, jak coś, co jest związane z ustawą życia codziennego. Czas jest podzielony na kilka *repas*. Mimowoli człowiek zaczyna myśleć o tym jedzeniu — jaki będzie obiad, jaka kolacja? I najbardziej niesmakosz ma na pewno te same myśli, uważając obiad i kolację za niezwykle ważne zdarzenia w jego życiu. Ta ubogość życia codziennego, którą więzień przechodzi, daje mu mus pracy, szukania jakiegoś podziału dnia, jakiegoś podziału czasu, a tymczasem dzień za dniem jest podobny tak niesłychanie, że różnić się on tylko może jakimś osobistym wrażeniem, przeżyciem, na przykład tym, że człowiek jednego dnia jest w lepszym, innego dnia jest w gorszym humorze.

Bo w więzieniu nic się właściwie nie dzieje. Wypadkami niesłychanej wagi są dni, gdy drzwi mu się otworzą i pociągną nie na spacer, lecz na badania, gdy przejdzie się przez pewną ilość korytarzy, przestrzeni, lub gdy wsadzą do karetki i przez miasto szybko przewiozą. To są ewenementy niesłychanej wagi! Zdarzył się przypadek w życiu! Dzień do dnia jest tak bliźniaczo do siebie podobny, tak nic się doniosłego nie dzieje, że ten czas wydaje się stojący i godziny płyną niesłychanie wolno. Tak wolno, że godzina jest zupełnie dniem prawie. Przeżyć bowiem godzinę jest trudno. Jakże łatwo bowiem przeżywają się tygodnie, tygodnie stojącego czasu, który się nie rusza!

Ileż to dowcipnych i upokarzających człowieka sposobów i metod używają więźniowie, aby się ze sobą porozumieć! Ile dowcipnych znaczków i znaków wymyślono, aby człowiek człowiekowi na dzień nieraz jedno słowo mógł przekazać, aby człowiek człowiekowi tym czy innym pukaniem odpowiedział. Ulegania temu musowi psychicznemu więźnia wystrzegałem się stale. Ale pamiętam wrażenie, gdy kolega spoza muru zaczął ze złości walić do mnie pięścią, że go nie słuchał, że mu nie odpowiadałem. Wtedy zacząłem takie czy inne znaki dawać więźniowi — znaki, że go nie rozumiem.

Łukaszewicz badał faunę i florę, ja zawsze badałem w każdym więzieniu największego przedstawiciela fauny — człowieka. Wszystkich dozorców, każde drgnięcie mięśni, każdą zmianę łapałem natychmiast, szukałem człowieka i, zgodnie z moim charakterem człowieka walczącego, człowieka, który przed walką nigdy się nie cofa — szukałem nieprzyjaciela, by go zbadać i zrozumieć. Ileż rozkosznych minut spędziłem w cytadeli warszawskiej, która jest tak głupio akustycznie urządzona, że więzień słyszy w celi więziennnej, co się mówi na korytarzu. Tak, jakby z rozmysłem robione były cele na to, aby badać dozorców, a nie więźniów. Spędzałem godziny, podsłuchując, jak dozorczy z sobą roz-

mawiają i badając ich psychikę. Obserwacja ograniczona, lecz tym bardziej zaostrzona. Nie wiem, czy ktokolwiek z więźniów potwierdzi moje słowa, że najbardziej wydelikacyony słuch mają więźniowie, siedzący w więzieniu. Szmer chwytają najdrobniejszy, szukają „części życia”, zmieniają się nieledwie w myszki, które są tak czułe na każdy szmer.

Oto jakie są zasadnicze cechy psychiczne więźnia. Więzień jest ograniczonym człowiekiem w poruszaniu się i jest zmuszony poddawać się codziennej obserwacji innych. Z tego powodu w psychice więźnia wytwarza się mus oporu, oporu w stosunku do codziennej obserwacji przez najczęstsze negliżowanie, dla usunięcia z duszy „ciężaru obserwacji” i druga konieczność — wytworzenia dla siebie życia mimo ubóstwa środków, za pomocą których człowiek sobie życie układa.

Nie ma dla więźnia innych ludzi, a są konieczności życiowe. Nie ma instrumentów pracy dostatecznie silnych, ażeby zadowolić choćby najbardziej intelektualne natury. Z tego powodu wytwarza się cały ciężar życia, przy którym czas płynie, dusząc wściekle człowieka i duszę jego zabijając. Wtedy to powstają momenty buntu, nieraz z najbliższego powodu.

Chcę skończyć pewnym zestawieniem swoich wrażeń, jakie miałem, przebiegając całą ogromną ilość więzień.

Gdy siedziałem w więzieniach w Rosji, widziałem dbałość o to, aby więzienie zrodziło strach. Jest to rozum kryminału, który robi „chęć poprawienia się więźnia” za pomocą strachu. Na tym rozum kryminalistyczny polega. Poprawić za pomocą zadania postrachu, tak, jak się poprawia niegrzeczne dzieci, zadając im przykrość. Więzienia rosyjskie miały w sobie coś z poczucia prawa w stosunku do więźnia, poczucia prawa, ale prawa dozorczy w stosunku do więźnia. Nie działano tu już czystym gwałtem i przemocą, ale nieledwie naukowym poszukiwaniem bóleści i przykrości dla więźnia, konsekwentnym robieniem mu strachu, robieniem go „innym, niż wszyscy”.

Polskie więzienia pod zaborem rosyjskim były całkiem inne. W Polsce wyobrazicielem tych więzień jest cytadela, X pawilon. Ci, którzy zamykali do tych więzień, nie dbali o nic. Wyraźnie szedł tu gwałt i przemoc, które nie szukały uprawnienia w jakikolwiek „moralny” sposób. Wszystkich szkodliwych zamykano w więzieniu. Toteż tak wesołego więzienia, jak X pawilon, na świecie nie widziałem. Wszystko prawie jest dopuszczalne, to, co gdzie indziej jest najsurowiej zakazane. Każde pokolenie w murach rozkopuje tunele, które najspokojniej naprawiają, by następne pokolenie te tunele znów świdrowało. Tak, jak gdyby było to tylko formalnością, że właściwie tuneli robić nie wolno, ale niech ich diabli, niech sobie robią tunele więzienne! Wię-

zienie, w którym wszystko poruszać można, przetrzucać stale z miejsca na miejsce, łóżko przeciągać — takiego więzienia-hotelu nie widziałem. W tej izolacji, do której człowieka chcą doprowadzić, jest przepych siły brutalnej, idącej na człowieka, jak przemoc zwyczajna, która się niczym nie krępuje. Pamiętam moje olbrzymie zdziwienie, gdy, wyprowadzony na spacer, spostrzegłem namioty żołnierskie, rozbite w ogrodzie. Parę drzewek owocowych, z których ci żołnierze kamieniami zbijają gruszki. Rzecz nie do pomyślenia w żadnym rosyjskim więzieniu, gdzie prawo kroczyło z poczuciem własnej wartości. Podobne rzeczy widziałem w Syberii, gdy już kłamka zapadła i gdzie idzie się na karę, gdzie nie ma żadnych badań, gdzie kryminalista jest skończonym kryminalistą.

Bardziej swobodnie, niż w dawnych więzieniach polskich za czasów dawnych, rosyjskich, być, zdaniem moim, nie mogło. Dlatego bodaj w cytadeli, za czasów przynajmniej mego pokolenia, ludzie najmniej się męczyli, najswobodniej się czuli. Czuli się więcej panami więzienia, niż to było gdzie indziej.

Jest to rodzaj współpanowania nad więzieniem z tymi, którzy przemocą trzymają. Ta specjalna charakterystyka rzucała mi się niesłychanie w oczy. Dlatego też z pewnym niepokojem jechałem jeszcze do jednego kraju, do więzienia, którego nie znałem, to znaczy do Niemiec. Niemców sobie zawsze wyobrażałem tak, jak Polacy sobie wyobrażają: „Tam dopiero jest porządek!”. Ale nie ma nic gorszego dla więźnia, jak porządek więzienny, bo on chce zawsze ten porządek naruszyć. Byłem w tym więzieniu nadto w wyjątkowych warunkach. Do mnie nie chciano stosować wszystkich przepisów więziennych. Trzymano mnie, jako „wyjątkową osobę”, w twierdzy magdeburskiej, w zupełnej izolacji, dając mi za to wiele wygod i wielką swobodę więzienną. Trzymano mnie, jako generała, dano mi trzy pokoiki, ogródek do rozporządzenia, ordynansów i tak dalej. Miałem zatem najswobodniejsze więzienne życie, o jakim można było marzyć. Tak pięknie nie trzymano mnie nigdy w Rosji. Lecz przedtem przewieziono mnie przez cztery więzienia wcale nie generalskie. Przypatrywałem się więc temu, jak to jest u Niemców. Jest tam brutalne obejście, nakazane, musowe, dlatego, by utrzymać porządek i karność. Lecz poza tym chęci męczenia człowieka, chęci zadawania mu strachu, chęci robienia mu jakichkolwiek specjalnych przykrości nigdy nie spostrzegłem. Trzeba się trzymać przepisów, wywieszonych na ścianie, czego w Rosji nigdzie nie było. Tak, że z chwilą, gdy się przeczytało te przepisy na ścianie — każdy w Niemczech umie czytać — to się już wiedziało, czego się trzymać. Każdy tam „urzęduje”. Urzęduje dozorca, urzęduje i więzień, siedzący w więzieniu. Każdy obowiązany jest spełniać przepisy. Byłem specjalnie zdumiony, gdy siedziałem w Spanda-

wie wiedziałem, że Mierosławski w 1848 roku tam siedział. Wtedy prawdopodobnie było zupełnie inaczej. Podczas mojego tam pobytu życie więzienne wrzało po prostu i słyhać je było na każdym kroku. Każdy miał inne zajęcia, każdy inaczej pracował. Wszystko chodziło, biegało, rozmawiało, nie było tam, poza samą karą, żadnej chęci zrobienia więźniom jakiegokolwiek przykrości.

Magdeburg był więzieniem specjalnym, w którym więcej szło o izolowanie człowieka dlatego, że jest niebezpieczny, niż o jakiegokolwiek inne więzienne warunki. Miałem ordynansa, miałem podoficerów, którzy byli moimi stróżami więziennymi, miałem trzy pokoje, miałem ogród, po którym mogłem chodzić. Tylko wieczorem o godzinie dziesiątej światło musiało być zgaszone, albowiem w całym więzieniu o dziesiątej wieczorem gasi się lampy. Nie było żadnej w tym różnicy dla generała, porucznika, czy żołnierza. Poza takimi drobnymi przepisami jednak było tam życie najswobodniejsze ze wszystkich tych, jakie kiedykolwiek miałem w więzieniu.

Dobiegając do końca, chcę wrócić do początku. Przez dłuższy okres czasu więzienie było częścią kultury polskiej. Smutne wyznaczenie, a jednak jest w tym jakiś czar i urok! Mickiewicz w jednym z największych swych utworów, w najpoważniejszej tego utworu części, przenosi nas nie gdzie indziej, jak tylko do więzienia, gdzie więzień-poeta, po przeżyciu moralnym więzienia, po przebyciu tej drogi, o której mówiłem, po stworzeniu tam swojego więziennego własnego życia pisze: „... odradza się nowy człowiek. *Natus est Conradus*”. Rodzi się nowy człowiek więzienny, człowiek, stworzony przez własną potęgę, przez własną siłę duszy, przemienioną w diament, który rył najtwardsze przedmioty i potem tak cudnie błyskał w Mickiewiczowskiej twórczości. Ten diament stworzyła siła wewnętrzna człowieka, który przeszedł przez twardą próbę.

Siła życia więziennego do tworzenia nowego życia niechybnie jest wielka, niechybnie czar taki daje. Nie ma wątpliwości, że przez te 150 lat polska psychika więzienna była czymś, co dotykało głęboko ludzi w Polsce, i nie było człowieka, który by, przebiegając życie polskie dawnych czasów, o więzienie się nie otarł, o więzieniu nie mówił, do więzienia się nie zbliżał. Nie ma wybitniejszej czynności podczas 150 lat ubiegłych, 150 długich, długich lat, lat tyle, ile najstarszy człowiek nie jest zdolny pamiętać, przy której więzienie nie byłoby towarzyszem życia Polaka od kolebki aż do grobu.

O więzieniu mówił każdy, jako o żywej cząstce swej duszy... Nieraz zadaję sobie pytanie, czy te więzienne przeżycia Polaki z całą ich ofiarnością, bohaterstwem, poświęceniem, z całym czarem męki duszy ludzkiej, w nienaturalnych warunkach skrepo-

wanej, zbitej i zmęczonej, a jednak skorej do buntu, czy czar ten nie jest cechą charakterystyczną naszą i naszego pokolenia. I wtedy, gdy o tym myślę, gdy na dziecinne i młode oczy patrzę, żyjące w innych, szczęśliwszych niż my warunkach, zapytuję siebie, czy niedalekim jest ten czas, gdy wiersze, które nam drgnięcia serca sprawiały, będą czytane, będą wypowiedane na lekcjach, jako rzeczy obce, jako rzeczy, nad którymi się przechodzi do porządku dziennego, tak, jak nad cudami greckiej poezji, gdy nam je do głowy wkładano...

I wtedy smutno robi się ludziom, którzy przebiegli życie więzienne z walką i buntem w duszy, tworząc z siebie i ze swych małych i wielkich cierpień pracę kultury polskiej, która mija. Jest nad więzieniem jakoby siła, i czar zapomnienia także. Mijamy w przeszłość, my, więzienni ludzie, my, ludzie z epoki więzień! Narasta młode pokolenie, nowe pokolenie, które obce wkrótce nam będzie, dlatego, że tej czary gorzkości i rozkoszy, którejśmy dotykali, ustami swymi już nie dotknie. I zawsze, gdy myśl moja staje przed tym pytaniem — widzę oczka dziecinne, które patrzą ze zdumieniem, że mogły być takie czasy, gdy więzienie, a więc to, co jest upokorzeniem człowieka, to, co go przybija do ziemi drgnięcia zapału w nas jeszcze budzi, oczy zapała, uśmiechem lica krasi. Zawsze jednak ze spokojem kończę te rozmyślenia więziennego człowieka o tych, co idą. Niech zapomną o nas, o naszych walkach i cierpieniach, niech idą na nowe życie, tam, gdzie czar więzienia ust nie krasi, lecz i jadu nie daje — niech idą swobodnie, zapominając o nas, by życie nowe tworzyć.

Józef PIŁSUDSKI

Apel

W pięknym odczycie Józefa Piłsudskiego o „psychologii więzienia”, wygłoszonym w roku 1925, czytamy: „150 lat historii polskiej nie zrobiło z więzienia nic innego, jak tylko życie codzienne ludzi. W Polsce więzienie jest stałym, codziennym jak gdyby towarzyszem myśli ludzkiej. Jest to część kultury myślowej, część kultury politycznej, kultury codziennego życia Polski. Rok za rokiem, dziesiątki lat za dziesiątkami lat, pokolenia za pokoleniami oswajały się z więzieniami, jako z rzeczą codzienną, jako z rzeczą wchodzącą w myśli ludzkie, tak jak może gdzie indziej wchodzić inne problemy życia, a nie więzienie”. Kończąc swój odczyt, Wielki Więzień zadawał sobie pytanie, czy te „wzięzione przeżycia Polaków z całą ich ofiarnością, bohaterstwem, poświęceniem, z całym czarem męki duszy ludzkiej, w nienaturalnych warunkach skrupowanej, zbitej i zmęczonej, a jednak skorej do buntu, czy czar ten nie jest cechą charakterystyczną naszą i naszego pokolenia”. Innymi słowy, zastanawiał się, czy odzyskanie niepodległości przyniosło przyszłym pokoleniom kres „więziennej Polski”.

Ponowna utrata niepodległości otworzyła nowy rozdział w historii „Polski więziennej”, odzierając duszę ludzką Polaków z owego „czaru”, o którym mówił Piłsudski, lecz nie zabijając w niej „gotowości do buntu”. Kraty więzień, druty obozów, bariery zesłania stały się podczas wojny większą i okrutniejszą niż kiedykolwiek częścią polskiej codzienności. Nie zniknęły po wojnie. I dziś są znowu „jak gdyby stałym towarzyszem myśli ludzkiej” nad Wisłą.

Nie wystarczy więźniów walczących o wolność, niepodległość i demokrację czcić, mówić i pisać o nich, domagać się nieprzerwanie ich zwolnienia. Nie wystarczy również opiekować się ich bliskimi. Trzeba codziennie podtrzymywać w nich pewność, że

nie ustaje za murami więziennymi walka, która ich zaprowadziła do więzień; że w warunkach o ileż trudniejszych, niż w okresie legalnej „Solidarności”, chronione i pogłębiane są zdobycze szesnastomiesięcznego powstania polskiego: ruch związkowy, ruch wydawniczy i oświatowy, sieć niecenzuralnej prasy, niezależna działalność kulturalna, słowem — wytrwała i cierpliwa praca nad umacnianiem rozbudzonej w pełni w sierpniu 1980 świadomości społecznej i narodowej, woli oporu przeciw narzuconemu, oparciu na bagnietach reżimowi, w niesłabnącym dążeniu do niepodległości.

Na tę walkę potrzebne są środki, wciąż za małe w stosunku do rosnących potrzeb, mimo niezwyklej ofiarności Polaków zarówno w kraju jak na emigracji. Podana poniżej dwunastka więźniów politycznych jest tylko reprezentacją ich licznych towarzyszy za kratami. Z myślą o nich wszystkich wzywamy czytelników *Kultury* do pomnożenia wpłat na

FUNDUSZ „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”.

12 czerwca 1986

Czesław BIELECKI

Ur. w 1948 r.; architekt, grafik, publicysta polityczny. Aresztowany 13 kwietnia 1985, oskarżony początkowo z art. 132 kk — o wejście w porozumienie z obcą organizacją działającą na szkodę interesów PRL (zagrożenie karą do 5 lat); w styczniu br. zmieniono zarzut na art. 128 kk w związku z art. 123 — przygotowania do obalenia ustroju (zagrożenie karą do lat 10). Od 13 października 1985 prowadzi głodówkę protestacyjną. Karmiony siłą.

Konrad BIELIŃSKI

Ur. w 1949 r.; matematyk, członek KOR i KSS KOR, organizator poligrafii w czasie strajku w stoczni Gdańskiej, redaktor mazo-wieckiej *Niezależności*. Internowany, uciekł, ukrywał się, członek RKW Mazowsze, organizator akcji kontroli frekwencji w wyborach do rad narodowych (17 czerwca 1984) i Sejmu (13 października 1985). Aresztowany 31 maja 1986.

Bogdan BORUSEWICZ

Ur. w 1949 r.; absolwent KUL-u, członek KOR i KSS KOR, redaktor *Robotnika* i *Robotnika Wybrzeża*, organizator strajku sierpniowego w stoczni, współautor 21 postulatów. Po wprowadzeniu stanu wojennego członek Reg. Kom. Koordynacyjnej Regionu Gdańskiego, po aresztowaniu B. Lisa członek TKK. Aresztowany 9 stycznia 1986 w Gdańsku. Zarzuty z art. 282a § 1 i 2 oraz 278 § 1 i 3.

Zbigniew BUJAK

Ur. 1954 r.; technik energetyk, przewodniczący Reg. Mazowsze, członek Komisji Krajowej „Solidarności”, po 13 grudnia 1981

ukrywał się. Założyciel TKK, przewodniczący RKW Mazowsze. Poszukiwany przez policję, prowadził aktywną działalność podziemną. Aresztowany 31 maja 1986.

Władysław FRASYNIUK

Ur. w 1954 r.; kierowca. Przewodniczący Reg. Dolnośląskiego, członek Komisji Krajowej „Solidarności”, w podziemiu po 13 grudnia 1981, współzałożyciel TKK, aresztowany w październiku 1982, skazany 24 listopada 1982 na 6 lat więzienia, amnestionowany latem 1984. Wielokrotnie karany w więzieniu. Aresztowany ponownie 13 lutego 1985. Skazany na 3,5 roku więzienia, w rewizji wyrok utrzymano (21 lutego 1986). Wielokrotnie szykanowany (70 raportów karnych w ciągu pół roku od października 1985), bity. Ostatnia wiadomość o nim pochodzi z 26 marca br. z więzienia w Lubsku — woj. zielonogórskie, izolowany, pozbawiony widzeń z rodziną.

Seweryn JAWORSKI

Ur. w 1931 r.; absolwent liceum ogólnokształcącego, pracownik Huty Warszawa, wiceprzewodniczący Reg. Mazowsze, członek Komisji Krajowej „Solidarności”, internowany, aresztowany (sprawa tzw. „siódemki Solidarności”). Zwolniony na mocy amnestii latem 1984, aresztowany 25 października 1985 pod zarzutem z art. 282a § 1 i in. kk, skazany 15 maja 1986 na 2 lata więzienia za współudział w akcji bojkotu wyborów do Sejmu. W areszcie wielokrotnie karany.

Tadeusz JEDYNAK

Lat 37; technik-mechanik, sygnatariusz Porozumień Jastrzębskich, członek Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, po 13 grudnia 1981 internowany, po zwolnieniu od lata 1983 ukrywa się. Przewodniczący RKW Reg. Górnośląskiego, członek TKK. Aresztowany 17 czerwca 1985 pod zarzutem zdrady ojczyzny — art. 122 kk. Śledztwo prowadzi Prokuratura Wojskowa, przebywa w areszcie na Rakowieckiej. Od chwili aresztowania pozbawiony obrońcy. W kwietniu br. zmieniono mu zarzut na art. 128 w związku z art. 123 kk — przygotowania do obalenia ustroju siłą — zagrożony karą do 10 lat więzienia.

Bogdan LIS

Ur. w 1952 r., mechanik, jeden z sygnatariuszy Porozumień Gdańskich, członek Prezydium MKS Gdańsk; po 13 grudnia 1981 ukrywał się. Współzałożyciel TKK, przewodniczący RKK Gdańsk, aresztowany w czerwcu 1984, zwolniony zimą 1984. Aresztowany ponownie 13 lutego 1985, skazany 14 czerwca 1985 na 2 i pół roku więzienia. 21 lutego 1976 Sąd Najwyższy w rozprawie rewizyjnej zmniejszył wyrok do 2 lat. W więzieniu w Barczewie głodował pod koniec lutego, dalszych wiadomości brak.

Adam MICHNIK

Ur. w 1946 r.; historyk, członek KOR i KSS KOR, organizator

TKN, publicysta, redaktor *Krytyki*, ekspert Reg. Mazowsze „Solidarności”. Internowany, aresztowany, oskarżony w procesie KSS KOR, amnestionowany latem 1984. Aresztowany ponownie 13 lutego 1985. Skazany na 3 lata, po rewizji na 2 i pół roku.

Leszek MOCZULSKI

Lat 56. Dziennikarz, historyk, założyciel KPN. Aresztowany jesienią 1980, skazany w procesie KPN 8 października 1982, amnestionowany. Aresztowany ponownie 9 marca 1985, skazany 22 kwietnia 1986 na 4 lata pozbawienia wolności za przynależność do „związku”, którego ustrój ma pozostać tajemnicą wobec organów państwowych (art. 278 § 1 i 3 kk).

Marian TERLECKI

Ur. w 1954 r.; krytyk, publicysta literacki, filmowiec, organizator „Solidarności” w gdańskiej TV, pracownik agencji BIPS; po 13 grudnia 1981 ukrywał się. Autor dwóch książek wydanych w podziemiu, ostatnio pracował w Ośrodku VIDEO księży Palotyńców w Gdańsku. Aresztowany 25 maja 1985 w Warszawie pod zarzutem zagarnięcia sprzętu telewizyjnego „Solidarności” (art. 200 i 201 kk, zagrożenie karą od 5 do 25 lat). Sankcję prokuratorą przedłużano czterokrotnie; przebywa w areszcie na Rakowieckiej. Od 1 lutego 1986 prowadził głodówkę.

Henryk WUJEC

Ur. w 1941 r.; fizyk, działacz KIK, członek KOR i KSS KOR, redaktor *Robotnika*, członek Komisji Krajowej „Solidarności”, internowany 13 grudnia 1981, oskarżony w procesie KSS KOR latem 1984, amnestionowany. Skazany w maju 1985 na 3 miesiące aresztu (art. 50 kw) za udział w pochodzie 1-majowym, odwoływał się. 8 kwietnia 1986 Sąd Rejonowy utrzymał (zaocznie) wyrok. Aresztowany 31 maja 1986.

KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA WYDAWNICZA wykonuje:
książki, broszury, czasopisma, katalogi, prospekty, karty świąteczne,
zaproszenia, odezwy, ulotki, blankiety
i tp. organizacyjne, społeczne, prywatne i reklamowe druki.

Skład elektroniczny — także „na wynos” —
zapewniający najwyższą jakość druku.
Solidne wykonanie — ceny umiarkowane!

z listem do podpisania w rękę, puszcza się w pościg za Nagy'm; Nagy ucieka coraz szybszymi krokami, biegiem przemyka się i kluczy między meblami. Udaje mu się uniknąć podpisania (za co później drogo zapłaci). List podpisuje za niego, imieniem rządu, Hegedus.

Niezapomniany rok 1956! Niechaj w trzydziestą rocznicę odciśnie się w pamięci najpierw obrazem ikonoklasty, który w porywie nadludzkiej odwagi chwyta za gardło mumię „mocniejszego od siebie marksisty”, a potem obrazem węgierskiego komunisty w ucieczce przed pisemnym dowodem narodowej apostazji. Po trzydziestu latach także Hegedus trochę zmądrzał: przyznaje łaskawie, że w roku 1956 wybuchła w jego kraju „autentyczna rewolta narodowa”.

4 marca

Z nowej powieści Stefana Kisielewskiego wynotowałem polemiczny grymas pod moim adresem. „Gucio (powiada Stefcio) z tymczasowości życia w tragizmie czy absurdzie zrobił sobie wręcz specjalność realizowaną zwłaszcza w *Dzienniku pisanym nocą*, gdzie panuje, jak to nazywał Irzykowski, 'dostojny bzik tragiczności'. Podskórną dominantą tego *Dziennika* jest ukryte pytanie: 'Jak długo jeszcze absurd będzie się panoszyć, jak długo siły ciemności pozostaną potężne, kiedy ludzkość wreszcie przejrzy na oczy?!'. Ja zaś na to odpowiadam zawsze: 'A skąd gwarancja, że musi nastąpić zmiana, że siły ciemności na świecie nie zwyciężą? Kto to gwarantuje: religia, nauka, postęp?'. Odpowiadam sam sobie: tego nie gwarantuje *nikt*'.

Nie pamiętam już z jakiej okazji Irzykowski posłużył się zwrotem „dostojny bzik tragiczności”. Gdyby był znał twórczość powieściopisarską Stefcia (tudzież Tomcia), wymyśliłby pewnie zwrot „chroniczny bzik komiczności”. Podskórną dominantą tych powieści jest ukryte pytanie: „Jak długo jeszcze głupota u władzy będzie się panoszyć, jak długo panować będzie dyktatura ciemniaków, kiedy wreszcie ludzkość chwyci się za brzuchy i pęknie ze śmiechu?!”. Ja zaś na to odpowiadam zawsze: „A skąd gwarancja, że siły głupoty i ciemniactwa na świecie nie zwyciężą, że ludzkość nie utraci brzuchów i zdolności do śmiechu? Kto to gwarantuje: chestertonowski Pan Bóg skory i chętny do śmiechu, współczesny demiurg nauki, mitotwórca wiecznego postępu?”. Odpowiadam sam sobie: tego nie gwarantuje absolutnie *nikt*.

Wniosek? Oba „bziki” — „bzik tragiczności” Gucia i „bzik komiczności” Stefcia — są mimo przeciwnych znaków bardzo sobie bliskie, co dowodzi, że należą do niezmienniej istoty ludzkiej

Dziennik pisany nocą

Neapol, 2 marca 1986

Niezapomniany rok 1956! W trzydzieści lat później otwiera się rocznicowy róg obfitości. Zaczęli komuniści włoscy książką Adriano Guerra *Dzień w którym przemówił Chruszczow — Od XX Zjazdu do rewolty węgierskiej*. Etapy lawiny: Moskwa i „tajny raport”, Poznań, Warszawa, Budapeszt, Moskwa i „uśmierzenie węgierskiego buntu”. Książka jest względnie przyzwoita, nawet w podtytule dawna „kontrewolucja węgierska” z języka przywódców PCI zaawansowała do rangi „rewolty węgierskiej”. W załączniku odsmażono pełny tekst „tajnego raportu” Chruszczowa, o którym można śmiało powiedzieć, że nigdy chyba w historii równie głupi tekst nie odegrał równie wiekopomnej roli. Kto po trzydziestu latach pamięta, dlaczego towarzysze w Politbiurze, starzy bolszewicy, nie śmieli oprzeć się „kultowi jednostki” i „krwawym łaźniom” tyrana? No dlaczego? Dlatego (objaśnił Chruszczow zebrany), że „Stalin był wśród nas jednym z najmocniejszych marksistów”.

W Wiedniu ukazała się po węgiersku książka-konwersacja Andrasa Hegedusa *Życie w cieniu idei*. Hegedus, obecnie dysydent, był premierem węgierskim w chwili wybuchu rewolty. W nocy z 23 na 24 października zastąpił go Imre Nagy. Nowy pierwszy sekretarz Gerö poprosił Andropowa o wprowadzenie do Budapesztu oddziałów sowieckich celem „przywrócenia porządku”. Dla Andropowa ustna prośba pierwszego sekretarza była niewystarczająca, żądał by sformułowano ją na piśmie i opatrzono podpisami członków rządu. Nagy odmówił podpisania, chociaż nie był wtedy przeciwny samej zasadzie „bratniej pomocy w obliczu zagrożenia socjalizmu”. Hegedus opisuje tę scenę: Gerö,

rzeczywistości. Trudno zresztą orzec (o czym Stefcio powinien dobrze wiedzieć), gdzie przebiega granica między „tragicznością” i „komicznością”. Na przykład, odwołując się do poprzedniego zapisu w moim dzienniku: autor „tajnego raportu” był postacią „tragiczną”, czy też należy uznać jego moskiewski występ przed trzydziestu laty za „komiczny” popis błazna? Imre Nagy uciekający wśród stołów, krzesel i szaf przyprawia dziś o dreszcz „tragizmu”, czy działa raczej na zmysł „komizmu”? Niech Stefcio o tym pomyśli i spróbuje odpowiedzieć (sobie). Jeśli odpowiedź znajdzie inteligentną, to może przestanie gaworzyć infantylnie o jakichś „gwarancjach” i „gwarantach”, bo to nie przystoi powieściopisarzowi, choć uchodzi często na sucho felietoniście (i nawet skłania niekiedy do rozbawionego uśmiechu). Stefcio za „motto swojej twórczości powieściowej” obrał powiedzonko Talleyranda (prawdziwe lub rzekome): „Zechciejcie zrozumieć, że ja nie pochwalam ani nie potępiam, tylko opowiadam”. Kto stawia sobie taki ideał powieściopisarski, musi pogрузić się swobodnie w łącznym „bziku tragikomiczności” i zaniechać użerania się co krok o swoje „trzeźwe racje polityczne”. Ale kogóż naprawdę w miłym Stefciu posiadli jego obdarowani szczerze przez los rodacy: najlepszego polityka wśród narratorów, czy najlepszego narratora wśród polityków? Oto dylemat, który spróbują kiedyś rozwikłać liczni monografiści Wielkiego Stefana Kisielewskiego.

Maisons-Laffitte, 9 marca

W poczcie znalazłem pakiet z Kraju: ktoś przysłał mi bez słowa tekst referatu Barbary Skargi na konferencji w IBL (brak daty) poświęconej „literaturze wspomnieniowej jako dokumentowi”. Tytuł referatu: „Świadectwo *Innego Świata*”.

Przeczytałem referat z ogromnym wzruszeniem. Autorka jest „ekspertem” nie tylko literackim: „Herling-Grudziński był w obozach (sowieckich) podczas wojny, ja później. Niektóre zatem szczegóły w moich doświadczeniach wyglądały inaczej. Są to jednak tylko szczegóły. Ogólna charakterystyka wydarzeń jest nadzwyczaj wierna. To o czym pisze Herling-Grudziński, to jest prawda”.

W zakończeniu referatu, po wnikliwej analizie mojego świadectwa i jego cech literackich, Barbara Skarga „przechodzi do tego, co najważniejsze”. „Co to znaczy: Inny Świat? Na czym ta inność ma polegać?... To Świat odwróconego Dekalogu. Świat odwróconych ludzkich wartości, świat bez nadziei, bez listości dla innych, świat życia w pancerzu obojętności. Oto na czym polega jego inność”.

Tę „inność” podkreślił Bertrand Russell w roku 1951 w przedmowie do mojej książki: „Zarówno komuniści jak hitlerowcy wykazali tragicznie, że w dużym odłamie ludzkości istnieje impuls zadawania tortur, który wymaga tylko sposobności aby się odstąpić w całej swej nagiej potworności”.

Wolno tę „inność” zaliczać do minionej bezpowrotnie przeszłości? Trwa dalej obok nas, osłabiona lub uszpięta, lecz wciąż żywa, wciąż gotowa do przebudzenia i ponownego odwrócenia Dekalogu. Lepiej o groźbie Innego Świata pamiętać codziennie, chodzić po ziemi (w myśl rady Conrada) jak po cienkiej skorupie zastygłej świeżo lawy, niż mydląc oczy zwrócone ku przyszłości wijać rozumnego, ludzkiego Władcy Wszechświata.

20 marca

Gang jako socjotechniczny model władzy komunistycznej. Pisałem już o tym w dzienniku na marginesie książki Torਾਂskiej *O ni*. Opracowane i skomentowane przez Grażynę Pomian *Protokoły tzw. komisji Grabskiego* pozwalają rzecz nieco uściślić i przybliżyć w czasie. W bardzo dobrym wprowadzeniu do tomu Grażyna Pomian myli się jednak, twierdząc: „Wielu członków komisji miało ochotę na przekształcenie jej w sąd, w którym po jednej stronie są prawi i niewinni szeryfowie, a po drugiej przestępczy gang; na tę rolę żaden z przesłuchiwanym nie chciał przystać”. I słusznie nie chciał przystać, bo model nie przewiduje w ogóle miejsca dla prawych i niewinnych szeryfów. Jest to model „krążenia gangów”, na podobieństwo „krążenia elit” Pareto. Gang któremu powinięła się noga staje nie przed trybunałem szeryfów, ale przed konkurencyjnym gangiem, któremu się akurat powiodło. Oba wiedzą doskonale co jest grane, oba znają na wylot reguły gry. Oskarżony Jagielski zdaje się mrugać porozumiewawczo do oskarżyciela Stawińskiego, który na chwilę zapomni jak gdyby o regułach gry: hamuj się bratku, nie przesadzaj w napastliwości, skoro i ty i ja siedzimy w jednej łodzi i musimy dbać o w miarę składne krążenie gangów, a nigdy nie wiadomo czy jutro role się nie odmieńią, czy na twojej ulicy nie zapanuje żaloba a na mojej święto. Z wyjątkiem żalobnego, płacznego, wymiętoszonego Gierka wszyscy oskarżeni gotowi są w przedstawieniu na benefis „ludu” (dotkniętego „amokiem”) bić się w piersi do pewnej tylko granicy: jedną pięścią we własne, drugą we wspólne „partyjne”. I tak jest dobrze, tak powinno być: „amok” społeczeństwa wymknął się niespodzianie spod kontroli, domaga się winnych, trzeba mu więc rzucić na pożarcie winnych (subiektywnych) bez winy (obiektywnej). Aby krążenie

gangów nie doznało zbyt gwałtownego zakłócenia, nie zamieniło się w generalną między nimi rozróbę. Któż by bowiem na generalnej rozróbie skorzystał, kto ukułby z niej broń przeciw władzy ludowej?

„Uważam, że to był gang” — powiada doświadczony znawca przedmiotu Szlachcic, powołany na świadka przez komisję. Na co Grabski ze zgrozą: „Towarzyszu Franciszku, nie możemy operować takimi terminami... Proponowałbym zamienić „gangi” i „bandy” na „grupy nieformalne” w Biurze Politycznym... Gdyby tutaj, teraz, te wszystkie gangi zostały ujawnione, poszły dalej, to, towarzyszu Franciszku, rozpoczynamy taniec” (czyli właśnie samobójczą rozróbę generalną). Zapewne, krążenie grup nieformalnych brzmi szacowniej od krążenia gangów, niechaj zatem będą grupy nieformalne, pod warunkiem że pamięta się (dzięki Szlachcicowi) co przez nie należy rozumieć. A jeśli grupy nieformalne, to i jakaś przecież „baza” formalna. Jaka? Partia? W stanie kryzysu, delikatnie mówiąc. Państwo? *Idem*. Bystry Szlachcic okazuje się prekursorem. Głosi konieczność „utworzenia ośrodka doskonalenia kadr partyjnych i państwowych”, przy czym „główną koncepcję doboru kadr” opiera na swoim „doświadczeniu wojskowym”. Jego zdaniem „wojsko miało najlepszy system doboru kadr, inspirowany i kierowany przez towarzysza generała Jaruzelskiego”.

„Socjalizm militarny” staje się jedynym jeszcze pozostałym remedium na dysfunkcje w rozregulowanym krążeniu gangów (grup nieformalnych). Wojsko jedyną jeszcze względnie solidną bazą formalną, która może uporządkować trochę i zdyscyplinować socjotechniczny model władzy, jaki zbudowali niegdyś pod komendą i kuratelą Moskwy „oni” z książki Torańskiej. „Tacy są ci, którzy nami rządzą”, kończy Grażyna Pomian swoje wprowadzenie. Według mnie nie wyprostuje ich nawet grób. „Socjalizm militarny” zamierza, w ostatnim wysiłku, wyprostować ich postawę na baczność.

26 marca

Widziałem dziś pierwszą część filmu Lanzmanna *Zagłada*. Jego prawdziwym tematem, w kilkadziesiąt lat po Całopaleniu, powinna być Obojętność Świata. Powinna, lecz nie jest. A raczej jest w sposób świadomie zredukowany do Obojętności Polaków. Tak było wygodniej „artyście” Lanzmannowi, który musiał przecież pilnować „rygorystycznej konstrukcji” filmu. Ta „rygorystyczna konstrukcja”, ograniczając obraz *Zagłady* do kraju w którym została technicznie dokonana, utożsamia Obojętność Świata z pol-

skim (przeważnie ekonomicznym i przykościelnym) antysemityzmem. Zabieg redukcyjny posunięty przez Lanzmanna tak daleko, że dla widza pierwszej części filmu pozostaje tajemniczą, co właściwie działo się podczas Zagłady z polskimi „aryjczykami”: byli również skazanymi na stopniową eksterminację „podludźmi”, usiłowali stawiać jej czoło, ginęli w nierównej walce, czy żyli sobie dość spokojnie uprawiając ziemię w pobliżu dymiących krematoriów, odwrócenie od nich plecami, zadowoleni w duchu, że codziennie rozpina się na krzyżu w komorach gazowych tych co rękami swych przodków ukrzyżowali niegdyś Chrystusa. Takie widzenie tragedii, w dodatku na tle estetyzujących krajobrazów Obojętnej Natury, jest w przekonaniu Lanzmanna płodniejsze „artystycznie”. Ale wyrzuca ogromny kawał prawdy poza ramy „rygorystycznej konstrukcji” filmu. Małoduszny to, ślepy na jedno oko, kłamliwy w rezultacie „artysta”, któremu „sztuka” leży bardziej na sercu od „całej reszty”.

„Cała reszta” obejmuje dziś książkę Laquera *The Terrible Secret* i książkę Wymana *The Abandonment of the Jews*, film Ophülsa *Le chagrin et la pitié* (pisałem o nim w dzienniku w roku 1978: „Widzowi z naszej części Europy *Le chagrin et la pitié* nasuwa jedyną refleksję: gdyby hitlerowska *Endlösung* wykonywana była we Francji takimi metodami i z użyciem takiego terroru jak na Wschodzie, francuski udział w operacji uradowałby serce Himmlera; co do Anglii, w razie jej zajęcia przez Niemców, tylko wyobraźnia autora *Roku 1984* mogłaby się była zmierzyć z podobnym tematem”), uwagę Orwella z roku 1945, że wojna — z Całopaleniem w toku — *pogłębiła* antysemityzm brytyjski. Świadcstwo Karskiego w drugiej części filmu Lanzmanna urywa się — jak pisze Ewa Kuryluk w *New Criterion* — tam, gdzie powinno się na dobre zacząć. Sam Karski skarży się delikatnie w *Kulturze*, że najważniejsze partie jego relacji padły ofiarą „rygorystycznej konstrukcji” filmu.

Cała *Zagłada* to uniwersalny prawie gest Piłata w obliczu Całopalenia. Może nikt nigdy nie przeniknie do jej najgłębszej istoty, nie potrafi zmierzyć jej ogromu i zważyć jej strasznego ciężaru. A już na pewno nie potrafi tego zrobić ktoś, komu obca jest zdaje się myśl o rozmiarach powszechnego niemal skażenia, zatrucia ludzkich serc wśród rozpetanej i podsycanej orgii masowego okrucieństwa, gdy indywidualny człowiek brodzi po omacku w oparach zbiorowego obłędu, między odłamkami strzaskanych Tablic Kamiennych. Trzeba czuć wstręt, a może i nienawiść, do wszelkich form totalitarnej dżumy, by w *Zagładzie* ujrzeć coś więcej niż jej polską „oprawę”. Wątpię, czy Lanzmann byłby zdolny do takiego spojrzenia, właściwego ludziom pokroju Orwella.

Neapol, 13 kwietnia

Gregorovius opisuje przyjęty od wczesnego Średniowiecza zwyczaj hołdu, jaki Żydzi rzymscy składali każdemu nowoobranemu Papieżowi. Wychodzili z getta, śpiewając hymny pochwalne i niosąc Pięcioksiąg, przystawali w oznaczonym miejscu na trasie orszaku papieskiego. W tłumie obrzucano ich niekiedy drwinami i obelgami. Zaledwie nadjeżdżał Papież, padali na kolana i wznosili ku niemu Zwój Prawa. Czytał (lub udawał że czyta) chwylę, wręczał pergaminowy klocek komuś ze święty i wypowiadał rytualną formułę: „Zatwierdzamy Prawo, ale potępiamy Żydów i ich interpretację”.

W gazetach porannych, w związku z zapowiedzianą na popołudnie wizytą Jana Pawła II w Synagodze nad Tybrem, niektórzy dziennikarze przytaczają opis Gregoroviusa, inni zaś — na podstawie rozmów z historykami — wytykają mu nieścisłość. Korektura każe widzieć Papieża, który pogardliwym ruchem ręki i bez słowa odpycha wzniesiony ku niemu Zwój Prawa.

Tak czy owak, wydobyta z przeszłości otoczka dzisiejszej wizyty miała na celu podkreślenie jej „historyczności”. Tymczasem Jan Paweł II zastąpił obwieszczaną gromko przez prasę „historyczność” cudowną naturalnością. Zachowywał się i mówił tak, jak gdyby w prostym uścisku „młodszych i starszych braci” tkwiła moc pogardliwego odepchnięcia raz na zawsze fanatycznych szaleństw historii.

20 kwietnia

— Działać, burzyć — nacierał Paweł Kirsanow na „nihilistę” Bazarowa. — Ale jak można burzyć nie wiedząc po co i dlaczego?

— Burzymy, ponieważ jesteśmy siłą — wtrącił młody Kirsanow, uczeń Bazarowa. — Tak, siłą, a siła nie potrzebuje usprawiedliwienia.

— Jest was, panowie siłacze, raptem czterech i pół, tych zaś, co nie dopuszczą abyście zdeptali ich najświętsze przekonania, tych co was zduszą, są miliony.

— Jeśli zduszą, to trudno — powiedział Bazarow. — Tylko na dwoje babka wróżyła. Nie tak nas mało, jak pan przypuszcza.

— Co? Czy pan żartuje, czy doprawdy sądzi pan, że dacie sobie radę z całym narodem?

— Pan wie, że Moskwa sgoriała ot kopiejecznej świeczki.

Łojowa świeczka rosyjskich „nihilistów” z *Ojców i dzieci* Turgieniewa zapaliła się słabiutko w roku 1860, poskwierczała trochę, pokopciła i zgasła; młody Kirsanow ożenił się i zajął majątkiem ojca, Bazarow umarł na tyfus i zarazem (romantycznie) z miłości. W dziesięć lat później zapłonęła wyższym płomieniem w *Biesach*. Mniej od Dostojewskiego dalekowzroczny czy profetyczny, Turgieniew zatrzymał się i w odruchu lęku zasłonił oczy. Ale zapaloną świeczkę łojową dostrzegł pierwszy: siła nie potrzebuje żadnego usprawiedliwienia, siła jest swoim własnym usprawiedliwieniem.

1 maja

Mimo całej dramatyczności katastrofy w centrali nuklearnej na Ukrainie trudno powstrzymać się od uśmiechu, czytając w tych dniach prasę zachodnią. Odbywa się tu gorączkowe i gniewne odkrywanie Kraju Rad: sowieckiego „społeczeństwa zamkniętego”, sowieckiego „ustroju milczenia państwowego”, sowieckiej „zasady ukrywania lub ignorowania faktów”, przy akompaniamencie równie gorączkowego odgrzebywania korzeni „sowieckiej obsesji tajności i filozofii suwerennego kłamstwa” w... *Listach z Rosji* markiza De Custine. Towarzyszy temu głęboki i szczery żal do Gorbaczowa: przecież miał być reformatorem i odnowicielem, przecież przystąpił tak energicznie do pisania nowego rozdziału w historii imperium! Wieloletni potok krytycznych książek i sympozjów „sowiektologicznych” nie zdziałał tyle, co kilkudniowy ruch chmury radioaktywnej, którą złe wiatry zanosły na Zachód zamiast na Syberię. Gdyby popłynęła była na Syberię, „społeczeństwo otwarte” pokwitowałoby wzruszeniem ramion „specyficzne” właściwości „społeczeństwa zamkniętego”. Właściwości „specyficzne” i mało nas w końcu obchodzące, dopóki nie dobierają się wprost do naszej skóry. Oto jednak „społeczeństwo zamknięte” wtargnęło bezceremonialnie na terytorium „otwartego”. To zmienia postać rzeczy. Nie można dłużej udawać, że się nie widzi. Albo: nie wolno dłużej patrzeć spod przymrużonych wyrozumiale powiek.

O tym co jest rzeczywistością, a co nią nie jest, decyduje Politbiuro w Moskwie. „Ideologiczny” fundament władzy sowieckiej, tyle lat akceptowany tolerancyjnie, w ramach swoistej taryfy ulgowej, przez wolny świat wobec świata „mniej może wolnego, lecz potężnego i groźnego”, zadrżał nagle, gdy totalitarna nierzeczywistość położyła się cieniem „ściśle tajnej” (w intencjach Moskwy) chmury radioaktywnej na rzeczywistości demokratycznej.

6 maja

Miły i inteligentny brodac z Wrocławia, około czterdziestki, z zawodu inżynier, z zamiłowania socjolog. Był działaczem Solidarności, po 13 grudnia odsiedział swoje w „internacie”.

Najpierw długo o różnych książkach, jest namiętym i wytrawnym czytelnikiem. Pod koniec wizyty, już na stojąco, wybuch który spróbuję w skrócie odtworzyć; czegoś takiego nie słyszałem dotychczas w rozmowach z przyjezdnymi z Kraju.

— Jest dla mnie niepokojące zjawisko, które obserwuję wśród moich przyjaciół i znajomych z opozycji. Jak je nazwać? Egzaltacją? Sublimacją? Przeanieleniem? Oddycha się rozrzedzonym powietrzem wyżyn moralnych. Jestem patriotą, choć nie lubię tego słowa nadużywać, traktuję rzecz jako naturalną. A dokoła Ojczyzna i Naród, Naród i Ojczyzna we wszystkich przypadkach, zresztą w takt konkurencyjnych licytacji z przeciwnej strony, „pronowskiej” i militarno-partyjnej. Powstaje szczególna „patriologia”, filozofia miłości Ojczyzny. Temat dla nowego Gombrowicza! Jestem człowiekiem wierzącym, choć nie lubię się z tym obnosić, należę do zanikającego w Polsce gatunku ludzi, którzy strzegą pewnej prywatności, intymności uczuć religijnych. W moim otoczeniu budzi to delikatne — chwilowo zapewne — zniecierpliwienie. Wzorem stają się modły i inwokacje do Boga o mocy trąb jerychońskich. Noszę w sercu niezagojoną ranę 13 grudnia, wciąż krwawiącą, a dokoła wzywają mnie do aktu przebaczenia, bardzo ostatnio cenionego, żeby nie powiedzieć: modnego. „Nawet Michnik — tłumacza mi — przebaczył swoim sędziom”. Przeczytałem niedawno twierdzenie jednego z doradców Wałęsy, że „jest znacznie trudniej wznieść ten przedmiot gumowy nad głowę, z której nie emanuje nienawiść”. Seraficzna głowa w jedynym jak dotąd dialogu z pałąk policyjną („tym przedmiotem gumowym”) ma ją cudownie powstrzymać w powietrzu, albo przynajmniej zmiękczyć w uderzeniu. Nie głoszę potrzeby nienawiści, nie wzdycham do „krwawej konfrontacji”, ale jednostronne rozbrojenie programowe, pryncypialne wydaje mi się słabą odpowiedzią na przemoc zbrojną. Nie trzeba mi przypominać, czym w naszej zwłaszcza sytuacji jest patriotyzm — zwykły, naturalny, bez „patriologicznej” przesady — czym jest wiara, jakie ma znaczenie silny Kościół; nikt jednak nie potrafi mnie przekonać, że w walce która się toczy, w walce z bandytami, wolno nam zastrębiać się tylko nagą, kruchą i zawodną często, tarczą moralną. Duża część społeczeństwa pogrąża się znowu w drętwość zwykłego apatycznego przetrwania, przeciwnika rozbustwia gandyzm posunięty do purystycznej (i puryfikacyjnej)

skrajności, a my uciekamy w anielskość, w „ponad śnieg bielszym się stanie” (na złość i ku nauce „czerwonemu”). Bo jest to ucieczka, która na dalszą metę może rozmyć wiele zdobyczy, jakie zdobyliśmy wynieść i ocalić z szesnastu miesięcy naszego powstania.

W drzwiach odwrócił się jeszcze i powtórzył z naciskiem: — Bo jest to ucieczka; i grozi nam stopniowym przekształceniem grudniowej porażki w wysublimowaną, wzniosłą klęskę.

Gdy wyszedł miałem uczucie, że mimo jaskrawych przerysowań czy uproszczeń jego wybuch zawiera przecież jakąś dozę prawdy. I dlatego wpisuję go na gorąco do dziennika.

13 maja

Kto z suchej relacji doktora S., mojego znajomego lekarza, umiałby wydobyc jej głębszy sens, poetycki czy nawet więcej niż poetycki? Może Borges. Może Mircea Eliade nowelista. Ja w każdym razie nie. Nie czuję się tu na siłach wyjść poza nią, wydestylować z relacji przypowieść. Mogę co najwyżej wprowadzić do niej trochę ładu. I rzeczowości nadać, tam gdzie to dopuszczalne, nieco większą ekspresję.

Doktor S. był do niedawna kierownikiem domu starców w jednej z małych miejscowości nad Adriatykiem; zwolniony ze stanowiska na własne życzenie, osiedlił się w rodzinnym Neapolu. Poznałem go kiedyś przelotnie, a wczoraj spotkaliśmy się u wspólnych przyjaciół na kolacji w niewielkim gronie. Przy kawie zamienił wszystkich obecnych w słuch swoją relacją o przypadku całkowitej i — jak się wyraził — „samouleczonej cudownie” amnezji.

Dom starców znajduje się w pobliżu owej miejscowości nad Adriatykiem, w odrestaurowanym zamku na wzgórzu tuż obok morza. Pięć lat temu skierowano do niego starą emerytowaną nauczycielkę z Ancony, zupełnie samotną od wojny. Pod koniec wojny straciła rodziców i dwoje maleńkich dzieci podczas ostrego ostrzeliwania artyleryjskiego Senigallii przez cofających się Niemców (nawiasem mówiąc, dobrze pamiętam to ostrzeliwanie, byłem wtedy w świeżo przez oddziały 2-go Korpusu zdobytej Senigallii na północ od Ancony).

Uczyła dalej w Anconie aż do przejścia na emeryturę. Samotna, oniemiała z bólu, żyła przez pewien czas nadzieją powrotu męża, rybaka z dziada pradziada, żołnierza włoskiej dywizji ekspedycyjnej w Rosji. Nie wrócił. Albo poległ, albo dobrowolnie czy pod przymusem został w Rosji.

Zamieszkała po wojnie w Anconie, w ubogim pokoiku o kilka kroków od szkoły. Regularnie co niedzielę jeździła autobusem na cmentarz w Senigallii, w tygodniu zaraz po lekcjach zamykała

się u siebie i niechętnie przyjmowała coraz rzadsze wizyty sąsiadów i kolegów. Wiedzano, że wolny od pracy czas spędza nad albumem rodzinnym: staroświeckim albumem w pluszowej oprawie ze srebrnymi okuciami i wszytym w plusz konwencjonalnym sercem gorejącym, z grubymi stronicami tekturowymi do których przyklejone były fotografie w rodzinnym porządku chronologicznym, od dziadków do wnuków. Przywieziono ją z tym kurczowo do piersi przyciśniętym albumem do domu starców, gdy pierwsze oznaki amnezji wystawiły na niebezpieczeństwo jej samotne życie w Anconie wkrótce po przejściu na emeryturę.

W domu starców pierwsze, stosunkowo łagodne objawy amnezji przeobraziły się natychmiast prawie w proces galopujący. W ciągu miesiąca nowa pensjonariuszka przestała pamiętać jak brzmi jej nazwisko, reagowała tylko (i słabo) na swoje imię. Zatraciła poczucie dokąd i skąd ją przywieziono, gdzie tyle lat pracowała, z kim za dawnych czasów przestawała. Nie rozpoznawała odwiedzających ją na początku dość często kolegów z Ancony. Co najważniejsze, w ciągu następnego miesiąca zwruciła zwyczaj machinalnego zaglądania do swego albumu na stoliku przy łóżku, aż któregoś dnia zauważono, że położyła go na dnie szuflady pod bielizną. Trudno to było tłumaczyć — zapewniał doktor S. — piorunującą sklerozą mózgu; robiło raczej wrażenie osobliwego „samobójstwa pamięci”.

Pamięci i świadomości. Odgrodziła się od pensjonariuszy i personelu domu starców klauzurą milczenia, do nikogo się nie odzywała, nie odpowiadała na najprostsze pytania. Trzeba ją było niekiedy ubierać, myć i karmić. Z własnej woli nie przychodziła, mimo że bardzo w przeszłości pobożna, na msze niedzielne w kaplicy hospicjum. Gdy ją tam przyprowadzano, siedziała nieobecna, nieporuszona, z opuszczoną głową. Jedyłą rzeczą, jaka zdawała się pobudzać i przykuwać jej uwagę, było morze. Wiosną i latem potrafiła wpatrywać się w nie godzinami z leżaka na oszklonym tarasie, a jesienią i zimą z okna w swoim pokoju. Z przytkniętą do szyby twarzą wyglądała czasem jak zjawa, jak duch dawno umarłej w murach starego zamku, wyczekujący cierpliwie znaku wśród fal wzburzonego morza. I przez trzy lata tej martwej pamięci i świadomości (dodał doktor S.) była takim duchem; uparcie, na przekór śmierci, trwającym czy czuwającym duchem samej siebie. Rozważano parokrotnie możliwość przeniesienia jej do zakładu dla chorych nerwowo. Ale nikomu z otoczenia nie zawadzała, na odwrót — w szczególny i dziwny sposób (który mógłby zainteresować gerontologów) stała się dla reszty mieszkańców hospicjum jego nieodłączną częścią.

Naraz, po trzech latach, przemówiła. Ożywiona, nawet podniecona, uśmiechnięta chwilami (nikt dotąd nie widział jej uśmiechu), natarczywa wręcz w potrzebie ciągłego monologu, głucha

na zapytania słuchających. Można było pomyśleć, że chce sobie w pełni powetować tak długie milczenie. W tym jednak co mówiła, ściślej: opowiadała, nie było zapowiedzi przewyciężenia amnezji, a jeśli była, to niedostrzegalna podówczas dla doktora S. Pamięć i świadomość pozostały dalej martwe. Zastąpił je gwałtowny, chaotyczny wytrysk... no, powiedzmy rozbieganej fantazji, jakkolwiek określenie nie oddaje istoty rzeczy, a lepszego na podorędziu nie ma. Chociaż, chociaż (zamyślił się doktor S.) wolno chyba jej opowiadania nazwać odpryskami, strzępami nieznanego słuchającym mitu. Przewijały się w nim, ledwie ledwie i za każdym razem inaczej ze sobą powiązane, te same wciąż motywy: zatopiony skarb na dnie morza, rybak czy żeglarz poszukujący go od lat i zarzucający codziennie sieci w złym miejscu, wyspa na której co wieczór kobieta zapala latarnię morską, skarb który prześwieca z dna morza jaśniej od latarni morskiej, rybak czy żeglarz w zmaganiach z burzą, spychany przez fale daleko od skarbu i wyspy.

Trwało to krótko, kilka dni. I znowu pogrążyła się w milczeniu, lecz innym; martwa przedtem twarz nabrała wyrazu, jej rysy ściągał często skurcz cierpienia, często też w pustych i zgąszczonych przedtem oczach malował się wysiłek przypominania sobie czegoś.

Pewnego dnia wczesnym ranem znaleziono ją martwą w jej pokoju, w fotelu koło stołu. Była ubrana, w pokoju paliło się światło, łóżko było nietknięte. Na stole leżał album z wetkniętymi pod okładkę dwoma listami. Jeden zaadresowany był dokładnie do najbliższej jej osoby w Anconie, również nauczycielki: prosiła w nim o pochowanie obok grobów swoich rodziców i dzieci w Senigallii, oraz o włożenie albumu do jej trumny. Drugi skierowany był do doktora S. Składał się z trzech zdań: „Moja pamięć wróciła, ale tylko po to by mnie zabić. Niech będzie za to błogosławiona. To wszystko co mogła dla mnie zrobić”. Nie wykryto żadnych śladów samobójstwa. Po prostu (zdaniem doktora S.) postanowiła umrzeć i samą siłą woli wstrzymała bicie swego starego, zmęczonego serca.

Przerwałem długą pauzę ciszy po skończonej relacji doktora S. — Wie pan, doktorze, w moich lekturach zetknąłem się, i to nie raz, z twierdzeniem że pod pamięcią każdego człowieka spoczywa, ukryty głęboko, jakiś mit. A gdyby to odwrócić? Gdyby przyjąć, że w opisanym przez pana przypadku zabita pamięć spoczywała pod mitem (bo tak przecież nazwał pan fantazje porażonej amnezją starej kobiety), aby zmartwychwstać nagle i przebić się na powierzchnię?

S. spojrzął na mnie uważnie i odparł krótko: — Może. Co nie przeszkadza, że mamy do czynienia z cudownym samoleczeniem.

— Samoleczeniem, tak. Ale cudownym?

Było już grubo po północy. Zaczęliśmy się żegnać, wymieniając ostatnie plotki neapolitańskie, jakby relacja doktora S. roziała się w powietrzu niczym nocna mgła.

18 maja

W *Szkicach o Szekspirze* Kotta do ciekawszych należy „*Król Lear*” czyli *Końcówka*. Błyskotliwy i pomysłowy, lecz niezbyt przekonywujący; powiedziałbym, że przeszarżowany w pogoni za pomysłowością, błyskotliwością i odkrywczością. Odnosi się wrażenie, że jest w nim Szekspir i nie ma go, że w tej pogoni bywa po drodze na przemian to gubiony to odnajdywany. Lepiej *Króla Leara* widać w polemice Orwella z antyszekspirowską tyradą Tołstoja *Lear, Tołstoj i Błazen*. Orwell rozumiał rzecz bardzo w recepcji Szekspira ważną: „Wszystkie jego tragedie wychodzą z humanistycznego założenia że życie, chociaż pełne smutku i bólu, warte jest życia i że człowiek jest zwierzęciem szlachetnym”. Traci się nieraz z oczu tę prawdę (mniejsza o to, czy łatwą dziś do przełknięcia) w interpretacji, która Szekspira „uwspółcześnia”, naginając go do Becketta.

Lear i Błazen. Błazen w roli greckiego „chóru”, zwierciadła, rezonera, ostrowidza, przeciwwagi oszalałego świata. Równocześnie jednak Błazen pełnokrwista po szekspirowsku postać. Sprawdzenie jej do formatu jarmarcznej kukły musiałoby tragedię szekspirowską nieuchronnie wyjałowić. I dokładnie to stało się w nowym filmie Kurosawy *Ran*, samurajskiej transpozycji *Króla Leara*. U Kurosawy pozostaje tylko wizja niepowstrzymanego, czystego szaleństwa, czystej czerni w strumieniach krwi i przy blaszku pożarów. Czy tego właśnie chciał, nie wiem. Wiem natomiast, że kiedy w epilogu filmu zjawia się ślepy flecista i na skraju otchłani, o włos od runięcia w dół, robi krok do tyłu, to symboliczne wskazanie jedyne światła i ratunku w nieśmiertelności sztuki pobrzmiwa nutą fałszu.

Szekspir nasz współczesny? Raczej Szekspir, którego współczesne spojrzenie odziera z bogactwa ludzkiej wielowymiarowości.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Kochani moi synkowie...

Drukując poniżej wybór listów więziennych Czesława Bieleckiego do synków, dziesięcioletniego Kubusia i siedmioletniego Maksika, mamy poczucie, że należy być bardzo oszczędnym w komentarzu. Oklepane określenie „mówią same za siebie” pasuje do nich z wyjątkową dokładnością. Nie ma chyba w piśmiennictwie światowym (w każdym razie podanym do druku) przykładu takich listów, skierowanych przez więźnia do swoich dzieci. Dodajmy: przez wolnego więźnia. Bo Bielecki występuje tu naprawdę jako absolutnie wolny duchowo więzień w czterech ścianach mokotowskiej celi; jako obrońca i stróż własnej, tak upragnionej i często podkreślanej „podmiotowości”. W tych listach do synków, pełnych troski wychowawczej o ich swobodny i harmonijny rozwój, widać także lepiej najgłębsze korzenie samotnej głodówki Bieleckiego, jego nieustępliwej walki o zasady, którym za wszelką cenę chce dochować wierności.

Piszemy te słowa w chwili, gdy akta „sprawy” Bieleckiego zostały odesłane do sądu wojskowego. Ma być sądzony za „zamiar obalenia siłą ustroju państwowego”. Nędzny to (i słaby w gruncie rzeczy) ustrój, który przed takim przeciwnikiem musi się bronić widmem dziesięcioletniego wyroku.

REDAKCJA

Mokotów, 17 lipca 1983.

Kochani chłopcy,

Jesteście już w Kazimierzu, łazicie po jarach, spacerujecie na wale wiślany. Pozdrówcie więc ode mnie wszystkie znajome miejsca, wszystkie domy, gdzie razem bywaliśmy, wszystkich moich przyjaciół. A może będzie tak, że gdy dostaniecie ten list,

będziecie już w Warszawie i zobaczycie się z Krysią, Bronkiem i Jonathanem? Kto to wie?

Ja w każdym razie tego wiedzieć nie mogę. Choć, być może, zobaczymy się jeszcze przedtem, zanim ten list dotrze do domu. Całe więzienie od dwóch tygodni żyje amnestią, czyli tym, że większość z nas mają zwolnić. Ale ponieważ zwalniana ci sami ludzie, co zamykali, to naprawdę trudno dociec, czym się będą kierować przy wypuszczaniu i w jakiej kolejce nas ustawią. Nie czekajcie więc przy bramie na Rakowieckiej, szkoda czasu. Szczególnie, że już jedno słoństwo nam zrobiono: inne dzieci, nawet mniejsze od Was, dostały widzenie ze swoimi tatusiami, a nam nie dano się zobaczyć nawet przez dwie grube szyby. I ja na nic nie czekam, bo szkoda mi czasu. Pracuję nad doktoratem, czytam, notuję.

Moje tutejsze życie towarzyskie jest bardzo bogate. Nawet coraz bardziej, bo wciąż są nowe „przerzutki”: wędruję z celi do celi. Po trzech dniach siedzenia we dwójkę wylądowałem na pięć dni w celi z ojcem Joasi, a teraz, od 15 lipca, siedzę znów w nowym towarzystwie. Co krok to nowy ciekawy człowiek, nowe życiowe doświadczenie, nowy sposób spędzenia tych dwudziestu czterech godzin w zamkniętych ścianach „puszki”, jak nazywa się więzienie.

Jest takie żydowskie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach!” (jak się domyślasz, Kubusiu, znaczy ono, że w ciekawych czasach łatwo o guza). Więzienną odmianą tego przekleństwa byłoby: „Obyś żył w ciekawych czasach z nudnymi ludźmi!”. Na czasy mamy wpływ bardzo niewielki, ale na ludzi, z którymi każą nam siedzieć już żadnego wpływu nie mamy. Na szczęście ci, których tu pakują do „puszki” nudni nie są. Czy jest to robotnik z fabryki traktorów „Ursus”, czy historyk, który uczył się w tej szkole co ja, zawsze mamy jakieś wspólne tematy do rozmowy.

Codziennie robię gimnastykę: pompki, podnoszenie wiadra z wodą, przysiady (tylko nie biegi, bo za ciasno!). Nie mogę przecież sflaczać tu jak dziurawy balonik, który pękł Prosiaczkowi, gdy biegł z nim na urodziny Kłapouchego. Nie mogę być jak wyciągnięta guma od majtek, gdy wybierzemy się łódką na kolejne jezioro, by rozpalic ognisko na kolejnej wyspie. Pamiętacie ten straszny deszcz, który nas złapał na Wigrach? I to jak suszyliśmy się na pastwisku przy moście? I brzozy ścięte przez bobry nad brzegami Jeziora Okrągłego? A ten „atol” na środku, gdzie kąpaliśmy się zeskakując z łódki, tak było płytko? I ostatnie Wasze popisy pływackie przy Mamie w wietrzny dzień przy pomoście na Wigrach?

Bo ja pamiętam wszystko. Nie martwcie się, wszystkie te dobre chwile wrócą. Życie jest krótkie, ale nie aż tak, żebyśmy

nie zdążyli razem powędrować przez Polskę. Dorosli tylko dlatego przypominają sobie wciąż, że życie jest krótkie, żeby już dzieci szanowały czas i uczyły się go cenić.

Całuję Was bardzo, bardzo mocno. Bądźcie obaj dobrzy dla siebie i pomagajcie Mamie. A gdyby przyjechali już Dziadkowie albo ciocia Krysia, to ucałujcie ich ode mnie. I zjedzcie za mnie smaczne lody. I pójďte na jakiś fajny film.

Wasz Tatuś — Sławek

Warszawa-Mokotów, 21. 04. 85.

Kochany Maksie i Kubo,

Znowu siedzę w przedziale pociągu, który jedzie w nieznanym kierunku. Maszyniści nie widać, a zresztą i tak uważa, że od myślenia to są inni. Pociąg wciąż stoi na stacji Warszawa-Mokotów, nie znam rozkładu jazdy, zabrano mi bagaż, z wagonu restauracyjnego przynoszą dobrze mi znane zmarzniete ziemniaki z sosem nieokreślonego koloru. Dobrze, że przynajmniej konduktor nie jest pijany i że nie zostaliście na peronie sami — jak kiedyś — ale z Mamą.

Z okna mojego przedziału (pociąg stoi już tak długo, że ktoś zdążył je zakratować) widzę balkony domu naprzeciwko. Wieczorem, gdy okna są oświetlone mogę zobaczyć nawet dzieci bawiące się z tatusiami, może to przypadkowe osoby, a może któryś z moich prześladowców. Na myśl o tym, że znajduję się po właściwej stronie — bo nie jestem kierownikiem tego pociągu, ani zwrotniczym bocznicy na Rakowieckiej — ogarnia mnie poczucie ulgi i zasypiam snem sprawiedliwego. Uśmiech, z jakim to opisuję, jest podobny do tego, którym potwierdzamy, że zrozumieliśmy kawał o nas samych. Taki, jak ten Kubusia o pasażerach pociągów, zatrzymujących się na Dworcu Gdańskim: „I wszystkim wydawało się, że są już na miejscu”, ale to jednak kawał o nas, więc w naszym śmiechu jest trochę gorczy i smutku.

Myślę, że będziecie do mnie regularnie pisać, ja do Was — też. Napiszcie też do Marysi, na pewno będzie jej miło. Prześlijcie mi swoje zdjęcia, adres wujka Jacka i adres Dziadka i Babci w Jerozolimie, bo nie jestem pewien, czy dobrze zapamiętałem.

Bardzo dziękuję Wam za paczkę, którą we trójkę przysłaście. O następne proszę już Alę, bo nie chcę Mamie robić kłopotu. Ten list dostajecie właśnie od niej, bo nie mam trzeciego znaczka, a jeszcze piszę list do Jacka Zielonki (to w końcu mój prezes, więc muszę mu napisać, co robi wspólnik).

Kubusiu! Milicjanci zabrali Twój prezent urodzinowy. Bardzo mi przykro, ale nie planowałem dnia, w którym mnie złapią

i wyszedł klops. Zgodnie z Twoim życzeniem nie piszę, co to był za prezent. Jak nawet popsują, to kupię Ci jeszcze ładniejszy!

Maksiku, nie martw się, że nie możesz przyjść pobawić się w moim przedziale. Tu w ogóle nie ma półek na walizki, tak że nie miałbyś na czym robić swoich małych przewrotów! Jedyną zmianą, jaką znalazłem w przedziale od mojego ostatniego ugrzęźnięcia na stacji Warszawa-Mokotów, jest dębowa podłoga zamiast kafelków: pasażerom nie marzną więc nogi.

Chciałbym Wam o czymś przypomnieć. Kubuś obiecał, że zacznie serio uczyć się angielskiego, a Maksik powiedział, że bierze się za pływanie. Nie myślcie, że ja się tu lenię! Też wziąłem się za angielski.

Pomagajcie Mamie w domu, a przede wszystkim nie marnujcie czasu — własnego i jej. Bądźcie dobrzy dla Mamy, ma teraz dużo zajęć przy remoncie mieszkania na Zwierzynieckiej, i na pewno jest bardzo zabiegana. Kubusiu, nie zaniedbuj ćwiczenia pamięci i razem z Maxem planuj i zapisuj, co zamierzasz zrobić w wolnym czasie, żeby nie przesypywał Wam się, jak piasek między palcami.

Listy tutaj dostają tylko raz w tygodniu, na ogół bardzo nieregularnie. Sam oddaję korespondencję w każdy poniedziałek. Następne listy będę już wysyłał na wasz adres na Zwierzynieckiej, jeśli nie będziecie ich otrzymywać raz w tygodniu, to już z winy cenzury.

Całuję i ściskam Was bardzo mocno, Kubusia jeszcze raz z okazji jego dziesiątych urodzin, a Mamę pozdrawiam i jeszcze raz dziękuję za tak szybką przesyłkę.

Stawek

Warszawa-Mokotów, 28 kwietnia 1985 r.

PREZENT

Motto: *Lawina bieg od tego zmienia
Po jakich toczy się kamieniach.*

Czesław Miłosz

Urodził się pod znakiem Byka i na imię dostał Jakub. Rodzice chcieli, żeby imię było i polskie, i żydowskie, w dodatku, żeby ładnie brzmiało zdrobniałe lub skrócone. Nie zastanawiali się długo: Jakub — Kuba — Kubuś, podobało się to wszystkim. A jeszcze bardziej podobał się chłopiec, który nosił to uroczyste imię swojego pradziada. Miał regularne rysy twarzy, okrągłą główkę, pociągłą twarz, ciemne włosy i oczy. Przez pierwsze

cztery miesiące życia wrzeszczał między drugą a czwartą w nocy. Na szczęście rodzice spali pod jego wiszącą na linach wiklinową kołyską i uspokojenie go nie było wielkim problemem. Na swoje pierwsze urodziny dostał drewnianego konia na biegunach ze skórzanym siodłem i mosiężnymi strzemionami. Na pamiątkowej fotografii widać, jak siedzi na nim z niezręcznością godną Napoleona i wytrzeszcza okrągłe ze zdziwienia oczy. Przeżył już rok, ale nie wiedział jeszcze, że to się stało. A był rok 1976.

Następne urodziny były już zupełnie inne. Umiał już bujać się na huśtawce, wiszącej na tym samym trójkątym belkowaniu, które przedtem służyło do wieszania kołyski. I umiał policzyć i nawet zdmuchnąć świeczki na ślicznym torcie zrobionym przez Pierwszą Babcie. Wiedział nawet, że orzeszków i rodzynek nie można samemu wyjadać z białego lukru, bo inne dzieci też by chciały (a co dopiero tatuś!). Wkrótce potem odbył pierwszą wielką podróż do Cawtatu koło Dubrownika. Poznał tam Drugich Dziadków. Babcia daremnie próbowała zagadać go i zabawić tak, żeby wszedł do wody. Gdy tylko orientował się, że stoi w morzu po kolana, zaczynał drzeć się tak, jak potrafią tylko małe dzieci. Kolory i czystość Adriatyku zatarły mu się w pamięci. Na półce w pokoju rodziców oglądał tylko zasuszonego morskiego jeża, leżącego w miseczce z oliwnego drzewa.

Trzecie urodziny były już uroczystością małego, upartego, wygadane go człowieka. Traktowano go poważnie, odkąd skomentował spór między rodzicami skomplikowanym, wypowiedzianym jednym tchem zdaniem: — Widzę, tato, że masz do mamy pretensję o to, że ma do mnie pretensję! Tato był zabiegany, żeby zarobić na utrzymanie coraz większego domu. Mama kończyła studia, babcia Józia, bardzo dobra i miła, tyle że czasem znikająca na tydzień po jakichś imieninach. — I tak dobrze, że w pracy nie pije — stwierdzali rodzice. Była jesień 1978 roku, gdy tata wyjechał, żeby pracować na Zachodzie. Mama bardzo chciała, by na strychu w ich kamienicy zbudować pracownię — potrzebne były pieniądze. 13 grudnia urodził się Max, to imię dano mu na pamiątkę pobytu taty w Niemczech.

Właśnie czwarte urodziny minęły w oczekiwaniu na powrót ojca. Rosła tylko kolekcja klocków „Lego”, a Taty nie było. Przyjechał i tak nie w porę: rodzice nie odnaleźli się na dworcu i nie odnaleźli się już w życiu. Nadeszły wakacje. Nad Liwcem w Urach puszczali latawce. Chłopiec powoli przyzwyczajał się do swojego braciszka i zaczynał rozumieć, że miłość rodziców nie kończy się, a zaczyna na każdym dziecku osobno. Im więcej dzieci, tym więcej miłości. Na jesieni pojechał pierwszy raz do małego prywatnego przedszkola. Zaczęła się budowa pracowni. Mama poszła do pracy.

Piąty rok jego życia był rokiem Wielkiego Ruchu. Zanim ujrzał jego narodziny (a zobaczył je dosłownie), przez dom przeszła niejedna burza. Najpierw były to burze domowe, a potem... Niedługo po jego urodzinach, bo w maju, do mieszkania wtargnęli tajniacy, zaczęli szarpać mamę, pobili pałką tatę i zamknęli go, jak mówią dorośli, na cztery-osiem. Nie wiedział jeszcze wówczas, że z powodu tego wydarzenia tata nie pojechał do Poznania na premierę sztuki, którą napisał z kolegą. Była to jednoaktówka o terroryzmie, nazywała się „Koniec”. (Tato zawsze uważał, że ma pecha lub szczęście być pointą swoich scenariuszy). Na wakacje pojechali na Mazury, pływali żaglówką, spali na niej. Był już koniec sierpnia, tego, który później zaczęto pisać z dużej litery. W kraju wrzało, postanowili wybrać się do Gdańska. Chłopiec zobaczył Stocznnię w jej wielkich dniach. A nawet dołożył swoją cegiełkę. Zaczęła się Epoka „Solidarności”.

Szóste urodziny mama wyprawiła pod Warszawą. Szkoda, że Max nie umiał jeszcze bawić się ze wszystkimi w Indian. Ale już chodził, mówił, a wkrótce okazało się, że jest zręczny jak małpka i chce zostać clownem. Obaj pomagali tacie przy budowie na strychu: napełniał kubły piaskiem, brat przytrzymywał drzwi, a tato nosił po dwa naraz. W pracowni miał być dla nich obu warsztat stolarski. Pewnego razu na budowie tak nieostrożnie stanął, że murarz, odkładając młotek, zranił go w głowę. Pękła tylko mała żyłka, skończyło się na strachu, we włosach została po tym wypadku biała plamka — tam już nie rosną. Na trzecie urodziny Maxa — 13 grudnia, co za świętowo! — wprowadzono stan wojenny. Ten piękny, jasny rok, w którym wszyscy chcieli i mogli być dla siebie lepsi, skończył się słowem, znanym mu tylko z książek i opowiadań dorosłych: wojna.

Siódme urodziny, tych nie zapomni tak łatwo! Była może jedenasta albo dwunasta, gdy poszedł z tatą zaprosić na swój *Kinderbal* Jasia. W mieszkaniu był „kocioł”, tatę zabrali cywile, których nazywa on „kolegami Krwawego Felka”. Został sam z Jasiem i jego mamą i przez długie godziny czekał, co będzie dalej. W końcu przywieźli go do domu na Wilczą. Jego mali goście byli już w środku zabawy, jego zabawy, którą bezmyślnie popsuto. Był też tato, wściekły, że ci panowie nie dość, że nie zdejmują płaszczy ani kapeluszy, to jeszcze szperają po kątach, jakby ten dom do nich należał. W końcu sobie poszli. To było na wiosnę, a we wrześniu rozpoczął naukę w szkole. Na Boże Narodzenie wyjechał z bratem na narty. Z początku nie radził sobie, buntował się, nie chciał sam zjeżdżać. Po paru kłapsach jakoś się rozruszał i sam nauczył się podjeżdżać na wyciągu. — Po co te awantury, skoro poradziłeś sobie przecież? — zapytał ojciec wieczorem. — Ja zauważyłem, tatusiu, że jak zacznę od awantury, to potem lepiej mi idzie — odpowiedział z rozbrawa-

jącą szczerością. Prezenty na świętego Mikołaja czekały na nich w lesie, pod tą choinką, na której paliły się świeczki.

Osmym urodzinom towarzyszyły znów smutne wydarzenia. Wiosenne ferie spędzali w schronisku, robili długie narciarskie wycieczki, kończone zjazdem wzdłuż strumienia. (Max wpadł nawet raz do dziury w topniejącym śniegu, głową w dół, że tylko jedną nartę było widać). Radość tę przerwał telefon: spaliła się pracownia. Rozplakali się z Maxem. Żal im było tych lat pracy i tego tak bliskiego już warsztatiku. Tato też się martwił, ale jednak mniej: na parę godzin przed tym telefonem zgubił im się Max, a robiło się już ciemno — gdyby nie znalazł Maxa, to by dopiero było nieszczęście! Smutne wydarzenia przeplatały się z radosnymi: zaraz po urodzinach wybrali się na majówkę na łąkę wiślaną. Rzucali bumerangiem, brodzili w płytkiej wodzie. W kilkanaście dni później tatę złapała policja. Z Mokotowa zaczęły przychodzić listy ze stemplami: OCENZUROWANO. W lipcu tato był już na wolności, a w sierpniu przyjechała ciocia Krysia z Bronkiem i Jonathanem. Dobrze, że chociaż te rodzinne wakacje w Tatrach i wędrowki po górach rozchmurzyły ten smutny i trudny rok.

Początek roku 1984 nie krył w sobie nic takiego, co tłumaczyłoby zafascynowanie dorosłych tą datą. Skończył dziewięć lat. Czyżby to było za mało, żeby zrozumieć, co kryje się pod słowami *Nineteen Eighty Four*? (Uczył się angielskiego, no, może niezbyt starannie, ale zawsze). W lecie przylecieli samolotem dziadkowie z Izraela. Spotkaniu z nimi towarzyszyło tyle emocji, że wreszcie wyjaśniła się historia z tą datą! Nie tak dawno ułożył własny palindrom czyli wyrażenie dwukierunkowe. Jakie? Tego byle komu nie opowiadał. Latem nauczył się pływać. Nie poszło to bez bólu, ale już wiedział, że tak jest ze wszystkim. Przeżywali we czwórce rozkosze wiejskiego życia: proste posiłki celebrowali w ogródku, horyzont zamykał las, za nim szumiło morze. Ten rok kończył okres wędrowek mieszkaniowych. Mama z nimi miała mieszkać na Zwierzynieckiej, a tato został na Wilczej. Każdy z chłopców miał dostać własny pokój.

Nowy Rok i ferie spędził na nartach. Zjeżdżał coraz lepiej. Gdy wydawało się, że już koniec tej przyjemności i śnieg spłynie, nadeszła burza śnieżna i od nowa zaczęła się wspaniała jazda. Załował, że nie było z nim braciszka, który zachorował akurat na szkarlatynę. Szczególnie, że tak pięknie świeciło słońce na „n-i-e-b-i-e z o-b-ł-o-c-z-k-a-m-i”. Jak czytał Max w zakończeniu „Ferdynanda Wspaniałego”. Udało się nawet kupić nowe polskie narty. (Nie zadawał już pytań: co to jest cenzura, kolejka, udało się kupić...). Tuż przed dziesiątymi urodzinami aresztowali tatę i Marysię. Zabrali mu też prezent urodzinowy. Na pocieszenie dostał opowiadanie o Kubusiu. Nie jest zbyt dokładne, przez te

dziesięć lat stało się przecież tak dużo. Poza tym pisał je tato, a dorośli nie wszystko widzą, bo są za wysoko. Tato zapomniał o drzewie, na którym robili ćwiczenia w Puszczy Jodłowej, o grzybobraniu, o wycieczce kajakiem po Wigrach... Chyba sam musi zacząć pisać dziennik. Ma już dziesięć lat, pora samemu pilnować porządku w swoim życiu. Dobrze, że ten dziwny prezent ze stemplem więziennej cenzury chociaż przeszłość trochę uporządkował!

Całuję Cię bardzo mocno, Kubusiu. Bądź dzielny i pisz do mnie.

Sławek

Warszawa-Mokotów, 15 maja, środa.

Kochani synkowie,

Zwykle piszę do Was w soboty lub w niedziele, ale wtorki i środy są tu dniami bez książek. Praktycznie te dwie książki, które wymienia się w bibliotece aresztu raz na tydzień, trzeba przeczytać w pięć dni. Tak więc mam dziś trochę czasu i zaczynam do Was list. (Dlaczego tylko trochę — o tym później).

Przede wszystkim wiedźcie, że (z wyjątkiem brzucha i palca, który mi „popsuli” i jest zdrętwiały) nic mi nie dolega, jestem — jak zwykle — w świetnym humorze: uśmiechu nikt mi nie aresztował. Ostatnio pewien generał napisał o mnie czytanke, z której wynikało, że jestem groźnym człowiekiem, ale Wy się mnie chyba nie boicie, chociaż klapsy mam mocne? Minął już miesiąc odkąd tu siedzę i można powiedzieć słowami Tomasa Manna, że przyzwyczałem się już do tego, że nie można się przyzwyczać. Siedzi mi się więc nieźle. Jak to jest w ogóle możliwe?

Najważniejsze to nie czekać na nic i nie tracić czasu. Słowem — zachować pogodę i wewnętrzną dyscyplinę przy jedzeniu tej „zupy wieczności”. Co to jest „zupa wieczności”? Posłuchajcie, co pisze o czasie Tomasz Mann:

„... Jak szybko mija szereg, a nawet 'długi' szereg dni, spędzonych podczas choroby w łóżku: wciąż jest ten sam dzień, który się powtarza; ale ponieważ jest to ciągle ten sam dzień, więc właściwie wyraz „powtarzanie się” nie jest tu poprawnie użyty; należałoby raczej mówić o jednostajności, o wstrzymanym „teraz” lub o wieczności. Przynoszą ci zupę na obiad, tak jak ci ją przyniesiono wczoraj i przyniesie się jutro. I w tej chwili coś ci się przypomina — nie wiesz sam co i jak. Dostajesz zawrotu głowy, gdy widzisz jak przynoszą ci tę zupę; formy czasu zacierają ci się, zlewają się z sobą, i to, co ci się objawia jako

prawdziwa forma bytu, jest bezwymiarową terażniejszością, w której wiecznie podają ci zupę”.

Jeśli Maksik czegoś w tym cytacie nie zrozumiał, to mu, Kubusiu, wytłumacz. (Ale nie metodą podnoszenia głosu i machania ręką nad głową!).

Teraz już wiecie, co to „zupa wieczności”, więc mogę Wam wyjaśnić, jak należy ją jeść. Mann pisze dalej:

„Cały tydzień schodził mu na wyczekiwaniu tej godziny, a czekać znaczy: wybiegać naprzód, znaczy: czas i terażniejszość odczuwać nie jako dar, lecz tylko jako przeszkodę, zaprzeczać ich wartości, niweczyć je i w duchu przeskakiwać. Mówi się, że czekającemu czas się dłuży. Ale zarazem, a nawet właściwie, rzecz ma się odwrotnie, bo czekanie pochłania całe okresy czasu, których się jako takich nie przeżywa i nie wyzyskuje. Można powiedzieć, że ten kto tylko czeka, podobny jest do żarłoka, którego narządy trawienia w olbrzymich ilościach przepuszczają potrawy nie spożytkowując wcale ich wartości odżywczych. Można by pójść jeszcze dalej i powiedzieć: jak niestrawiony pokarm nie wzmacnia człowieka, tak i czas zużyty na czekanie”.

Przetrawiam wszystko pomalutku, spokojnie, z godnością i nie mam poczucia, bym marnował tu czas, złe nowiny nie sprawiają mi tu większej przykrości niż na wolności (bo się ich spodziewam), a dobre dają mi dużo więcej radości (bo na nie nigdy nie liczę). Oto recepta na „zdrową odsiadkę”.

Przed chwilą otworzyły się drzwi i klawisz, zwany „Pontonem” (bo jest gruby) wręczył mi kartkę pocztową od Marysi. Szła ona z innej celi tego samego pawilonu aż trzy tygodnie, ale na tutejsze stosunki to całkiem przyzwoity termin doręczenia przesyłki. Marysia śpi na górnym łóżku, jak ja. Pisze: „Mieszkam tak, jak lubi Maksio, co zapewnia mi poranną i wieczorną gimnastykę. O nic się nie martwię, bo nie mam o co, przynoszą mi leki, papu, ja biegam na małą przytulną polankę i jest O.K. Myśli moje, jak wiesz, są całkiem gdzie indziej i to jest to”. Ciekawe, czy już zebrałeś się, Kubusiu, z napisaniem listu do Marysi? Trzeba adresować jak do mnie, pisząc: Maria Twardowska, c. Wacława. (Marysia jest krewną ks. Twardowskiego, na którego kazania chodziliście do Wizytek, więc łatwo zapamiętać). Polanka (i do tego przytulna!), o której mi pisze, to oczywiście spacerniak.

W ten sposób dowiedzieliście się, dlaczego mam „w pudle” tylko trochę czasu. Nawet dla Was.

(...)

Mokotów, 2. 06. 85.

Kochani chłopcy,

W Dzień Dziecka padał deszcz; ciekawe co robiliście? Ja na spacerzy chodzę do Ogrodu Ujazdowskiego, czasem na Agrykole albo do Łazienek. Ponieważ idę tam wciąż w celi, więc zła pogoda w ogóle mi nie przeszkadza.

W ostatnim tygodniu prowadziłem ćwiczenia OWP, ale to nie znaczy, że do celi wsadzili mi Palestyńczyka i zafundowali mu wojskowy trening: OWP to nie tylko Organizacja Wyzwolenia Palestyny. OWP jest skrótem od ołów w pupie. Ćwiczenia polegają na tym, że nie wolno oderwać tyłka od stołka, dopóki nie skończy się czytać lub pisać tego, co postanowiło się wcześniej zrobić od jednego „przysiadu”. Żadne przerwy na siusiu, jabłuszko czy spacer po parku! Siedzę, póki nie wysiedzę swojego jajka.

W puszcze po „wypiskowym” pasztecie zasadziliśmy jabłonkę. W jednym z jabłek znalazłem pestkę, która już pękła i wychodził z niej kiefek, postanowiłem zasadzić drzewko. Jak coś z niego wyrośnie, to może przesadzę sadzonkę do szklanki z wodą, na gazie opatrunkowej?

Wyobraźcie sobie, że przed tygodniem zdarzył się mały cud: zacząłem mówić po angielsku; Założyłem słownik — „*Mokotów Prison English Dictionary by Czesław Bielecki*” — i stopniowo go uzupełniam słówkami, które znajduję w książkach, które z moim współtowarzyszem sobie przypominamy. On był prawie rok w Stanach, więc radzi sobie dobrze z praktycznym angielskim i zna gramatykę, a ja — „wzrokowiec” — lepiej pamiętam pisownię. Na niektóre słowa trafiamy w ten sposób, że podaję koledze słowo francuskie, a on — jeśli jest ono zbliżone — przypomina sobie wtedy angielskie. Poza tym w czytanych przez nas książkach wciąż natrafiamy na angielskie wyrażenia. Podaję Ci, Kubusiu, dwa wierszyki angielskie, żebyś nauczył się ich na pamięć. W drugim chodzi o różnicę wymowy, a w pierwszym o różne znaczenie i pisownię przy identycznej wymowie. (Przetłumacz je też Maxowi!).

OUR WEATHER

*Whether the weather is cold,
Or whether the weather is hot,
We must always have our weather,
Whether we like it or not.*

CAN AND CAN'T

*Mrs. Brown is a woman,
Mr. Brown is a man.
Mr. Brown can't sing
But Mrs. Brown can.*

*Granny's a woman,
Grandfather's a man.
Grandfather can't cook,
But grandmother can,*

*Jane's a young lady,
Tom's a young man.
Jane can't play football,
But Tom, oh, he can.*

Maksiku, narysuj mi, jak układasz tory kolejek: w jakie figury? I niech Kuba napisze, co dokupiłeś ze swojej pensji: tory, zwrotnice czy może semafony? Zresztą, nie musisz pisać, bo ty możesz wszystko narysować i postawić obok liczbę, żebym wiedział, ile sztuk przybyło.

Ciekawe, czy już zacząłeś się uczyć pływać z Kubusiem? To bardzo przyjemnie umieć dobrze pływać! Kiedy miałem kilkanaście lat, pojechałem z rodzicami do Warny. To taki port w Bułgarii nad Morzem Czarnym (które nie jest oczywiście czarne, ale za to bardzo ciepłe). W Polsce było wtedy rok w rok deszczowe lato i rodzice zdecydowali się na taką wyprawę, bo w Bułgarii jest pogoda murowana. Jakies dwieście metrów od plaży była tam skała, do której pływałem, żeby łapać na niej małe kraby, było przy tym sporo emocji, bo kraby tak jak raki mają mocne szczytce, ale o ile raki chodzą tyłem, to kraby — bokiem. I jak się o tym zapomina, o co jest nietrudno, gdy co chwila zalewa skałę fala, polowanie jest jeszcze zabawniejsze. Bo krab, chociaż z przodu ma oczy, to chodzi w lewo lub w prawo. Z tego wniosek prosty: jego przód jest zmienny z tyłem (jak w wagonie kolejowym albo tramwajowym), a oczy są z jednego boku!

List ten dojdzie do Was na początku wakacji, może nawet minie się z Wami. Całuję Was bardzo mocno i życzę Wam dużo słońca (mnie nie życzcie go dużo, bo w „puszcze” jest wtedy bardzo duszno).

Wasz Tata

P.S. Jako rozrywkę umysłową na wakacje (lepszą niż gra w

„ćwierćinteligencję”) polecam Wam rozwiązywanie krzyżówek. Ponieważ wiele wyrazów w krzyżówkach się powtarza, można sobie założyć słowniczek wyrazów krzyżówkowych.

S.

Mokotów, 9. 06. 85.

Kochani Moi Synkowie,

Bardzo Wam dziękuję, że tak regularnie piszecie do mnie listy. Bo już nie tylko piszesz Ty, Kubusiu, ale i Max coś potrafi: jego rysunek z napisem kto kogo kocha wisi w nogach mojego łóżka; gdy się budzę, mogę być już pewny: Max kocha tatę. Kubusiu, skoro jesteś tak systematyczny w naszej korespondencji, to napisz jeszcze, po jakim czasie dostajesz moje listy, bo na razie nie potwierdziłeś, żebyście jakikolwiek dostali. Ten list jest ósmy z kolei. Wysłałem i będę wysyłał do Was jeden list w tygodniu. Tutaj wszystko podlega rutynie: pocztę otrzymujemy zawsze w środy, a oddajemy korespondencję w poniedziałki (przypomniałem sobie, że ten list jest dziewiątym, bo raz wysłałem osobne listy do każdego z Was).

Maksiku, bardzo dziękuję Ci nie tylko za rysunek (to dom z ogródkiem, w którym spędziliśmy zeszłe lato?), ale i za duże zdjęcie. Liczę, że przypilnowałeś Kubę i poszłiście do pracowni: Jacek miał wam tam zrobić „fotografię z ważnym tłem”. Jak tam wasze wakacje? Z tego, że na Zwierzynieckiej „pracują już hydraulicy, więc do końca lipca będzie gotowe” wynika, że Mama jest bardzo teraz zajęta remontem mieszkania. Ale mam nadzieję, że w lipcu nie będziecie siedzieć w Warszawie: zapowiada się takie piękne lato! Może pojedziecie z dziadkami? A może z kimś ze znajomych? (Tylko wtedy nie można już tak do woli rozrabiać...).

Kuba, Twoje listy — coraz dłuższe! — sprawiają mi wielką przyjemność. Co pewien czas, z powodu wymądrzania się, opowiadasz w nich (o czym Cię niniejszym po ojcowsku i życzliwie informuję) niezamierzone dowcipy. Np. w ostatnim liście napisałeś „... przede wszystkim Joni po raz pierwszy napisał do mnie sam*”. Tu dałeś przypis: „* z błędami, ale zawsze” i w następnym zdaniu sam zrobiłeś błąd; napisałeś „zdięcia” zamiast „zdjęcia” (to słowo wywodzi się od zdjęć — zdejmować). Musisz koniecznie przeczytać zasady interpunkcji, czyli zasady stawiania w zdaniu znaków przestankowych — kiedy kropkę, kiedy średnik, kiedy przecinek czy myślnik. Jak każde dziecko, nie masz kłopotu tylko z wykrzyknikami! Ale nie myśl, że nie widzę, jak wiele dzieje się w Twoich listach! Bardzo lubię oglądać rysunki

objaśniające, a haczyk i uszko na zdjęciu Irys powinieneś po prostu opatentować.

Przed lekturą „W poszukiwaniu straconego czasu” Prousta (którą wpisałem Wam do kanonu), dostałem dwutomową jego powieść: „Jan Santeuil”. Sam autor traktował to tysięczstronicowe dzieło jako wprawkę przed napisaniem „W poszukiwaniu...”, rękopis podarł i wyrzucił do skrzyni, którą przechowywał u znajomych. Znalazł ją jakiś badacz Prousta, zaczął te wolne kartki składać i okazało się, że stworzyły one całość — „Jana Santeuil”. Podobają mi się tylko nieliczne fragmenty, drażni mnie styl Prousta: za dużo w nim samozachwyty, po prostu zakochania w sobie, ale jestem, jak wiecie, bardzo wymagający. Przepisuję dla Was zabawny fragment o szkole:

„Cicho, osły!” — rozległ się gruby głos cieszącego się zawsze ogólnym posłuchem Buffeteura, niezwykle bowiem lenistwo tego chłopca zjednało mu szacunek nie tylko uczniów i woźnych, prześcigających się wprost w okazywaniu mu podziwu i sympatii, ale nawet wychowawcy, który na jego widok uśmiechał się łaskawie i lekliwie, jak minister, gdy spotyka przywódcę opozycji. Nawet sam dyrektor, wszedłszy do klasy, aby zapoznać się z oceną wypracowań, w chwili gdy profesor, tak samo jak to czynił dotychczas i jak miał to czynić w przyszłości, ogłaszał: 'Buffeteur, najgorzej', a Buffeteur, stając w ławce, wołał z dobroduszną arogancją: 'Obecny, panie dyrektorze', nawet sam dyrektor uśmiechał się z ironią, ale zarazem z pewną serdecznością i jak gdyby z podświadomym szacunkiem na widok tego tęgiego chłopca, który przez cały rok miał zawsze we wszystkim najgorsze wyniki, zajmował zawsze ostatnie miejsce, bez nadziei na jakąkolwiek poprawę, nieomylnie bez wahania, jak gdyby na zasadzie jakiegoś surowego, niezmiennego prawa natury. (...) 'Osły zatracone! — ciągnął Buffeteur wśród krzyku uczniów, którzy powchodzili na ławki. — Czy naprawdę jesteście tacy głupi, że chcecie iść po dyrektora? Kretyni! Zamknijmy drzwi, jak gdyby profesor był w klasie, i będziemy mogli przez ten czas robić, co się nam podoba. Czy tego nie rozumiecie?’”

I oczywiście w momencie, gdy wszyscy skakali już po ławkach i wrzeszczeli, wszedł nikomu nie znany nowy profesor, ale do tego miejsca nie mogłem już Wam przepisywać. Bo po pierwsze — nie starczyłoby mi papieru (Marcel Proust pisze zdaniami długimi na jedną trzecią strony) a po drugie — czasu (muszę do poniedziałku napisać siedem listów).

Kubusiu, przypilnuj, żeby Max kupił już teraz (albo na wakacjach poza Warszawą) wyprawkę do pierwszej klasy. Jeśli będziecie to odkładać, Mama — swoim zwyczajem — skróci wakacje o tydzień, „żeby wszystko zdążyć na czas przed szkołą”, a

naprawę szkoda ich na wystawianie w kolejkach w mieście. Musicie sami więc pamiętać o swoich sprawach, bo Mama ma teraz mnóstwo zajęć, jak w wierszyku:

WOMAN'S WORK

*There is dinner to cook, and dress to mend,
The house to clean from end to end,
There is always something not begun.
A woman's work is never done.*

Szczególnie teraz, gdy jesteście między jednym a drugim domem.

Całuję Was obu bardzo mocno. Pozdrówcie ode mnie wujka Jacka.

Wasz — Sławek

P.S. Podajcie kod pocztowy adresu na ul. Zwierzynieckiej.

Mokotów, 85. 06. 22.
(Ja się uczę!)

Kochani Kubo i Maksie,

Kiedy chcę gdzieś uciec myślami, wystarczy chwila a już słyszę delikatne dzwonięcie stalowej liny, wyczuwam jej drżenie i grzechotanie kółek przy słupkach wyciągu i już sunę w górę. Odwracam się na chwilę do tyłu, bo słyszę Was obu, jak zakrzykujecie się wzajemnie żądaniem: „Tato! Patrz!”. Nagle Max traci równowagę, przewraca się, jego twarz wykrzywia się w wysiłku, buzia w podkówkę — czuje już, że zaraz puści orczyk. Ale nie, gdzież tam, wstaje jakoś, jego nogi clowna przez chwilę wykonują pijane ruchy, narty najpierw się rozjeżdżały, teraz o mały włos, a by się skrzyżowały. Max odzyskał jakimś cudem równowagę i już zapomniął o strachu, szelmowsko się uśmiecha i krzyczy: „— Widziałeś?!”. Kubuś jedzie za to w kucki, słyszę jego z kolei krzyk. Odpowiadam: „Widzę!”, dostrzegając go kątem oka, bo gdybym jeszcze przeciągnął tę przyjemność choć o chwilę, sam nie zdążyłby się wyczepić: ktoś do mnie coś mówi.

Patrzę na tę samą kropkę na ścianie i wciąż słyszę dzwonięcie liny i szelest śniegu pod nartami.

Jest jeszcze inny sposób, żebyśmy byli razem.

Jeśli w pewnej chwili zechcecie być ze mną, wystarczy, że staniecie twarzą do słońca i zamkniecie oczy. (Ja też robię tak

co pewien czas, gdy jestem na spacerze). Zobaczycie wtedy czerwone, pulsujące mgławice: to nasza wspólna krew płynie pod sklepieniami powiek. Wystarczy teraz otworzyć oczy i już widać, że łączy nas jeszcze ta sama ziemia, niebo i słońce. Są tak duże, że żadnymi kratami nie można ich podzielić. Nawet cień przelatującego ptaka może być tym samym śladem, który oglądałem przed chwilą na ubitej ziemi mokotowskiego spacerniaka.

Od dwóch tygodni nie dostałem od Was żadnego listu. Nie wiem też, czy moje listy do Was dochodzą, a piszę regularnie — raz w tygodniu: ten list jest jubileuszowym, dziesiątym, jaki wysłałem (nie licząc, że raz napisałem do każdego z was osobno). Ostatnio cenzura zwróciła mi z powrotem dwa listy w miesiąc po wysłaniu ich: może wy też piszecie o jakieś jedno zdanie za dużo! Ostatni list, jaki od Was dostałem był ze zdjęciem Irys. Przyszedł też list od Dziadków.

Czuje się dobrze, bo na żołądek nie mogę narzekać, przecież to nie jego wina, że nie dają mi diety! Ratuję się w ten sposób, że staram się jeść jak najmniej. Schudłem już cztery kilo. Jeszcze pięć mogę schudnąć — po co tyle dźwigać! — i wtedy zacznę się dopiero niepokoić. Czytam nadal dużo i gimnastykuję się pilnie: robię już dziennie pięć × 100 ćwiczeń, tzn. 100 pompek, sto przysiadów, sto ósemek nogami leżąc na grzbiecie) itd. Napiszcie z wakacji, co robicie i gdzie jesteście.

Co tam, Maksiu, z Twoim domem — łóżkiem — zjeżdżalnia?

Całuję Was bardzo, bardzo mocno.

Wasz Tatuś

P.S. Przyślijcie mi z listem koperty i znaczki, bo niedługo za-
braknie. To piórko znalazłem na spacerze.

S.

Mokotów, 85. 07. 07.
List 13

Kochani chłopcy,

Mój wagon, w którym mam zarezerwowany jeden przedział, nadal stoi na stacji Warszawa-Mokotów. Ciekawe, jakim pociągiem i dokąd Wy pojedziecie na wakacje? Szkoła się już skończyła tydzień temu, myślę, że mi coś o tym napiszecie (napisaliście) zanim wsiedlicie do wesołego, wakacyjnego pociągu. W ostatnim liście martwiłem się, że będziecie mieć lato dobre dla mnie tylko, czyli chłodne, deszczowe, ale naszej prasie nie sposób wie-
rzyć: właśnie przyszły słoneczne dni. Pracy mam huk, bo do

lektur i gimnastyki dodałem rysunek, na który na wolności nie miałem już od lat czasu. Mam na myśli szkicowanie z natury, bo na co dzień musiałem przecież rysować, tylko nie miałem kiedy się doskonalić. Co prawda mówi się czasem, że rysunek jest dla architekta tym, czym zapis nutowy dla muzyka, ale tylko częściowo jest to prawda: nuty na pięciolinii odpowiadają rysunkowi technicznemu. A zawsze wyprzedza go szkic, w którym — choćby był zrobiony tylko dla siebie — musi być czytelny pomysł, ten pierwszy pomysł, który spowodował, że wzięliśmy do ręki pióro lub ołówek, żeby go zanotować.

Mówi się często: on jest pomysłowy, ale pomysł! Nie mam żadnego pomysłu. Co to znaczy, czym pomysł różni się od zamysłu czyli zamiaru zrobienia czegoś, pierwszej myśli o tym?

W książce Roberta Musila, wielkiego (choć niedocenionego za życia) austriackiego pisarza pt. „Człowiek bez właściwości” znalazłem fragment, który świetnie wyjaśnia ten problem.

„Pewien wielki odkrywca zapytany, co robi, aby mieć tak wiele nowych pomysłów, odpowiedział: po prostu nieustannie o nich myślę. I w samej rzeczy można chyba powiedzieć, że niespodziewane pomysły przychodzą tylko dlatego, że się na nie czeka. Są one w niemałej mierze wynikiem naszego charakteru, stałych skłonności, wytrwałej ambicji i nieustannego działania. Ale jakżeż nudna musi być taka wytrwałność! Z innej strony znów, rozwiązanie jakiegoś intelektualnego zadania dokonuje się mniej więcej tak, jak kiedy pies trzymający kij w pysku chce się przedostać przez wąskie drzwi. Kręci łbem tak długo w lewo i w prawo, aż kij się przez drzwi prześlizgnie; i my postępujemy całkiem podobnie, z tą jedynie różnicą, że nie próbujemy na chybił trafił, ale wiemy już mniej więcej z doświadczenia, jak należy to zrobić. A chociaż mądra głowa jest naturalnie o wiele sprawniejsza i w tym kręceniu bardziej doświadczona od głupiej, prześlizgnięcie się przez drzwi stanowi i dla niej zagadkę. Staje się to bowiem nagle i można całkiem wyraźnie skonstatować w sobie uczucie zdziwienia, że nasze myśli same się sformułowały, nie czekając na swego autora”.

Na książkę Musila jeszcze dla Was za wcześnie, umieściłem ją na końcu kanonu lektur. Przytoczyłem ten fragment, żeby Wam pokazać obrazowość jego stylu, dosadność, z jaką potrafi wyjaśnić coś tak subtelnego, jak sam proces myślenia. A na czym polegał pomysł Musila w tym fragmencie „Człowieka bez właściwości”? (Odpowiedź na drugiej stronie!).

(Jego pomysł na wytłumaczenie tego, jak powstaje pomysł polegał na znalezieniu prostego porównania z psem, który trzy-

mając w pysku kij, próbuje przedostać się przez wąskie drzwi). Cała trudność myślenia polega na tym, że nasz mózg ma obrzymią wydajność, przez głowę przelatują nam urywki myśli, melodii, obrazów z taką szybkością, że tylko człowiek bardzo wyćwiczony w notowaniu pomysłów potrafi wyłowić z tego chaosu we własnej czasce te zdania, frazy muzyczne i linie, które przeniesione na papier zachowują czytelność samego pomysłu.

Umiejętności czytelnego (choćby na początku czytelnego tylko dla nas samych) notowania pomysłów i precyzyjnego myślenia można się nauczyć tylko samemu. Rodzice, szkoła mogą w tym tylko pomóc, zdarza się, że przeszkadzają. I tak nikt, moje szkrabki, nie zdejmie z was tego ciężaru odnajdywania własnych myśli i uczuć, ale dzięki niemu każdy człowiek pozostaje własnym światem, którego ten wielki świat, po którym chodzimy, choćby najbardziej zniewolony, nie może oduczyć wolności. Wada ludzkiego losu — to, że trzeba samemu mu sprostać — przede wszystkim okazuje się więc wielką zaletą.

Maksiku, przeczytałem w gazecie, że rocznie topi się w polskich wodach 1.000 osób. Część topi się dlatego, że kąpie się po pijanemu, część dlatego, że wpada do wody a nie umie pływać, a część myśli, że tak dobrze pływa, że nie musi być ostrożna. Chociaż wokół ciebie jest mnóstwo osób, które uważają, że nie tyle trzeba się nauczyć pływać, co być tak ostrożnym, żeby nigdy nie wpaść do wody, ja obstaję przy swoim: skoro Kuba nauczył się pływać, to ty, słynny Profesor Spreżynka, na pewno też sobie dasz radę! A z tym wpadaniem różnie bywa: ja już trzeci raz wpadłem do aresztu, ale na pewno po jakimś czasie wynurzę się na powierzchnię, bo poziom na którym zaczyna się wolność wciąż się w Polsce obniża, mimo groźnych pomruków. Nawet w gazetach piszą, że odbijamy się już od dna.

Całuję Was bardzo mocno, bądźcie dzielni i pomagajcie Mamie przy remoncie. Przyślijcie mi zdjęcia z wakacji, bo ja tu jeszcze posiedzę, póki się poziom nie obniży! Pamiętajcie, że Tatuś Was bardzo kocha.

Wasz Sławek

P.S. Przyślijcie mi koperty i znaczki w liście, także koperty lotnicze ze znaczkami do dziadków.

S.

P.S. Kubusiu, czy byłeś u ortodonta? Czy chodzicie z Maxem regularnie do dentysty? (Tylko nie opowiadaj mi bajek o szkolnych czy przedszkolnych badaniach zębów! Te dentystki nie mają nigdy dość czasu na dokładne kontrole).

Mokotów, 18.08.85.

List 19

Kochani Moi Chłopcy,

Wylazłem już z tzw. „dołka”, gdzie spałem przez dwa tygodnie na „twardym łożu”, czyli samych deskach z jednym koczem. Na „górze” okazało się, że jest strasznie gorąco. Na szczęście opanowałem w „dołku” szybką technikę myjku-myjku mokrym ręcznikiem, więc i z tym nie ma problemu. W ostatnią środę dostałem list od Marysi z wiadomościami o Was i o chłopakach w pracowni. Marysia miała po trzech miesiącach widzenie ze swoją mamą (mnie los jakoś z tym nie pieści), więc obie panie mogły te pół godzinki poplotkować i tak doszły w plotkach do panów Kuby i Maxa. Poza tym Marysia koresponduje z Lusią, a to już do Was niedaleko.

Moja kariera Japończyka (tyle, że Japończycy śpią na matach, które nazywają się „tatami”) jest już zakończona. W ostatniej celi, do jakiej mnie w „dołku” przeniesiono były jeszcze dwa wolne „twarde łoża”, gdyby nie te wszystkie bramy, mury i kraty, to moglibyście wskoczyć do mnie na jedną noc. Zresztą myślę, że Wy ze mną nawet spania na podłodze (a co dopiero na twardej łożu) byście się nie bali, prawda?

Gdyby nie wilgoć i ból stawów z tym związany, to te ostatnie dwa tygodnie bardzo dobrze bym wspominał; samotność pomaga w skupieniu się. A czy Wy potraficie już sami spędzać czas? Ale zupełnie sami, jeden bez drugiego? Wiecie, dlaczego o to pytam? Umieć być sam na sam ze sobą, umieć cieszyć się samotnością, to wielka siła i warto się tego nauczyć. Tak jak trzeba pracować i współżyć z ludźmi, trzeba też posiadać dar skupienia się i mobilizowania do pracy samotnej, do obecności tylko własnych myśli. Ci, którzy sami siebie nie mogą znieść i lgną do byle jakiego towarzystwa, są nie tylko słabymi, ale i męczącymi ludźmi: mądry człowiek czuje się w ich towarzystwie jak lalka, manekin, bo i byle głupol wystarczyłby przecież, żeby wypełnić ich lęk przed pozostaniem z samym sobą. Nie, nie znaczy to, że trzeba unikać ludzi, jak wiecie, sam jestem człowiekiem bardzo towarzyskim, ale samotność bardzo sobie cenię. Podobnie jak są pomysły (choćby kawały, zabawy), na które wpada się tylko w towarzystwie, są też takie myśli, które przychodzą do głowy tylko w samotności. Dlatego i jednego życia — zespołowego, społecznego, i drugiego — samotnego, indywidualnego trzeba się uczyć. To sprawa skupienia, koncentracji na jednej rzeczy.

Chciałbym bardzo, żeby moje listy pomogły Wam skupić się. Kiedy piszę do Was, to już widzę i słyszę:

— Ale Tato, już chodźmy! No, już wiem, tak, tak, zrobię, no ale chodź, tu, tu — popatrz! Teraz... Bardzo się temu nie

dziwię, bo przecież i ja byłem mały, ale wiercie mi, najwięcej chciałbym — gdybym mógł drugi raz przeżyć te 37 lat — zmienić się w tym wieku, w który wy teraz wkraczacie.

Kubusiu mój słodki i kochany, jeszcze raz gratuluję Ci cenzurki, choć na własne oczy jej nie zobaczyłem. A gratuluję Ci tym bardziej, że nie wiem, czy list, w którym Ci o tym pisałem do Ciebie dotarł, bo wśród sześciu listów, które prokurator zatrzymał i dołączył do akt (czyli papierów) sprawy jest jeden do Was. Pamiętaj, ucz się dobrze, wiecznie tu przecież nie będę, a jak będziesz się dobrze uczył, to jeszcze pohulamy razem.

Doszły do mnie wieści, Maksiku, że postanowiłeś zostać kasiarzem i w tym celu wybierasz się na film „Vabank”! (sam mi o tym, cwaniaku, nie napisałeś...). Niepokoiłbym się tym bardzo, gdyby nie fakt, że ja w twoim wieku chciałem być windziarzem. Ty w porównaniu ze mną wybrałeś sobie fach bardziej interesujący, tyle, że windziarz dużo stoi, a kasiarz z kolei dużo siedzi. Będziesz miał zresztą mnóstwo problemów z ukończeniem szkoły kasiarskiej, bo ani na wolności, ani w więzieniu nie słyszałem, by dożyli do naszych czasów jacyś dobrzy fachowcy. A może dziadek, który lubi wspominać przedwojenne czasy opowiadał Ci o jakichś wybitnych specjalistach? Oni już dawno wymarli, mówię Ci — teraz jest klops. A może — szukam, jak widzisz, uparcie przyczyn Twojej męskiej decyzji w tak młodym wieku — uważasz, że jak rozprujesz kasę w jakimś banku, to Cię zamkną ze mną albo z Marysią i dopiero zaczniesz cyrkową gimnastykę, żeby wrócić do pierwszego zawodu clowna! Też nic z tego: do zamknięcia, nawet w poprawczakach, trzeba dorosnąć! A w ogóle najpierw trzeba nauczyć się dobrze bawić „w policjantów i złodziei” — Ty ostatnio przy zabawie „w chowanego” nie mogłeś przecież wytrzymać ze śmiechu, gdy ktoś się zbliżał! — a potem brać się za banki. Poza tym: co byś kupił za te pieniądze? Cukierki? Dobre cukierki są wciąż na kartki, a inne są tylko „czekoladopodobne”. Rzykować więzienie, żeby zjeść trochę landrynek? To i ja mam tutaj takie klejące się „na wypiskę”. Ale przecież nie po to, żeby je ssać pojawiłem się w tym przybytku!

Przypomniałem sobie dwie dobre książki, Kubusiu, które mógłbyś już czytać:

— Salinger (Amerykanin) „Buszujący w zbożu” — przygody chłopca, który uciekł z domu i wędruje po... Nowym Jorku.

— Sillitoe (Anglik) — „Samotność długodystansowca” — o chłopcu z biednej rodziny, który siedzi w domu poprawczym; świetne opowiadanie, było sfilmowane, rolę tytułową grał Tom Curthanay (nie jestem pewien pisowni).

Całuję Was bardzo mocno i życzę miłych początków szkoły.

Trzymam za Was kciuki. Napiszcie, jak Wam się mieszka w nowym gniazdku. I jak (gdzie?) spędziliście wakacje.

Wasz Tatuś

Mokotów, 24. 08. 85.

List 20

Słodki Kubusiu i Maksiku,

Dostałem właśnie listy, w których piszecie, że wasza siostra cioteczna nazywa się Julia, że Max hoduje drzewka u Aliny na działce, a Kubusiowi już całkiem-całkiem krzaczek wyrósł z pestki awokado. Dowiedziałem się jeszcze, że świetnie bawiliście się w Urlach i że jedziecie na tydzień do Nowego Dworu. (Myślę, iż przy okazji skontrolowaliście dziadka instalację, bo na Was to można polegać). Listy Wasze sprawiły mi mnóstwo radości.

Kubusiu, powinienś czasem zaglądać do słownika ortograficznego — niech nie usypiają Cię piątki na cenzurce! Max np. hoduje drzewka przez samo „h”, jak należy, a Ty wyhodowałeś awokado przez „ch”, a w dodatku wyrosła z niego łodyżka przez „sz”. Nie przesadzaj z taką uprawą polszczyzny! Maksik pisze, że „zaczół”, on faktycznie dopiero zaczął, ale Ty przecież już nie powinienś (mówiąc po tuwimowsku) robić tyle błędów „w naszej ojczyźnie-polszczyźnie”. Łodyżka odmienia się na „łodyga” — g > ż. Np. mogę — możesz, noga — nożny, waga — wazyć.

Dwa listy, które wysłałem do Was w lipcu zostały zatrzymane przez prokuraturę. Z trudem udaje mi się to zrozumieć, ale — jak wiecie — ja siedzę za niepojętność, choć cenzurki miałem nie gorsze od Kubusia. Ale nawet jak na mój rozum to, że nie dostaliście jeszcze widzenia ze mną jest przesadą! Po prostu dwóch chłopców, jeden ma 7 lat, drugi 10 — co tu cenzurować?! Pewnie i to niedługo się wyjaśni, bo nie ma takich ciemności, których nie dałoby się rozświetlić.

Ala przysłała mi książkę do angielskiego i słownik. „Przerabiam” jedną lekcję dziennie i — choć brzmi to dziwnie — czytuję do snu i po przebudzeniu słownik. Ciekawe, czy Kuba wziął się wreszcie za angielski, czy odłożył rzecz „do jutra” (które nastąpi zapewne, gdy ja wyjdę)? Na pociechę, Kubusiu, mogę Ci powiedzieć, że też mi się nie chce ani uczyć, ani trenować joggingu w klatce spacerniaka, ani rysować, a jednak nie ograniczam się tylko do czytania książek. Robię codziennie (nnno, prawie...) moje siedemset ćwiczeń, schudłem już dzięki temu 6 kilogramów: nie mam brzucha dzięki temu, za to — dobry nastrój! Tym pogodnym akcentem kończę, bo nowe zdanie rodzi ryzyko, że na-

Mokotów, 8. 09. 85.
LIST 23

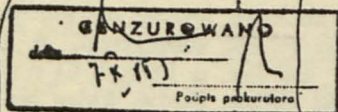
K. WIECIE, DWA RAZY ZDAŁ
TEK O WAS.
TYM PRZYPIER-
ALE JUŻ WIEM,
IEM, A NAWET
MAMA Z PRZED-
SZKOLA, ŻE JA-
CHANY-SIEDZIE PA-
CZE, ŻE JUŻ MIESZKA-
PO REMONCIE, ŻE DZIAŁ-
A NIE DOWIEDZ
UMEBLOWAN
SŁE, ŻE O
AMI MI
WRSZCIE
OPISAN
NIEJSZ
E Z ODWIADA-
DĄŁO MI SIĘ TO,
E POLAZAT SŁOWET
DOMYSŁEM, ŻE ALBO
ODWIAŁ DLA UCZENIA RO-
SZKOLY, ALBO WŚCIEKŁ SIĘ
E, ŻE NIE MOGŁ PRZYJŚC NA
NIKO I LICE, ŻE MI TO WYJAŚNI.
GE CIE TYLKO ZAPEWNIC, MAKSIKU,
ACKOWNUJE SIĘ OSTATNIO TAK GRZEZ
SIEDZIE CIEHO ZAŁ TRUSIA, NIE MAJ ZAG-
GO RAPORTU NA MNIE, ŻE PO PROSTU
AM SIEBIE NIE POZNAJE, WIEC TYM
BARDZIEJ NI
SUMI

A Z KOLEJKA, TO NAPISAŁEM SERIO, BO
BARDZO MNIE ZNARTWIŁO, ŻE NIE CENISZ PRE-

KOCHANE ZREBAŃKI WIDZIAŁEM SIĘ JA
KAMI, WIEC DOWIEDZIAŁEM SIĘ
CZASU NIE MIELISMY NA TO
WZDYM PATRZONKU" BYLIŚCIE
ZE MAX SIEDZI W JEDNEJ
WIEM, ŻE OBOJ SIEDZIA DA
SZKOLA, KTÓRE SA H NIM
CHOC TEŻ JESTEM W
RE, ŁANEK DALEJ W
NIE NA ZAIERZANIE
KAWIE NAS TAM OD
TEM SIĘ TYLKO J
WASZE DOKŁADKI, AL
NAJLEPIEJ JUŻ
SZECIE, A KUBUSI
ZA TRUDNE DO
SUJE. NAJDUJ
NIA DZIADKOJA
ZE MAX NI
KOLEJKI IT.
JUŻ JA A
SCIA DO
NA MNIE
PATRO
JA NO
ZE 2
NIE
NE
S

PARU NOW
ZA WIEL
JESZCZE
ŁANICE
NE KO
DĄKO
NIM
NIE
KIEJ
WIE
AK
E

IN I PLO
E POZA
W TEBIE.
Z JAS
LEZANIE
CHANEK
DĄKO
JESZ
JEST
DZIL
SA
NY
S



MOKOTÓW: 21.09.85
LIST 25.

listo obywatelom,
bo nie wiem, czy
przejdzie cała
wzrostowa kontrola.

Page 54

piszę coś niecenzuralnego, szczególnie, gdy się okazało, że Wy, najlepsze przykłady mojej twórczości, też jesteście niecenzuralni. Całuję Was B.B.B.B.B. mocno

Tatuś

P.S. Przyślijcie mi koperty lotnicze i zwykłe ze znaczkami. Czy dostajecie z konta wasze pensje?

Mokotów, 29.09.85.
List 26

Kochany Kubusiu i Maksiku,

Trwa wyścig liczb. Które numery przegonią które? Ten list jest 26-ty. Do Marysi też napisałem właśnie 26 listów, ale stanąłem, bo — jak Wam pisałem — ukarano ją zakazem korespondencji do 16 listopada. W ogóle napisałem już tu 91 listów, z urzędowymi sporo ponad 100, ile dni siedzę, to już niech Max oblicza. On jest z nas trzech najlepszym bankierem!

W poprzednim liście (a może przedostatnim?) prosiłem Mamę, żeby to ona przyprowadziła Was na widzenie, skoro Alinie nie pozwalają. Oczywiście do ostatniej chwili — w odróżnieniu od Was — nie będę wiedział, jak sprawy stoją. Więźnia czy aresztanta (ja jestem aresztantem, mam dopiero szansę być więźniem) wyprowadza się z celi tak, jakby przedmiot ktoś wyjmował z szufladki. Żaden wasz ołówek nie wie przecież, jaka ręka, kiedy, jak daleko go wyciągnie! Kiedy ludzie mówią, że nie godzą się — „na wolności”, oczywiście — na „uprzedmiotowienie”, to mają właśnie na myśli taką sytuację ołówka w szufladce, a czy szufladka jest w bloku mieszkalnym czy w wieżowcu biurowym — już wszystko jedno! Ważne, że człowiek to podmiot-osoba, a nie przedmiot-ołówek, stąd mówi się o podmiotowym albo przedmiotowym traktowaniu człowieka.

Niecierpliwie oczekuję (choćby krótkiego) artykułu mojego specjalnego wysłannika, Maxa Bieleckiego, ze szkoły przy Górnośląskiej. Tylko napisz rzecz po prostu jak w *Misiu* albo *Swierszczyku*, bez pompy i uroczystych zdań tak długich, że zasną przy trzecim przecinku!

Kubusiu, napisz Ty z kolei, jakie masz stałe zajęcia. Angielski? Pływalnia? Plastyka w Pałacu Młodzieży? Ile macie godzin lekcyjnych w tygodniu? Czy obaj zaczynacie o 8-mej rano, czy Wasza szkoła działa na dwie zmiany (Wy jesteście przecież „wyżowe dzieci” i w szkołach jest tłok)? Czy razem wracacie ze szkoły, tzn. Max czeka na Kubę w świetlicy?

Nadal dużo czytam. Z angielskiego przerobiłem 1/5 lekcji. W prasie robią mi reklamę, więc chyba mnie nie wypuszczą od

razu, bo na Wilczej miałbym za dużo klientów, zarobiłbym za dużo pieniędzy i wszyscy byśmy się przejedli czekoladą z orzechami. A tak to jeszcze jakoś ujdzie: cisza, spokój i praca

Waszego Taty-Samouka

Całuję Was b.b. mocno!

Sławek

P.S. Maksiku, rok 1986 ma być rokiem pokoju. Więc jak chcesz się z kimś pobić, to musisz w starym roku!

Mokotów, 5.10. 85.

List 27

Kochani Kubusiu i Maksiku,

Niedługo minie pół roku, odkąd się nie widzimy. Ostatnio nie dostałem od Was żadnych nowin, natomiast prokurator przysłał mi pismo z informacją o zatrzymaniu kolejnych moich listów, tym razem pięciu; jeden z nich (z kolejnym numerem 24) był adresowany do Was. Ha, trudno, jakoś to zniesiemy. Z listu dziadków Franków pisanego tuż przed odlotem dowiedziałem się, że Mama zapisała (pewnie po Twojej protekcji u trenera, Kuba?) Maxa na pływalnię. Najwyższa pora! Co ma wisieć nie może przecież — zgodnie z przysłowiem — tonąć.

Pół roku w „puszce” skłania mnie do kolejnych rozważań o czasie. Zaczynam od rysunku Henryka Tomaszewskiego (z jego „Książki zażaleń”) zatytułowanego: życie jest krótkie. Nic lepiej nie pokazuje wpływu czasu, nieuniknionego, ale dającego się przewidzieć. Trudność największa w tym, że na początku życia nie tylko nie wiemy, jak długa jest nasza świeca (tego nie wiemy do końca!), ale nie wiemy, jak szybko się spala i co to oznacza przy 40, 50, 80 latach życia, jakie na co dzień są konsekwencje szybkiego wpływu czasu.

W czytanej ostatnio powieści Kisielewskiego „Sprzysiężenie” (możesz ją, Kuba, dopisać do kanonu lektur w dziale 14-18 lat) znalazłem taki oto fragment wyjaśniający, czym różni się czas młodości (a tym bardziej dzieciństwa) od czasu dojrzałości. Pisząc o latach szkolnych swoich bohaterów, Kisielewski mówi: „... Lata te były latami młodości, które są ważniejsze, brzemiennejsze, po prostu dłuższe od późniejszych lat życia. W młodości człowiek czuje, że ma jeszcze przed sobą dużo czasu i dużo do wyboru — ta świadomość daje mu swobodę i szerokość oddechu — żyje nie niepokoiony — ma czas być sobą. Lecz nieuchronnie, prędzej czy później, przychodzi ów moment, od którego poczynając wszystko zaczyna wyglądać nieco inaczej: pojawia się paniczna myśl, że czasu jest właściwie nie tak wiele, i podejrzenie,

że prawo wyboru również nie jest tak nieograniczone, jak to się wydawało z początku. (...) Od tego momentu popadamy pod władzę czasu, który zaczyna unosić nas w nieznanym dotąd i stale rosnącym pośpiechu: sprawdza się przysłowie, że dzień jest długi, lecz krótki; tygodnie, miesiące i lata przelatują obok nas w oszołamiającym tempie...” — Tu przerywam, bo autor wkracza w rozważania o tym, co poeta Słonimski nazwał „wiekiem męskim — wiekiem kłęski”, zostawimy sobie tę rozmowę na później.

Jak to się dzieje, zapytacie, że czas płynie coraz szybciej, skoro zdrowy człowiek może (jak choćby Dziadkowie, którzy was odwiedzili) dożyć 70-ki, a przecież Kubuś przeżył dopiero 1/7 tej odległości, a Maksik 1/10? Wystarczy narysować sobie podziałkę życia podzielonego na dekady (czyli dziesięciolecia) i liczyć czas wprzód i w tył od 50 lat — o ludziach takich mówi się, że są w sile wieku. Nie zdarza się właściwie nigdy, by ktoś „przeskoczył siebie” po pół wieku życia: na ogół jest to (w najlepszym wypadku) moment najwyższych życiowych możliwości i on właśnie określa, co można jeszcze (i czy można jeszcze) zrobić, czy też życie będzie dalej tylko pustym bytowaniem, wegetacją. Do granicy pięćdziesięciu lat trzeba więc wciąż rozważać, co i kiedy osiągnąć, by w sile wieku nie ocknąć się w ślepym zaułku, a od tej granicy można też powiedzieć z dużą dozą prawdopodobieństwa, jakim płomieniem będzie się palić świeca naszego życia póki nie zgaśnie.

Dlaczego trzeba tak szanować czas dzieciństwa i młodości? Ano, dlatego, że w wieku — najpóźniej!! — 20 lat trzeba już sobie powiedzieć, *co chce się w życiu robić*: można bowiem zmieniać zawód, czy studia, ale po to, *by serio spróbować czy uda się być tym, kim być się może* — trzeba na to mieć dość czasu. Bowiem już za dziesięć lat... w wieku lat 30 życie udziela nam *pierwszej surowej i poważnej odpowiedzi* na pytania, które męczyły nas w młodości: w wieku 30 lat jest jasne, *czy mamy realne (rzeczywiste) szanse, czy takim jakimi jesteśmy uda nam się osiągnąć to, co zamierzaliśmy*. „Czterdziestka” to odpowiedź ostateczna: czy zrobiłeś *twoją najważniejszą rzecz*, czy możesz rozwijać się dalej, czy też stoisz w miejscu (tylko bardzo przykro ci się do tego przyznać!). Słowem do czterdziestki budujemy podstawową konstrukcję; potem możemy ją przerabiać, *ale od początku już nowej nie zbudujemy*. A dlaczego granicę wyznaczyłem na pięćdziesięciu latach dopiero? Bo właśnie lata czterdzieste, to moment pierwszych wielkich rezygnacji z wysiłku i ambicji nawet u tych, którzy uzyskali poważne sukcesy i energia, którą przejawiamy w tej dekadzie 40 do 50 pozwała odpowiedzieć sobie na następne pytanie: *co dalej?* Czy czeka mnie dalsze ciekawe życie, czy jest to już „siadanie na laurach”, „odcinanie kuponów z przeszłości”, „kombatanctwo”? Jeśli między czter-

dziestką a pięćdziesiątką nie tracimy rozpędu, to pewnie już do bliższej lub dalszej mety nie stracimy oddechu.

A napisałem Wam o tym, bo Wasz nie stopiony jeszcze kawałek świecy do lat dwudziestu sami też możecie podzielić sobie na okresy pytań i odpowiedzi, prób i błędów. Pomagać Wam w tym będzie szkoła, rozmowy z kolegami, ale koniec końców na co dzień to *Wy sami rozstrzygacie, co dzieje się z minutami i godzinami, dniami i tygodniami Waszego życia*. Czy dla własnej wygody i przyjemności zapamiętujecie jedynie fakty przyjemne — osiągnięcia, czy wciąż widzicie przed sobą cele i odległości, które Was od nich dzielą. Czy plany zmieniają Wam się z dnia na dzień, byle mieć poczucie, że to Wy kierujecie swoim życiem, nie ono Wami, czy na odwrót: pamiętacie, jak czyni różnią się od marzeń. Co jeszcze trzeba poprawić.

Oczywiście macie rację: ja jestem dzieckiem szczęścia; umieszczono mnie w takim miejscu, gdzie nic mnie nie rozprasza, wszystko wokół jest wystarczająco zniechęcające, żebym się nie lenił. Wszystko to prawda! Ale nie tylko jestem dzieckiem szczęścia, skoro nie znalazłem się tu przypadkiem — a tego ani ja nie twierdzę, ani ci, co mnie wsadzili — mój przywilej ćwiczeń duchowych zawdzięczam swoim 37 latom życia, temu, że ich (mogę powiedzieć bez fałszywej skromności) nie przebumelowałem. A wiek to poważny — już połowa tego, co przeżył dziadek Franek i babcia Ziuta — nic więc dziwnego, że i mnie skłania do poważnych myśli. Jestem w połowie drogi między tym niewyraźnym znakiem zapytania, który dostrzegacie na początku świecy (to wasz płomyczek!) a tym, który czeka nas wszystkich na końcu.

Bardzo mocno Was całuję

Wasz Tatuś

P.S. O amnestii nie piszę, bo to tylko plany, na które w dodatku nie mam tu żadnego wpływu. Trzymają to trzymają. Puszczą to puszczą. Ważne, żeby czasu nie marnować. Szczególnie, że w lekturze słownika jestem dopiero na literze „D”. Za to „przerabiam” codziennie trzy lekcje angielskiego.

S.

Mokotów, 3. 11. 85.

List 31

Kochane maleństwa (skądinąd dość duże),

Ponieważ nadal nie dostaję żadnej korespondencji — moi dobroczyńcy postanowili mnie odciąć od świata tak, jakby myśli i uczucia nie mogły przeniknąć z powietrzem przez kraty — nie będę ponawiał aż do znudzenia starych pytań: pewnie już na nie odpowiedzieliście, jedynie list do mnie nie doszedł. Trzy dni

temu, wyobraźcie sobie, zabrano mi 10 (słownie: dziesięć) zeszytów, w których „odrabiałem lekcje”, jakie sam sobie zadałem i mimo zapowiedzi, że dostanę je w czwartek wieczorem, do dziś ich nie ujrzałem. Postanowiono, jak sądzę, urządzić mi zaduszki intelektualne. I znowu klops! Bo przecież myśli żyją ze mną i we mnie — na papierze pozostają tylko ich niewyraźne (szczególnie, gdy spisuje się je w więzieniu) ślady. No, ale nie będę przecież strażników, prokuratorów i sędziów uczył jak mnie nadzorować, zostawiam więc ten śmieszno-smutny temat i opowiem Wam, co to były za lekcje.

Otóż prowadziłem tu dziennik, zapisałem w nim około 250 stron formatu tego listu. Miałem szkicownik, w którym rysowałem współtowarzyszy, siebie, kopiowałem (z albumu, jaki przesłali mi dziadkowie Frankowie) Michała Anioła, a ostatnio projektowałem, o czym zaraz. Miałem też wypisy z lektur, bo choć nieźle pamiętam to, co czytam, lubię wynotować sobie fragmenty zbieżne z moimi myślami. Wreszcie wśród tych dziesięciu zeszytów były notatki do przyszłej korespondencji, bruliony listów, kopie moich i do mnie skierowanych pism urzędowych. A że moim głównym bogactwem jest moja głowa i ręce — nie czekając na zwrot dawnych szkiców — kontynuowałem przez następne dni mój projekt. Mogę Wam o nim napisać i będzie dla Was z pewnością zrozumiały, znacie bowiem świetnie jego temat: postanowiłem zrobić ostateczną adaptację (zajrzyj, Maksik, do słownika wyrazów obcych, a dowiesz się co znaczy „adaptacja” i czym różni się od „adopcji”) mieszkania na Wilczej, takiej, żebyście zawsze mogli (gdy tylko Wy i Mama zechcecie) z nami trochę pomieszkać. No i oczywiście, żeby i nam mieszkało się lepiej. (...)

Całuję Was mocno

Wasz Tatuś

Mokotów, 17. 11. 85.

List 33

Kochane Moje Maleństwa,

Mimo, że z taką starannością układałem dla Was kanon lektur, o jednym gatunku literackim — aforystyce — na śmierć zapomniałem. Ale zanim Wam o tym opowiem, muszę z niezbędnym wyprzedzeniem uściśnić urodzinowo Maksika.

Syneczku Mój Kochany! Twoje zdjęcia umieszczone są na kracie, a nad nimi wisi — nie zgadniesz! — parę zasuszonych liści bobkowych od cioci Krysi. A liście bobkowe to inaczej liście laurowe — symbol zwycięstwa. Pamiętaj, spokojnie ucz się (także pływać!), baw się, czytaj, a prędzej czy później zobaczymy się i wyszalejemy za wszystkie czasy! Niczego Ci stąd nie mogę wy-

słać w prezencie, ale jakąś małą niespodziankę już wymyśliłem — napisz mi, gdy ją dostaniecie, czy Ci się podobała. Życzę Ci na Twoje siódme urodzinki, żebyś był zdrowy, silny, mądry i szczęśliwy. Najważniejsze to pierwsze, najtrudniejsze to ostatnie. Całuję Cię mocno w oba oczka i w Twój słodki pysio. Jeśli Marysię wypuścili już lub niedługo wypuszczą (a tego się spodziewam, choć pewny nie jestem), to obsypie Cię pocałunkami i obdaruje za nas oboje!

A ponieważ listy moje idą długo, zupełnie na zapas składam Wam życzenia Świąteczne i Noworoczne, żeby Wam się dobrze łąsało przy rodzinnym stole i żebym był pewien, że zajadacie i za mnie, za moje zdrowie! Złóżcie wszystkim życzenia ode mnie i bądźcie moimi wysokimi przedstawicielami w tych czasach, gdy „Spełniają się nasze najśmielsze marzenia, czas już na nieśmiałość”.

O, właśnie, taka złota myśl inaczej nazywa się aforyzmem. Polska miała kilku wybitnych aforystów, ale najczęściej chyba tłumaczonym (i to na kilkanaście obcych języków!) był Stanisław Jerzy Lec, autor kilku zbiorów, które niezmiennie tytułował: „Myśli nieuczesane”. Posłuchajcie (i pomyślcie) nad paroma z nich:

Niektóre myśli przychodzą do głowy pod eskortą.

Jedni powinni w nagrodę żyć po raz drugi, inni za karę.

Nie prowokujcie kretyna, by napisał arcydzieło, a nuż mu się uda.

Najczęściej tracą wolność ci, co jej pragną.

Mogło być gorzej, twój wróg mógł być twoim przyjacielem.

Gdy padają głowy, nie opuszczaj swojej.

Czasem krótki aforyzm nagle się rozrasta, jak ta rada Leca połączona z westchnieniem:

Nie skostnieć ale nie sflaczeć, trwać na posterunku ale nie stać na miejscu, być giętkim ale nieugiętym, być lwem czy orłem ale nie zwierzęciem, nie być jednostronnym, ale nie mieć dwóch twarzy, trudna rzecz!

Czasem aforyzmy uogólniają sytuacje codzienne, które znają już dzieci:

Czasem kłamstwo tak przystaje do prawdy, że trudno żyć w tej szparze.

Trudno patrzeć przez palce na tych, co nam zastaniają nimi oczy.

Sumienie rodzi się czasem z jego wyrzutów.

Życie zmusza człowieka do wielu czynności dobrowolnych.

— Ale kiedy indziej sięgają w trudny świat dorosłych, który tylko czasem, jak w waszym wypadku, puka do dzieciennego pokoju i ściska dziecinne serca, aby nie zapomniały, że bajki o męstwie są ważne przez całe życie:

Któż nie jest po stronie człowieka? Ale nie wszyscy po wewnętrznej.

Tam gdzie śmiech wzbroniony, zwykle i płakać nie wolno.

W krajach, których obywatele nie czują się pewni w więzieniach, nie czują się pewni na wolności.

No i przebiłeś głową mur. Co będziesz robił w sąsiedniej celi?

Jak widzicie, więzienie — podobnie jak cyrk, szkoła, sąd, teatr — jest wdzięcznym tematem dla aforysty; nieprzypadkowo — to jedna z najstarszych instytucji ludzkiej cywilizacji. Na koniec dwie myśli o życiu po prostu:

Trud życia: nawet głupstwo trzeba dopiero „zrobić”.

Głupota nigdy nie przekracza granic; gdzie stąpnie, tam jej terytorium.

Kochani, ściskam Was z całego serca — świątecznie i urodzinowo

(—) *Sławek Wasz Tatuś*

P.S. Miałem Wam jeszcze napisać o życiu Leca, ale to już przy innej okazji.

S.

Mokotów, 24. 11. 85.

List 34

Kochane Maleństwa,

Wysłałem właśnie do Marysi, która obchodzi dziś urodziny, uroczysty list i czytając przedtem wiersze Osipa Mandelstama

trafiłem na dwie strofki, które nie tylko o nas mówią, ale i o problematyce naszej „pięknej ojczyzny-polszczyzny” (kto to powiedział?):

*Jednogłośnie i powszechnie
Zostaliśmy potępieni,
Lecz herezji tej przepięknej
Nie powinniśmy odmienić.*

*Zawsze ilekroć kochamy,
Popadamy w nią na nowo.
Bezimienną zatracamy
Miłość, gdy tracimy słowo.*

Otóż właśnie Stanisław Jerzy Lec, którego znakomite myśli nieuczesane przytaczałem Wam w poprzednim liście, wpadł pewnego dnia na pomysł ucieczki — wyjechał do Izraela, myśląc, że nie straci polszczyzny, przerzucając się do nowej ojczyzny. I pomylił się — co nie znaczy, żeby mylili się zawsze i wszyscy, którzy taką decyzję podjęli; w ogóle trzeba być ostrożnym z używaniem słów „każdy”, „nigdy”, „zawsze”, „wszyscy” — w oddaleniu od starego kraju zaczął się dusić. Po roku czy dwóch walki ze sobą — wrócił do Polski. Z tej dramatycznej wyprawy przywiózł tomik rozdierająco smutnych wierszy pt. „Rękopis jerozolimski”. Zapamiętałem początek tytułowego wiersza, zanotowanego „cudzym głosem” i „obcą ręką”, jak pisze Lec:

*Znalazłem rękopis
Ponury i smutny
Mógłby oczy stopić
Tak jak sen okrutny.*

*Zasypany wiatru
Piaszczystą zawieją
I zwinięty z bólu
W kólecčko Macieju.*

Nagle okazało się, że ten uniwersalny, zrozumiały w tłumaczeniach na kilkanaście światowych języków aforysta czerpie soki tylko z tej ziemi, żyjąc pośród ludzi takich, jakich tysiące mógłby wszędzie spotkać bo przecież — zdawałoby się — to on był tym jedynym, wyjątkowym. A jednak! Tajemnice osobiste, tajemnice każdego z nas łączą się gdzieś niewidocznie z czarem miejsca. Czasem to wszystko, co nazywamy naszą kulturą możemy schować do głowy jak do pojemnej walizki i wędrować z tym, jak

choćby ja z celi do celi, melancholijnie powtarzając za Mandelstamem:

*Myślałem: obchodzimy się bez zgiełku,
Zadnej nie polecamy się opiece,
Nie chcemy raju, nie wierzymy w piekło,
W matowy dzień palimy się jak świece.*

Ale czasem jest jednak inaczej i polszczyzna nie da się oderwać od ojczyzny (połączenie „ojczyzna-polszczyzna” wziętem z Tuwima).

Kochani, dostałem wasze liściki: Kubusia z wielką piątką na pierwszej stronie, a Maksika z dumnym pytaniem, czy mnie ciekawi, ile takich piątek już ma? Pewnie, że mnie ciekawi, ale tego już nie napisałeś.

Mam do Was prośbę. Skoro Kubie tak świetnie idzie hodowla awokado, zasadźcie w osobnych doniczkach pestki od daktyli — ja je dostałem w paczce od dziadków, więc i Wam pewnie osłodzili nimi życie — wyhodujcie mi palmy tak piękne jak u wujka Jacka.

Jeszcze raz świątecznie i noworocznie Was całuję. W następnym liście prześlę specjalny dodatek ilustrowany. A Wy zajrzyjcie do starych listów i odpowiedzcie na pytania, które po drodze Wam zadałem. W końcu to ja tu jestem starszy!

Wasz Tatuś

S.P. Sprawdźcie koniecznie, czy obaj macie jeszcze dobre (wystarczająco duże!) buty narciarskie — pisałem zresztą o tym spory czas temu. Na Maksika powinny być już dobre czarne figurówki — na lodowisko już teraz, w Warszawie, moglibyście chodzić. Nie zostawiajcie wszystkiego na głowie Mamy!

S.

Mokotów, 22. 12. 85.
List 39

Moi Kochani Synkowie,

Za dwa dni wigilia. Zanim spędzę Boże Narodzenie na Mokotowie czytam... (nie zgadniecie!) o Bożym Narodzeniu na Mont Blanc. Mont Blanc — biały szczyt — to najwyższa góra Europy, znajdziecie ją bez trudu na globusie Kuby. Zapragnął tak spędzić święta słynny włoski alpinista Walter Bonatti i mało nie skończyło się to jego i towarzysza śmiercią. Książka „Moje góry” trafiła do nas nie zamówiona, ale zacząłem ją czytać: zawsze to okazja, by poznać innych ludzi, które w inny ściany postanowili uderzać głowami. Ze głowy są do czego innego? Do myślenia?

Mnie tego nie mówcie, rozmawiajcie ze ścianami! Szczególnie że mam całkowitą pewność, że moje Boże Narodzenie na Mokotowie będzie bezpieczniejsze niż pary alpinistów uwieczonych przez burzę śnieżną w labiryntach Mont Blanc. A to, to już chyba wiecie, jak mawia Maksik, że spada się ze szczytów; jak ktoś tkwi w dołku, to najwyżej utyła się w błocie. I każdy ma swoją górę, pod którą się drapie.

Czy przypominacie sobie mój list o poszczególnych dekadach życia, o tym jak coraz szybciej palą się świece każdego z nas? Otóż trafiłem na wykład na ten sam temat sprzed 500 (pięciuset) mniej więcej lat, zatytułowany „Abecadło prostych ludzi”. Życie ludzkie zostało w nim podzielone w sposób precyzyjniejszy, ale nadal przypominający podział naszych topniejących świec — na siedem okresów:

- dzieciństwo — do 7 roku (tak — tak, Maksiku!);
- chłopięctwo — do 15 lat (Kuba, uważaj, czas nie stoi w miejscu...);
- młodzienczość — do 25 roku życia;
- młodość — do 35 lat (pożegnałem ją już 2,5 roku temu!);
- męskość — do 50 lat (dlatego daję z siebie wszystko, robaczki!);
- starość — do 70 lat i wreszcie:
- zmiernik życia — aż do śmierci.

Sądzę, że podział końcowych dekad życia jest w mojej interpretacji trafniejszy — granice życia aktywnego, pełnego przesunęły się w górę. Dziadek Franek np. nie zrezygnował (choć sądzi, że jest stary) z dożycia do roku 2000 i nie widzi swojego życia jako zmiernika. To są już jednak drobiazgi. Zasadniczy sens tego „Abecadła prostego człowieka” zachował do dziś swój sens i wartość do niego wracać i po pięciuset latach po to, żeby starszankowie nie udawali młodzienców(a tym bardziej — dzieci), dzieci — dorosłych, a chłopcy — bobasów. Piszę o tym, żebyście myśleli o mnie, kochali mnie tak, jak ja o Was myślę i Was kocham, ale nie martwili się ponad Waszą chłopięcą (obu już!) miarę; przecież jestem mężczyzną, wiem, co robię i mierzę zamiary podług swoich sił. I gałązka lauru wisząca na kracie ponad Waszymi fotografiami oznacza...

Całuję Was bardzo mocno — wigilijnie, świątecznie i noworocznie

Wasz Tataś

Mokotów, 3. 01. 86.

List 41

Kochani Kubusiu i Maxie,

Czy zauważyliście, ile uzbierało się już tych listów? Ja też mam sporo, najwięcej od Marysi (aż dwadzieścia dziewięć), czytałem je sobie w drugi dzień Świąt. Być może właśnie wtedy byliście zaproszeni do państwa Twardowskich na spotkanie rodzinne i chociaż tak połączyliście się ze mną i z Marysią — właśnie od mamy Marysi dostałem wigilijny opłatek.

Zrobiło się śnieżnie i mroźno. Czy byliście już na łyżwach? To niezły trening dla nóg (przede wszystkim kostek) przed wyprawą z Aliną na narty.

Mokotów, 8. 01. 86.

Nazajutrz po napisaniu powyższych zdań dostałem zakaz korespondencji na dwa miesiące: wysłałem więc Wam natychmiast króciutki list zawiadamiający, żebyście się nie martwili brakiem wiadomości (nosił kolejny numer — 42) i po pięciu dniach wracam do starego listu; będę mógł go wysłać dopiero 4 marca. A tymczasem...

Tymczasem trwa w najlepsze nasza wieczorna zabawa: na zmianę podajemy sobie z Włodkiem wspaniałe kolacje, z przystawkami, licznymi, ciepłymi i gorącymi daniami i oczywiście (uwaga, Maksiku!...) bardzo wykwintnymi deserami. Jak Wam już wspominałem, postanowiłem nauczyć się (no, na wolności, więc jest jeszcze na to czas!) robić wypieki i w ogóle desery. Wczoraj na parę znanych mi propozycji jabłkowych (była szarlotka z bitą śmietaną, i mus jabłkowy z ryżem i słodką śmietaną, i „chusteczki” — te ciasteczka z jabłkiem, które tak dobrze robi babcia Marysia, i pieczone antonówki...), którymi zakończyłem kolację wydaną na cześć mojego współtowarzysza, odpowiedział on — a ma niezwykłą fantazję kulinarną — takim oto frykasem. Wydrąży jabłko (ale dużo bardziej niż do zwykłego pieczenia z cukrem w piekarniku), wypełnia je bakaliarni, przedtem prażonymi (żeby były kruche jak orzeszki w dobrej czekoladzie) a na te migdały, rodzynki, orzechy układa wiśnie z konfitury (wydrylowane za to z kawałkami czekolady w środku, i cukrem-kryształem). Po upieczeniu oblewa się jeszcze taką jabłkową bombonierką czekoladą z wierzchu i posypuje wiórkami kokosowymi. I co, panowie, powiecie na taką propozycję? Wszystko to na nas jeszcze czeka. I nie ucieknie, obiecuję! Wiecie, że ja swoje plany wykonuję, choćby nie wiadomo co!

„Żeby być sobą, trzeba być kimś” — napisał Lec. Co to

znaczy być sobą? I co to znaczy być kimś? Dlaczego te dwie rzeczy są nierozłączne? No i przede wszystkim: czy na tak ogólne pytania trzeba szukać odpowiedzi już w waszym wieku?

Znacie książkę Korczaka „Kiedy znów będę mały”; przeczytajcie teraz inną niedużą książeczkę pt. „Sława” (na „Bankructwo Małego Dżeka” już Was kiedyś namawiałem). Otóż „być kimś” nie oznacza: być wielkim człowiekiem, lecz robić dobrze to, co do nas należy, to, czego się w oczach innych podjęliśmy, czasem bez żadnych słów, zastrzeżeń, deklaracji. To dużo i mało zarazem. W końcu wszyscy kiedyś poznamy starotestamentowy dekalog — dziesięcioro przykazań, które żydowski prorok Mojżesz miał otrzymać od Boga wyryte na kamiennych tablicach. I cóż z tego? Zależnie od tego *kim jesteśmy*, są te przykazania solą życia albo tylko świątecznym dodatkiem, który pozwala nam lepiej o sobie samych myśleć (że jesteśmy tacy szlachetni, moralni, religijni, wrażliwi — w domyśle: bardziej niż inni...). A zatem aby być kimś, wystarczy być dobrym w tym, co się robi i nie trzeba być lepszym od innych. Czerpiąc pewność z faktu, że żyje się w zgodzie z zasadami (zakazami, które przetrwały tysiące lat), jesteśmy kimś, mimo że podobni do tych tysięcy, co żyli przed nami, żyją z nami, przyjdą po nas. W ten sposób każdy skromny „ktoś” jest sobą, bo czerpie mądrość z ludzkości naszej, ale i swojej.

Tyle słów ewangelii świeckiej na dzień dzisiejszy.

11. 01. 86.

Jeśli umiecie dobrze liczyć, to dorachujecie się, że wczoraj minęła kolejna okrągła liczba. Dzień był urozmaicony, nie dość, że łaźnia, to jeszcze przerzutka, jak w tutejszym języku nazywa się przeprowadzki. Po paru miesiącach dorobiłem się widoku z okna: co za sukces! Kiedy wyrząłem po zgaszeniu światła, zobaczyłem czarne, poskręcane pnie i gałęzie, trochę dalej grubszy: to krzaki bzu i wierzba płacząca; w świetle więziennego reflektora rzucają ostre cienie na zaspy śniegu. Przypomina mi to ulubiony obraz Wyspiańskiego — „Chochoły”. Poproście Mamę, to Wam pokaże albo kupcie sobie w MPiK-u reprodukcję, jeśli nie macie w domu, i już będziemy znów trochę bliżej siebie.

W nowej celi przenieśliśmy się obaj na górne łóżka — na nich jest cieplej, choć wdrapywanie się i schodzenie, to teraz prawie wyprawa wysokogórska. Poza tym na dolnym łóżku nie mieszczą się przy siedzeniu z zaplecionymi stopami, w półtusie, a — jak Wam już pisałem — tylko w tej pozycji potrafię rozgrzać sobie w ciągu dnia nogi. Za długi obwód dla mojej leniwej krwi — trzeba jakoś (choćby na modłę wschodnią) skrócić!

Na spacer nie wychodzę w ostatnich dniach. Ale widzę przez okno, jak jest pięknie — jak w wierszu Staffa:

*Snieg się sypie włochaty,
Sypie, sypie biały
I rozściela srebrne płaty*

*Snieg się sypie,
Snieg kosmaty
Z nieb szarej powały...*

W płatkach śniegu, które padały na Wasze zaróżowione od mrozu policzki były moje pocafunki.

Wasz Tatuś Sławek

1. 03. 86.

P.S. Wysłałam ten list w najbliższy poniedziałek, bo od 4 marca mam już znów prawo korespondencji. Ponieważ w międzyczasie już się widzieliśmy, a od dziadka Franka też dotarły nowiny z dwóch widzeń, jeszcze raz — marcowo — Was całuję, korzystając z tego, że wczoraj nas ogolili i nie mam takiej szcztotki, jak przy naszym spotkaniu. Trzymam kciuki za Wasze zjazdy narciarskie, a Wy trzymajcie za moją głodówkę.

Tatuś

Mokotów, 9. 03. 86.

Kochani K. & M.,

Gdy miałem jeszcze więcej sił i cierpliwości, opracowałem małejki „Dodatek kaligraficzny”; znalazłem go wśród papierzysek i dołączam do tego listu. Tydzień temu obiecałem Wam, że wyślę kanon filmów, ale jeszcze na to za wcześnie: gdy zaczęliśmy z Włodkiem — jest nie mniejszym entuzjastą kina niż ja! — wypisywać dobre filmy, które widzieliśmy, to tak szybko zbliżyliśmy się do setki (wciąż przypominając sobie jakieś pamiętne, fundamentalne pozycje), że sprawę trzeba jeszcze odłożyć. Nie wymyśliłem też zasady grupowania filmów: kinematografiami narodowymi? tematyką?, reżyserami? Każdy podział ma swoje zalety, ale dla Was chyba najważniejsze to wiedzieć z grubsza chociaż, *na co* Was namawiam. Co o tym myślicie?

Bardzo żałuję, że z powodu złego stanu zdrowia Ali nic nie wyszło z waszego wyjazdu na narty. Szkoda tylko, że Mama widząc już, co się zapowiada nie zaimprovizowała choćby tygodniowego wypadu w góry. Ha, trudno! Widać musi być w naszej rodzinie specjalizacja, od świeżego powietrza jestem ja. W bliższej lub dalszej przyszłości na wyjazdy ze mną i Marysią możecie

liczyć „na mur”, mam ochotę na turystykę i kontakt z przyrodą. Nie minęła — przecież lada chwila minie już rok, jak siedzimy w gościnnych, ale dusznych mokotowskich murach! W celi jest tak zimno, że o otwieraniu okien (z trudem domkniętych, bo... nie mają zamków ani klamek!) nie ma mowy. No, ale nie można narzekać, najgorsze mrozy mamy już za sobą, ostatnio temperatury są już plusowe.

Na ostatnie widzenie dziadek Franek przyniósł mi fotografie domu, który zaprojektowaliśmy z Markiem i publikację w *Muratorze* zaułka w Falenicy, jaki narysowaliśmy rok temu siłami całej naszej czwórki. Bardzo mnie to ucieszyło. Po czterech i pół miesiącach głodowania i pamięć, i siły już nie te, ale o architekturze i naszych wspólnych wyprawach w Polskę nie przestaję marzyć i bardzo mi z tym dobrze. Wymyślam też dla Was różne prezenty, ale to niech pozostanie niespodzianką!

Całuję Was Obu bardzo, bardzo mocno

Wasz Tatus — Sławek

Mokotów, 22. 03. 86.
List 44

Kochani, najdrożsi Kubusiu i Maxiku,

Czterdzieści i cztery to tajemnicza liczba. Gdy będziecie już trochę starsi, zaczniecie czytać narodową klasykę i sięgniecie do „Dziadów” Mickiewicza, ta zagadka się wyjaśni. Ale zostawmy te trudne tematy, szczególnie, że i ja ledwie żyję: skończyłem właśnie redagować długą i poważną odpowiedź na apel, jaki skierował do mnie arcybiskup Dąbrowski. Zmęczyłem się setnie, a tu jeszcze pisanie a pisanie. Dla odprężenia postanowiłem skrobnąć coś do Was i już w głowie dzwoni mi uwaga dziadka Franka, że piszę listy, w których wiele rzeczy jest dla Was niezrozumiałych. Nawet jeśli — nic się nie martwicie! Nieraz piszę dorosłym rzeczy, których też latami nie rozumiem, a z czasem coś dociera. Dziadek zapomniał już nie tylko, że kiedyś był mały, ale że był taki czas, gdy nie był jeszcze dziadkiem, a już mnie nie rozumiał! Poza tym kto powiedział, że pisać muszę na dziś lub (jak mawiają nasi dziennikarze, zawsze spieszący się i zawsze spóźnieni) na wczoraj? Piszę na pojutrze, nie wolno? Najważniejsze, mówił mój ulubiony i bardzo oszczędny w pisaniu Izaak Babel (jego opowiadania — zajrzyjcie! — figurują w Waszym kanonie), żeby nie musieć odwoływać tego, co się podpisze!!! Zresztą, by zostawić już w spokoju tę całą sprawę i przystąpić do rodzinno-towarzyskich plotek, ostatnia rada: jak czegoś w moich listach nie rozumiecie, to pytajcie mądrzejszych od siebie:

jest Mama, Alina, Dziadkowie, koledzy też czasem nie w ciemie bici. A ja będę do Was nadal pisał listy poważnie-zabawne, bo dla mnie jesteście właśnie takimi, poważnie-zabawnymi facetami.

Najlepszy dowód na to: uczycie Dziadka grać w „makao” i w „Turka”, a po [jedno słowo nieczytelne, przebite stemplem cenzury więziennej — Red.] na cukierki i orzechy z Łysym i Marysią ani słowa, że nie wspomnę o ruletce, która gdyby dłużej przetrwała w Waszych łapkach, założylibyście — co Wasz koczowniczy tryb życia ułatwia — ruchomy dom gier, hazardowych oczywiście. Dobrze, że Dziadek nic nie wie, tylko się pociesza, że Max już nie rżnie w „bankruta” (dość bankrutów życiowych dokoła!), tylko w „monopol” (choć Bogiem a prawdą, to i monopolu nie brakuje u nas...).

Dziękuję Wam bardzo za liściki z wiadomościami, napisane tuż przed widzeniem. Myślę, że na Bukowinie, a przynajmniej po powrocie z Mamą z nart, też o mnie nie zapomnicie. Cieszę się, że Kubuś ma oko tylko podbite śnieżką i że Maxik o mnie wciąż pamięta. Ja też o Was nie zapominam i czasem, żeby się rozluźnić, biorę prezent od Włodka — „Małą”, buddieski różaniec — i przesuwając koralik po koraliku powtarzam w kółko: Kubusiu i Maksiku, bądźcie ze mną, pomagajcie mi! I tak się zatapiam w myślach o Was, że zapominam już, gdzie jestem do reszty, co mnie trapi, że wczoraj minął sto sześćdziesiąty dzień mojej dziwnej podróży w nieznane. Bo musicie wiedzieć, że dni głodówki są raz identyczne jak dwie krople wody, to nagle tężeją jak na mrozie i zamieniają się w gwiazdki śniegu. A śnieżynki są już przecież tylko niby takie same, a każda inna. Poznawanie tego rysunku kolejnych dni, porównywanie przeżyć z pierwszych tygodni do ostatnich to właśnie cudowna podróż w nieznane; przeszłość — jak i w normalnym życiu — odczytuję za każdym razem inaczej, bo widzę ją przez teraźniejszość, przez przeżycia dzisiejsze. Ot, kalejdoskop własnego życia, póki się siebie nie przekreśli, nie zdzusi się oglądanie go.

Prócz wiadomości o Was od Dziadka dotarły też ploteczki od krewnych i znajomych królika. I tak wiem, że Kubuś szalał na sankach z Krzysiem Heymerem (pamiętacie, jaki nadałem mu pseudonim? — „Wieśniak warszawski!”), dostałem wreszcie (po roku niemal, przypomnijcie o tym przy okazji przesowi Zielonce...) Waszą fotografię przy biforium w pracowni (co to biforium? — zajrzyj Kuba do encyklopedii!). I to od kogo dostałem? Od Marysi! Mam więc już piękną galerię portretów rodziny i przyjaciół. Nie mam tylko podobizny Marysi, ale noszę ją w głowie i w sercu, a to najlepsza skrzynia skarbów i — jak u dzieci z Bullerbyn — mędrców. Ani do niej zajrzeć ani ukraść. [Znowu słowo przebite stemplem cenzury — Red.] fotografii i reprodukcji szkiców Rembrandta i Leonarda da Vinci, które przesłała

mi Mama, na poczesnym miejscu wisi szopka-lampion od Kubusia. Tyle, że zamiast słodko-mdłego obrazka żłóbka z dzieciną wprawiłem zdjęcie czwórki z ulicy Gdańskiej: Szymek, Martynka, Max, Kuba pozują na balkonie u Ali. A zatem nie dość, że Wy na miejscu żłóbka, to nad Wami w sygnaturce wieżyczki — liście laurowe. (...) Wciąż piszą do mnie nieznani ludzie z Polski i ze świata. Wiem o tym z listów, które klawisz przynosi do celi albo z pism prokuratury o listach zatrzymanych i włączonych do akt. I tak zatrzymano już listy z Francji, USA, Niemiec... Aż tu nagle przyszedł od nieznanego mi Francuza list z reprodukcją XV-wiecznego obrazu Madonny. Zaadresowany tak:

M. (to skrót od Pan — *Monsieur*) Czesław Bielecki
Wieżenie („z” z ogonkiem — tak Francuzi piszą małe „z”)
ul. Rakowiecka
Warszawa
Pologne/Polska

I list, wyobraźcie sobie, trafił do mnie. Zawsze mówiłem, że Europę każdy nosi w sobie!

I tym pogodnym akcentem o roli cywilizacji w czasach kryzysów i wyrzeczeń kończę mój list.

Bardzo, bardzo mocno Was całuję. Napiszcie, jakich nowych ewolucji nauczyliście się na nartach.

Wasz Tatuś Stawek

P.S. Napiszcie, czy dostajecie wszystkie kolejne listy.

S.

[Czesław BIELECKI]

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Można żyć

Pewnego razu zdarzyło się, że Czesiu, zawsze ustawiany na czujce, przypadł bez wieści. Może wrócił do Polski, mówili, kto go tam wie. Ostatnio trochę wracało. Na przykład ten, jak mu było... Rysiek, Rychu na niego mówili. Taki niewysoki, przy sobie jakby. Zawsze jak wychodził to pukał w stół, jak Niemcy, oni się tak żegnają, pukają w stół. Dlatego to nikt go specjalnie nie lubił, tego Rycha. Niby z nami, Polak i tego, a puka w stół. Jak wyjechał, to niedługo przysłał list. Tego i tego, gnijcie tam na socjalu, a ja winogrona stawiam, pod przykryciem. Nie chcę tu klnąć, ale skurwysyn to on był. Tu Niemiaszków naśladuje, a tam dla komuchów robi. Minęło gdzieś tak ile? Pół roku? Przyjechał na zaproszenie i szukajcie mi Merca, mówi, po stówie dam. Potem się rozmyślił. Przednie siedzenie mi pod dupą ucieka, mówi, wracam Polonezem. Takich modeli tu jest pełno... no, ale ten Czesiu. Może on też wrócił? Albo papiery gdzieś po cichu złożył? Do Australii albo Kanady? Tutaj na azyl nie miał szans, strajkował raz, za Solidarność, ale nie miał poświadczenia, ani nic. Że niby Niemiec też mu nie wyszło. Co mu odpisali... Że dziadek to w porządku, ale ojciec był pełnoletni, a miał papiery polskie, czy coś takiego. No i siedział na socjalu, tak jak wszyscy prawie. Skubnął coś w sklepie, sprzedał, pohandlował, takie o. Wierszyk se ułożył, nie będę go tu powtarzał, a zresztą, kto to słucha; Ech Ludowa, chuj ci w serce, przez ciebie na poniewierce. Koniec. Aż żeśmy go na czujkę wzięli, to się, jak to mówią, ustabilizował. A tamten, ten... Rychu, utopił się. Pisał ktoś z Polski. Normalnie kąpał się i utopił. Potem my się śmiali, że ma teraz prawdziwą plantację, pod przykryciem. Czujka to fucha. Patrzysz tylko czy ktoś nie idzie, a reszta rąbie. Wcześniej namiar, upewnić się czy czysto, do środka i fertik. Potem

tylko rozproszyc bo forsę to te skubańce w domu nie trzymają, po książeczkach chowają. Wiadomo, procenty, sknery jedne, bo miałem nie klnąć. Fuchę miałeś Czesiu, tak ci mówię, jak mnie teraz słyszysz, nie możesz powiedzieć. Za damski inkasowateś, bo kto tu łązi po bocznych ulicach w nocy, kto? Niemcy do tyry, telewizorek i nyny, kurwa, wojnę przegrali, długi płacą, a jeszcze tyle mają! Kto mi to wytłumaczy? I my w nagrodę dostaliśmy Rusa, a oni za karę Amerykana! I się buntują jeszcze, jeszcze im źle! Bądź tu mądry, ale o tym Czesiu. Fuchę miał, spać mógł jak my rąbali, bo kto tu kradnie, nie? Niemcy porządny kraj. I zniknął. Nie wiem, może do Australii, albo do Kanady, ale to już mówiłem. Spróbowaliśmy raz bez czujki, wyszło. Drugi raz, też. My to ja i Inteligent. Woher kommen Sie, zapytali go raz w urzędzie, a on myślał, że to tak jak w Polsce chodzi o pochodzenie i mówi, ich komme aus Intelligenz. I tak został, Inteligent. Na mnie mówili Gościu, bo miałem azyl. Jak, to nikomu nic do tego, komuchy jeszcze mnie tam do dziś pamiętają, starczy? Powiem tylko tyle, za to co te czerwone pająki Ruskie zrobili w Katyniu, za to powinni odpokutować. Muszą. Jak ja się nie doczekam, to moje dzieci. W Polsce są, stara zrezygnowała, nie chce przyjechać. Paczki ślę, żeby mnie pamiętały. Za trzecim razem mało co wpadliśmy. Rozebraliśmy stereoanlage, a tu klucz w drzwiach. Inteligent nauczył się — takie jedno zdanie po tu-recku — już zapomniałem, żeby było na nich i chodu. Zawakowało to miejsce na czujce. Niby pełno ludzi, każdy się rwał, ale uczciwy to mało kto. Ten się spił, tamten się spóźnił, tak, że musieliśmy wrócić do sklepów, jak na początku. Chodziliśmy na te zakupy, ale to marny geszeft, nawet nie ma co potem rozproszyc. Inteligent tak się rozpuścił, że raz to wyniósł rakietę tenisową, za koszulą na plecach. Obrabialiśmy „hojnych”, znowu „braliśmy” i tak leciało. Knajpy, trochę dziewczynek... Ten Rychu, ten co się utopił opowiadał raz, że go zatrzymali, drogówka, mierzą, powyżej trzech promili. To myśleli, że im się coś pomylilo i go puścili. Ja w to nie wierzę. Tak gdzieś, kiedy, w maju, na początku, przyjechał Maturzysta. Mizerne toto, blade, niepozorne. Półtora nieszczęścia, jak to się kiedyś mówiło. Zaraz przed maturą uciekł, teraz tłumaczy takiemu, że mógł skończyć. Gapi się na ciebie nieśmiało, głowę spuści i mówi, że tu chce żyć, gdzie wolna Polska jeszcze. Nawet Inteligent się wzruszył, co dopiero ja. Tak jakbym syna swojego zobaczył, jak dorosnie. Naprzód trza było go ubrać. Inteligent się szarpnął, ja się szarpnąłem i był gotów. Nie ten chłopak. Niby nie chciał, krygował się, ale w wystawach to się ukradkiem przeglądał. My, że niby nic nie widzimy mrugaliśmy do siebie, a duma nas brała od środka aż miło. Maturzysta staje co chwilę, nadzieiw się nie może tym sklepom, łapie się za głowę, jęczy, a my oprowadzamy go,

jakby to wszystko było nasze, tacy dumni. Człowiek się żywa z miejscem, przyzwyczajają, może mi kto mówić co chce. Ubranie z Polski kazaliśmy mu zostawić, jak będzie po socjal szedł. Poszliśmy do knajpy polskiej, to już się całkiem rozczulił. Flaczki, jedna butelka, druga i zyciorysy na stół. Nawet nie wiedziałem, że Inteligent siedział razem z internowanymi, bo ich wtedy pomieszali. Pieśni się różnych nauczył, nawet zaczął: O Panie Boże, Ojczy nasz, ale przysła kelnerka i powiedziała, że to nie kościół. Maturzysta rozkleił się i wypłakał z siebie wszystko. Głupich nauczycieli, ojca, co nic nie rozumiał i mówił, że trzeba pracować, bo bez pracy nie ma nic, kolegów z klasy, co to tylko za dupami i interesami i Solidarność, bo kto tam już o Bujaku myśli. Wpakował się do ciężarówki holenderskiej, wcisnął się gdzieś między paki i tak przejechał. Na granicy puścili do środka psa. Ten pies stanął naprzeciwko niego, ślepia mu błyszczały i patrzył, ten na tego, a ten na tego. Maturzysta serce ma w gardle, jeszcze teraz miał, jak to opowiadał, i nie rusza się. W końcu zawołał strażnik i pies normalnie wybiegł. Zrozumiał mnie, zrozumiał mnie, szlochał Maturzysta. Podniosłem zdrowie tego psa ludzkiego, bo dzięki niemu spotkaliśmy się i będziemy trzymać razem, wypiliśmy, a Inteligent powiedział, słuchaj, Maturzysta, ty masz inteligencję wrodzoną, ja nabytą, a Gościu ma azyl. Co nam więcej trzeba? Wszyscy jesteśmy Polakami, tu, na obczyźnie i musimy trzymać razem. Maturzysta dziękował, żeśmy się nim zajęli, żeśmy go tak przygarnęli jak prawdziwa rodzina, a Inteligent pchał mu pod nos pięść i krzyczał, że wszyscy trzej jesteśmy jak ona, ta pięść biało-czerwona. Maturzysta zgodził się, ale niech wykreśli to czerwona. Ja go poparłem, bo czerwieni mi już nikt nie wmowi i zostało na białej. Inteligent miał wtedy swój dzień do gadania. Tutaj jesteś wolnym człowiekiem, możesz robić co chcesz, najwyżej cię zamkną, klarował Maturzyscie. Ja miałem mu potakiwać, bo pytał mnie ciągle, jest tak, jest tak jak mówię? Tutaj oddychasz powietrzem wolnego świata, mówił, ale to musiał gdzieś przeczytać i zapamiętać sobie. Często tak robił, żeby zaszpanować młodym spadochroniarzom. Szwabom się nie daj, bądź Polakiem, zresztą, już my cię we wszystko wprowadzimy. Będiesz stał na czujce, jakby co, to tylko dasz znać. Maturzysta domyślił się o co chodzi i wrzeszczy na całą knajpę, że on to nie będzie nigdy kraść. Kto ci każe kraść, kto ci każe kraść, Inteligent, postoisz tylko, jakby co dasz znać. My tu jesteśmy jak Robin Hood, bogatym zabieramy, oddajemy biednym, pół darmo. I zaraz się Inteligent ni stąd ni zowąd rozkleił. Dziadka sobie przypomniał. On go nie znał, ojciec mu opowiadał jak go zabili, żywcem, hitlerowcy. Ja dorzuciłem coś ze swojej rodziny, ale żebym był pewien to nie powiem, a Maturzysta też tam kogoś miał, tylko, że go ukatrupili sowioci, a to wiadomo, jedna i ta

sama zaraza. Komunizm to na czerwono polakierowany faszyzm, krzyknął Inteligent, ale to też musiał skądś znać, chyba z jakiejś demonstracji. Wypiliśmy na koniec zdrowie naszych pomordowanych przodków, tego psa i w ogóle wszystkich psów i holenderskich kierowców i na pohybel komunie. Ten Rychu mi po głowie chodzi, ten co się utopił. Człowiek planuje coś, kombinuje, rodzinę zakłada, bo żenić się chciał, i koniec, pod wodę i cisza. Szkwał tylko. Odprowadzamy Maturzystę do obozu, noc, a ten drze się na całe gardło, śpiewa coś, tańczy, bo mu Inteligent nagadał, że wszystko wolno. Co on to śpiewał? Jakoś tak: Nie zdechniemy tak szybko jak sobie roi śmierć, ziemia dla nas za płytka, fruniemy w górę gdzieś. Często to śpiewał, jak piliśmy. Nagle suka i sprawdzają nas. Maturzysta obejmuje gliniarza, ścisną go, Solidaritet, Solidaritet krzyczy, ich aus Polen, Pologne, Polonia, Freiheit for Polen, tośmy go wzięli szybko pod ramiona, wytłumaczyli grzecznie co i jak, że dopiero co przyjechał, nowy jest, a tam mu całą rodzinę zamknęli i że on prawie jak sierota, Waisenkind, znaczy. Puścili nas pod warunkiem, że zaraz z nim do obozu. Umówiliśmy się na jutro no i co? No i było nas trzech, Inteligent, Maturzysta i ja. On nie od razu stanął na tej trzecie. Ile to było gadania... Dopiero jak musiał na znaczek od nas do Polski pożyczyc, wtedy pękł. Pękł bo miękki był, to też. Inteligent dał mu pięć dych, bądź wieczorem tam i tam powiedział i Maturzysta przyszedł. Poszło jak zwykle. Na drugi dzień rozprawiliśmy towar i jak doszło do podziału to ten nic. Nie weźmie i koniec. Szlag nas trafił, Inteligent chciał nawet tę forsę wyrzucić, a mi się spodobało, że taki wrażliwy. Poza tym pierwszy raz to zawsze ciężko. Dobra, mówię, za twoją dolę robimy wycieczkę, na przykład do Kolonii. Oczy mu się zaśniły, bo kto by nie chciał świata zobaczyć, wzbraniał się, tego, ale już mówił o katedrze, bo słyszał o niej i oglądał ją na zdjęciach. Wypiliśmy na to konto, a wieczorem do Patriotki. Równa dziewczucha, niby do wszystkiego, ale zasady miała. Niemców skubała równo, dla nas zniżka patriotyczna, ale niech który ją potraktował jak kurwę, za drzwi. Kto szarmancki, kulturalny, dostawał co chciał. A jeszcze jak kwiaty jej się przyniosło to miałeś wszystko, ze śniadaniem. Taki Niemiec się w niej zakochał. Przychodził codziennie, do knajpy zapraszał, Mercem wszędzie woził, Patriotka nic. Żenić się chciał, a ta jak kamień. Idź za niego, Patriotka, mówili my jej wszyscy, hajtnij się, trzy lata miną i papiery masz, a ta się uparła. Na uczucie czekała, to jej pukali po głowie, że na księżca czeka. Jeszcze była ładna, potrafiła się czasami tak zrobić, że oko stawało, albo, jak to mówił Czesiu, ten pierwszy z czujki, chuj bolał patrzeć. Kwiaty kupiliśmy, Maturzyście do ręki wepchali i wchodzimy. Skrzywiła się, że maolat, bo wyglądał jeszcze młodziej, no jak szczeniak, ale jak się dowiedziała, że

maturzystą, to jej nawet zaimponowało, no i jeszcze te kwiaty. Butelkę nawet sama wyciągnęła. Później się okazało, że akurat miała urodziny. Ile ona mogła mieć lat? Wyszliśmy z Inteligentem na godzinkę, wracamy. Patriotka siedzi z nim na łóżku i głowę mu do piersi tuli, jak matka. Maturzysta jak nas zobaczył wybiegł zaraz z pokoju, Inteligent polecał za nim, a ta opierdala mnie z góry na dół, że u niej nie żadna szkółka niedzielna dla wyrostków, ale widać, że też w nim coś polubiła, bo pytać zaczęła skąd on i w ogóle jaka ta jego dziewczyna. Skąd miałem wiedzieć? Patriotka opowiada, że codziennie listy do niej wysyła, że jak tu się urządzi, to ją ściągnie i żali się nagle jak głupia, że niby jej to tak nikt w życiu nie kochał, ale to cała Patriotka. Inteligent wrócił sam, Maturzysty nie znalazł. Co tu robić, z rana mamy jechać, a ten gdzieś zwiął. Nie ma go i nie ma, siedzimy, naraz pukanie, wchodzi. Jakąś paczuszkę z kieszeni wyciąga, kokardką obwiązana i podaje Patriotce, prezent na urodziny. Patriotka głowę obraca, żeby gówniarz łez nie widział, nam też jakoś miękko. Wiersze Mickiewicza jej dał, sam jeszcze pamiętam; Litwo, ojczyzno moja, i misia jakiegoś, taki tani, bele jaki. Flaszkę następną otworzyliśmy i piliśmy jak za starych czasów, po bożemu. Inteligent nalewał i śpiewał: oto jest wielka tajemnica wiary, my chórem: Bogu niech będą dzięki, a potem wszyscy po wypiciu na sucho: amen: A rano pojechaliśmy do tej Kolonii. W czwórkę, bo jej się też zachciało. Ja prowadziłem, wtedy mieliśmy jeszcze tego starego Passata, z boku siedział Inteligent, a z tyłu Patriotka z Maturzystą.

Forsa jest, świat jest piękny. Słońce świeciło, Patriotka śpiewała: Czy mnie jeszcze pamiętasz, ja dusilem sto osiemdziesiąt i tak sobie myślałem, że życie to tak jak ta autobana, raz w górę, raz w dół. Maturzysta przykleił się do szyby i patrzył, Inteligent pisał list do domu i czytał nam wszystkim, co tam wypocił. Drodzy rodzice, jest mi tu dobrze, zapytuję o wasze zdrowie i takie tam. Czy jak inne dziewczęta, zapomniałaś mnie już, piszczęła Patriotka, silnik wył, a ja przez ramię pytałem Maturzystę, co mały, można żyć, nie? W Kolonii akurat na manifestację trafiliśmy. Naszą, polską. Maturzysta mało się nie zaczął modlić, jak zobaczył transparenty. Witął się ze wszystkimi, chciał opowiadać co tam w kraju, ale kto go słuchał. Bo kto powie co nowego? Wiadomo, drożeje, coraz gorzej, komuna kłamie, ludzi zamykają, uszaty pierdoli jak pierdolił, no i ile tego słuchać? Stanęliśmy w tej kupce, gdzie tak ze sto osób no i słuchamy, jak taki jeden nadaje do mikrofonu. Znali my już to wszystko na pamięć. Jak się komuna nie zmienia, to co się ma taki protest zmieniać, nie? No to ten przemawia, że oskarżamy tych wszystkich kolaborantów Moskwy, co to sprawują władzę w Polsce z jej nadania o wybory sfalszowane po wojnie, o ten Grudzień, stan wojenny,

wojnę polsko-jaruzelską, jak to powiedział, chociaż nie wiem wcale czy to prawda, że to tylko Jaruzelski i banda z Moskwy, a tu cały naród polski, ale niech mu tam będzie, no i co jeszcze? O, wszystko, wygładzanie ludności, celowe, ach, z kilkanaście razy wyliczał. Raz powiedział, że oskarżamy ich o to, że złamali przyrzeczenia. Protestują, że komuniści złamali przyrzeczenia! Śmiać mi się zachciało. Ja tam im nigdy nie wierzyłem, w żadne ich przyrzeczenia. Głupi mógł wierzyć. Taka to ich natura, że kłamią, obiecują, to co tu teraz protestować, że co? Że przyrzekli, a nie dali? Jakby dali, to by ich nie było, dobrze robią, po swojemu. A taki protestuje jak dzieciak, że przyrzekli no i złamali. Uwierzył, głupi, a teraz beczy pod ambasadą, że go oszukali i oskarża. Siebie niech oskarża, że uwierzył, czemu ich? Każde zdanie zaczynał od: oskarżamy, jak w teatrze, a na końcu wszyscy mieli powtarzać za nim to oskarżamy, no jak w teatrze, już mówiłem, albo kościele. Po ostatnim zdaniu to nawet trzy razy: oskarżamy, oskarżamy, oskarżamy. Odbija wam, odbija wam, odbija wam, powiedziałem po cichu, bo tak się poczułem jak kiedyś na akademii w zawodówce, tylko że tam oskarżali faszystów. Patriotka zaczęła chichotać, a Inteligent rozpedził się i klepał to oskarżamy, oskarżamy, oskarżamy, choć tamten już dawno skończył. Maturzysta uciszał nas, bo ja się przyłączyłem do Inteligenta i tak żeśmy na dwa głosy oskarżali, raz on, raz ja, raz on, raz ja. Podszedł zaraz taki z opaską i mówi nam, że jak nam tu wesoło, to nasze miejsce jest tam, niby w ambasadzie, tam u nich. Inteligent się wyrwał, że tutaj jest demokracja i każdy ma prawo oskarżać, a Patriotka dołożyła mu, że jak taki oskarżyciel to niech jedzie tam oskarżać, gdzie oni są, do Moskwy, bo tutaj to nie sztuka. Zamieszanie się zrobiło. Jedna taka co trzymała transparent krzyczy, że my na pewno ubecy. Patriotka już się do niej rwała, żeby w pysk przyłożyć, bo różnie ją nazywali, ale nigdy nie tak. Trzymałem ją w miejscu i do mordobicia nie doszło, ale ta z transparentem usłyszała tyle rzeczy o sobie po polsku i niemiecku, że kurwa i szmata zrolowana to były jak komplement. Ten z opaską polecał do sukki, bo oni zawsze tu takich demonstracji pilnują, to my powoli do tyłu i już nas nie było. Maturzysta został. Patriotka krzyknęła mu tylko, że będziemy pod katedrą i wycofaliśmy się.

Pod tą katedrą trzeba być, trzeba ją na własne oczy zobaczyć. To jest potęga, duch zapiera i w głowie się kręci, jak się pod nią stoi. Czekamy na Maturzystę. Inteligent śmieje się z Patriotki, co, przyjdzie twój kochany czy nie, zgubił się mamusi syneček. Powiedziałem mu, żeby mordę zamknął, bo denerwowało mnie takie gadanie. Teraz myślę, że może był zazdrosny. Ona nie była brzydka, wybór też był mały, a Inteligent trzydziestkę już miał śmiało. Może dlatego zaczął później nie lubić

Maturzysty, nie wiem. A może dlatego, że Maturzysta był taki inny, lepszy jakby, no, bardziej czysty, czy ja wiem. Było coś w Maturzyscie co złościło Inteligenta, no i coś w Inteligencie co złościło Maturzystę. W końcu przyszedł. Z pretensjami do nas, że nic nie rozumiemy, żeśmy emigracja zarobkowa, a Polska nas nie obchodzi. Ja się wściekłem i mówię mu, że jak ten oskarżyciel w okularach to ma być Polska to ja to mam w dupie, głęboko, i żeby nam tu z Polską nie wyjeżdżał, bo młody jeszcze i głupi i nie rozumie tej szopki na emigracji, nie odróżnia oszłoma od takich... no, prawdziwych, bo ci prawdziwi nie piszą raz na rok tych deklaracji tylko dlatego, żeby było widać, że to oni działają, nie idą z dumą jak pawy na początku tych pochodów niby, co to wyglądają jak capstrzyki albo topienie Marzanny, do zdjęć się nie ustawiają, nie pieprzą ciągle w kółko, że tam biedny, zniewolony naród, bo go tylko obrażają, ten naród, tylko robią... no, ja nie wiem co, wysyłają, pomagają, skąd ja mam wiedzieć, ja nie jestem działacz, Inteligent też nie, kradniemy, nasza sprawa, kiedyś może za to bekniemy, ale jakby co do czego, to nawet Patriotka, chociaż niby, nie obraż się, mówię do niej, ale tak jest, chociaż niby dziwka, to też pójdzie z transparentem, a tamta może spieprzyć. I tak się rozgadałem jak nigdy. Samemu mi się to spodobało, Inteligentowi też, bo go znam i Patriotce też. No, tym bardziej, że tak naprawdę to w to jakby kiedy co do czego mało kto wierzył. Maturzysta nic nie powiedział, tylko spytał, gdzie teraz idziemy, no i lepiej żeśmy się wszyscy poczuli. Inteligent mówi, że ani w prawo, ani w lewo tylko do góry i poszliśmy na te schody, w ostatniej chwili, bo już na górę nie chcieli puszczać. Jeszcze jak zaczęliśmy wychodzić na górę, to Inteligent tłumaczył Maturzyscie, że ci internowani, których tam poznał, to na takich oskarżycieli mówili nawiedzeni, ale Patriotka powiedziała, żeby już skończyli nudzić, bo jakby wiedziała, że będzie cały czas o polityce, to by została w domu i więcej by miała pożytku. Tośmy się wszyscy zamknęli i zaczęło się to wchodzenie. Ile tam jest schodów na samą górę? Mogłem policzyć... Wchodzisz i wchodzisz. Kręte, wąsko, jak z góry schodzą to musisz stawać, tak wąsko. Maturzysta był już w przodzie, za mną dyszała Patriotka, za nią Inteligent. Co chwilę wpychał jej rękę pod spódnicę, tak dla kawału niby, że w takim świętym miejscu. Patriotka odganiała go jak mogła i naraz zatrzymała się i zaczęła płakać. To widziałem pierwszy raz, jak Patriotka płacze. Powiedziała mu, że jest bydlę, cham, cep i nigdy nie znajdzie sobie kobiety, bo nic nie rozumie, że nie dał jej raz chociaż o wszystkim zapomnieć i tego mu nie przebaczy. Dałem mu torbę z flaszkami, żeby niósł i dał jej spokój. Wziął ją i pognął do góry i wtedy też pierwszy raz widziałem go, że był taki wściekły. Wziąłem ją pod ramię i wchodzimy dalej. Ja nigdy nie rozumiałem tak

dobre kobiet. Beczy, niby rozpacza, a jak zobaczyła, że już jesteśmy prawie na górze, to jej od razu przeszło no i inny człowiek. Oczy wytarła, poprawiła ten swój makijaż i klepie mnie po plecach z uciechy, że już nareszcie koniec. Weszliśmy na tę kopułę to zaraz Maturzystą podleciał. Zaciągnął nas do bariery i patrzcie, patrzcie, krzyczy. Oczy mu błyszczą, rozpalony, no, mówi do Patriotki, byłaś kiedyś tak wysoko? Inteligent stał całkiem z boku, udawał, że nas nie widzi aż Patriotka zawołała go, że przecież ma flaszkę, to niech otworzy. Pięknie było tam na górze, jak to inaczej powiedzieć? Staliśmy wysoko, pod chmurami prawie, i śmiać się nam chciało z wszystkich ludzi na dole i z samochodów, bo się kręcili w kółko jak wariaci, a my tu, ja, Inteligent, Patriotka i Maturzystą patrzyliśmy na nich jak król z balkonu i pililiśmy prosto z butelki nasze zdrowie. To na pewno ładnie napisał Maturzystą, bo przyznał się później, że pisze. Nosił często taki zeszyt i skrobał tam co chwilę, a Inteligent stukał mnie w ramię i mówił, nasz poeta tworzy. On umiał pisać, ja tak nie umiem. Zresztą po co? Mi wystarczy jak coś sam przeżyję, tak jak wtedy, na górze, po co mi jeszcze o tym pisać. I tak już nie będzie to samo, choćby nie wiem co. Byliśmy wtedy sami, na dole Ren, Maturzystą zachwycony trzymał mnie za rękę i ciągle mówił, patrz, patrz, Patriotka dziękować zaczęła, żeśmy ją wzięli, a Inteligent otwierał znowu flaszkę i pytał każdego z nas po kolei, tak jak ja w samochodzie Maturzystę, co, można żyć, nie? I nagle, sam nie wiem czemu, moja Halina mi się przypomniała, i bajtle. Tak myślałem jak to się przeważnie myśli, co oni tam teraz w tej Polsce robią, ja tu, na tej katedrze, tyle kilometrów. Jakiś smutek mnie napadł, ale to był taki smutek... piękny też. Jest w ogóle piękny smutek? Zdjęcia tu mam. Tutaj ja, Patriotka z tym misiem w ręce, co jej Maturzystą wczoraj na urodziny dał, i z boku on, to są te ciuchy cośmy mu kupili. Tu znowu ja, staro już wyglądam, a mam dopiero trzydzieści sześć, Maturzystą i Inteligent. Objęci. Patriotka śmiała się, że wyglądamy jak ci trzej muszkietierowie. Tutaj ona sama, chciała sama. Jak modelka jakaś, kto by pomyślał, że ona tego. Ja nie lubię zdjęć, bo też wtedy jakiś smutek czuję, ale te trzymam. O tym smutku to ładnie napisał Maturzystą, ale to później, teraz jesteśmy jeszcze na tej katedrze. Maturzystą wyciągnął z kieszeni ulotki o Polsce, musiał je dostać na tej całej manifestacji, i rzucił na dół. Inteligent zaczął go opieprzać, a ten taki zmieszany tłumaczy się, że to przecież symbolicznie. Zaczęliśmy szybko schodzić, żeby nie było żadnej afery, zresztą i tak już zamykali. Schodzić też nie było lekko, aż nogi się trzęsły. Śmiałyśmy się trochę, bo Inteligent powiedział, ciekawe, czy zdążymy przed tymi ulotkami. Nie słyszałem, żeby Maturzystą klnął, ale wtedy powiedział do Inteligenta, ty zawsze wszystko zepsujesz swoim pierdoleniem. No,

ale już zeszedliśmy na dół. Pod katedrą są takie budki, kioski jakby. Tam sprzedają medaliki, obrazki święte, różańce, jak w Polsce. Idziemy, a Patriotka krzyczy nagle, on się rusza! Kto? Chrystus! Pijana już czy co, ale patrzmy szybko za szybę, a Chrystus rusza się, rzeczywiście. Przechylił się w jedną stronę, on podnosi głowę i otwiera oczy, przechylił się w drugą, schyla i zamyka. Chrystusa na krzyżu trójwymiarowego zrobili. I nie rzuca się ludziom na mózg? Człowiek się dziwi przed tą szybą, złości i śmieje. Jeszcze go niedługo na długopisy dadzą, albo w autach z tyłu na sznurkach będzie się kiwał. Patriotka mówi, że mało co nie klęknęła, taki ją strach wziął. Maturzystą stał przy tej szybce najdłużej, a potem zaraz coś w tym zeszycie napisał. Na stacji benzynowej zrobiliśmy zakupy i do domu. Ja znowu prowadziłem, Patriotka zaczęła swoje: bo czas jak rzeka, jak rzeka płynie, trochę popijali i tak wracaliśmy. Inteligent namawiał Maturzystę, żeby zdradził co tam pisze. Maturzystą miał już trochę wypite i zgodził się. Powiedział wtedy parę zdań o tym Chrystusie, ja tu mam jego zeszyt, zaraz. O, tu: w Kolonii, pod katedrą, w sklepiku z dewocjonaliami Chrystus na krzyżu, na widokówce trójwymiarowej. Musi być nieśmiertelny skoro Go dziś jeszcze krzyżują. Nikt nie wiedział za bardzo co powiedzieć. Inteligent zaraz zasnął, a Patriotka dobrała się do Maturzysty. Odsuwał się, krygował, ale jak zniknęła mi w lusterku to pojękiwał tylko. Dałem głośniejsze radio, żeby go nie peszyć i tak wracaliśmy. Tak mi się teraz wydaje jakby to bardzo dawno było, ale to tutaj tak się czas wlecze. Różne słówka sobie na ścianach powypisywałem, trochę z gramatyki, ale jakoś mi nic nie wchodzi. Ciągle myślę, wspominam, a jak mi się już coś przyśni, to nie wstaję pół dnia, żeby z tym snem być. Wczoraj śnił mi się ten szrot, gdzie pracował taki jeden Michał z Warszawy. Przyjął go Niemiec na czarno i Michał topił u niego złom. Przez cały dzień siedział przy ognisku i topił. Zawsze mówił nam, kiedy Niemiec wychodzi, to przychodziliśmy i braliśmy co chcieli, za darmo. Raz byliśmy tam z Maturzystą. Dogadali się w dwójkę, bo oboje z Warszawy. Michał był przewodniczącym komisji zakładowej, ale jakiej to już nie pamiętam. No i śniło mi się, że byliśmy na tym szrocie, ja, Inteligent i Maturzystą i paliliśmy złom. Michał też. Potem był tam ten Rychu i pokazywał, w którym miejscu postawi te winogrona, a potem przyjechała z tym Niemcem Maturzystą; Mercedesem. Maturzystą cały czas coś pisał i co chwilę krzyczał do mnie, patrz, patrz, Inteligent grał na harmonii, bo kiedyś opowiadał, że się uczył grać, a Patriotka... co ona robiła? Coś robiła, nie mogę sobie przypomnieć... Chyba śpiewała! Ale co, to już nie wiem. Ten Niemiec od Patriotki kłócił się z Michałem, po polsku. Machali rękami, już nie wiem o co im chodziło, a ja siedziałem, paliłem ten złom i kurzyłem „Sporty”. Skąd

to się biorą te sny? Jak byłem mały, to tak się wyuczyłem, że zanim zasnąłem, to powtarzałem sobie, pamiętaj, teraz będzie sen i możesz robić co chcesz. Pierwszy raz, tego nie zapomnę, wlałem do ogrodu sąsiada i żarłem jego gruszki, najlepsze miał. Jadłem je, duże i żółte jak dynie i śmiałem się, że nikt nie może mi nic zrobić, bo to tylko sen. Później to latałem. Wlałem na dachy i rzucałem się z nich na dół. Leciłem w powietrzu i krzyczałem, to sen, to sen, żeby się upewniać, bo strach miałem. Ale nie spadałem na dół. Fruwałem między domami i śmiałem się, że to takie proste. No a jeszcze później obmacywałem dziewczyny, kobiety znaczy się, bo co mnie wtedy obchodziły dziewczyny. Wszystkie jakie były pod ręką, na ulicy, wszędzie. Podnosiłem im spódnice, wpychałem ręce za bluzki, a one nic mi nie mogły zrobić, bo to w śnie. Potem gwałciłem, to znaczy nie gwałciłem, bo one same się poddawały. Szybko, szybko, żeby się sen nie skończył. Jeszcze dzisiaj czasami mi się w śnie przypominę, że to sen, ale żebym coś specjalnego robił, to nie. Niedawno znowu Monte Cassino mi się przysniło. Byliśmy tam z Inteligentem i Maturzystą na wycieczce, z całą grupą innych Polaków. Pieniądze były, Maturzysta pogodził się z tą czujką. Wystarczyły dwa, trzy skoki, potem rozprowadzić i na jakiś czas spokój. Maturzysta pogodził się, ale oklapł jakoś. Jak piliśmy, ziemia dla nas za płytka, nie śpiewał, kłócili się z Inteligentem o byle co, nawet nie opowiadał o czym mu tam piszą z domu. Jak dostał mieszkanie, to się trochę ożywił. Przytargaliśmy meble z lagru, trochę pokupowali i cieszył się. Przyszła Patriotka i piliśmy dwa dni. Wtedy jeszcze było wesoło, chociaż Inteligent drzewi chciał wywalać, tam gdzie oboje spali. Po co ci ten szczeniak, wrzeszczał, jesteście prawdziwą kurwą i takie tam, a potem jęczał pod drzwiami, że ją kocha, a ona robi mu na złość. A tak to włóczyliśmy się po mieście i nie bardzo było co robić, chociaż na forszę nie narzekaliśmy. I wtedy nas Maturzysta na to Monte Cassino namówił, i na papieża. Pojechaliśmy w trójkę, bo do Patriotki matka w odwiedziny przyjechała, staruszka już. W tym Rzymie to jak w muzeum, a papież taki sam jak w telewizji, dosłownie. Staliśmy w tej sali, zdjęcia nam porobili i każdy od razu miał. Swoje wysłałem do domu. Coraz wtedy więcej o nich myślałem. Zaproszenie jej wysłałem, uparła się i nie przyjedzie, że niby tam jest jej miejsce. Musi tam kogoś mieć. Raz mi mój starszy syn list napisał, dziewiąty rok mu idzie. Że wujek raz jak był to zbił mamę. Na pociąg chciałem wtedy lecieć i do Polski, ale przeszło, minęło. Czas swoje robi, ale żeby tu przyjechała to nie powiem, chciałbym. No i dzieci też. Potem pojechaliśmy na Monte Cassino. Transparenty, przemówienia, tak jak zawsze przy takich imprezach. Ten cmentarz dosyć ładny, maki, ta góra, ale gorąco było nie do wytrzymania. Inteligentowi się saturatory

przypomniały, wszystkie swoje pieniądze by oddał za wodę z saturatora, tak mówił. Przez cały czas jęczał o tym saturatorze, to znowu się z Maturzystą pokłócili. Kiedyś, jak już wróciliśmy, pod kościołem kupiliśmy taką gazetkę, bo było w niej o tej wycieczce. Ja tam wierzący nigdy nie byłem, tutaj na mszę polską chodziłem czasami, o tak, żeby się spotkać, pogadać. Tutaj ci księża to o wszystkim mówią, tylko nie o Polsce. Raz ci z Solidarności chcieli, żeby mszę za ojczyznę zrobić, to nie wyszło. Niedziela, pogoda piękna, kupiliśmy piwa w kiosku i poszliśmy nad rzekę. To było wtedy jak Maturzysta dostawał jeszcze listy od tej dziewczyny z Polski, bo potem już coraz mniej. Siedzieliśmy i Inteligent zaczął czytać, też tę gazetkę tu mam na pamiątkę; Echa uroczystości obchodu Jubileuszu takiego i takiego, widziwego oczami członków grupy takiej a takiej. To „oczami członków” już nas ubawiło, tylko Maturzysta był jakiś ponury. Co tu jeszcze można poważnie traktować, jak już z tego można się śmiać, mówi, ale jak Inteligent powiedział mu, że on był jednym z tych spadkobierców tradycji, jak tam dalej pisało, to humor mu się od razu poprawił i mówi, no to wał, Inteligent. Inteligent czytał i rzeliśmy jak konie. Co tam nie napisane było! Że: spontaniczny chór znów wyrażał wierność Bogu i Ojczyźnie, że staliśmy tam i śpiewali, cicho choć zdecydowanie, a nasze serca ścisnęło ogromne wzruszenie i ból, i tak dalej w takim stylu. Leżeliśmy na plecach, pociągali za zdrowie spadkobierców, trawka w zębach, nogawki do kolan, buty i skarpety obok, rzeczka szumiała, obłoki płynęły, a Inteligent czytał: Tu z otuchą właną nam w serca przez Polaka-Papieża podczas wczorajszej audycji zastanawiamy się gdzie jest nasze miejsce, gdzie jest miejsce tego ogromnego tłumu zebranego tu dzisiaj i mówiącego jedną, najpiękniejszą mową, krecha, krecha to znaczy myślnik, tak Inteligent czytał, krecha, mową Mikołaja Reja, Mickiewicza, Żeromskiego czy Miłosza, znowu krecha, mową nas wszystkich, krecha znowu, mową polską?! Teraz mi się zdaje, że to nad tą rzeką jakby mi się śniło i tak poważnie to tam mogłoby być moje miejsce. Maturzysta powiedział kiedyś, że nigdy się nie wraca do tej samej rzeki. Piliśmy to piwo i piliśmy, Inteligent czytał i wołał co chwilę, o, a teraz słuchajcie, tu słuchajcie, a ja zasypiałem, to znaczy nie zasypiałem, ale tak jakbym odfrucwał, odlatywał czy jakoś. Zawsze, jak leżę na plecach, gdzieś na plaży, albo nad rzeką, no, obojętnie gdzie, i przymknę oczy, to mi się wszystko takie wydaje, jakby to był sen. Słuchaj Gościu, słuchaj, szarpał mnie Inteligent: Was, leżących w mogiłach od lat już czterdziestu zapewniamy, a jego głos ucieka mi i ucieka, zapewniamy, że spoczywać możecie w spokoju. Wasza wierność Ojczyźnie przetrwała w naszych sercach do dziś, a ja już nie wiem, czy mi się Inteligent śni, czy jest naprawdę, i przetrwa do dnia uzyskania

Ojczyzny Wolnej, a wtedy wrócimy wszyscy „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”, i Was zabierzemy z sobą — tam przecież chcieliście dojść! Ten klepał się z uciechy po udach, a ja odlatywałem, odlatywałem i słyszałem jeszcze: cmentarz ten, jedno z najbardziej urzekających miejsc spoczynku w ogóle, marzymy, chcąc przyczynić się, otoczony pagórkami, rozjeżdżamy się, zakątki świata, wzmocnieni jednością, serc chyba, w nadziei, w nadziei, w nadziei i już byłem znowu na katedrze, w Kolonii. Sniło mi się przez parę sekund chyba, że stoimy tam znowu wszyscy, jeszcze raz, a z nami Papież. Patriotka klęczy przed nim, a on ją błogosławi, ale zaraz obudził mnie Inteligent. Chmury przyszły i poszliśmy.

Niedługo po tej niedzieli przyleciał do nas Maturzysta, bo mieszkaliśmy razem z Inteligentem. Blady, trzęsie się, ręce mu latają. Patriotka w szpitalu, mówi, truła się. On musiał często do niej zachodzić, zresztą raz, jak przyszliśmy rano, tośmy ich razem zastali. Do niej nas nie puścili, ale siostra powiedziała nam, że już jest w porządku. Poszliśmy na drugi dzień. Co cię kopnęło, Patriotka, a ona uśmiecha się tylko i dziękuje żeśmy przyszli. Chciała z tym wszystkim skończyć, raz na zawsze, ale teraz już jest w porządku, mówi, teraz już będzie inaczej, i że po co tyle kwiatów. Patriotka, Patriotka, co ty za numery wywijałaś. Trzeba żyć, nie dać się, a nie tabletki łykać. Komu jest lekko tutaj i w ogóle wszędzie, komu? Jak gnąć to już lepiej tu, nie w ziemi, Patriotka. Teraz cię widzę na zdjęciu, z tym miśkiem, w Kolonii i co? Nie warto było? Zawsze jest warto, to widzisz dopiero wtedy jak siedzisz, albo jak już jest za późno. Jeszcze będziesz miała dzieci Patriotka, z tym twoim księciem, dwoje albo troje. On je będzie podrzucał do góry, a ty, w strachu prosić będziesz, żeby przestał, bo może się coś stać. Gdzie ci wtedy przyjdą do głowy tabletki, Patriotka, żyć będziesz bez przerwy, ciągle naprzód, i ani się na nic nie oglądniesz.

Stoimy przy tym łóżku, Maturzysta milczy jak kamień, nie umie słowa wypowiedzieć, a mi się przypomniało, co mówił zawsze mój taki kumpel z Polski, pisali, że siedzi. No dobra, mówił, zabije się, a co potem? Trochę my się pośmiali i lżej się zrobiło, ale do domu wracało nam się głupio, to znaczy mnie i Maturzyscie, bo Inteligent został. Spytał Patriotkę, czy może zostać, ona mu pozwoliła i został.

Jak Patriotka wyszła, poszliśmy kiedyś wszyscy na mecz rugby. Juniorki, Polska-Niemcy. Trochę padało, nie było prawie nikogo; tylko my darliśmy się jak dzicy po każdym punkcie dla naszych. I wygrali. Patriotka była pierwszy raz na meczu, aż rumieńców dostała, Maturzysta skakał jak dziecko, Inteligent był dumny, jakby to on tych młodzików wytrenował, a ja patrzy-

łem na nich i myślałem sobie, co by każdy z nas robił, jakbyśmy się nie spotkali. Do końca mojego życia będę pamiętał, jak potem tańczyliśmy na pustym boisku, deszcz lał, pociągaliśmy trunek, a Maturzysa, wtedy chyba ostatni raz, śpiewał: Nie zdechniemy tak szybko jak sobie roi śmierć, i uczył Patriotkę, ziemia dla nas za płytka, fruniemy w górę gdzieś. Są takie, takie momenty, takie chwile, że człowiek wie od razu, że będzie je pamiętał. Katedrę to wiadomo, wysokość i w ogóle, ale czemu to boisko? Jak ja to sobie wszystko wspominam, to widzę nas jak na filmie jakimś, nie tylko tak, że było i już. Widzę, jakby patrzył jak Maturzysa podskakuje, Inteligent wali mnie po plecach i słyszę dokładnie, jak Patriotka się śmieje. No naprawdę, tak jakbym oglądał film. Jakie to jest dziwne wszystko w życiu. To boisko tam, teraz jest takie same, może też tam leje, tak jak tutaj, tylko my już tam nigdy nie będziemy. No chyba że kiedyś, ale to już dziady będziemy. Jak ja będę wyglądał, jak będę stary, jak będę dziadek? A Maturzysa? Jego to sobie nie wyobrażam. Jakbym miał coś teraz chcieć, żeby się spełniło, to żebyśmy jeszcze raz byli tam, na tym boisku. Każdy by chciał, żeby coś było jeszcze raz, to wiadomo. On miał rację, Maturzysa, z tą rzeką. Skąd on wiedział, taki młody...

Chociaż czy on był taki młody? Sam mówił, poszedł rok później do szkoły, bo chorował, potem znowu miał jakąś przerwę...

Zmęczony już jestem.

Teraz i w ogóle.

Mówią, że człowiek się przyzwyczaja być sam.

Może to prawda...

Jakbym tak teraz, to znaczy nie teraz, później, jak wyjdę, jakbym tak miał żyć z jakąś kobietą, tak codziennie, to nie wiem. A sam?

Kiedyś Patriotka puściła nam taką jedną kasetę. Jakiś klient u niej zapomniał, starszy gość, Polak. On się nagrał, jak przez półtora godziny do siebie gada. Wtedy to się z tego śmiałem. Pije i gada. Gadam do siebie, bo nie mam z kim, mówi, potem se to puszczyć i posłucham, co tam naplotłem. Cały swój życiorys opowiadał, a co chwilę: no, to teraz wypijemy. Co ja mam, mówi, co ja zrobiłem w życiu, co te ręce zrobiły? Ten telewizor kolorowy, jebany mam, klnął strasznie, garnitur i pięć śrubokrętów zegarmistrzowskich, co mi jeszcze z Polski zostały. Ausweis mam, ale to już mówiłem na tamtej stronie, ale jaki tam ze mnie Niemiec, tych Niemiaszków to ja mam w dupie, wszystkich was mam w dupie, słyszycie, wszystkich wrzeszczy. A na koniec bełkocze; no, nagadałeś się, napiiermandoliłeś i idź spać, idź już, idź, i chrapie przy stole aż do końca taśmy.

Z jakiś tydzień temu list dostałem, od swojej...

Od swojej, gdzie ona tam teraz moja...

Wiedziałam, że tak skończysz, bo jej napisałem, gdzie jestem, dobrze przynajmniej, że siedzisz tu, to znaczy tam, bo dzieci nie widzą, takie tam.

Dzisiaj w nocy liczyłem, ile ja w życiu miałem kobiet. Mało mi wyszło, cztery, pięć może, ale takie, z którymi na poważnie, nie kurwy.

Nigdy mi tak nie wychodziło, jakbym chciał. Maturzysty, on niby taki nieśmiały, ale jego to one lubią. Patriotka przecież i inne też. Jedna tu go do Stanów ciągnęła, bo wyjeżdżała. Jakaś pisarka, albo dziennikarka. Do Berlina, do takiej polskiej gazety pisała. Ciągnęła go i ciągnęła, ładna dziewczyna, mądra, zarozumiała trochę, z nami nawet gadać nie chciała. Raz namówiła go, żeby wysłał taki swój wiersz. Maturzysta wysłał i potem oblewaliśmy, że prawdziwy poeta.

Ten wiersz tu jest, w tym zeszycie. Niedługo.

Tak leci: małe żony wielkich poetów nie obejmują wszechświata / nie przeszywa ich metafizyczny prąd / pióra brudne łachy / ścielą rano łóżka / i robią tysiąc innych rzeczy / o których nie wypada tu nawet mówić / rozbierają na przykład wielkich poetów gdy ci / w pijackim amoku bełkocą o bycie i nie / potakują / nakręcają na rano budzik i jest im głupio / że tak szybko zasypiają / małe żony wielkich poetów patrzą na nich wyrozumiale / i dobrodusznie / one widzą wiersz od początku. Patriotka prosiła go, żeby kiedyś napisał coś dla niej i jej zrobił dedykację.

Poezja... nie wiem, ja tam nie z takich co to tylko o samochodach sportowych i ekstraklasie. Lubię se czasami poczytać, ale poezji to tak za bardzo nie rozumiem.

Kiedyś, dawno już, jechałem z taką jedną moją w autobusie. Romantyczna ona była, chciała, żebym ją na rękach nosił, kwiaty jej zbierał, Bóg wie co jeszcze.

Jak to dawno było...

Wtedy to się dałem nabrać. Jedziemy w tym autobusie, tak akurat po zimie było. Powietrze ostre, słońce świeci, akurat w oczy mi świeciło. Ona siedzi naprzeciwko, oczy do niej mrużę, bo to ze słońca tego, no i mówi mi, żebym za okno popatrzył. Rzeczywiście, jakoś fajnie tam było. Pola, potem las, zielono już powoli, a tu śmierdzi w tym autobusie, jakaś baba się na mnie pcha... Tak do teraz nie wiem, co się ze mną wtedy stało. Wyjść tak chciałem z nią, w ten las, ale wtedy nie myślałem o tym lesie tak, jak to się myślało. Chciałem, żebyśmy sami byli, to słońce i w ogóle. Ona chciała też, nie musiała mi mówić. Wstałem i pcham się do kierowcy, między ludźmi, żeby autobus zatrzymał, bo chcemy wysiąść. Popatrzył jakbym mu Bóg wie co zrobił, no i już połowę popsuł, bo dopiero na przystanku, tu nie idzie. Wy-

siedliśmy, autobus pojechał dalej i tak się cicho zrobiło, pusto. Ona nic nie mówi, ja też nie wiem co by tu powiedzieć, iść też nie wiadomo gdzie, pola same. Za tą szybą to jakoś inaczej wyglądało. Stoimy tak i stoimy, ona gapi się raz na mnie, raz w ziemię, ja tak samo, zimno się zaczęło robić, no i co? No i jakbyśmy nie wysiedli, to moglibyśmy sobie wyobrazić jak by było, a tak? Jedno szczęście, że drugi autobus wtedy szybko nadjechał. Co byśmy tam robili?

Wtedy, ten ostatni raz, wcale nie potrzebowaliśmy iść. Inteligent się uparł, złapał dobry namiar. Pieniądze jeszcze były, planowaliśmy gdzieś razem wyjechać, do Monte Carlo może.

Inteligent się uparł...

Chodźcie i chodźcie, to porządźmy jak pany. No i poszliśmy. Maturzycie było wszystko obojętne, przyzwyczał się, stawał na czujce i potem z nami nawet rozprowadzał.

Nawet nie chciał uczyć się niemieckiego, żeby skończyć tę maturę. Mi to już wszystko obojętne, powtarzał, no i nie odzywał się.

Ja tak myślę, że on chciał wracać. Jak dostawał listy z domu to siedział jak zakłęty, przez cały czas.

No i poszliśmy.

Po co ci ten twój zeszyt złotych myśli, mówi mu Inteligent, do pracy idziesz, a nie tworzyć. To nie zeszyt, książkę dostałem z Polski, i to w ogóle był cud, że Inteligentowi odpowiedział. Rozbieramy co się da, cyk, cyk, cyk bo to już rutyna. Sprzęt dobry, drogi i dużo, nawet kamera. Wychodzę pierwszy, z pierwszą partią, Inteligent czyści jeszcze szafy, bo mu nos mówił, że mareczki gdzieś śpią, wychodzę, jestem już przy bramie, no i wszystko teraz parę sekund; światło, stać — polizei, bez szans, ani w prawo, ani w lewo, co z Maturzystą, myślę, gdzie Inteligent? Obmacują mnie z góry na dół, jak w filmie, trzech od nich wybiega z domu, sami, to musiał zdążyć im prysnąć, ale co z Maturzystą? Co się wtedy myśli? Nic się nie myśli, wszystko samo lata po głowie. Prowadzą mnie no i co chwila, czy sam, czy sam, to myślę, że Maturzysta też prysł. Allein, allein, mówię. Suka już stoi, radiowozy, musiał widzieć jakiś sąsiad, a ten gówniarz tak się zgapił, ręce mi skuli, pchają do środka, a on tam siedzi już. Galareta, nic nie rozumie, trzęsawka zupełna. Rozmawiać nie możemy, ale o czym tu gadać? Koniec, złapali za rękę, pułdo. Znowu. Tylko żeby nie dłużej niż tam, w Polsce. Czytać musiał, albo coś pisać i go zaskoczyli. Siedzi i ścisza tę swoją książkę tylko, jakby się bał, że mu zginie...

Co teraz, Maturzysty, nie zdechniemy tak szybko? Tobie ten rok minie, ja mam trzy razy więcej.

Wszystko się posypało na sprawie. Musieli go omotać, że jak się przyzna do wszystkiego, to dostanie mniej. Patriotka na

widzeniu mówiła, że Inteligent to jakby go dorwał za tę wpadkę i w ogóle, a ja? Nie wiem.

Głowa mnie boli...

Nie wiem, jakbyśmy się tak teraz spotkali...

Nie no! Cieszyłbym się, na pewno. Co ja już gadam?

Co się stało, to się nie odstanie. Ja go od razu jak przyjechał to tak jakby syna, nie wiem czy można tak powiedzieć, że go kochałem.

No bo co? Lubiłem? Niekiedy to nie ma słów, brakują niektóre. Albo ja nie znam...

On do mnie nigdy nie mówił Gościu, tylko po imieniu, a do Inteligenta zawsze Inteligent.

Czytam ten jego zeszyt, bo on dał Patriotce, żeby przechowała, a Patriotka mi, żebym się tak nie nudził. Żeby mi się tak wszystko podobało, to nie. Ja nie rozumiem tego, tak jakoś nie trafia. Może taki jeden wiersz. To jakby kobieta napisała. Przeczytam: Smutku bezdomny włóczęgo / wszędobylski przybłądo / gotowy na każde wezwanie porzucanych kolejno zabawek / i miejsc / tropicielu cierpliwy naszych śladów / cierpliwy strażniku wszystkich wspomnień / smutku bezpieczeństwa / tulący łzami szyby / wierny mój towarzyszu / zostań / kołysz mnie niewidzialnymi ramiionami / i nie opuszczaj / chociaż ty.

Jeszcze pół roku i wyjdzie. Patriotka mówiła, że powiedział, że tu przyjedzie. Tu widzeń jest więcej i w ogóle całkiem inaczej niż w Polsce, ale co będę o więzieniu opowiadał, po co?

Klawisz mnie pytał gdzie bym wolał siedzieć, niby czy w Polsce czy tu. Chyba w Polsce bym wolał, ale czy to możliwe, żeby mnie przenieśli? A może tak mówię, bo wiem, że by mnie i tak nie przenieśli?

Uczę się tych słówek i gramatyki, ale jakoś mi nie idzie. Głowa za ciężka. Czy to się w ogóle można innego języka nauczyć tak jak swojego?

Maturzysta młody, to się jeszcze nauczy.

Czytam ten jego zeszyt i tak se wszystko przypominam, on wszędzie stawiał daty, dlatego. Wtedy byliśmy tu, wtedy tam, tak sobie wspominam, i moje życie w Polsce też. Tutaj w więzieniu, to jeszcze chciałem powiedzieć, to się widzi jakie życie w ogóle jest. Iść po lesie, więcej nic tylko iść po lesie. Albo normalną ulicą nawet, kto na to zwraca uwagę, ile w tym jest? Dopiero jak się siedzi, dopiero wszystko widać. Jak wyjdę i będę szedł po ulicy, to się będę czuł jak w raj, a kto się czuje jak w raj, jak chodzi po normalnej ulicy? Nikt przecież.

No i kobiety.

Teraz znowu będą święta, Boże Narodzenie.

A śniegu nie ma. Co to za święta bez śniegu?

Ani lata, ani zimy...

Jak byłem mały, to już na Wielkanoc, jak był śmigus-dyngus, to już było tak gorąco, że chodziliśmy się kąpać do stawu, a teraz?

Inteligent pisał, że Patriotka chyba w ciąży. Nie wiem czy planowali, ale on pisze, że to dziecko by chciał. Już mi się nie chce być wolno-stojący, tak pisze, to znaczy kawalerem.

Już się chyba powinna skończyć, a kręci się i kręci.

Które to święta ja w tych Niemczech siedzę? W Polsce jak byłem to jeszcze mówić nie umiały, a teraz to list do mnie napsały.

Czas tak leci...

Co tu jeszcze...

Kręci się i kręci.

Czy ja wiem... To już chyba wszystko?

Hm.

Nie, to już wszystko. To wszystko.

.....

Koniec taśmy.

Marek SZCZUKOCKI

P.S. W chwili gdy numer był już na maszynach autor powiadomił nas, że wolałby, aby jego artykuł był podpisany jego nazwiskiem: *Janusz RUDNICKI*, a nie, jak wyżej pseudonimem. Na zmianę pagin było już za późno. (RED.).

**POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA**

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Nieznaczný ruch gąsienicy

Porucznik Cyryl Kowalik przeszedł w zamyśleniu koło wartowni, machinalnie odsalutował dyżurnemu i przecinając koszarowy dziedziniec, skierował się do sztabowego budynku. Miał jeszcze kwadrans czasu — egzaminy z matematyki podchorążych pierwszego roku zaczynały się o siódmej. Wbrew codziennym zwyczajom przyszedł wcześniej, bo chciał przedtem spotkać się z kapitanem Zasadnym, z którym od dawna się przyjaźnił i prosić, aby po trzech godzinach zajęć zechciał go zastąpić. O dziesiątej miał spotkanie, na które, jak zawsze od kilku już lat, czekał z biciem serca. Nie zrezygnowałby z niego za nic, bez względu nawet na służbowe konsekwencje.

Machinalnie prześliznął się wzrokiem po węźle propagandowym; równomiernie ustawione plansze nawoływały do czujności, obwieszczały o wiecznej przyjaźni i nienaruszalnym sojuszu ze Związkiem Radzieckim, a ta największa, świeżo wymalowana, duma politycznego zastępcy, przedstawiała grubasa w cylindrze z cygarem w zębach, jak na tle gwieździstej amerykańskiej flagi przydeptyje butem odzianego w kombinezon robotnika.

Za planszami, przed halą remontową, kilku mechaników już któryś dzień z rzędu grzebało w rozbebeszonym silniku jego IS-2; innym razem pewno by się wściekł, że trwa to tak długo, ale dziś głowę zaprzątniętą miał czymś zupełnie innym.

W obszernej sali egzaminacyjnej pachniało mydlinami i olejną farbą, której resztki stały jeszcze w niedomkniętych puszkach pod oknem. Właśnie przed kilku dniami skończył się remont budynku i wszystko dookoła lśniło czystością. Przy stoliku na podwyższeniu koło tablicy siedział kapitan Zasadny. Zagłębiany w matematycznych zeszytach, zdawał się nie zauważać wchodzącego.

— Czołem — powiedział Kowalik, podchodząc do stolika. — Jak żyjesz, Czesiu? Dużo knotów do poprawienia?

— Tak sobie. Najgorzej nie jest, ale Pitagorasa też nie odkryłem. — Kapitan nie podnosząc głowy, wciąż ze wzrokiem w zeszytach, był wyraźnie nie w sosie; markotny i jakby odmieniony. Ani śladu po jego zwykłej bez trosce, z której znany był wśród całej kadry, a zwłaszcza w kobiecej Organizacji Rodzin Wojskowych, gdzie prym wiodły małżonki wyższych oficerów.

— Co tobie, Czesiek? Chory jesteś? A może wstałeś dziś lewą nogą?

— Podle się czuję. Chyba gorączka. Trochę tu posiedzę, odpytam swoją grupę, a potem urwę się do lekarza.

— Szkoda — westchnął Cyryl — bo właśnie chciałem cię prosić...

— Wał o co chodzi.

— Możesz mnie przed dziesiątą zastąpić? Muszę wyskoczyć do miasta.

— Coś ważnego? Nie pamiętam, żebyś się kiedykolwiek urywał z zajęć. Ty, wzór wszystkich cnót oficerskich?

— Dobra, dobra. Jak się źle czujesz, to nie ma o czym gadać.

— Jest o czym, Cyryl. Właśnie że jest — kapitan rozejrzał się dokoła uważnie, jakby podejrzewał, że ktoś ukrył się pod ławkami, podszedł do drzwi, gwałtownie je otworzył i dopiero potem dyskretnym gestem dał Cyrylowi znak, żeby podszedł do okna.

Zza koszar zajmowanych przez drugoroczników wymaszerował właśnie ze śpiewem niewielki oddział. Szli na zajęcia. Wielu podchorążych zostało dziś w szkole — prawie cały drugi i trzeci rok był na poligonie w Biedrusku. Stąd nastrój dziwnej pustki na ogromnym dziedzińcu, pełnym zwykle ruchu i krzyku komend.

— Coś dziwnego zdarzyło się rano, jak jechałem tramwajem — zaczął kapitan matowym, przyciszonym głosem; raz jeszcze powiódł czujnym wzrokiem po gęsto rozstawionych pulpitych, przy których dopiero za kilka minut mieli zasiąść elewi do egzaminu. — Na przednim pomoście stał milicjant, sierżant czy plutonowy, i coś mówił do motorniczego. Ludzi było jeszcze mało, kwadrans po szóstej, trochę za wcześniej na poranny szczyt. W pewnym momencie, jak tramwaj się już rozpędził, wskoczył robociarz w kombinezonie. Milicjant odwrócił się i zapytał go grzecznie, bez żadnej zaczepki w głosie: „Nie szkoda to, obywatelu, nóg?”. A tamten zaczerpnął tchu, bo był jeszcze zadyszany, i wiesz co mu odpowiedział? Nie uwierzysz. „Zamknij się, draniu. Już niedługo będziesz taki ważny. Kończą się wasze rządy!”.

— A on co na to? No ten milicjant.

— Właśnie. To jest najciekawsze. Skulił uszy po sobie i nic. Po prostu nic. Rozumiesz? Zawahał się jakby tylko przez chwilę,

a potem odwrócił się do robociarza tyłkiem i szybko zagadał do motorniczego. Wyraźnie nie chciał się wdawać w żadną pyskówkę.

— A ludzie? Przecież musieli to słyszeć.
— Słyszeli. I też nic. Popatrzyli tylko na siebie znacząco, jeden z drugim uśmiechnął się, wiesz jak to jest... I co o tym myślisz, Cyryl? Co myślisz? Coś chyba wisi w powietrzu, no nie? Bo przecież inaczej ten milicjant...

Porucznik chciał odpowiedzieć, na końcu języka miał te zdania; i on zauważył przecież jakiś niecodzienny nastrój na ulicach, ruchliwszych jakby o tej porze niż zwykle, dziwnie ożywionych, ale to dzisiejsze spotkanie, na które czekał z taką niecierpliwością, przesłoniło mu wszystko. Nie zastanawiał się więc, co ten dziwny ruch oznacza. Dopiero teraz i on to sobie skojarzył.

Rozmowę przerwało pojawienie się pierwszych podchorążych; meldowali się po kolei słuźbiście, a w chwilę później rozpoczęły się egzaminy.

Brali właśnie w obroty kolejną grupę, krzyżowały się przy tablicy pytania i odpowiedzi, uwagę trzeba było mieć napiętą bez chwili przerwy, ani mowy o żadnym odskoku myśli, gdy w gwałtownie otwartych drzwiach stanął podoficer dyżurny.

— Obywatelu kapitanie — zwrócił się do Zasadnego, jako do starszego stopniem — z rozkazu komendanta wszyscy podchorążowie mają się natychmiast zameldować w swoich pododdziałach.

— Co się dzieje? — W głosie kapitana było więcej zdziwienia niż gniewu. Nikt dotąd nie przerywał egzaminów, do których komenda szkoły przykładała tak duże znaczenie.

Podoficer nie zdążył odpowiedzieć; odsunął się usłużnie, bo do sali wbiegł polityczny zastępca komendanta, podpułkownik Krajańczyk. — Szybciej, chłopcy, szybciej! — przynaglał wychodzących na korytarz zaskoczonych podchorążaków. — Wiecie już chyba, towarzysze — zwrócił się do obu oficerów. Jego wielka głowa, osadzona niemal bez szyi na pękatym tułowiu, drgała lekko z wyraźnego przejęcia. — W mieście niespokojnie. Jacys̄ agenci, nie wiadomo jeszcze skąd nasłani, porwali za sobą robotników. Zispo, ZNIK, „Stomil”, „Komuna Paryska”, wszystko wyszło na ulicę i idzie w pochodzie. Całe śródmieście pełne ludzi, ruch zatargasowany. Alarm już zarządzony. Drańska robota. I to właśnie w takim momencie. Przecież kończą się Targi. No, chodźmy. Trzeba się spieszyć.

Wyszli na plac, który nagle ożył. Wszystko co miało w szkole ręce i nogi stało teraz w karnych szeregach, słuchając tłumaczących coś oficerów politycznych i tych trzech najważniejszych z Informacji. Cyryl dobrze znał każdego z nich, a z tym najstarszym, majorem, wypił nawet bruderszaft. Tamten zaproponował mu to któregoś zimowego wieczoru, gdy tego popili w kasynie.

A okazją była kolejna nagroda, którą on, Cyryl, uzyskał za strzelanie na szkolnym poligonie. Teraz nie miało to jednak żadnego znaczenia. Coś wyraźnie groźnego wisało w powietrzu i w związku z tym czujność musiała być zaostrzona. W takich chwilach nie było kumpli od kieliszka, przyjaciół, kolegów, byli tylko towarzysze broni, związani ze sobą twardą, żołnierską solidarnością. Pomyślał z nieoczekiwaną przekorą, że przez te lata, które spędził w szkole, ci z Informacji, choć maglowali go nieraz całymi godzinami, i tak wszystkiego o nim nie wiedzieli. A przesłuchania były szczególnie dokładne, nacierali na niego natrętnie ze wszystkich stron, bo przecież po ukończeniu szkoły z drugą lokatą miał w niej pozostać jako instruktor. A jednak przechytrzył ich, przechytrzył tych wszechwładnych towarzyszy, chociaż wydawało się, że w wyostrzonych przez długi trening mózgownicach tkwić muszą najtajniejsze sekrety każdego z nich. I to od kołyski, aż po dzień dzisiejszy.

— Towarzyszu Kowalik, czy wasz czołg jest sprawny? — Oczy pułkownika Krajańczaka patrzyły na niego zza rogowych okularów z troską i sympatią.

— Niestety, towarzyszu pułkowniku, wciąż grzebią i grzebią w tym silniku i nic. Zaraz pogonię mechaników.

— Zostawcie. Szkoła czasu. Rozejrzyjcie się lepiej za inną maszyną. Byle szybko. Pododdział alarmowy wyjechał już na miasto.

— Tak jest, tylko jak skompletować załogę? Wszyscy prawie w Biedrusku.

— Ściągnęliśmy dodatkowy batalion piechoty. Zaraz tu będą. Musicie wziąć ludzi od nich.

— Tylko że oni pewno nieprzeszkoleni w broni pancernej. Mogą być kłopoty.

— Wasza w tym głowa, poruczniku, żebyście sobie poradzili. Jak was znam, to potraficie im wytłumaczyć, co mają robić. Aha, nie zapomnijcie pobrać od chemika butli z gazem łzawiącym. Będzie chyba potrzebna.

Krajańczyk odwrócił się i pospiesznie ruszył naprzeciw oddziałowi piechoty, który właśnie nierównym marszem wkraczał na teren szkoły. Cyryl uświadomił sobie, że przecież nie otrzymał właściwie żadnego konkretnego rozkazu, dokąd ma jechać i z jakim zadaniem. Z drugiego końca placu dochodził warkot zapuszczanych silników. Pierwsze czołgi, kierując się ku bramie, wyjeżdżały już na miasto. Najpewniej dla nich starczyło przeszkolonych załóg, ale co będzie z resztą? Ile ich w ogóle ma wyjechać?

Zameldował się kierowca-mechanik Franek Walkowiak, stary wyga, który z niejednego pieca chleb jadł. Wykonywał zawsze w mig każdy rozkaz i to z taką miną, jakby wszystko, co mu pole-

cano, było dla niego dziecinną zabawą. Ale teraz i on zdawał się nie rozumieć, co w ogóle jest grane.

— Obywatelu poruczniku, czołg numer 911 gotowy. Możemy ruszać — zameldował cicho i jakby z roztargnieniem.

— Poczekaj, zaraz. Trzeba jeszcze dobrać trzech ludzi.

Kątem oka Cyryl zobaczył przed wartownią gazik pułkownika Stankiewicza, komendanta szkoły; zatrzymywał każdy wyjeżdżający czołg i coś krótko tłumaczył dowódcom. A więc dopiero tam otrzymują zadania. Próbował zorientować się, gdzie jest Zasadny. Zniknął mu z oczu przed chwilą, gdy rozmawiał z pułkownikiem. A chętnie właśnie z nim wyruszyłby w dwa czołgi w to nieznane, tajemnicze i groźne. Tylko czy to wykonalne? W tej niecodziennej atmosferze wszystko rozgrywało się szybko i dziwnie nerwowo. Jakby obowiązywały nie precyzyjne rozkazy, do których przywykli na co dzień, ale niezrozumiała dla nikogo improwizacja. Nikt właściwie nie wiedział, co naprawdę dzieje się poza murami szkoły.

Trzej młodzi piechurzy, taskając skrzynki z amunicją, stanęli wyczekująco przed czołgiem oznaczonym numerem 911, który wolno podjechał na wybetonowany skraj placu. Tych kilka ton warczącego żelastwa wzbudzało w nich najwyraźniej respekt graniczący z lękiem.

— Nigdy nie siedzieliście jeszcze w środku, chłopcy? — spytał Cyryl, kładąc przyjacielsko rękę na ramieniu najmniejszego z nich, dzieciaka prawie, o chłopskiej, puciołowatej twarzy.

— Nigdy, obywatelu poruczniku. Na świętego Jana minął dopiero miesiąc, jakżeśmy w wojsku — odpowiedział puciołowaty, który choć najmłodszy, był z całej trójki widać najśmielszy.

— To nic. Nie bójcie się. To tylko tak groźnie wygląda. Najwyżej trochę was wytrzęsie i wszystko. No, włąćcie.

Cyryl otworzył właz, wskoczył pierwszy, za nim niezgrabnie wgramoliła się reszta.

— Kapitana Zasadnego nie widziałeś? — spytał Walkowiaka, który zawsze wiedział wszystko o każdym.

— Poszedł na izbę chorych. Jakies gwałtowne bóle. Podobno wyrostek... Dokąd, obywatelu poruczniku?

— Pod magazyn chemiczny. Teraz już piorunem.

Pobrali szybko butlę gazu łzawiącego i z metalicznym zgrzytem gąsienic ruszyli ku bramie wyjściowej.

— Ty, Kowalik, smarujesz na most Uniwersytecki. Staniesz przed Komendą Wojewódzką Milicji. Jest tam już u nich major Koralewicz od nas. Przekáže, co masz robić dalej. Ruszaj! — Pułkownik zwyczajowym gestem uniósł kciuk w górę, ale twarz miał chmurną i nieprzenikloną. I on chyba nie wiedział zbyt wiele i wykonywał tylko rozkazy otrzymywane skądś wyżej.

Cyryl naciągnął na głowę hełmofon, uspokajająco uśmiechnął

się do swojej zaimprovizowanej załogi, która sztywno, z lękiem w oczach, wodząc spojrzeniem po mrocznym wnętrzu, kleiła się do siedzeń.

Na Alei Wielkopolskiej, przemierzanej już na pełnych obrotach, nie działo się nic szczególnego. Ruch jak zwykle panował tutaj niewielki, z rzadka mijani przechodnie przystawali na ich widok i pospiesznie oddalali się w swoją stronę. Dopiero teraz popatrzył na zegarek — dochodziła dziesiąta. Brakowało tylko trzech minut. Ta kawiarnia, w której mieli się spotkać, znajdowała się w samym sercu miasta na Placu Wolności. A ojciec nie spóźniał się nigdy. Był zawsze wzorem punktualności. Spróbował sobie wyobrazić, jak przecina plac tym swoim dawnym, elastycznym, swobodnym krokiem, kontrolując równocześnie uważnie, czy nie jest śledzony. Ten odruch tkwił w nim od niepamiętnych lat: lekki, niedostrzegalny prawie ruch głowy na boki i za siebie. Takim miał go stale przed oczami, gdy jeszcze za Niemców wychodził z nim, wyrosniętym kilkunastolatkiem do Parku Skaryszewskiego na krótki spacer. Nieczęsto zresztą zdarzała się taka gratka; ojca widywał właściwie od wielkiego dzwonu, rzadko w ogóle nocował z nim i z matką pod wspólnym dachem, po uszy zagrzebany był w konspiracji i w konspiracji pozostał także po Powstaniu, choć cały okaleczały, w ledwo zaleczonych ranach. Ale po tym jak wyaresztowano wszystkich prawie najbliższych towarzyszy broni, o jakimkolwiek ujawnieniu i skorzystaniu z amnestii ani słyszeć nie chciał. Nic więc właściwie nie zmieniło się po wojnie w jego trybie życia. Dalej był w domu gościem, stale w tajemniczych rozjazdach, wciąż nawiedzony sobie tylko znaną misją, aż wreszcie któregoś jesiennego dnia 1947 roku stało się to, co się stać musiało: wpadł razem z całą swoją grupą w okolicznościach, o których nigdy potem nie wspominał, i odtąd na długo wszelki ślad po nim zaginął. Po przeszło dwóch latach, gdy matka, już prawie bez żadnej nadziei, poruszywszy niebo i ziemię, aby cokolwiek się o nim dowiedzieć, zdawała się w oczach niktą od troski i bólu, pojawił się nieoczekiwanie od ojca znak życia. Przeżył straszne śledztwo, tortury, całą tę gehennę, znaną z wielu szepowanych relacji, i nie mając już wiele do stracenia, grając o życie *va banque*, zaryzykował w czasie konwojowania karkołomną ucieczkę, która się cudem udała. Minął znowu rok, on, Cyryl, był właśnie świeżo po maturze, już zdecydowany, że wbrew wszystkim okolicznościom wybierze jednak karierę oficera, o której od dziecka marzył i bez której w ogóle nie wyobraził sobie życia, gdy nadszedł pierwszy, tajemniczy list, przesłany zaufaną drogą. Ojciec wyznaczał mu spotkanie w dość odległym miasteczku na wschodnich krańcach Mazowsza. Tkwił dalej uparcie w jakichś szczątkowych, podziemnych strukturach, których nie zamierzał opuścić wcześniej, aż wywalczona zostanie wolna

Polska. Oświadczył to od razu na samym wstępie, twardym, nieustępliwym głosem i zaraz zmienił temat. Niczego mu wówczas nie zakazywał, niczego nie radził, nie próbował też ani na chwilę odgrywać roli mentora, ale gdy mu oznajmił, że patrzy na świat inaczej, że wstąpił do ZMP i zamierza zgłosić się ochotniczo do wojska, że ani myśli płynąć całe życie pod prąd — to wszystko przyjął w lodowatym milczeniu. „Zobaczymy” — mruknął tylko na pożegnanie i zaraz, jak zawsze, zniknął, jakby się rozpułnął. Ale chociaż każdy pozostał przy swoim, nie wpłynęło to na ich dalsze kontakty. Mijały lata, a oni niezmiennie, kilka razy do roku, na przekór otaczającemu ich światu, spotykali się w coraz to innych miejscach. No i dziś, teraz właśnie, ojciec, którego wkrótce po pierwszym spotkaniu bez żadnych skrępułów uśmiercił w swojej personalnej ankiecie, bo przecież inaczej ani by nie mógł marzyć o podchorążówce, miał się znowu zjawić. Ale o tym jak tę ankietę wypełnił za nic w świecie nie odważyłby mu się powiedzieć. To pozostawało wciąż tylko jego tajemnicą, wstydliwą skazą na sumieniu, o której starał się zapomnieć. Pewno już czeka, patrzy niecierpliwie na zegarek, może myśli, że skrewił, że się przeląkł.

— Dokąd, obywatelu poruczniku, prosto czy w prawo? — głos Walkowiaka przywrócił go do rzeczywistości. Kończyła się aleja, dojeżdżali do skrzyżowania.

— Skręcaj w Roosevelta!

Rozglądał się teraz uważnie, czujny, napięty, gotowy reagować natychmiast na każdy wrogi gest z zewnątrz. Wciąż nie wiedział, co się właściwie dzieje, do czego to wszystko zmierza. Tłum na chodnikach falował, gęstniał z każdą chwilą. Niektórzy kiwali do nich przyjaźnie, gesty rąk nie zdradzały żadnych złych zamiarów, ale już z góry od Kaponiery sunęła ku nim zwarta ciżba. To wyglądało groźniej. Bielały w górze transparenty. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i mógł odczytać: WOLNOŚĆ, CHLEBA, PRECZ Z KRWIOPIJCAMI, JESTEŚMY GŁODNI.

Walkowiak odruchowo, bez żadnego rozkazu zwolnił, prawie się zatrzymał.

— Jedź, do cholery. Kto ci kazał stawać?

W tym momencie Cyryl zobaczył te dwie ładne cizie; podbiegły z krawężnika i znalazły się tuż przy nich. Coś krzyczały, ale uszy miał zakryte hełmofonem, nic nie słyszał.

— Poczekaj! — zawołał do Walkowiaka. Odchylił hełmofon i wtedy zajazgotał ich szydery, nienawistny głos:

— Dokąd się pchasz, pachółku Stalina?!

Było to tak nieoczekiwane, że zamiast się rozżłościć, zachciało mu się śmiać. Kątem oka zobaczył ich zaskoczone taką reakcją twarze. Dziewczyny jakby zawstydzone wtopiły się w tłum, coraz gęstszy, coraz bardziej zwarty.

Wspinali się teraz wolno, na pierwszym biegu, po pochyłej nawierzchni ulicy Roosevelta. Ludzie rozstępowali się przed nimi z wyraźnym ociąganiem, masa żelastwa robiła swoje, na jezdni tworzył się wąski korytarz, akurat taki tylko, żeby czołg mógł się przedostać, transparenty zdawały się fruwać w powietrzu, wciąż wyrastały nowe, a wraz z transparentami wzmagaly się pokrzykiwania, zapalczywe, nabrzmiałe groźbami i nienawiścią. Nagle, gdy dojeżdżali prawie do Kaponiery, sygnęły się za nimi kamienie, deszcz kamieni. Słyszał ich gęsty, metaliczny stukot, zwielokrotniony przez chrzęst gąsienic, chciał się odwrócić, zawołać do ludzi, żeby przestali, że przecież będą musieli się bronić, gdy poczuł na szyi jakby cięcie nożem. Dotknął palcami skaleczonego miejsca, rozmasował ciekącą krew.

— Nic, nic — mruknął do Walkowiaka, który uniósł głowę i pytająco popatrzył na dowódcę. — Wał szybciej.

Nie było już czasu, aby zająć się sobą. Skręcili na most, przystanęli przed konserwatorium, naprzeciwko budynku milicji. Znajdowali się u celu. Na chodniku, oparty o ścianę stał gipsowy Lenin i martwym wzrokiem patrzył na to, co się dokoła dzieje. Dwóch młodych ludzi w studenckich czapkach szybko malowało coś na nim krwistą, olejną farbą.

— Daj go tutaj. Gotowe! — zawołałi ze śmiechem do stojącej obok dziewczyny. Cyryl odczytał napis: „Odwróćmy go do ściany, aby się nie wstydził!”. Przeszło mu przez myśl, że wystawiony na pośmiewisko Lenin to coś więcej niż studencki żart. To chyba już koniec wszystkiego. Ale dla innych. Bo przecież nie dla niego. Jego obowiązywał rozkaz. Należało wyjść z czołgu i zgłosić się do majora Korolewicza. Jeden rzut oka upewnił go jednak, że to niewykonalne. Przed wejściem tłoczyła się ciżba gęstsza jeszcze niż na Roosevelta, dobijano się do zamkniętej bramy, wygrażano zwiniętymi w kułak dłońmi, ani mowy, aby dostać się do środka. Także dalej w stronę głównego placu miasta, gdzie widniało wielkie, szare gmaszysko Zamku, zamienione na Radę Miejską, z przylegającym niemal do niego Komitecie Wojewódzkim partii tłum napierał, falował, głowa przy głowie. A ponad głowami czerniły się ogromne litery: POKOJE DO WYNAJĘCIA. Niewidoczne ręce posuwały transparent w kierunku Komitetu. Poprzez odchylony z uszu hełmofon docierało do niego niewyraźne dudnienie czyjegoś głosu. Stojący w głębi placu na radiowozie mężczyzna przemawiał. Nie dawało się odróżnić słów, było za daleko — ginęły w chrapliwym poszumie. Ale jeden zwrot pobrzmiwał z oddali uparcie i dziwnie wyraźnie: „Bracia i siostry...” Nic więcej, tylko to. Poczuł nieoczekiwane zaciskającą się na gardle pętlę. Nie bardzo wiedział, co się z nim właściwie dzieje. Przecież nie strach. Tego był pewien. Trwało to moment, sekundę, może dwie. I zaraz się opanował,

odpłynęło gdzieś dziwne złudzenie, że to głos ojca. Gdzie jest teraz? Na pewno nie czeka na niego beczynnie w kawiarni. Znał go zbyt dobrze — nie wysiedziałyby ani chwili. Może zresztą warto by sprawdzić. To tak niedaleko, kilkaset metrów stąd. Ale czołgiem tam przecież nie zajędzie. Szybko rozważał co robić dalej. Dłużej stać beczynnie nie miało sensu. Jeszcze chwila, a tłum może skierować się na nich. A wtedy co, jak się zachować?

Drzwi budynku nagle rozwarły się, w progu stało kilkunastu oficerów milicji, wśród nich także wyższe szarże i jeden w wojskowym mundurze — major Korolewicz. Któryś zaczął przemawiać, ludzie jakby w zaskoczeniu wsłuchiwali się. Wtedy podjął decyzję: wyskoczył z czołgu i dał nura w tłum. Nikt go nie zatrzymywał, przebił się do majora bez trudu.

— Odjeżdżaj stąd. Szybko! — zdążył mu powiedzieć tamten, zanim zniknął we wnętrzu. Majorowi to się jeszcze udało, ale paru innych nie zdążyło — ściągnięto ich przed progiem budynku. Do milicjantów przyskoczyli jacyś dwaj w skórzanych fartuchach, chyba pracownicy rzeźni; złowrogie okrzyki towarzyszyły uderzeniom w twarz. Bito tego, który przemawiał. Widocznie musiał ludzi porządnie rozsierdzić, a może miał coś jeszcze gorszego na sumieniu. W innym miejscu, bliżej mostu, podrzucono w górę kapitana milicji i ten sam tłum krzychał: „Milicja z nami!”. Trudno było cokolwiek z tego zrozumieć.

— Ruszaj! — powiedział do Walkowiaka, który wychylony z czołgu cały czas odprowadzał go wzrokiem, gotowy w każdej chwili przyjść mu z pomocą.

— Dokąd, obywatelu poruczniku? Wszędzie gęsto, nie wiadomo, czy uda się przebić.

— Jedź na most, a potem skręcaj w Dąbrowskiego. Może tam będzie luźniej. — Powiedział to na chybił trafił, po to, aby w ogóle wydać jakiś rozkaz, bo w gruncie rzeczy dalej nie wiedział, co robić.

Nie zdołali jednak przejechać mostu. Stały tam długim rzędem unieruchomione tramwaje. Wtem jeden z wozów gwałtownie zaczął się przechylać. Jeszcze sekunda i zorientowali się, że kołyszą go ludzkie ręce; w ten sposób chciano im zagrozić drogę.

— W lewo, skręcaj w lewo! — krzyknął do Walkowiaka.

W ostatnim momencie kierowca zdołał wykonać manewr i ominąć tramwaj, pochyłony już niemal nad brukiem. W tej własnej chwili z tłumy wyskoczył jakiś niemłody człowiek w roboczym kombinezonie i szeroko rozpostarł ramiona, jak gdyby chciał nimi objąć cały czołg. Był blisko, niebezpiecznie blisko. Jego blada, wychudzona twarz, okolona zmierzwną siwizną, wyrażała zdecydowanie i desperację. W ułamku sekundy Cyryl uzmysłowił sobie, kogo mu przypomina: tak właśnie wyglądał ojciec, gdy po raz pierwszy zobaczył go wtedy po ucieczce. Nie

zdążył teraz wydobyć ani słowa z gardła; uprzedził go Walkowiak.

— Jezus Maria, po nim! — usłyszał jego głuchy, zmartwiały głos. Mężczyzna nie ruszał się, stał jakby skamieniały, dzieliło ich już tylko parę metrów. Cyryl zamknął oczy, czuł pot spływający ciurkiem z czoła. Gwałtowne szarpnięcie i skręt w bok ku żelaznej balustradzie. Zatrzymali się przy samej krawędzi mostu, jeszcze trochę, a krucha przeszkoda byłaby zgnieciona, a oni stoczyliby się w dół na kolejowe tory. Rozejrzył się. Człowiek w kombinezonie był cały i zdrowy. I już nawet nie zwracał na nich uwagi. Coś krzychał, komuś innemu wygrażał. Odetchnął z ulgą. Przetoczyli się bez przeszkód w stronę Mickiewicza. Wszędzie było gęsto od ludzi, ale nikt nie próbował ich już zatrzymywać. Uwaga tłumy skierowała się teraz na wysoki, narożnikowy budynek Ubezpieczalni Społecznej. Niewielka grupa z głośnym zawołaniem: „Idziemy na pajęczynę! Koniec z zagłuszarką!” wyskoczyła z jakiejś bramy. W chwilę potem coś ciężkiego i niekształtnego upadło tuż przed nimi. Przyhamowali gwałtownie. Rozbrzmiały zewsząd oklaski i radosne okrzyki. Cyryl nie miał czasu, aby się zastanowić, co to takiego; na tle błękitnego nieba zobaczył dwie kędzierzawe czupryny. Chłopcy wskoczyli na czołg i podnieśli klapę, która od pewnego czasu nie zamykała się jak należy. Posłał w myśli soczyste przekleństwo pod adresem mechaników. Wychylił się z wieży. Tamci dwaj popatrzyli na niego niepewnie i zeskoczyli na bruk. W tej samej chwili usłyszał uderzenie o pancerz. Poczł piekący ból w okolicach karku, niedaleko wciąż jeszcze krwawiącej ranki. Jego hełmofon tlił się, jęczyczki ognia gwałtownie przeskakiwały z miejsca na miejsce, swąd spalenizny roztaczał się szeroko. Ze środka czołgu wyskoczyli piechurzy, pospiesznie odbezpieczyli peemy i bez żadnej komendy, wyraźnie uciszając własny lęk, walnęli po kilka serii w powietrze. Strzały zamiast odstraszyć, ściągnęły ku nim jeszcze więcej ludzi; tłum otaczał ich coraz ciasniejszym kołem.

Ogień zwolna gaśł, nic już nie groziło czołgowi, ale oni, żywa załoga, czuli się z każdą chwilą bardziej zagrożeni. Jaką decyzję należało podjąć, tylko jaką? Cyryl jednego był pewien: strzelać do bezbronnych nie będzie. Na to zdobyć się nie potrafi. Tyle, że jakby na przekór własnej decyzji, niemal odruchowo wyrwał z kabury pistolet, trzymał go w ręku, wycelowany w stronę znieruchomiałych nagle sylwetek. To znieruchomienie trwało moment; wiedział, że tym gestem ludzi zaskoczył, ale przecież zaraz to minie i zwartą gromadą znowu ruszą do przodu. Wyczuwał desperację tej zbuntowanej, bezimiennej masy, gotowej na wszystko, także chyba i na to, aby im skoczyć do gardeł. Zimna stal pistoletu wilgotniała w dłoniach, prawie parzyła, w gardle czuł

przypieszony stukot. Co robić? Jak się zachować? Widział wlepiony w swoją twarz wzrok trzech piechurów, którym kazał opuścić broń i odwrócić się do tłumu tyłem. Spojrzenie ich wyrażało strach i niepomierne zdziwienie: to co działo się dookoła zdawało się wciąż do nich nie docierać.

Gwałtownie wdarł się w uszy przeciągły klakson samochodu. Na jezdni i chodnikach zafalowało. Wolno przebijał się przez gęstą ciżbę samochodów wyładowany wojskiem. Cyryl bez trudu rozpoznał pierwszoroczników ze szkoły, błysnęły przy kierownicy rogowe okulary podpułkownika Krajańczyka. Drzwi szoferki otwały się, Krajańczyk z twarzą nienawistnie wykrzywioną stanął na stopniach. W dłoni nerwowo zaciskał granat.

— Rozejść się! Natychmiast rozejść się! — rozległ się jego głos. — Ostrzegam: jak się nie rozejdziecie, to go rzucę!

Coś jeszcze mówił, czymś groził, ale na nikim nie robiło to żadnego wrażenia; słowa ginęły wśród gwałtownych gwizdów.

— Rzucaj, sukinsynie! Na co czekasz?! — przebił się czyjś złowroźny okrzyk, do którego dołączyło się kilka soczystych wzywań.

Pułkownik cofnął się, strzeliły pospiesznie zatrzaśnięte drzwi ciężarówki. W ślad za ruszającym samochodem rozbrzmiały nieoczekiwane słowa hymnu. Zabrzmiały jak wyzwanie. Melodiję podjęła od razu cała ulica. Wskoczyła ponad dachy domów równym, zgodnym rytmem, jakby pod czyjąś niewidoczną batutą. Ale przecież nigdzie nie było żadnego dyrygenta. Wszystko to działo się samoistnie, bez komend i nawoływania.

Cyryl, wciąż z pistoletem gotowym do strzału, poczuł się głupio, jak nigdy chyba dotąd. Ledwo dostrzegalnym ruchem schował pistolet do kabury. Był pewien, że nikt tego nie zauważy, ale przed tymi, którzy stali najbliżej nie mógł ujść żaden jego gest — patrzono na niego z czujną uwagą. Czuł na sobie spojrzenia wielu par oczu i to jeszcze bardziej potęgowało rozterkę. Rozległy się oklaski, wyrósł przed nim las rąk. Ten prosty oddech wzbudził do niego wyraźną sympatię.

— Niech żyje wojsko! Wojsko z nami!

Okrzyki narastały, stawały się coraz głośniejsze. Już przy hymnie oparty o wieżyczkę czołgu pyzaty piechur nie potrafił zachować obojętności i śpiewał razem z wszystkimi. Teraz drapał się palcem pod okiem, a rozmazywane łzy toczyły się po policzkach. Cyryl poczuł, że i jemu niewiele brakuje, łaskotanie w gardle narastało, ale nagle otrzeźwiał: ktoś z tłumu celował w niego aparatem fotograficznym. Kim był ten ktoś i jakie miał intencje, nie było ważne. W żadnym wypadku nikt takiego zdjęcia nie mógł zobaczyć.

— Wolno naprzód. Próbuje się stąd wydostać — rzucił za siebie do Walkowiaka.

Wytoczyli się bez przeszkód na ulicę Dąbrowskiego, tyle, że już z kilkunastoma pasażerami na grzbiecie; wskoczyli na czołg i z triumfem oznajmiali wszystkim, że „to nasz czołg i nasi żołnierze”. Byli głusi na prośby i groźby Cyryla; za nic nie chcieli zejść na jezdnię. Wiwaty, brawa i dochodzące zewsząd radosne okrzyki utwierdzały ich, że ta braterska wspólnota znajduje u ludzi uznanie. Dopiero widok kolumny wojskowych samochodów, naddających od strony lotniska na Ławicy, zrobił swoje — zeskoczyli i dołączyli do tłumu na chodnikach. Od razu nastój się zmienił; powiało nagłą grozą.

Kiedy czołowy samochód zrównał się z czołgiem, Cyryl rozpoznał majora Sinko, tego najważniejszego z Informacji. Miał na głowie bojowy hełm i peem gotowy do strzału.

— Dokąd, Kowalik? — wrzasnął, zatrzymując się tuż przy opustoszałym nagle panczerzu. — Zawracaj natychmiast! Na co czekasz? Nie widzisz, co się dzieje? Szybko na Kochanowskiego bronić tam budynków! Strzelaj, jeśli trzeba. Zrozumiałeś?

Potwierdzając rozkaz, Cyryl zaklął bezgłośnie. Że też na niego musiało to trafić! Pomyślał z zazdrością o Zasadnym: ten miał nosa, wiedział, kiedy dostać ataku ślepej kiszki. I znów przed oczami pojawił się ojciec. Nieśmiało przypuszczenie coraz bardziej zmieniało się w pewność. Umysłowił sobie, że tkwi to w nim od samego początku, gdy tylko zobaczył, co się dzieje. Niemożliwe, aby teraz właśnie ojciec nie chwycił za broń. Całe lata czekał cierpliwie, aż wybije jego godzina, wszystko poświęcił, aby jej doczekać. No i przyjechał właśnie dziś, a najpewniej był w mieście już wczoraj. Jest gdzieś wśród tego tłumu, może nim nawet dowodzi. Ale na przekór temu, co wydawało mu się już niemal pewne, podał komendę:

— Podnieść działko, chłopcy. Lufa erkaemu na dwa metry do góry! — Wypowiedział to nieswoim, przytłumionym głosem, notując równocześnie w myśli, że i tak nikomu nic stać się nie powinno, że w najgorszym razie strzały pójdą wysoko ponad głowami.

Wypadki biegnęły teraz szybko, a sytuacja zmieniała się z każdą chwilą. Wjazd na Kochanowskiego był już zabarykadowany: przewrócony tramwaj i potężna, parotonowa ciężarówka. Dla IS-2 nie było to żadną przeszkodą. Bez trudu staranowali ciężarówkę i osłonięci drzewami zatrzymali się u wylotu ulicy, lekko opadającej w dół. Tu kończyła się już manifestacja, okrzyki, transparenty, a trwała regularna walka. Z okien Urzędu splotywały na szarżujący tłum na przemian strumienie wody z grubych węży i krótkie serie z broni maszynowej. Na bruku leżeli ranni i zabici, ale nic nie powstrzymywało atakujących. Od pobliskiego szpitala wybiegały postacie w białych kitlach. Lekarze i pielęgniarki,

przebijając się z trudem przez jezdnię i chodniki, zgarniali ciała i znikali równie szybko, jak się pojawiali.

Poprzez wzmagającą się strzelaninę docierało raz po raz głucho dudnienie. Ktoś z tłumu próbował łomem sforsować bramę głównego budynku. Nagle dudnienie urwało się — krótka seria i mężczyzna w zielonkawej koszuli zwałił się na ziemię. Tuż przy nim wyrosły wysoko ponad głowami biało-czerwone chorągwie. Powiewały nimi dwie młode tramwajarki, torując drogę oddziałowi uzbrojonemu w kamienie i butelki zapalające. Krok po kroku nisko pochyleni ludzie zbliżali się do szarego budynku, na który szedł najsilniejszy atak. Tłum usuwał się, nieruchomiał w milczącym półkolu. Nacierający byli tuż przed bramą, gdy tramwajarki, przecięte ognistą salwą z najniższego piętra, upadły na bruk, a obok z nich wypuszczone z rąk sztandary. Ludzkie mrowie drgnęło, zdawało się, że kto żyw, z gołymi rękami rzuci się na budynek, że nastąpi masakra, ale w tym momencie jakby spod ziemi wyrósł mały, kilkunastoletni chłopiec. Podniósł chorągwie, uniósł ją wysoko i zakofysał nią raz i drugi. Było to tak nieoczekiwane, że tłum na ulicy i ci w oknach na moment zamarli; strzały umilkły i zrobiło się zupełnie cicho.

Trwało to nie więcej niż kilkanaście sekund. I zaraz strzelanina rozbrzmiała ze zdwojoną siłą. Wysoko buchnęły naraz ciemne kłęby dymu. Gęstniały w oczach, przesłaniały coraz bardziej widoczność. Dopiero po pewnej chwili można się było zorientować, że szturm na budynek szedł teraz pod osłoną zapalonych beczek ze smołą. Raz po raz wyłaniały się i znikwały w rozprzestrzeniających się szeroko oparach sylwetki uzbrojone już w karabiny i automaty.

Z wąskiej przecznicy wytoczyły się wolno dwa czołgi. Jeden i tuż za nim drugi. Cyryl dałby wiele, żeby wiedzieć, kto nimi dowodzi i czy odważy się oddać strzały do ludzi. Serce podchodziło mu niemal do gardła — strzelą, czy nie. To jedno było ważne, nic poza tym. Odpiął haftkę pod kołnierzem, otarł wierzchem dłoni pot z czoła, odchylił hełmofon, słyszał jak Walkowiak coś do niego mówi, o coś pyta, ale jego słowa do niego nie docierały. Coraz bardziej upewniał się we własnej decyzji: bez względu na wszystko on strzelać nie będzie. Szybko i nieskładnie przemykały mu w pamięci strzępy ojcowskich opowieści. Chłonał je zawsze pilnie i stale o nich pamiętał. Był przecież z ojca tak bardzo dumny. Gdyby nie życiowa konieczność, nigdy by go w swej ankiecie nie uśmiercił. Ale fakt pozostawał faktem: zrobił to jednak dla tych oficerskich gwiazdek i tego już z własnego sumienia wymazać się nie da. Zobaczył nagle pusty, jesienny park — ostatnie ich spotkanie. Dokładnie tkwiło w uszach to, co ojciec mu wtedy powiedział: „Wierzysz w to, co wygodniej, chłopcze. A jak się nie wierzy, to jakże łatwo tę wiarę wmówić.

Zwłaszcza jeśli ci bez przerwy wbijają do głowy, że białe, to nie białe, a czarne i odwrotnie — że czerń ma w istocie kolor lśniącej bieli. I ani się spostrzeżesz, jak zostaniesz wciągnięty do tego bezmyślnego chóru piewców, a stąd już tylko krok do każdego świństwa, do każdej zbrodni!”

Przetarł oczy. To co zobaczył w rozwianej przez wiatr smudze dymu było chyba złudzeniem, tak nierealny wydawał się ten obraz. Nie wiadomo przez kogo dowodzone czołgi najwyraźniej nacierały na bramy Urzędu. Pod ich osłoną biegli cywile, sporo ich było, wszyscy z bronią w rękę. Gęste serie krzyżowały się, padały zewsząd — z gmachów, gdzie bronili się oblężeni ubowcy, z przyległych domów, ze strychów, piwnic, dachów i podwórek.

Poprzez odgłosy walki przebijało się skądś narastające dudnienie: radiowóz. Tubalny głos oznajmiał wolno i dobitnie: „W kraju dokonano przewrotu — gmach UB jest ostatnim bastionem obalonego reżimu!”. Słowa te dotarły do Cyryla razem z trzaskiem pękającego pnia i łamiących się gałęzi. Nad głową rozbłysły pospieszne serie, nie wiadomo, przypadkowe, czy skierowane na nich. Były jakby sygnałem, że należało się stąd ruszyć. Tylko w jakim kierunku? Od Dąbrowskiego nadjeżdżała ciężarówka wyładowana po brzegi uzbrojonymi ludźmi. Zahamowała gwałtownie tuż za nimi. Sprawnie i szybko, od razu gotowi do walki, ci z ciężarówki zajmowali pozycje po obu stronach ulicy. Ten kto nimi dowodził, siwiejący, drobny mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki, odwrócił się nagle i krzyknął w stronę Cyryla:

— Pan z kim, poruczniku? Niech się pan decyduje!

Nie czekając na odpowiedź odwrócił się, gestami rąk dając swoim znaki, aby skokami przesunęli się do przodu. Nie wszystkim się to udało. Bębniące po bruku serie zmiotły od razu kilku. Mignęła w pobliżu biel lekarskiego fartucha, uniesione w górę nosze pospiesznie dźwignęły rannych. Reszta bez ociągania, padając i podnosząc się, biegła za dowódcą.

— Ruszaj przed nimi. Osłaniaj ich!

Walkowiak, już z nogą na gazie, jakby pewien takiego właśnie rozkazu, uniósł w górę rozradowaną twarz i tylko skinął głową.

Zgrzyt gąsienic, dudniąca kanonada i gromkie „hurra” trzech wychylonych z czołgu strzelców zmieszały się teraz w jedno.

Nie wiedzieli, bo wiedzieć nie mogli, że w tym samym czasie wokół miasta, na wszystkich jego obrzeżach, zaciska się z każdą chwilą szczelniejsza, żelazna obręcz i że do tego zadumionego ośrodka buntu ściągają zewsząd uzbrojone po zęby zastępy, aby bronić do końca starej władzy, która ani myślała kapitulować.

Jerzy KORCZAK

Drukowane bez wiedzy i zgody autora. (Red.)

Miesiące

grudzień

Deszcz. Czytam autobiografię Koestlera. Był Węgrem i Niemcem, syjonistą i komunistą, nieśmiałym sensatem i wiedeńskim burszem, Żydem, który nie lubił Biblii i Talmudu, bojownikiem przyszłości, który wróżył koniec świata. Píše o swojej przepoławionej duszy i można się domyślać, jak bardzo go nękała podwójność bytu, ząębienie się dobrych i złych znaczeń. W marksizmie, w żydostwie, w przyrodzie, we wszystkim jest sprzeczna podwójność, nawet w słońcu. Wszystko ma ciemne i jasne znaczenie. Gdyby słowo *dwuznaczny* odjął ujemny sens i nie pragnął jednoznacznej odpowiedzi *tak czy nie*, życie stałoby się mniej nieopjęte. W deszcz odbyła się potężna manifestacja antyrasis-towska, trzydzieści tysięcy ludzi szło, biegło, krzychało od placu Bastylii do placu Opery. Nowy styl: skanduje się hasła melodyjnie, jak refren piosenki, olala! tralala! — i biegnie w miejscu, trzymając się pod ręce. Masa młodzieży, różnokolorowa, wrzeszcząca, rozbawiona, późno już było, szli w półmroku, wśród zapalających się świateł połyskiwały mokre włosy i dresy. Czujęm jak ogarnia mnie drzączka, bił od nich silny, gorący prąd i być może, gdyby padł rytmicznie wyskandowany okrzyk, poszliby zabijać rasistów. Ale była w nich także republikańska waleczność, jak pół wieku temu, w latach pogardy i nadziei, kiedy zwierzę dopiero podnosiło łeb. Patrząc na nich z chodnika wyobrażałem sobie, jak by to było, gdyby dzisiaj w Warszawie tłum mógł pójść ulicami i wykrzyzczyć, wytańczyć swoją prawdę. Ludzi opętałoby, wpadliby w szaleństwo.

Przyjechał Konwicki, miał wieczór w Centre du Dialogue. Salka pękała, ledwie dopchaliśmy się z M. i Olgą. Konwicki —

jak byśmy się widzieli przed tygodniem, taki sam. Leśno-kawiar-niany, zawsze mi się wydawało, że do stolika na Wiejską przycho-dził wprost z uroczyska, cały w ochronnych barwach, szary, zie-misty, w kolorze drzew i tłumy, oczy patrzące jak z zarośli. Kon-wicki — wspaniały w swoich zagniewaniach i czarnowidzeniach, niebezpieczny w przyjaźniach. Lubimy się, z napadami wzajem-nej złości i słodyczy, przywiązały nas do siebie lata, pchane razem jak taczki. Mówiłem w chwilach rozdrażnienia: nieszczerzy Żmu-dzin, obejmuje pod kolana, żeby ugryźć w łydkę, czterysta lat dłu-żej czcili bałwany na tych litewskich uroczyskach. Czasami po-sądzam go o zawiści i twierdziłem, że nocą siedzi nad jeziorem, wykluwając oczy drewnianym kukiełkom, a kiedy indziej myśla-łem: najbliższy z moich wrogów. Zanim odbył się jego wieczór na Surcouf, byli u nas oboje i zaczarował mnie. Na jednej strunie wybrzdąkał schrypniętym głosem swoje zaklęcia i wróżby, nikt przez te cztery lata nie ukazał mi Polski tak ostro, z taką widzial-nością. Tak zajaęła, czuła i bolesna może być tylko miłość bez zakłamań, wściekła, z nerwami na wierzchu. Kiedy żegnaliśmy się wymęczeni, spytałem go: — Powiedz, skąd tyś się taki wziął, przecież wymarli albo wyginęli do ciebie podobni — na co Kon-wicki nic nie odpowiedział, spojrzął w ścianę.

Na jego wieczorze pod koniec zadano mu pytanie w sprawie Rosjan, stosunku Polaków do Rosjan. Właściwie tylko w polskich dyskusjach mówi się dziś „Rosja”, mając na myśli ZSSR. Sowieto-lodzy wytykają to jako niebezpieczny błąd, a rosyjscy emigranci czują się urażeni. Człowiek rozsądny powinien się z tym liczyć. Nie ma dziś Rosji — jest ZSSR. Nie należy mówić o Rosjanach, lecz o sowieckim totalitaryzmie. Wszelkie racje, jakie za tym stoją, rozumiem. A jednak trzeba mówić o Rosjanach. Są jedy-nym narodem, który mógłby uwolnić świat od sowietyzmu. Gdy-by ustrój komunistyczny został obalony w Jugosławii, Chinach lub na Kubie, sowiecki totalitaryzm istniałby nadal. Ale gdyby obalili go u siebie Rosjanie, komunizm nigdzie by się nie utrzymał i zniknąłby z powierzchni ziemi. Dlatego mówię o Rosjanach. Ostatnio — z katolickim intelektualistą, Chirpazem, profesorem filozofii na uniwersytecie w Lyonie. Przeczytał francuskie wyda-nie *Miesiące* i zainteresował go stosunek Dostojewskiego do Po-laków. Opowiedziałem mu, jak Dostojewskiemu działali na ner-wy polscy zesłańcy, współkatorżnicy. Patrzył na nich spode łba, ich moralny katechizm, niezłomność, dumne cierpienie za Boga i Ojczyznę, dla niego, który już wiedział, ile jest mroku w czło-wieczęństwie... musiało go to drażnić, pewnie ich uważał za szlachetnie zakłamanych głupców. I pewnie nie tylko on. W 1863 Tołstoj, wtenczas już ojciec rodziny, znany pisarz i światły zie-mianin, rwał się na ochotnika do armii tłumić polski bunt. Nie zdążył, powstanie upadło. Podobnie dziś wielu Rosjan widzi w

polskich zrywach wolnościowych prowincjonalne fomy, chęć wywyższenia się ponad ogólnoludzki i rosyjski los. Nawet w utworach niektórych dysydentów rosyjskich (Zinowiew) słychać pouczającą nutkę: „tak, człowiek sowiecki ma coś z wieprza, ale stoi za nim imperium, i niech wam się nie zdaje, że jesteście lepsi”. Polacy wiedzą o tym wszystkim, instynktem, przez skórę, i zwiększa się przez to ich kompleks wyższości. Mówią: ruscy. Pawizm i papugizm, snobizmy, naśladownictwa, wszystko prawda, a jednak Polacy są narodem europejskim, psychologicznie bliższym Francji niż Rosji. W polskim odczuciu życie nie jest chorobą niszczącą duszę, lecz zmiennym i niedoskonałym stanem rzeczy. To jest odczucie zachodniochrześcijańskie, takiego stosunku do życia często mi brak w rosyjskich arcydziełach. I wtedy mówię: Rosjanie.

Po kolacji u znajomych na krańcu miasta, położyłem się zmęczony i trochę skołowany winem. Od razu mi się przysnił duży stary park, w którym przy stolikach siedziały nagie kobiety, sprzedając karty wstępu do drewnianego budynku, gdzie mieścił się dom publiczny. Jedną z nagich kobiet była moja ciotka Marychna, ta z myszką na białej szyi, żona brata mojej matki, Ignacego. Wykupiłem bilet do niej na całą noc, ale nagle znikła, próżno szukałem jej w parku i w budynku. Później nie mogłem już zasnąć i leżąc myślałem, skąd wziąć papierosa. Przed tygodniem ktoś u mnie zostawił napoczętą paczkę, którą M. wyrzuciła. Wyrzuciła czy schowała? W bezsenne noce często robiłem notatki, a czasem zasypiałem po wypaleniu papierosa. Teraz nie ma w domu okruszyny tytoniu, nie palę już sześć miesięcy. Notatki? Tego, co po ciemku łęgnie mi się w głowie, nie da się albo nie warto notować. To nie są myśli ani obrazy, raczej majaki, niemożliwe do wyartykułowania pół-zjawy, erotyczne brednie lub myślojeki z pytajnikiem: po co?... W końcu zapaliłem lampkę i otworzyłem na chybił trafił pierwszą z brzegu książkę:

„Cofając się na widok oczekującego na nią wózka dla skazańców Królowa szepnęła, że czuje nagłą potrzebę. Musiano rozwiązać jej ręce i spełniła ją przykucnąwszy w kącie wartowni”.

Odkładam książkę, gaszę lampkę. W tej samej chwili zapala się światło w uchylonych drzwiach do pokoju M. — Nie śpisz? — Nie odzywam się, udaję że zasypiam. — Nie śpisz — mówi M. Wiem że za sekundę spyta, o czym myślę. Uprzedzam tę sekundę i zamiast powiedzieć, że śnił mi się burdel w parku, mówię: — Kto napisał to zdanie, że honor jest poezją obowiązku? Nie mogę sobie przypomnieć. — M. wzdycha: — Pewnie jakiś Francuz. Może Corneille, spróbuj zasnąć. — Ale to ona zasypia, po chwili słyszę jej oddech.

Dwa tygodnie temu mówiłem przez radio o najlepszych książkach, jakie przeczytałem w 1985 roku i spośród napisanych w

kraju wymieniłem tom Adama Michnika *Z dziejów honoru w Polsce*. Na kartce miałem notatkę z tym zdaniem Pascala o honorze, jednakże przeoczyłem ją w trakcie parominutowej wypowiedzi do mikrofonu.

Wczoraj znalazłem stary notes z telefonami i adresami. Jest w nim też sporo notatek z końca lat 1970-tych. Jedna, chyba z 1979, o rozmowie z Piotrem Wierzbickim, któremu wtedy urodziło się dziecko. Notatka brzmi tak: „Rozmowa z Piotrem W. i moje pytanie: gdyby miał pan zdecydować o historii świata na najbliższy okres, co by pan wybrał? Złamanie ZSSR za cenę stu milionów ofiar, czy umocnienie się dominacji ZSSR przy równoczesnym zachowaniu życia, z nieprzewidywanymi perspektywami, nadzieją przemian, płodzeniem dzieci itp. Wojna i zniszczenie, czy ustępstwo wobec zła, które jest życiem? Piotr W. odpowiedział przez zaciśnięte zęby: — Wybrałbym tę drugą możliwość”.

To jest dzisiejsze stanowisko Zachodu.

Inna notatka — o francuskim producencie filmowym, który po raz pierwszy wybrał się do Polski (1979): „Wrócił wzruszony i opowiadał, że wiele rzeczy przypomina tam okupację we Francji. Okupacja to była jego młodość, dlatego tak się wzruszył w Warszawie”.

Zgłosił się do mnie „gość z kraju”. Stawiam cudzysłów, aby zasygnalizować dwuznaczność osoby i spotkania. Osoba — na tyle przyzwoita, by móc się z nią spotkać — zapewniła mnie, przypuszczalnie w czymś imieniu, że mój powrót do kraju byłby mile widziany; rodzaj listu żelaznego czy glejtu nietykalności. Po kilku wysłuchanych zdaniach przerwałem zmieniając temat, spotkanie trwało kwadrans.

W dzieciństwie bałem się, że nie potrafię być dorosły. Nie miało to nic wspólnego z trwogą metafizyczną. Dręczył mnie strach nie przed tym, że oddalając się od dzieciństwa zbliżam się do śmierci, lecz rozpacзлиwa pewność, że w wieku lat trzydziestu lub czterdziestu nie potrafię być inżynierem ani prawnikiem i nie sprostam życiowym obowiązkom mężczyzny w sztywnym kołnierzyku z krawatem. Słuchałem jak moi wujkowie rozmawiali o imporcie maszyn albo spółkach akcyjnych i rosła we mnie desperacja. Przygłębiały mnie zwłaszcza słowa *palestra* i *kancelaria*, bo podobno miałem zostać adwokatem. Obawy męczyły mnie również w czasie wakacji i pamiętam, że nieraz odstawiałem hulajnogę, aby wpatrzeć się w zagadkowe widmo adwokatury. Przypuszczam, że między innymi lęk przed życiem dorosłych przyczynił się do tego, że zacząłem pisać. W fikcji, w zmyśleniu jest coś z wagarów, łatwiej zblagować dlaczego nie przyszło się na lekcje, niż przesiadzieć sześć godzin w klasie. Kancelaria... palestra... Dyplom magistra praw uzyskałem na dwa miesiące przed

wybuchem wojny, i właściwie, jeśli się zastanowić, można by dojść do wniosku, że cała moja praca literacka polegała na usilnym i szczegółowym wyjaśnianiu okoliczności, na skutek których nie zostałem adwokatem.

Dlaczego od dzieciństwa lękałem się o ojca, że się przewróci i upadnie na ziemię — czy nie dlatego, że cały świat dorosłych wydawał mi się zagrożony i nieświadomie współczułem tym poważnym panom w binoklach, w sztywnych kołnierzykach, panom mecenasom i panom dyrektorom, których za kilkanaście lat będą wrzucać do pieców albo zamrażać w lodzie pod Kołłem Polarnym? Nie byłem jasnowidzem, ale mogłem być różdżką przewodzącą podziemne drgania czasu, i pytam dzisiaj, czy istotnie bałem się tego, że nie nauczę się prowadzić kancelarii, czy może czegoś stokrój gorszego, straszniejszego, co przygotowywało się pod nami i nad nami, już wtedy, w czasie tych letnich wakacji w Krynicy, dwanaście, jedenaście i dziesięć lat przed końcem świata dorosłych. Zjeżdżałem na hulajnodze z góry, na której wznosił się pensjonat *Prezydent Wilson*, w dół do głównej alei, wypełnionej powolnym tłumem kuracjuszy, i łatwo odnajdywałem w nim rodziców spacerujących z panną Margueritą Billard. To był rok 1927 albo 1928. W 1929 mieszkaliśmy w pensjonacie *Zacisze* u zaprzyjaźnionego z ojcem pana Tonia Januszkowskiego i w czasie tych wakacji nie jeździłem już na hulajnodze. Grałem w tenisa z moim rówieśnikiem Tadzkiem Drutowskim, a pan Tonio zabierał mnie w tajemnicy przed matką na piorunujące jazdy swoim półwyścigowym samochodem. Do Krynicy przyjeżdżały moje ciotki, Ewunia, Marychna, Kazia, Różyczka, Gabrysia, obrzucone adoratorami i mężami. W pensjonatowych jadalniach i na werandach po kolacji tańczono, w głębi przy stoliku do kart filowały z wypiekami na policzkach stare pokerzystki o uczernionych rzesach. Z tych wakacji w Krynicy pamiętam niektóre twarze i sylwetki, a czasami sceny, zbiorowe, nieruchome. Przypominają mi się coraz częściej, ale widzę je niepełne i rozczłonkowane, a zarazem pozazębiane o siebie, jak picassowska *Guernica*. Lekarz zdrojowy doktor Mayer we fiakrze — dzwonięcie upręży, łby góralskich koni — dzwonięcie i wypielęgnowana srebrna broda — doktor Mayer z fiakra wpija niebieskie oko w najdostępniejszą z moich ciotek, w tę, której pożądałem, w Marychnę, idącą w świetle młodzieńców przez trawnik hotelu *Lwigród*. Ponad nimi na hotelowym tarasie obnaża w śmiechu dziąsła moja druga ciotka, Ewelina, a przy niej profesor Dziurzyński o nagiej tatarskiej czasce i mecenas Leon Berenson, pokazujący właśnie sztukę z drewnianym kołem i szklanką wody. Ciotka Ewunia, rozwódka, wysoka, rudoblond, która powróciwszy do panińskiego nazwiska zmieniła je z Eweliny Rotszyld na Rotyńską (ciocia Erotyńska, śmiał się ojciec), Ewunia zniknęła w marcu, aby pojawić się

wczesnym latem z czarnowłosym kochankiem przywiezionym z Lido lub San Remo. Kiedy badano ją w Alei Szucha — nazywała się wówczas Evelina Rossi — oszołomiła pułkownika gestapo włoską konwersacją, niestety zabrakło jej rodzinnych metryk. Ale to już były lata czterdzieste. Lata krynickie, dwudzieste, miały jeszcze sporo beztroski, jeszcze wiele spraw się nie rozpadło, wszystko jakoś niezłe łączyło się ze sobą w tych krynickich latach, przy wspólnych stołach, w pensjonacie *Wilson* i w *Zaciszu*. Państwo Majmonowie z panią Wężykową, i Jamontowie z Landsbergami, profesor Rose z profesorem Dziurzyńskim i urodziwą panią Libanową, i Dymsza z Tuwimem (bo ich także widziałem idących przez krynicki deptak). Wciąż jeszcze trwało spokojne życie w polsko-żydowskim narodzie. Świat rozdzielał się dopiero przy *Srebrnej Róży*, okazałym drewnianym pensjonacie, stojącym w dole promenady, za pawilonami zdrojowymi. Dalej była już Krynica chudonoga i obcojęzyczna, w białych pończochach i aksamitnych kapeluszach, Krynica rabinacka, w lisiurach, w atłasach. Rano na pustej promenadzie błękitnooki, kościsty doktor Mayer stał ze swoim drzącym ratlerkiem przed *Srebrną Różą*, a kiedy dał halny wiatr, królewska broda rozwiewała mu się na dwie strony, i tak wznosił się, skrzydlaty i potężny, nad dwoma krynickimi światami, w których oddech codziennie się wsłuchiwał swoim żółtawym uchem podobnym do trąby. W całej Krynicy najbardziej podziwiałem doktora Mayera i pana Tonia Januszkowskiego.

Nie znam szczegółowych okoliczności i dat, w których umierały i ginęły moje „krynickie” ciotki. Dziś żyje tylko Różyczka, najmłodsza i najdzielniejsza, siostra stryjeczna mojej matki. Żyje w Paryżu na ulicy Piccini, niedaleko Pól Elizejskich, prawie unieruchomiona, w białych bluzkach z kryzami i z kulą w kręgosłupie. Kazia, piękność kaliska, cioteczna siostra ojca, której mąż, Maksymilian, popełnił samobójstwo w czasie ucieczki wrześniowej w 1939, ocalała prócz cennych obrazów sporą część biżuterii i zamieszkała przy rodzinie swego dawnego szofera. Podczas okupacji często bywała w domu Zenowiczów i dożyła Powstania Warszawskiego. Po wojnie nikt jej już nie spotkał. Jej siostra, Gabrysia Galewska, rozstargniona, czytana panna, o zgrabnej figurze i twarzy łagodnego mopsa (podbijała mężczyzn tylko na balach maskowych) umarła budując dom. Willa, którą stawiała sobie w Aninie, wyszarpnęła z niej wszystkie oszczędności i całą żywotność. Najlepiej pamiętam jej głęboki, dźwięczny baryton i muskularne łydki. W Kaliszu przed pierwszą wojną światową zasłynęła w amatorskim teatrze rolą austriackiego oficera z trzcinką i monoklem. Trzecią cioteczną siostrą ojca była Ewunia Rotszyld-Rotyńska-Rossi... Pułkownik, który z nią konwersował po włosku w gmachu Gestapo na Szucha, zwolnił ją warunkowo.

Zobowiązała się pod słowem honoru sprowadzić przez konsulat swój włoski akt urodzenia. Nazajutrz zmieniła adres. Później widywano ją w kawiarniach na Mazowieckiej, otoczoną rozmownymi starszymi panami, zawsze elokwentną, o różowych włosach, powiekach i dziąsłach. Żyła towarzysko i zamożnie, chroniona przez zakochanego w niej porządnego Niemca, dyrektora jednej z wielkich łódzkich fabryk. Pewnego czerwcowego dnia w Alejach Ujazdowskich zatrzymał się przy niej osobowy mercedes, z którego wysiadł pułkownik Gestapo i uderzył ją skórzaną rękawicą w twarz. Potem Evelinę Rossi ktoś jeszcze widział na Pawiaku. Ale zginęła gdzie indziej.

O tym że obydwie moje ciotki-zalotnice, Marychnę i Ewunię, wywieziono do obozu zagłady, o tym wiedziałem. Ale broniłem się przed obrazami, nie pragnąłem odgadnąć jak i kiedy zginęły. Odsuwałem zwłaszcza myśl o ślicznej i wesolej Marychnie, która nie pozwoliła mi nazywać się ciotką; przed wojną byliśmy już na ty. Kiedyś rozpięła mi guziki od piżamy i szybko przesunawszy małą ręką w dół po moim ciele, pocałowała mnie w szyję za uchem. Wyszędłem akurat z łaźienki, było to w miesiąc po naszej przeprowadzce z Łodzi do Warszawy, gdy przyjechaliśmy na dwa dni z matką pożegnać się w Łodzi z dziadkami, wujkami i ciotkami. Nocowałem wtedy z Marianem w lila-beżowym saloniku Marychny, miałem niecałe 16 lat. Często wspominam ten pocałunek. Częściej niż jej śmierć. Ilekroć zdarzyło mi się pomyśleć o jej ostatnich chwilach, widziałem ich oboje z wujkiem Ignacym, płaczących i obejmujących się w tłumie nagich ludzi wchniętym przed chwilą do komory. W rzeczywistości było inaczej. Przekonałem się o tym w kinie *Olympic* koło metra Plaisance. Łysawy, pulchny mężczyzna z drewnianym kijkiem w ręku (typ prokurenta bankowego lub właściciela sklepu) pokazywał dokładnie na planszy gdzie, jak i co się działo. Między jego rzetelne i pedantyczne wyjaśnienia co pewien czas wchodziły szyny boczniczy kolejowej prowadzącej w głąb bujnego liściastego lasu. Tędy dowożono transport do rampy. Do rampy...? — odzywa się spoza kadru głos reżysera filmu *Shoah*. Tak, do samej rampy, potwierdzał solidnie łysawosiwy pan z kijkiem. Po czym informował, w którym momencie oddzielano kobiety od mężczyzn. Oddzielano kobiety od mężczyzn... — powtarzał zza ekranu reżyser Claude Lanzmann. A tak, naturalnie, i po rozebraniu kazano mężczyznom zaraz prędko wchodzić do komory. Nagim...? Tak jest, oczywiście, nagim, ponieważ musieli się przedtem rozebrać, to była pierwsza rzecz. Znowu szyny, tor kolejowy w gęstej zieleni drzew, świst parowozu, wychylony człowiek w kolejarskiej czapce, pokazujący dłonią ruch podrywania gardła, i napis stacyjny TREBLINKA. To była pierwsza rzecz. Druga to było zaraz wprowadzić mężczyzn do komory... Najpierw mężczyzn, a

potem kobiety? *Ja*, najpierw mężczyzn, a potem kobiety. Mężczyzn najpierw, prędko, bardzo prędko. Tak dowiedziałem się, że w komorze gazowej Marychna Landau nie mogła obejmować wujka Ignasia, gdyż weszli do niej osobno, w dwóch różnych grupach. A przez ten czas jak mężczyźni znajdowali się już w komorze, pytał Lanzmann, gdzie były kobiety, co się z nimi działo? Kobiety, one czekały, ma się rozumieć, po rozebraniu się. Nagie? Tak jest, nagie, bo wszystko co miały na sobie, znaczy się ubranie, obuwie, bieliznę, kazano im złożyć porządnie na ziemi. W kupki. Więc przez ten czas mężczyzn gazowano? No tak, właśnie przez ten czas, tak było zorganizowane. I jak długo to trwało? ile minut, *wiele Minuten...*? Pan z kijkiem zastanowił się. Po chwili odparł ze skinięciem głowy człowieka zadowolonego, że to co mówi jest ściśle zgodne z prawdą: — *Zehn bis fünfzehn Minuten. Ja*. — A te kobiety, jak się one wtedy zachowywały? Czekały na swoją kolej...? *Ja*, one czekały. Ale one już wiedziały. Reżyser: o czym wiedziały? No, one już wiedziały, że tam jest gaz. Łysawy pan jakby się zamyślił, szukał odpowiednich słów. One nagle czuły potrzebę... Każda się wypróżniała. Mężczyźni nie, bo ich to zaraz pędzono do komory, bardzo prędko! Ale one czekały i po nich zostawały ekskrementy, kupki. Później trzeba było wykopać specjalne rowki, nieprawda, żeby odprowadzić kał.

W Hôpital Cochin, konając obok mnie po operacji, która wyczerpała jego płuca i serce, pan Angel szeptał do siebie: — Obrzydliwe... *déqueulasse... déqueulasse...* — Słowem tym oceniał zapewne życie, z którym się właśnie rozstawał. Wyżył jednak. Przeniesiono go do separatki i na dzień przed opuszczeniem szpitala idąc korytarzem zobaczyłem go przez uchylone drzwi, oplątanego kablami Ekg i szlauchami kroplówki, w pozycji półsiedzącej, z rurką w nosie. Nie miał jeszcze sił uśmiechnąć się, tylko lekko pokiwał mi ręką: — *Ab, les braves Polonais...* — Pan Angel lubił Polaków i przed operacją opowiadał mi, że w 1940 po klęsce, kiedy z grupą francuskich oficerów wziętych do niewoli został przewieziony do oflagu pod granicę belgijską, oficerowie polscy, którzy w tym oflagu byli już od wielu miesięcy, przyjęli Francuzów honorowym szpalerem i śpiewem *Marsylianki*. — Płakaliśmy, wie pan? — spoglądał na mnie z poduszki.

W filmie *Shoah* Polacy nie wystąpili ani jako *les braves*, ani „na ławie oskarżonych” (tak napisał pewien chybki dziennikarz paryski po premierze filmu). Obiektyw ukazywał ludzi gadatliwych albo nie umiejących się wystowić, osłupiałych lub przemądrzałych, emeryta, chłopca, kolejarza, pyskatego tłumek, baby. W kinie *Olympic* salka była wypełniona publicznością w różnym wieku i przez dwa pięciogodzinne seanse można było oglądać Polaków z okolic Treblinki, kobiety i mężczyzn, którzy w roku 1943

mieli przeciętnie licząc dwadzieścia, dwadzieścia parę lat. Takich ludzi jeszcze jest w Polsce sporo. I takich miejscowości — ni to wieś, ni to miasto — także jest dużo. Przejżdża się przez nie, widać kury, baby, malwy za płotem, begonie w oknie, listonosza na rowerze, przystanek PKS-u i gapiów stojących na rogu przed spółdzielnią. Mała, gminna, brzydtko zbudowana, podwórkowata i ludzikowata Polska, w spokojnym a nieraz pięknym krajobrazie, ani bardzo zła, ani zbyt dobra, smutna raczej. Taka, jaka jest. Pod Opolem Lubelskim, Sulejowem, czy w gminie, która nazywa się Gózd, gdzie kiedyś wpadł mi pod koła siedmioletni chłopczyk, biegnący przez asfalt zza autobusu PKS, z którego wysiadali tacy właśnie ludzie, jakich pokazał Claude Lanzmann w filmie *Shoah*. („Kochany Panie Brandysie! Dziękuję Panu, że Pan mnie nie zabił” — napisał mi potem w wykaligrafowanym liście mały Staś Stankowski). Takich miejscowości i ludzi również jest wiele w innych krajach, w Czechosłowacji, Jugosławii, Grecji, na Węgrzech, może tylko miasteczka ładniej zabudowane, a ludzie wyglądają mniej szaro. Film *Shoah* przedstawia Polaków w okolicach Treblinki z niespecjalną sympatią, ale bez wrogości. Są nisko ucywilizowani, nie zawsze ogoleni i czysti, jednakże nie czuje się w nich zdziwienia, prędzej jakąś krowiąstą poczciwość, tacy ludzie rzadko nienawidzą. Zdaje się, że reżyser przede wszystkim chciał w nich pokazać ludzką przeciętność, pospolitość. Są mierni, banalni, mało wyszukani. W tym filmie także Żydzi nie są bohaterscy ani wzniośli — ci ocaleni, z Ameryki i Izraela, którzy musieli wyciągać i palić trupy — i nawet Lanzmann odzywa się niekiedy w sposób płaski (— Czy pani jest zadowolona dlatego, że nie ma już Żydów, czy dlatego że jest socjalizm?), a przede wszystkim makabryczną pospolitością zieją występujący w filmie Niemcy. Ale i od tego gorliwego parafianina, który rwał się przed kamerę z niezgrabnymi gestami i wstrętne zmyśloną opowieścią o rabinie, co sam zaprowadził swoich Żydów do komory gazowej, by razem ponieść karę za ukrzyżowanie Pana Jezusa, od całej tej rozgadanej gromadki przed kościołem, poklepującej stojącego w środku i trochę niemądrze uśmiechniętego mężczyznę, Żyda, który się ocalił, od nich także wieje mierność. Wszyscy, z jednym wyjątkiem, w tym filmie są przeciętni.

Shoah nie jest filmem przeciw Polsce, to jest film o ludziach. Film o ludziach, którzy nie ratowali Żydów, bo nie mogli albo nie chcieli ich ratować, albo nie rozumieli, że trzeba ich ratować. *Shoah* jest filmem dotyczącym tych wszystkich, których nie zamordowano. Czechów, Polaków, Francuzów, Anglików, Amerykanów, Żydów — wszystkich, którzy przeżyli. Każdy z nich, gdyby stanął przed obiektywem, aby opowiedzieć, co czuł i myślał wtedy, gdy w Treblince zabijano do osiemnastu tysięcy Żydów

dziennie, wydałby się tak samo pospolity i mierny, jak mieszkańcy Treblinki w filmie Claude Lanzmanna. W salce kinowej przez te dziesięć godzin nikt ani razu nie zakaszał, chwilami miało się wrażenie, jakby publiczność przestała oddychać ze wstydu za człowieczeństwo. Nauczycielka z Warthegau nie pamiętała dokładnie, ilu ludzi zamordowano w obozie: cztery tysiące?... czy może czterdzieści tysięcy...? — Czterysta tysięcy — oznajmił głos spoza kadru. W większości jednak, odliczając kilka bezmyślnych odzywek, relacje świadków i ocalonych były rzeczowe, pełne szczerości i dbałości o ścisłość liczb, dat, wymiarów, realiów. W końcu można było pomyśleć, że mówi się o jakimś wielkim obiekcie fabrycznym, opisuje się pomieszczenia i maszyny, podaje cyfry produkcji, wskaźniki rozwoju — i właśnie tak określił to jeden z ocalonych, deportowany z Czechosłowacji; kiedy nastąpiła przerwa w transportach i przez dwa tygodnie nie wywlekał trupów z komory, uświadomił sobie, że pracuje w zakładzie przemysłowym, w którym produkcja stanęła, bo nie dostarczono surowca.

Mówiąc o transportach prawie każdy z mieszkańców wielokrotnie podkreślał, że Żydów zagranicznych przywożono często pullmanami. Niektórzy powtarzali jakby z odcieniem z zazdrości czy kpiny, że ci zagraniczni Żydzi jedli w przedziałach kanapki, a kobiety były nieraz w futrach. W 1943 opowiadał mi znajomy w Warszawie, że będąc kiedyś po godzinie policyjnej na Dworcu Wschodnim usłyszał z takiego pullmanowskiego wagonu męski głos pytający w ciemności po niemiecku, ile jeszcze kilometrów do uzdrowiska Treblinka. *Nach Kurort Treblinka*.

Film *Shoah* w Paryżu został uznany przez krytykę za dzieło wielkiej miary. W recenzjach pisano: arcydzieło. Słowo „arcydzieło” źle przylega do tego filmu, który nie ma cech dzieła sztuki i z pewnością nie chciał ich mieć. Ale *Shoah* jest dziełem nowego rodzaju i niezmiernie wagi: pierwszym wielkim dokumentem filmowym o zachowaniu się ludzi wobec społeczności przeznaczonej na śmierć. Jest filmem o miejscu i świadkach ludobójstwa. Nie o katach i ofiarach, ani o stosunku między katem a ofiarą, lecz o moralnej pamięci świadków i o technice wykonania zbrodni. *Shoah* od siedmiu miesięcy ściga widzów na Zachodzie, którzy — tak przypuszczam — domyślają się, że ten film wiele mówi o prawach rządzących ludzkim gatunkiem. Po polsku tytuł brzmiałby *Zagłada*. Nie wiem, czy pod tym tytułem *Shoah* wyświetlano w polskich kinach, doszły mnie jednak wiadomości, liczne i różne, od widzów, którzy obejrżeli ten film w kraju. Wynika z nich, że reakcje są podzielone na „tak” i na „nie”. Część widzów mówi: tak było, taka była prawda. Inna część, która neguje prawdę filmu, twierdzi, że Polacy zostali w

nim oszkalowani, że tak nie było. Miła i wykształcona osoba, którą pytałem o *Shoah* w Polsce, odrzekła dość chłodno: film miał średnią frekwencję w kinach i wywołał zgorzniecie. W dniu tej rozmowy filmu jeszcze nie widziałem, zobaczyłem go dopiero po kilku tygodniach. Moje reakcje... Po ciemku dziękowałem (nie jestem pewien komu), że nie umarli tam moi rodzice. Matka zachorowała w podkrakowskiej wsi po Powstaniu, umarła na raka. Ojciec w więziennej izbie chorych, także w łóżku, inżynier Dangel wysłuchał jego ostatnich słów w nocy, kiedy umierał. W czasie drugiego pięciogodzinnego seansu kilka razy trzymaliśmy się z M. za rękę. Z ekranu mówili mężczyźni, polscy i czescy Żydzi, którym kazano wyciągać i palić stopy trupów. Dwóm z tych mężczyzn przez chwilę ścisnął gardło krótki, suchy spazm. Mieszkańcy Treblinki nie płakali, niektórzy jednak umieli zachować powagę. W drugiej części filmu ukazał się Jan Karski.

Odkładam do jutra.

Z drugiej części *Shoah* wyszliśmy na mokre ulice. W czasie seansu pewnie była ulewa — jezdnie, domy, gałęzie, przesła mostów, wszystko w wilgotnej czerni. Samochody przejeżdżały jak wściekłe, bryzgając pianą. Deszcz już nie padał. Wsiadliśmy do metra i później znowu chodziliśmy po ulicach. W końcu znaleźliśmy się nad Sekwaną koło Petit Pont, za którym widać było przez gałęzie skweru koński łeb i pozieleniałą koronę Ludwika Świętego. Od najwcześniejszych lat cierpię na lęk przed kamiennymi figurami, a zwłaszcza przed konnymi pomnikami. Przeszliśmy mostem. I nagle wyrosła przede mną zjawa — ogromny stalaktyt Notre Dame w światłach reflektorów, Notre Dame białej i przezroczystej jak lód. Staliśmy o parę kroków, próbowałem sobie przypomnieć, ile lat ją budowano, chciałem odnaleźć na fasadzie rzeźbę, którą opisał Proust. Zdaje się, że wtedy zaczęliśmy rozmawiać o Karskim. Profesor Karski w *Shoah* opowiada o dniu spędzonym w getcie warszawskim przed wyjazdem z Polski w misji kurierskiej z ramienia Delegatury Rządu i Komendy Głównej AK. Karski miał przedstawić na Zachodzie sytuację Żydów eksterminowanych w Polsce i prosić o pomoc rządu alianckiego oraz wpływowego środowiska żydowskie w Ameryce. Zadanie to wykonał, ale pomocy nie uzyskał (o czym w filmie nie było już mowy). Karskiego przyjął prezydent Roosevelt, wysłuchali go także bogaci Żydzi amerykańscy i prawdopodobnie w jego relację nikt nie uwierzył, bo nie mógł albo nie chciał uwierzyć. Mimo iż Claude Lanzmann usunął z filmu te fragmenty świadectwa Karskiego, sprawa jest publicznie znana. Na zjazdach i konferencjach poświęconych losom Żydów w Europie podczas drugiej

wojny światowej, w chwili gdy pojawia się profesor Karski, wszyscy wstają.

Roosevelt — człowiek umysłowo trzeźwy, a zarazem marzyciel i obłudnik — nie uwierzył, że Niemcy postanowili wymordować cały naród, naród, którzy stworzył Biblię. Tak samo by nie uwierzył, gdyby Karski położył mu na biurku dowody, że Rosjanie zamordowali kilkanaście tysięcy oficerów armii polskiej, wziętych z terytorium państwa, z którym ZSSR nie był w stanie wojny. Ale mówię, że sprawę misji Karskiego na Zachodzie reżyser z filmu usunął. Lanzmann zebrał istotnie olbrzymi materiał, jednak nie zawsze ciął tam, gdzie należało; zamiast skracać relację Karskiego, mógł wyciąć co najmniej pięć minut pejzażu. Kilka fragmentów natomiast przydałoby się dokręcić. Ktoś trafnie zauważył, że *Shoah* to bardzo długi film, który powinien być dłuższy o godzinę. Przez tę dodatkową godzinę mogliby wystąpić ludzie, którzy w czasie dokonywania zbrodni nie znajdowali się w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Mam na myśli ludzi takich, jak kolaboranci wichystowscy oraz funkcjonariusze policji francuskiej, która wydała Żydów w ręce Gestapo; myślę też o żyjących przecież zwolennikach krwawej rumuńskiej Żelaznej Gwardii. Prawda świadectwa byłaby pełniejsza.

W *Shoah* jedynym człowiekiem, który zrozumiał prawdę o zagładzie Żydów, był Jan Karski, który nie jest Żydem. Zobaczyłem wysokiego siwiejącego mężczyznę płaczącego jak chłopak. Widziałem łzy spływające mu wzdłuż nosa i po wargach. Potrząsał głową, nie chciał dalej mówić. Kamera przez sekundę nie opuszczała jego twarzy, nad którą nie panował. Nie znośłem wtedy Claude Lanzmanna. I patrząc na mokrą zapłakaną twarz Karskiego myślałem, że tacy powinni być ludzie. Jego łzy były reakcją człowieka, który przeżył śmierć kilku milionów istot ludzkich, uznanych za nie-ludzi, człowieka zrozpaczonego, że nie przeskodził tej zbrodni. Była ona dla niego czymś straszniejszym niż jej liczba i nazwa — była samobójstwem chrześcijańskiej kultury. Dlatego nie mogę Karskiego w tym filmie zapomnieć. Jednak trzeba odróżnić człowieka, który na wiadomość, że jego znajomy zachorował na raka, blednie ze strachu, od człowieka, który na tę samą wiadomość blednie ze współczucia. Trzeba ich odróżnić, mimo że wobec prawa są zrównani. Karski jedyny w tym filmie wydał mi się bliski i w najgłębszym sensie normalny, najbardziej podobny do moich szkolnych wyobrażeń o człowieku — w tym filmie, w którym objaśniano jak w muzeum, albo gadano jak na podwórku a czasem chichotano. Miałem wrażenie, jakby w całym filmie on jeden rozumiał, co się stało w roku 1943 w Europie: że rozpadł się wtedy obraz człowieka na podobieństwo Boga. „I obraz Boga na podobieństwo człowieka” powiedział Henryk Grynberg, kiedy mówiłem

o tym na jego wieczorze autorskim, który niedawno się odbył w niewielkim kółku słuchaczy. Mówiłem, bo ktoś przede mną zaczął już o tym mówić, i dlatego że tekst Grynberga był przejmujący i że czytając autor siedział obok mnie, i może dlatego że dwa dni wcześniej pewien Francuz, historyk, zapytał mnie, jak wytłumaczyć fakt, że w Warszawie na pomniku ofiar zagłady widnieje tylko napis: „Bohaterom Getta — Naród Żydowski”. Nie potrafiłem mu wyjaśnić, dlaczego na brązie zabrakło słów „Naród Polski” — odpowiedziałem, że zapewne pracowały na to ciemne siły przez tysiące lat, a nie jest wykluczone, że za takimi siłami stoi Szatan, zawistny brat Boga. Francuz uśmiechnął się dając mi znać, że pochwycił mój żart, chociaż doprawdy nie sądzę, abym żartował.

Grynberg napisał: „Każdemu antysemitom powinno się przynajmniej raz kiedyś przyśnić, że jest Żydem”. Przeczytałem jego *Prawdę nieartystyczną* i pewnie to był najistotniejszy powód, że zacząłem mówić na jego wieczorze o sytuacji Żydów w Polsce niegdyś, kiedy żyli w tym kraju, i obłąkanym zjawisku, jakim jest w nim antysemityzm dzisiaj, gdy Żydów już w Polsce nie ma. W *Prawdzie nieartystycznej* Grynberg opisał dzieje zagłady swojej rodziny i swego ocalenia z matką. Literatura polska zapewne jeszcze nie wie, ile honoru i piękna zawdzięcza temu pisarzowi, o którym krytyka mówi dziś niechętnie albo wrogo. Po operacji pisałem o nim w liście wysłanym ze szpitala do Wirpsy. Grynbergowi wytyka się obsesję w sprawie Żydów, zarzuca mu się, że nie umie o niczym innym myśleć. O niczym innym, święta prawda, Grynberg nie myśli, jak tylko o tym, co ludzkość uczyniła sama ze sobą w latach 1940-tych. Pozostał wierny swoim zamordowanym. Po obejrzeniu *Shoah* przypomniał mi się ten wieczór autorski z dyskusją, w której przytoczyłem cytaty o rozpadnięciu się obrazu człowieka na podobieństwo Boga (to chyba z wiersza Różewicza albo Herberta) i list otrzymany przed miesiącem od polskiej czytelniczki z Niemiec. Donosiła mi, że w Polsce Żydzi nadal zajmują eksponowane stanowiska. List uprzejmy w tonie, ale korygujący mój stosunek do antysemityzmu w czasie okupacji i po wojnie. Mówiłem także w tej dyskusji o nieszczęściu, jakim było dla Polski założenie obozów zagłady na jej terytorium. Ponadto *Shoah* przypomniła mi spotkanie z Claude Lanzmannem lata temu w Paryżu, gdy kilkakrotnie napomknął o projektowanym filmie i miał w związku z tym projektem gdzieś wyjechać. Pytał mnie o pogrom w Kielcach i rok 1968.

Wiele rzeczy przychodzi do głowy po obejrzeniu *Shoah*. Jaką myślą mogli się podtrzymywać Żydzi, których wieziono do komór gazowych? Tą jedną, że ich los jest cierpieniem Boga, że są Jego częścią złożoną na ofiarę. Wszystkie moje grzechy wydają

mi się dziecinne w porównaniu z tym, że kiedy oni ginęli, ja żyłem, jadłem, grałem w karty, miałem kobiety.

W znalezionym notesie z telefonami są notatki pisane jedna za drugą, bez odstępów. Na przykład: „Pan Finkenstein i ja w kinie *Odeon*. Jeżeli w zbiorowości pewna grupa ludzi jest zagrożona, to 5 % będzie jej szkodzić, 5 % pomagać, a 90 % zostanie bierne. (Cyfry hipotetyczne). Bierność może wynikać z obojętności lub ze strachu przed represjami, może także oznaczać milczące współczucie albo cichą satysfakcję. Lya de Putti. Prawdziwym bohaterem każdej powieści jest autor, zawsze tak było, z czasem powieść uświadomiła to sobie. Znał mojego dziadka”.

Pan Finkenstein był naszym sąsiadem w domu na ulicy Przejazd w Łodzi. Odznaczał się tym, że codziennie chodził do kina. Miał żonę o męskim głosie i dwóch dorosłych synów, ale do kina chodził zawsze sam. Raz na tydzień, kiedy dostawałem od ojca złotówkę na bilet do *Odeonu*, spotykaliśmy się z panem Finkensteinem w foyer, a nieraz wcześniej, już w windzie. Ponieważ nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia z tym smutnym człowiekiem w meloniku i podniszczonym futrze, często po wyjściu z domu szedłem z tyłu o dziesięć kroków za nim. Tak wchodziliśmy do kina i kupowaliśmy bilety, najpierw pan Finkenstein, potem ja. Parokrotnie zdarzyło się, że w silny mróz podczas seansu w salce obitej czerwonym pluszem było tylko nas dwóch i blada pianistka z grzywką; działo się to w epoce filmu niemego. Pan Finkenstein siedział blisko ekranu, w trzecim lub czwartym rzędzie, a ja w dziesiątym, mniej więcej pośrodku sali. Po zakończeniu seansu wracaliśmy do domu, pan Finkenstein i ja o dziesięć kroków za nim, by po chwili spotkać się w windzie. Obaj byliśmy zamyśleni. Pan Finkenstein wysiadał na trzecim piętrze, ja na czwartym. Wszystko odbywało się bez słowa: wysiadając z windy dotykał dwoma sztywnymi palcami runda melonika i w tej samej chwili ja ściągałem z głowy szkolną rogatywkę. Raz jeden tylko pan Finkenstein przemówił do mnie. Po filmie z Lyą de Putti, wysiadając z windy obejrzał się i powiedział: — A twój dziadek był bardzo porządnym człowiekiem. — Przypuszczam, że chciał mnie podnieść na duchu. Był pewny, że ja także się kocham w Lyi de Putti i że obydwóch nas przygnębił powrót do rzeczywistości.

Na rue Saint-Gilles mieszka osoba, u której zasięgam porad w sprawach podatkowych. Wchodzę: wszystko małe i wąskie, jakby projektowane dla karlicy. Sprawdziłem, że około roku 1785 w tym domu mieszkała pani de La Motte. Ta, co wymyśliła intrygę epoki, aferę naszyjnika rólowej. Mówię „wymyśliła”, bo

w tej sprawie autentyczna była tylko biżuteria, reszta została przez tę kobietę wyfantazjowana z niesłychaną pomysłowością i precyzją. Gdyby nie to że w parę lat później zburzono Bastylię, tajemnicze zniknięcie naszyjnika i wieści o nocnych schadzkach Marii Antoniny z kardynałem de Rohan pozostałyby jednym ze skandali dworskich, miłym tematem dla pamflicistów. Tu jednak zdarzyła się rzecz szczególna: wariacka opowiadka, wyssana z palca przez mitomankę i oszustkę, przemienia się w fakty obdarzone piorunującą siłą działania i doprowadza do publicznego procesu, który wykopuje moralny grób monarchii. W sali sądowej Paryż dowiedział się, że o północy w parku wersalskim Wielki Jałmużnik Francji klęczał w krzakach przed wynajętą prostytutką, przebraną za królową Francji. Część opinii uwierzyła w tę wersję, druga część uwierzyła, że w zamian za naszyjnik królowa ofiarowała kardynałowi swe względy. Trzecia wersja głosiła, że król o tym wiedział. Proces pani de La Motte, obok późniejszego ujęcia w Varennes, był najcięższym z samobójczych ciosów zadanych sobie przez parę królewską. Panią de La Motte wychłostano i napiętnowano na dziedzińcu gmachu sądowego, ale co wymyśliła, to wymyśliła: prawdziwą skazaną w procesie była „Austriaczka”, którą w siedem lat później z sąsiedniego budynku wywieziono na szafot.

W całej tej sprawie, od której zatrzęsło się w Europie, najbardziej frapujące jest dla mnie uruchomienie rzeczywistości przez fikcję. W gruncie rzeczy pani de La Motte ułożyła pomysły *marivaudage* z podrobionymi liścikami i wymyślonymi dialogami. Występowała w nim frywolna pani, łasa na błyskotki, zaślepiony mąż-rogacz oraz żądny łask i rozkoszy sybaryta z kardynalskim pierścieniem na palcu. Sobie autorka przeznaczyła rolę złośliwej subretki, która wszystkich wyprowadza w pole. Przedstawienie tej scenicznej ramotki mogło się odbyć w którymś z paryskich teatrzyków. Lecz oto spektakl przekracza rampę, wydostaje się na miasto, gazety, kawiarnie i ulice dorabiają motywy, epizody i rysy charakterów, żarcik puchnie od politycznych jądów, już załatuje od niego zgnilizną zepsucia, niebawem zapachnie krwią. W półtora wieku później w Moskwie rozpoczęły się wielkie polityczne procesy sądowe. W każdym z nich akt oskarżenia był wymyśloną opowiadką, prymitywnym montażem fałszywych dokumentów i faktów, tak samo wyssanych z palca, jak fabułka pani de La Motte. Występowały tylko inne postacie i ułożono nową intrygę: zamiast nocnych schadzek królowej z kardynałem — tajne konszachty przywódców bolszewickich z agentami obcych wywiadów. Ale w obu wypadkach fenomen wcielenia się fikcji w rzeczywistość jest podobny. Obmyślony scenariusz zaczyna działać, staje się źródłem uwarunkowań zbiorowych i reżyseruje historię. Prawdopodobnie życie ma skłonność do takich magicznych

zabiegów, które zazwyczaj są specjalnością policji, oszustów i pisarzy. W *Prawdzie nieartystycznej*, przypominam sobie, Grynberg pisze, iż ustęp o zdradzie Judasza został zapożyczony ze Starożytności, gdzie jeden z dwunastu braci, imieniem Jehuda, sprzedał Józefa w niewolę za dwadzieścia srebrników. Być może autorzy Biblii spisywali ustne opowieści, dawno stworzone przez ludzkość. Albo też wymyślili nowe, tak udane, że stały się prawdą o ludzkości. Zapożyczeń i przeróbek dokonuje się nie zawsze w dobrych celach i jest to — mówiąc językiem dyplomatów — rzecz godna ubolewania. Aleksander Wat opisał, jak sowiecki oficer śledczy, by dostosować do celów śledztwa przypowieść o cudzołożnej żonie i niewiernym przyjacielu, chciał ją zakończyć pointą narracyjną: zemstą męża. „Na Łubiance — opowiada Wat — siedziałem z literatem Dunajewskim, tłumaczem perskiej poezji. Był to człowiek piękny, o wrażliwości moralnej, jaka niegdyś cechowała najlepszą warstwę inteligencji rosyjskiej. Siedział w tej celi już trzeci rok i miałem okazję obserwować na nim, jak wariuje się w warunkach szczelnej izolacji (puszki konserw), sekretu Kafkowskiego oraz tortury pustego trwania — jak wariuje się dosłownie, stopniowo, z dnia na dzień. Niedługo po moim przybyciu poradził mi: — Niech pan od razu podpisze wszystko, czego zażądam. — Odburknąłem, że my, Polacy, nie podpisujemy, i coś tam, arogancko, o niewolniczych nałogach Rosjan. Później opowiedział mi swoją historię. Na długo przed aresztowaniem żona opuściła go: odeszła do jego najbliższego przyjaciela, mimo to wszyscy troje zachowali nawzajem dla siebie najczulszą przyjaźń. Po uwięzieniu zażądano od niego, by obciążył tamtych dwoje. Odmawiał. — Gdybym to był wtedy zrobił, siedzielibyśmy już dawno wszyscy troje w łagrze i byłoby po wszystkim. A teraz wydałem już jedenastu i nie wiem, czy na tym koniec”.

Tutaj zawiązek intrygi wymyśliło życie, oficer śledczy pragnął tylko sprowokować dydaktyczny epilog. W tym wypadku trudno mówić o wcieleniu się fikcji w rzeczywistość lub przedzierzgnięciu się zmyślenia w fakty. Jednakże policja ma skłonność do beletryzowania, a w policji stalinowskiej ta skłonność była nie tylko metodą — była zapewne namiętnością i bodaj czy nie seksualnym zboczeniem. (Jadwiga Siekierska, więziona w ZSSR wcześniej niż Wat, bo w okresie czystek, opiekowała się w celi na Łubiance ruda, garbatą i bardzo nieszczęśliwą dziewczynką żydowską, której akt oskarżenia zarzucał, że była kochanką Piłsudskiego). Nie jest wykluczone, iż ów policyjny belletrizm wypływał z pewnych zamiłowań osobistych Stalina. Wat pisze o nim jako o poźraczu rosyjskich powieści, który swój genialny system wyklarował dzięki *Biesom*. Uwagę tę Wat poprzedza ogólniejszym spostrzeżeniem, znakomitym: „Bolszewicy mieli na myśli sztukaterię

słowną, iluzjonistyczną i małpjo naśladowniczą, która miała zastąpić rzetelność i surową troskę opisu". Dodajmy, że iluzjonistyczna sztukateria słowna powinna była nie tylko zastąpić rzetelność i surową troskę opisu — czyli prawdę — lecz przede wszystkim zadziałać, uruchomić nowy stan rzeczy. To mieli na myśli bolszewicy. Nic innego nie miała na myśli pani de La Motte.

Kazimierz BRANDYS

AN E K S 41-42

KWARTALNIK POLITYCZNY

ŻYDZI JAKO POLSKI PROBLEM — J. KARPIŃSKI: *Asymetria*; J. T. GROSS: *Ten jest z ojczyzny mojej, ale go nie lubię...*; T. GARTON ASH: *Życie śmierci*; I. SHAHAK: *Normalność w nieludzkim świecie*; W. GOLDKORN: *Sens historii i zagłada Żydów*; J. KURON: *Zośka*; A. SMOLAR: *Tabu i niewinność*.

NA 90-LECIE JÓZEFA CZAPSKIEGO — W. KARPIŃSKI: *Słowa i widzenie*. ● **WYWIAD „ANEKSU”** — M. MALIA: *Rosja, Europa, „Solidarność”*. ● A. BESANÇON: *Kwestia rosyjska*. ● **POLSKA GOSPODARKA**: S. GOMUŁKA: *Drogi wyjścia z kryzysu zadłużenia*. ● **KSIĄŻKI** — S. BARAŃCZAK: *Od Sołżenicyna do Greena*; W. WYRWA: *„Historia lat siedemnastu”* — książka, której nie ma.

DOKUMENTY — NOTATKI Z LEKTURY — RECENZJE.

Cena prenumeraty rocznej (4 numery): £ 11; \$ 22.

AN E K S

61 DORSET ROAD, LONDON W5 4HX, ENGLAND

Wiersze

...Mój ty kraju znieawidzony!

Irenę Ratuszyńską sowiecki sąd skazał za pisanie wierszy i ich „rozpowszechnianie” na 7 lat łagru i 5 lat zesłania. Kiedy ją aresztowano, miała 28 lat, obecnie dobiegła już 32. Z łagru dochodzą wiadomości o pobiciach, karcercach, nie leczonych chorobach, odmowie widzeń. Ale docierają też wiersze. Te, których polskie przekłady niżej zamieszczamy, pochodzą zarówno z okresu przed, jak i po aresztowaniu, wybrane zaś zostały z dwóch obszerniejszych publikacji rosyjskich: w paryskim kwartalniku „Kontynent” nr 43 (1985) oraz w książce „Stichi — Poems — Poèmes” (zawierającej również tłumaczenie angielskie i francuskie), ogłoszonej w roku 1984 przez wydawnictwo Hermitage w Ann Arbor (USA). Z tego ostatniego źródła zacytowaliśmy również wypowiedź prozą „Moja ojczyzna”.

Rezygnując tym razem z własnej charakterystyki rosyjskiej poetki — po raz pierwszy, jeśli się nie mylimy, prezentowanej czytelnikowi polskiemu — przytoczmy kilka zdań ze wstępu Josisifa Brodskiego do wspomnianej trójjęzycznej książki: „Ratuszyńska jest poetką niezwykle autentyczną, poetką o nieskazitelnym słuchu, jednakowo czułą na czas historyczny i absolutny. To poetka całkowicie spełniona, dojrzała, z własnym głosem — przenikliwym, ale bez hysterii... Z czym jak z czym, ale z poezją nadzwyczaj powiodło się Rosji w tym stuleciu. Wiersze Ratuszyńskiej — to dowód, że wiedzie się nadal. Jednakże cena tego jest straszliwa, o czym świadczy los poetki”.

Wiktor WOROSZYLSKI

Irena RATUSZYŃSKA

A gdy rozwiązałam starą chusteczkę —
Cztery zleciały się wiatry —

Z czterech stron, z każdej po jednym wietrze,
Z ziemskich przestworzy rozwartych.

I pierwszy wiatr wyśpiewał mi pieśń
O skale i czarnej wieży,
O samopale zaklętym — wieść
Tajemną drugi mi zwierzył.

A trzeci z miejsca puścił się w tany,
A czwarty pierścionek dał mi.
A piąty śmiał się jak opętany —
I jakbym go znała dawniej...

Więc zapytałem go: — Skąd mnie znasz?
Kto wysłał ciebie, kto wezwał?
A on wpatrując się w moją twarz
Ni słowem się nie odezwał.

Wtedy dotknęłam jego ramienia —
Tym innym kazałam precz iść.
I wiatr zdmuchnął świecę, nim świat oniemiał
I noc zapadła na świecie.

Listopad 1978, Kijów

**

Ty, co przechodzisz obok, nie pij w tym mieście wody —
Śmiertelnie pokochasz za sól
O lata skwarnym posmaku.
Nie skłoń głowy — bo zatrzyma się czas staromłody.
Nie przeszedłeś Ścieżką —
Nie zobaczyłeś Znaku.
W znacznych domach nie zatoń w chłodnej pościeli,
Szczęścia zakurzonego bruków
Nie ustępuj łatwo...
Słyszysz, jak cicho? To odlecieli anieli.
Serce twe niech się spełni poza ich władzą i łaską.
W cizbie człowieczej
Dłoni nie całuj kobietom:
Strzeż się pamięci kwietnia —
Perfum, rękawiczek!
Znaku Ścieżki na czole twym niech noc nie wytrze.

Ty, co przechodzisz obok,
Niech wargi twe dumne będą!
Iżbyś nie umiłował.

1979, Odessa

**

Mój ty kraju znienawidzony!
Hańbo nocy, przybyszu znikąd!
Miałeś szczęście
Do nawiedzonych,
Do oprawców i niewolników!
Ziemio, która rodzisz poddanych,
A gorliwie gubisz i trzebisz
Nie kupionych i nie sprzedanych,
Lecz skazanych by kochać ciebie!
Jeśli wieczny strach nie poniza,
Czemu milczą twoje słowiki?
Czemu na zbezczeszczonych krzyżach
Twoje łyzy woskowe zastygły?
Śnią się twoi ukrzyżowani,
Już niedługo

tym samym szlakiem

Za przeklętą, za bliską —

sami

Na męczeństwo pójdziemy takie!
Z twoich dróg najstraszniejszą drogą —
Między

„nienawidzę”

i „kocham” —

Nasza upodlona, uboga,
Pobłogosław, matko, maccho!

**

Dziwny sen przyśnił mi się tej nocy:
mają mnie rozstrzelać o świcie.
W betonowej piwnicy siedzę
i nie widać stąd, czy się przejaśnia.
Naraz patrzę: kolega szkolny
w jednej ławce siedzieliśmy kiedyś
i ściągaliśmy u siebie zadania,
i puszczaliśmy papierowe latawce
(jakoś kiepsko się, co prawda, wzbijały).

Dobry wieczór — mówi kolega.
 A to pecha masz. Bardzo mi przykro.
 Kula w łeb — to takie okrutne.
 Jestem za łagodniejszą karą.
 Ale nikt mnie nie pytał o zdanie.
 Dali ten pistolet i — jazda.
 Wiesz, nie jestem sam, mam rodzinę.
 Żona, dwoje dzieci — syn i córka.
 Chcesz, pokażę ci fotografię?
 Córka do mnie podobna, prawda?
 I mam również matkę-staryszkę.
 Muszę troszczyć się o jej zdrowie.
 Otrzymaliśmy niedawno mieszkanie
 z różowymi kafelkami w łazience.
 Żona marzy jeszcze o pralce.
 Co ja mogę... Co ja poradzę...
 Wszystko jedno nic się nie zmieni.
 Skierowanie mam na Krym, na wczasy.
 Przecież ciebie tak czy siak... o świcie.
 Jak nie mnie, to przysła innego.
 Może całkiem obcego, a myśmy
 przecież razem chodzili do szkoły
 i puszczali papierowe latawce.
 Wyobrazić sobie nie możesz,
 jak mi głupio, ale co zrobić?

**

Ty nie pytaj siebie — czyś poeta?
 Nie mieszkając na ten los pomaża.
 Wszystko już gotowe — kula, pętla —
 Przyszłość czeka z odsoniętą twarzą.

A kiedy się wzburzy wir człowieczy —
 Sam usłyszysz w nocnych samograjach
 Jełabugi ton i Czarnej Rzeczeki —
Sziraka strana maja radnaja.

1981, Kijów

W Jełabudze powiesiła się w roku 1941 Maryna Cwietajewa, koło Czarnej Rzeczeki w roku 1837 Puszkina odniósł śmiertelną ranę w pojedynku.

Ostatnią linijkę — cytat ze znanej piosenki sowieckiej (dosłownie: „Szeroki jest mój kraj ojczysty”) tłumacz uznał za stosowne pozostawić w brzmieniu oryginalnym.

**

W idiotycznej kurteczce —
 Eks-paltociku dziecinnym,
 Z głową pełną rymowanych bredni,
 W Odessie szczęśliwa byłam jak nikt inny —
 Ani pół królestwa, ani koń i popręg mi niepotrzebny!
 Byłam w Odessie — konikiem polnym sfruwającym z ręki:
 Nie przysięgi, nie łzy, nie na pudy ważona sól.
 Odlatuj, wracaj — odejmą ci każdy ból
 Maże w kociołku, zakurzony nostrzyk i błękit.

Moje ulice przeze mnie do dziur wytarte,
 Moje schody, mój bieg do oporu — dokąd, którądy?
 Plecy skał moich wynurzają się z fal błyszczące i twarde,
 I pusty Plac Katedralny bez zburzonej mojej katedry.

A gdy pęd ustanie,
 Lecz katedry zmartwychwstanie znów kamień —
 Wezmę bilet powrotny i trafię o każdy zakład
 Tam, gdzie kurz, zaułki, ciepły wieczór i pamięć —
 I moja Cyganka sprzeda mi znów lizaka.

21 stycznia 1982

**

Jak bez sensu los podatek zbiera —
 czyją to jest winą?
 Dwadzieścia pięć lat bez ciebie —
 mój pierwszy wyrok.
 Dziesięć dni i nocy osobno —
 mój drugi wyrok.
 No, a co tam z trzecim, który
 nie za górą — za chwilą?
 Czyżby dłuższy miał być od pierwszego,
 od drugiego głodniejszy?...
 Póki jeszcze czas — otwórz niebodge
 i z niej się nie śmiej.

1 lutego 1982

**

Widzę cię — poprzez powiek zamkniętych grubość
 Wszystko się jak zawsze zaczyna.

Nad ojczyzną moją — pierwszą czy drugą? —
Znów zapada SZARA GODZINA.

Nie prześliznę się przez sito patroli,
Nocnym Gdańskiem, przez wiatru łopot.
Jak zraniony pies, serce wlecze się, boli —
Gdyby znać to potrzebne słowo!

Polskie słowo
Daruje wolność i życie!
Wszystkie pieśni bez żalu oddam,
Byle resztką tchu na koniec wykrzyzczyć
Tę podniebną odę!

Twoje kości, twój kościół, twój stos, twój los —
Wszystko tam,
Co mam, czego nie mam...
Krew na złączach, jak pociąg, na cały głos:
NIE ZGINĘŁA!

Czerwiec 1982

Powyższy wiersz dotarł do rosyjskiego wydawcy uszkodzony, bez dwóch pierwszych zwrotek. Zwroty SZARA GODZINA i NIE ZGINĘŁA — również w oryginale przytoczone po polsku.

EPIGRAF DO ZBIORU „POZA LIMITEM”

A w Plac Czerwony flagi jak kły wbili,
Wrzeszczy ptasia gawiedź, kołując nad wałem...
Oszukaństwem do przysięgi nas zwabili.
Nie, nieprawda — ja nie przysięgałam.

Gdzie barak od plugawych drwin się trzęsie
I chrapie jego rozjątrzone ciało...
Ojczyzno, po co budzisz mnie tak wcześniej
Jak dziecko ze snu? Powiedz, co się stało?
Tatarzy? Najazd? Mrok z ognistą strzałą?
Nie pytaj.

Będzie ciemniej, ciaśniej, ciężej.
Smrodliwej.
Gęsie stado — odleciało.

W kaloryfer wtulona — zmarzłak z południa! —
Na podłodze przykucnę.
Cieknie cień od krat do żarówki — długa, wąska plama.
Co za ziąb.
W kłębek bym się zwinęła jak kurczę.
Milcząc w noc się wsłuchuję
Z podbródkiem wbitym w kolana.
Coś tam rzezi w rurze,
Może będzie gorąca woda!
Ale wąpię. Klimat
Kabaryny. Mezozoiczna era.
Co szybciej ogrzeje — Dierzawina toporna oda,
Marcjalisa żart podejrzany
Czy spiże Homera?
Myszka Maszka ściągnęła sucharek
I chrupie pod kibelem.
Dwucalowy rabuś,
Najniewinniejszy z łotrów.
Za oknem rumor —
I do jamy ohydnej
Wiatr się wdziera prosto z wolności —
Rozbójniczy łomot i łopot.
Filar Grupy Helsińskiej nie śpi —
Poznaję to po oddechu.
W Permskim Łagrze też nie śpi
Ukarany burzyciel ładu.
Inny opętaniec w Kijowie
Kręci gałką, ucho przykładą...
Wschodzi Orion
I wędruje od dachu do dachu.
Tak posępna kronika Rosji
(A może to wszystko się śni nam?)
Myszką Maszką, nami i szumem w eterze
Nową, czystą stronicę zaczyna,
Otwierając
Tę długą zimę.

16 grudnia 1983

**

Mandelsztamową jaskółką
Przypada rozłąka do serca,
Deszcze posyła Pasternak,
A Cwietajewa — wiatry.
Aby Wszechświat krążąc
Dźwiękiem fałszywym nie dźwięczał,
Trzeba słowa — i wyrzec je tylko
Poeta jest władny.
Przetaczają się grzmoty
Przez Tiuczewa wiosenne włości,
I klasycyzm jesieni się spełnia
zawsze na nowo.
Ale niczyj głos
Jeszcze skrzydłem nie musnął wolności,
Nie dosięgnął wolności,
Choć to takie rosyjskie słowo.

25 kwietnia (1984?)

MOJA OJCZYZNA

No, a jeżeli nie mam prawa tego pisać? Czy może być człowiek bez ojczyzny? Czy też mam ją mimo wszystko? Ale co mam uważać za Ojczyznę?

W rubryce „narodowość”: „rosyjska”. A więc Rosja? Ale w Rosji geograficznej znalazłam się już jako dorosła i otarłam się o nią z samego brzegu — Moskwa, Leningrad — to wszystko! I cóż? Czy coś drgnęło we mnie na widok opiewanych tak często brzóz? Muszę wyznać, że nie. A w Odessie brzozy jakoś nie rosną. No, dobrze, urodziłam się w Odessie. Wedle mapy Odessa — to Ukraina. W takim razie — kultura ukraińska, mowa ukraińska, i obyczaje, i ojczyzna, rozumie się samo przez się.

Ależ na miłość boską, jeżeli ktoś choć raz był w Odessie — niech powie — jaka z Odessy Ukraina? Owszem, rozumiem po ukraińsku i umiem pisać, i czytam książki, ale rozmawiać? Toć mieszkając w Odessie dwadzieścia cztery lata, ani razu nie miałam takiej sposobności! Nie ma z kim, nie ma nosicieli języka. Mowa odeska — chociaż z językiem rosyjskim w swojej osnowie — to w ogóle osobna historia. Wymieszało się tu tyle języków i tyle idiomów, i nawet intonacja szczególna — pstrokate, wielonarodowe miasto.

Aliści, jak oświadczył sekretarz odeskiego komitetu miejskie-

go komsomołu, zakazując Humoryny — to takie specyficzne, osobliwe odeskie święto — „Odessa ma wielkie tradycje rewolucyjne i robotnicze. O żadnej innej specyfice Odessy nie może być mowy”. I Humoryny w Odessie zakazano, i przeniesiono ją do Tweru, gdzie się, naturalnie, nie przyjęła i pomyślnie uszła. O co też najwidoczniej chodziło. Pamiętajmy, że my, pokolenie, urodzone w pełnym toku władzy sowieckiej i oddane na wychowanie specjalistom już przez władzę sowiecką wytresowanym, musieliśmy wykuć jedno: Ojczyzna (dużą literą) — to cały Związek Sowiecki, od granicy do granicy, i nieogarniona tajga syberyjska jest dla nas tak samo swojska, jak na przykład kraje nadbałtyckie. Że niby i tu, i tam jesteśmy u siebie. A jeżeli urwiemy jeszcze kawałek takiej, dajmy na to, Finlandii albo Polski, albo Japonii — to i to będzie naszą Ojczyzną — tą samą, którą trzeba kochać do łez i za którą oddać życie. Żaden normalny człowiek nie może, oczywiście, mieć takiego poczucia ojczyzny.

A więc w końcu co? Polska? Tak, mój pradziad zginął podczas polskiego powstania; wtedy to moi przodkowie postradali majątki i przenieśli się do Odessy, ale polskiego uczyłam się już z książek, a literaturę polską czytałam w wymiarach dopuszczonych przez sowiecką cenzurę, pierwsze zaś wyobrażenie o polskim charakterze narodowym otrzymałam z dzieł zwiastuna rewolucji Maksyma Gorkiego, i były to brudne przekleństwa, taktownie włożone w usta Cyganki (mimo wszystko prosta kobiecina, nie kształcona politycznie, nie zaś sam autor).

Dlatego że — nie zapominajmy! — moim rodzicom, potomkom rodów szlacheckich, władza sowiecka zdążyła już wybić z głowy zainteresowanie własnym pochodzeniem i przodkami, nie takie mieli zmartwienia! I lepiej, żeby ktoś jeszcze nie zainteresował się naszym pochodzeniem!

Stłamsimy wszystko, co było, zapomniny pokrewieństwo — jest niebezpieczne, a myśmy — sowieccy! Tylko sowieccy! I mowa polska w rodzinie — ani mru-mru! — została wypłeniona. A i tak babcię, głęboko wierzącą katoliczkę, ile razy ciągnięto do KGB za chodzenie do kościoła! Ale i tu rodzice uchronili mnie, zabraniając dziadkom nie tylko uczyć mnie polskiego, ale i rozmawiać na jakiegokolwiek religijne i „niesowieckie” tematy. Bo jeszcze nie dopuszczają do wnuczki! I ostatnie nici, wiążące z przeszłością rodziny, zostały zerwane.

Co mi pozostawało zamiast tego? Bycie inteligentnym po sowiecku! Literatura? Proszę bardzo! Moja mamusia sama wykląda literaturę w szkole. Nie odróżnia wprawdzie Pasternaka od Balmonta, a Błoka zna jedynie jako autora „Dwunastu”, ale przecież i ja tak powinnam! To później dopiero dowiedziałam się o srebrnym wieku literatury rosyjskiej, a wtedy jedyne, co po-

winnam była wiedzieć, to — że dekadenci, w odróżnieniu od Majakowskiego, byli pozbawieni talentu i jedynie odciągali lud od walki rewolucyjnej. Kultura? Ile dusza zapragnie!

Przeprowadź, czytelniku, eksperyment myślowy. Piszę „myślowy”, bo żaden, jeszcze raz powtórzmy, normalny człowiek nie zdoła dokonać tego własnymi rękami — a jednak dokonał tego cały naród!

Proszę wziąć nieznaną książkę i tępą piłą odciachać od niej kawałek — powiedzmy, ćwiartkę. Teraz wedle tego kawałka proszę spróbować zorientować się w treści — ale unicestwiając uprzednio resztę, żeby nie mieć pokusy zajrzenia do niej! Otóż to właśnie uczyniono dla nas — „obecnego pokolenia ludzi sowieckich” — z kulturą światową. Jakże inaczej? Byliśmy wszak przeznaczeni do życia w komunizmie!

Tak więc, w rodzinie ludzi z sowieckim wyższym wykształceniem, w szkole o ustalonym systemie wychowawczym, w sieci bibliotek ze specjalnie wyselekcjonowaną literaturą, specjalnych programów telewizyjnych, książek i czasopism — jakie mogliśmy uzyskać pojęcie o czymś innym? Nie wiedzieliśmy nawet, że to „inne” istnieje! I jakiś szok (prąd — ?) poraził mnie, dwudziestoletnią, kiedy w ciągu tygodnia, prawie jednocześnie (książki pożyczono na krótko) przeczytałam Mandelsztama, Cwietajewą, Pasternaka! To dosłownie zbiło mnie z nóg, fizycznie, z gorączką i majaczeniem! Otworzyła się przede mną otchłania i, w odróżnieniu od wszystkich przyzwoitych koszmarów, byłam nie na krańcu — o nie! Byłam w dole, w samej tej otchłani, a krawędź — gdzieś niedosięgalnie daleko w górze! Zatrzeszczało i zachybiło się moje wyobrażenie o naszej literaturze i o naszej historii. I wszystko to nałożyło się na buntownicze porywy, jakie tkwiły we mnie zawsze, jak długo siebie pamiętam. Czy to polskie geny szaleją? Nie wiem. Ale nie wiedzieć czemu nigdy nie mogłam przyjąć sowieckiej wiary, chociaż nie znałam żadnej innej. O jakich poszukiwaniach Boga może być mowa, kiedy człowiek nie zna nawet swojej ojczyzny! Toteż nie szukałam. Bóg sam mnie znalazł i pomógł mi wytrzymać i ustrzegł moją duszę, nikt inny bowiem nie mógł ustrzec mojej duszy w dzieciństwie i młodości mojej.

Na jakieś dziesięć lat oceniam swoje opóźnienie, spowodowane przez edukację sowiecką. W wieku dwudziestu czterech, nie zaś czternastu lat uzyskałam pierwsze pojęcie o autentycznej kulturze i autentycznej historii. W wieku dwudziestu pięciu, nie zaś piętnastu lat zaczęłam pisać. Owszem, były, ma się rozumieć, i wcześniejsze próby, ale były to przecież bazgroły dziecka, które — cóż z tego, że nie z własnej winy — zna zaledwie pół alfabetu! Obecnie mam dwadzieścia siedem lat. No tak, wystarczy

raz się dorwać — a potem można już nadrobić i, być może, skrócić dystans.

Kiedyś — jeżeli zdążę! — dogonię swoje lata. Czego można być pewnym na tym najpiękniejszym ze światów? Jeżeli będę żyła. Jeżeli nie zapudłują. Jeżeli nie zamkną w domu wariatów. Czy duże są szanse? To pytanie retoryczne, czytelniku. Odpowiedzi nie znam.

Irena RATUSZYŃSKA

1982

(Przełożył z rosyjskiego Wiktor WOROSZYLSKI)

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.

Métro: Pont Marie.

Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Archiwum polityczne

Obserwatorium

Do trwającej od 13 grudnia 1981 roku serii czarnych wydarzeń ostatnie dni dołączyły nowy epizod: aresztowanie 31 maja br. Zbigniewa Bujaka. Jego uwięzienie jest ciosem, który pogłębia jeszcze ból spowodowany uwięzieniem Borusewicza, Frasyniuka, Jedynaka.

Ale chociaż myśli nasze zwracają się dziś w pierwszym rzędzie ku Bujakowi i ku aresztowanym wraz z nim Konradowi Bielińskiemu i Ewie Kulik — musimy skupić się na politycznym wymiarze tych ludzkich dramatów. Na następujące sprawy trzeba w związku z tym zwrócić uwagę:

1.

Zbigniew Bujak i inni członkowie podziemnej TKK „Solidarności” od czterech i pół roku, tzn. od pięćdziesięciu czterech miesięcy czyli około 1650 dni, ukrywali się w kraju rządzonego przez komunistów, inspirując przy tym wystąpienia zbiorowe, publikując oświadczenia, którym dawał posłuch znaczący odłam społeczeństwa, a nawet organizując z imponującą sprawnością kontrolę wyborów do Sejmu i podając do wiadomości jej wyniki na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych. Jest to fakt bez precedensu i bez odpowiednika w jakimkolwiek innym kraju bloku sowieckiego. Fakt świadczący o szerokim — choć zapewne malejącym z upływem lat — poparciu okazywanym TKK. Władze PRL są świadome tego poparcia. Toteż cały ich wysiłek propagandowy ma na celu wykazanie, że sukces Bujaka i TKK tłumaczy się wyłącznie brakiem zainteresowania nimi ze strony SB, zajętej ważniejszymi rzekomo sprawami. Wszystko, co wiadomo o nieprzerwanie od czterech i pół roku trwających poszukiwaniach, pozwala stwierdzić, że jest to kłamstwem.

2.

Aresztowanie Bujaka nie spowodowało zniknięcia TKK. Jego miejsce zajął Wiktor Kulerski, który — jak Bujak — przebywa w podziemiu od wprowadzenia stanu wojennego. TKK spotkała się już po aresztowaniu Bujaka i ogłosiła wraz z Lechem Wałęsą oświadczenie na ten temat. Ukazał się też kolejny numer *Tygodnika Mazowsze* z artykułem o Bujaku pióra Stefana Bratkowskiego, którego wystąpienie w dzisiejszych warunkach na łamach nielegalnego pisma jest przykładem odwagi budzącej najwyższy szacunek. Tak więc TKK istnieje nadal. Co równie ważne, zdecentralizowany charakter struktur podziemnej „Solidarności” sprawia, że SB nie jest w stanie ich zniszczyć. W wielu zakładach wciąż płaci się składki związkowe, ukazują się gazety, prowadzi się samokształcenie; prasa podziemna ciągle liczy kilkaset tytułów, działają niezależne wydawnictwa oraz instancje niezależnej kultury, nauki i oświaty.

W prasie zachodniej ukazały się ostatnio liczne „rozmyślenia nad zwłokami 'Solidarności'”, by określić je łącznie tytułem pewnego artykułu sprzed kilku miesięcy. Rozmyślenia bezprzedmiotowe: „Solidarności” przeżywa na pewno bardzo ciężkie lata i czeka ją równie ciężka przyszłość, wystarczy jednak jako taka znajomość faktów, by stwierdzić, że ten pacjent ma organizm o wiele odporniejszy niż zwykło się przypuszczać, gdy rozumuje się przez analogię z przeszłością. Powtórzmy raz jeszcze: żaden ruch społeczny w kraju komunistycznym nie zdołał utrzymać — po blisko pięciu latach prześladowań — takiego potencjału, jakim wciąż jeszcze dysponuje „Solidarności”. Historia ruchu związkowego w krajach, gdzie — jak we frankistowskiej Hiszpanii — jego działaczy skazywano na wieloletnie więzienie, wskazuje nadto, że nie daje się on złamać represjami. Można więc utrzymywać zasadnie, że niszczone w jednych zakładach „Solidarności” będzie odtwarzane się w innych, podobnie jak odtwarzać się będą po kolejnych wpadkach wydawnictwa, pisma czy inne inicjatywy niezależne. Społeczny ruch oporu, którego trzonem jest „Solidarności”, pozostaje nieusuwalnym składnikiem polskiego krajobrazu politycznego. Nie wyklucza to naturalnych przemian, jakie następują w podziemnym społeczeństwie.

3.

Władze PRL wiedzą doskonale, że — jak napisał Stefan Bratkowski — sukces policyjny nie jest jeszcze sukcesem politycznym. Stąd natężenie kampanii propagandowej przeciw „Solidarności”, do której włączył się obecnie generał Kiszczał we własnej osobie, by powtórzyć raz jeszcze to, co jego poprzednicy — od Radkiewi-

wicza poczynając — mówili o kolejnych wcieleniach opozycji antykomunistycznej w Polsce. A mianowicie, że nie ma żadnego społecznego poparcia, że istnieje tylko dzięki dopływowi pieniędzy z Zachodu i że jest pospolitą agenturą. W tym kontekście wyciągnięto też sprawę płk. Kuklińskiego. Mamy tu do czynienia z nieco odświeżoną odmianą poglądu o czysto instrumentalnym traktowaniu przez Zachód sprawy polskiej, który jest trwałym składnikiem propagandy prosowieckiej. Niestety wywody tego rodzaju znajdują niekiedy posłuch w kołach, które od dawna powinny być na nie uodpornione, zwłaszcza zaś tam, gdzie werbalny antykomunizm idzie w parze z przypisywaniem przywódcom PZPR intencji patriotycznych i z poszukiwaniem porozumienia z nimi na gruncie obrony interesów państwa, jak gdyby PRL była istotnie wspólną własnością wszystkich Polaków.

4.

Najważniejsze pytanie dnia dzisiejszego, wokół którego ogniskują się wszystkie dyskusje polityczne w środowiskach niezależnych, dotyczy tego, jak wykorzystać nadchodzące ciężkie lata, by przyspieszyć chwilę, gdy aparat PZPR okaże się *zmuszony* do jakichś form rokowania ze społeczeństwem.

Właśnie z tej perspektywy należy oceniać wszystko, co dzieje się w polskim życiu politycznym. I z tej właśnie perspektywy stwierdzić trzeba, że ogromną szkodę wyrządzają nie tylko „Solidarności”, ale wręcz sprawie polskiej ci wszyscy, którzy z błędów popełnionych przez TKK wnoszą, że powinna ona przestać istnieć. Mamy tu na myśli nie dziennikarzy zagranicznych, ale ich krajowych informatorów i mentorów, podróżników rozjeżdżających po całym świecie i występujących jako rzecznicy opozycji lub zgoła narodu polskiego. Błędy TKK są niewątpliwe. Należało i należy nadal, bez względu na okoliczności, wskazywać te błędy publicznie, czynić je przedmiotem dyskusji. Ale zarazem należało i należy nadal bronić istnienia TKK i szerzej — podziemia, którego jest ona symbolem. Przypada mu bowiem zasadnicza rola w podnoszeniu wymagań moralnych i politycznych, w organizowaniu ruchu społecznego i w inspirowaniu nacisków wywieranych na władzę. Nacisków, które zmuszają ją do ustępstw m.in. wobec Kościoła, którego sytuacja w PRL zawsze ulegała pogorszeniu, ilekroć przestawał być chroniony przez zorganizowaną i mocną opozycję.

5.

Od 13 grudnia 1981 roku ożywił się po raz kolejny spór między „romantykami” a „realistami”. Romantykami mają być

zwolennicy oporu w jego różnych formach, zwłaszcza zaś ci, którzy opowiadają się za kontynuowaniem działalności podziemnej. Za realistów uważają się natomiast rzecznicy porozumienia z władzą, którzy zgłaszają na różne sposoby akces do popierających ją organizacji w przekonaniu, że otworzą drogę do dialogu ze społeczeństwem. Po blisko pięciu latach doświadczeń czas już najwyższy, by uznać samozwańczych realistów właśnie za przedstawicieli marzycielskiego i najbardziej oderwanego od rzeczywistości nurtu w polskim życiu politycznym: niczego nie uzyskali, niczego nie załatwili, a każde niemal posunięcie władzy było dla nich kolejnym upokorzeniem. Przykłady znają wszyscy. Powtarzać ich nie warto. Warto wszelako wrócić do przywoływanego często przez „realistów” właśnie argumentu o odpowiedzialności za naród i o potrzebie ratowania go w sytuacji szczególnie groźnej dla jego przyszłości demograficznej, dla zdrowia, dla środowiska naturalnego, dla kultury.

Argument ten byłby nieodparty, gdyby miał uzasadniać działanie w ramach Towarzystwa Ochrony Przyrody, PCK, Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej czy Towarzystwa Walki z Alkoholizmem. Ale uzasadnia na ogół coś zupełnie innego: udział w PRON, kandydowanie do Sejmu, zajmowanie stanowisk czy legalizowanie pism, które dotąd były niezależne. Otóż używany w ten sposób argument o ratowaniu narodu jest — nazwijmy wreszcie rzecz po imieniu — pospolitym szalbiertwem. Jediną drogą ratowania narodu jest organizowanie nacisku na władzę w formach legalnych, jeśli można, a jak nie można — to nielegalnych. Kiedyś ulegnie to może zmianie. Dziś jednak, w następstwie konsekwentnej polityki samej władzy, działacz polityczny w Polsce może wybierać — poza strukturami kościelnymi — tylko między opozycją a kolaboracją.

6.

Obecnie naszą nieustającą troską powinni być więźniowie polityczni i ich rodziny. Nie wydaje się jednak, by w tej dziedzinie robiono wszystko, czego potrzeba. Brak zadowalających informacji o każdym z blisko 300 więźniów, o powodach aresztowania, oskarżeniu, wyroku, jeśli już zapadł, stanie zdrowia, sytuacji rodzinnej itd., itp. Brak nieustannego przypominania o więźniach zarówno w Kraju jak za granicą. Brak zwłaszcza opracowanego przez prawników, choć przecież opozycja ma ich wielu, projektu statutu więźnia politycznego, który by należało jak najszerzej upowszechnić i o uchwalenie którego należałoby zabiegać wszędzie tam, gdzie można jeszcze coś powiedzieć.

Stan wojenny w PRL a administracja amerykańska

Washington Post z dnia 4 czerwca br. opublikował sensacyjny wywiad Jerzego Urbana, który wywołał zrozumiałe poruszenie zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w Europie Zachodniej i został szeroko omawiany nie tylko w prasie zachodniej, ale ostatnio również w prasie i *mass-media*'ch PRL.

Chcąc wyjaśnić stanowisko Stanów Zjednoczonych w związku z rewelacjami płk. Kuklińskiego, zwróciliśmy się do osoby dobrze zorientowanej w meandrach polityki waszyngtońskiej z prośbą o skomentowanie tej sprawy. Oto komentarz jaki otrzymaliśmy:

« W początkach czerwca br. Jerzy Urban zaprosił na rozmowę korespondenta *Washington Post* w Warszawie, aby zaoferować mu nie byle jaką sensację. Oto Stany Zjednoczone miały przez dłuższy czas na najwyższym szczeblu wojskowym w Warszawie swego informatora w osobie płk. Włodzimierza Kuklińskiego, łącznika między generałem Jaruzelskim i jego sztabem a gen. Kulikowem i dowództwem Paktu Warszawskiego. Z tytułu tych funkcji Kukliński miał dostęp do najbardziej strzeżonych tajemnic wojskowych. Dzięki niemu Stany Zjednoczone znalazły się w posiadaniu dokładnych planów operacyjnych uderzenia, które nastąpiło 13 grudnia 1981. Rząd Reagana — twierdził Urban — mógł udaremnić te plany podając je do wiadomości publicznej i ostrzegając „Solidarność”, ale tego nie uczynił, ponieważ Stanom Zjednoczonym bynajmniej na tym nie zależało.

W ten sposób w cztery i pół lata po „wojnie” postanowiono w Warszawie przerwano na Stany Zjednoczone odpowiedzialność za zdławienie legalnej „Solidarność”, krwawe ofiary i uwięzienie tysięcy ludzi.

Oficjalne zaprzeczenie Departamentu Stanu było dość ogólne. Rząd amerykański przyznał, że był poinformowany o możliwości wprowadzenia stanu wojennego, ale brakowało konkretnej daty oraz potwierdzenia, czy i kiedy plan operacyjny zostanie wykonany.

Więcej można było dowiedzieć się z różnych nieoficjalnych przecieków. Płk Włodzimierz Kukliński kierował się motywami patriotycznymi. Przekazywał informacje z własnej inicjatywy od-

mawiając przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia. Dwukrotnie ocalił Polskę przed inwazją sowiecką — w grudniu 1980 i w marcu 1981 roku — przekazując nie tylko plany wojskowe ale także datę, kiedy uderzenie ma nastąpić. Na podstawie tych wiadomości rząd Cartera a w cztery miesiące później Reagana zaalarmował rządy sprzymierzone i niezaangażowane oraz opinię światową zapowiadając równocześnie daleko idące konsekwencje. W obu wypadkach rozkazy inwazji zostały w ostatniej chwili odwołane a rząd Stanów Zjednoczonych ostro skrytykowany za podnoszenie „fałszywego alarmu”.

W początkach listopada 1981 roku na posiedzeniu połączonych sztabów sowieckiego i polskiego jeden z sowieckich generałów ujawnił, że wywiad amerykański jest w posiadaniu planów przygotowywanej operacji przeciwko „Solidarność”. Najwidoczniej sowieciarze także mieli swego informatora w Waszyngtonie. W kilka dni później — dokładnie 7 listopada — Kukliński zbiegł z Polski przed aresztowaniem i z całą rodziną znalazł się w Stanach Zjednoczonych. Tym samym na 36 dni przed ogłoszeniem stanu wojennego urwał się dopływ dalszych informacji. Poprzednio zdarzało się, że plany dostarczane przez Kuklińskiego ulegały zmianie w ostatniej chwili. Nie było więc pewności, czy i kiedy atak nastąpi. Poprzednie raporty o przygotowaniach do inwazji znalazły potwierdzenie w zdjęciach satelitarnych. Obecnie takiego potwierdzenia nie uzyskano. Meldunki w ciągu następnych kilku tygodni były sprzeczne. Prawdopodobnie niektóre z nich były podrzucane przez przeciwnika w celu zmylenia Amerykanów. Administracja obawiała się, że trzeci „fałszywy alarm” pozbawi ją wszelkiej wiarygodności.

Wyjaśnienia te nie odpowiadają na pytanie, dlaczego kierownictwo „Solidarność” nie zostało na czas ostrzeżone drogami poufnymi. Amerykanie odpowiadają na to, że takim ostrzeżeniem była niedyskrecja Albina Siwaka, członka Biura Politycznego, który na zebraniu branżowego Związku Zawodowego w Krośnie w końcu września 1981 ujawnił, że powołana została do życia Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego (WRONA), złożona z sześciu generałów, z Jaruzelskim i Kiszczakiem na czele, wydzielono także specjalne oddziały ZOMO i Wojsk Wewnętrznych. Uderzenie zapowiedział Siwak na 23 grudnia.

Rewelacja Siwaka ogłoszona została przez *Agencję Solidarność* Nr 44 pod datą 29 września i była całkowicie zignorowana. Podobny los spotkałby prawdopodobnie ostrzeżenie ze strony amerykańskiej, tym bardziej, że w przeszłości dwukrotnie się nie sprawdziły.

Dużo trudniej zrozumieć, dlaczego Kukliński nie został ujawniony po 13 grudnia? Znał on dokładnie fakty wykazujące niezbi-

cie, że cała operacja była nakazana i przygotowana we wszystkich szczegółach przez Moskwę a Jaruzelski i jego sztab byli posłusznymi wykonawcami sowieckich rozkazów. Eksplozowanie tej bomby miałoby duży wpływ na zachodnią opinię i to w chwili, gdy zabiegi Reagana o skierowanie ostrza środków odwetowych przeciwko Rosji napotkały na opór aliantów. Z informacji Kuklińskiego Reagan ujawnił tylko to — bez powołania się na źródło — że proklamacja stanu wojennego oraz inne druki i okólniki odbijane były w ZSSR na sowieckim papierze.

Powstaje pytanie, dlaczego czekano w Warszawie cztery i pół roku na ujawnienie sprawy Kuklińskiego i dlaczego zdecydowano się na to właśnie teraz. W kołach dziennikarskich mówi się, że reżym od pewnego czasu zabiegał o zniesienie pozostałych sankcji w zamian za jakieś bliżej nieokreślone ustępstwa. Wiązała się z tym nieoficjalna wizyta ambasadora Waltera Stoessela w Warszawie. Nie miała ona dalszego ciągu, a powstrzymanie się Stanów Zjednoczonych od głosowania nad przyjęciem PRL do Międzynarodowego Funduszu Monetarneego odczytane zostało w Warszawie jako sygnał, że nie ma co liczyć na jakieś *modus vivendi* i że nie ma już nic do stracenia albo zyskania w stosunkach z USA. Zdaniem korespondenta *New York Times'a* Kauffmana bezpośrednim następstwem tego stała się eskalacja ataków na Stany Zjednoczone i zaostrzenie represyjnego kursu w kraju.

Płk Kukliński w dalszym ciągu trzymany jest w ukryciu. Musi odczuwać rozgoryczenie i zawód. Kosztem wielkiego osobistego ryzyka dostarczył USA potężny ładunek wiadomości i dokumentów w nadziei, że ich ujawnienie posłuży obronie Polski. Nie przewidywał zapewne, że on sam i jego informacje zostaną schowane pod sukno i otoczone służbową tajemnicą. Wyjaśnienia, że chodzi o bezpieczeństwo jego osoby nie są przekonywujące. Istnieją przecież precedensy takie jak Światło, Tykociński a ostatnio Spasowski i Rurarz. Polonia amerykańska ma prawo domagać się, by prawda została w pełni ujawniona ».

Zamieszczając powyższe wyjaśnienia musimy stwierdzić, że nie są one przekonywujące. Jest zupełnie zrozumiałe, że nikt z „Solidarności” nie mógł potraktować poważnie rewelacji Albina Siwaka. Tłumaczenie, że chciano uniknąć fałszywych alarmów, które miały miejsce w latach 1980 i 1981 też nie jest poważne. Administracja amerykańska miała możliwość zapoznania sprzymierzonych z dostarczonymi przez płk. Kuklińskiego materiałami, zaznaczając, że plany mogą być zmienione lub zarzucone właśnie na skutek ich ujawnienia, nie mówiąc o tym, że nie można pozwolić ostrzeżeń Siwaka z ostrzeżeniem pochodzącym od pre-

zydenta Reagana. O ile pierwsze mogło być (i zostało) zignorowane jako element zastraszania „Solidarności” i nacisku na nią w ramach „wojny nerwów”, o tyle drugie — z uwagi na przyjazne i tak wysokie źródło — musiałyby być wzięte na serio, immunizując „Solidarność” przed efektem zaskoczenia i dając jej trochę czasu na przygotowanie się do ciosu i do oporu. Zresztą nie było nawet potrzebne osobiste zaangażowanie się prezydenta Reagana: na pewno całkowicie wystarczyłoby ostrzeżenie np. prezesa Mazewskiego, czy Jana Nowaka lub Zbigniewa Brzezińskiego, których znaczenie polityczne jest doceniane i którzy cieszą się zaufaniem Polaków. Należałoby zatem przypuszczać, że żaden z nich o rewelacjach płk. Kuklińskiego nie był powiadomiony.

Cała ta godna pożałowania sprawa jest dowodem nie tylko braku konsekwentnej polityki amerykańskiej wobec Polski i krajów wschodniej Europy, ale ponadto świadczy o niekompetencji działaczy amerykańskich zajmujących się tymi sprawami, no i o braku *lobby* polskiego w Waszyngtonie. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski na przyszłość, nie zapominając jednak, że Stany Zjednoczone są mimo wszystko naszym głównym, jeśli nie jedynym, sojusznikiem. Ale też nie należy mieć złudzeń.

REDAKTOR

Żydzi nowego świata a stara Europa

Żadne państwo nie pierze swojej brudnej bielizny na oczach świata z taką pasją jak Amerykanie. W związku z katastrofą czernobylską prasa amerykańska przypomniała zdarzenie sprzed 32 lat. 1 marca 1954 uczeni amerykańscy detonowali pierwszą bombę wodorową. Nie tylko okazała się ona dwukrotnie potężniejsza od przewidywań, ale wiatry zamiast na północ skierowały radioaktywne popioły na wschód. W przeciągu ośmiu godzin po eksplozji biały radioaktywny „śnieg” poraził najpierw mieszkańców atolu Rongelap, a potem 28-miu amerykańskich meteorologów na wyspie Rongerik. Rząd USA milczał o tym przez dziesięć dni. Rzecz wyszła na jaw dopiero wtedy, gdy jakiś amerykański *marine*, żołnierz piechoty morskiej, napisał z Kwalein do małonaładowej gazety w USA list, donosząc o tubylcach i Amerykanach, leżących w bazie z poważnymi oparzeniami i radioaktywnym po-

rażeniem. Wiele ofiar miało typowe symptomy choroby popromiennej — oparzeliny, młodości i wypadanie włosów. Również japońska łódź rybacka uległa wtedy skażeniu, o czym było wiele szumu w prasie światowej. Przeciętą dawką promieniowania, jaką wchłonęły organizmy poszkodowanych, wynosiła 175 rentgenów.

Choć zdaje się to niezrozumiałe po Hiroszimie i Nagasaki, większość późniejszych skutków napromieniowania była podówczas nieznaną. Kilka lat wcześniej pisma amerykańskie drukowały fotografie piechoty, która tylko w hełmach, a poza tym w zwykłych mundurach bez ochronnej odzieży, przypatrywała się z płytkich okopów eksperymentalnym wybuchom małych bomb atomowych na poligonie w Newadzie. Kilkadziesiąt lat potem ci z owych żołnierzy, którzy jeszcze żyli, oraz rodziny tych, którzy już zmarli, zorganizowały się i zaskarżyły rząd USA o ogromne odszkodowania za utratę zdrowia i życia. Najczęściej występował u porażonych rak tarczycy, zaćma, białaczka i inne nowotwory.

W dziewięć lat po Hiroszimie fachowcy orientowali się dobrze w przebiegu ostrej i chronicznej choroby popromiennej, występującej po narażeniu się na dawki rzędu 25-300 rentgenów (używam tej przestarzałej jednostki dla uproszczenia, gdyż jednostek jest bardzo wiele, radiacyjnych i biologicznych, a objaśnienie ich wymaga sporo miejsca, nie przynosząc „ostatecznych wyjaśnień”) — natomiast późne, tak zwane statystyczne, efekty napromieniowania były wtedy prawie całkowicie ignorowane.

Te wtórne skutki zwie się statystycznymi dlatego, ponieważ nie dotyczą jednostek, lecz całej ludności danego obszaru. Zachodzi tu podobieństwo do dokładnych obliczeń podawanych przez statystów odnośnie ilości osób, które w danym kraju i w danym dniu zginą w wypadkach samochodowych, statystycy nie mogą jednak przewidzieć, *kto konkretnie* zginie w danym wypadku. Ustalenie, kto po 5, 10 a nawet 20 latach, po względnie słabym i przez to jakby indywidualnie „nieszkodliwym” napromieniowaniu, zapadnie na białaczkę lub na raka, jest zasadniczo niemożliwe.

Jeżeli zaś źródła promieniowania były zarówno zewnętrzne (np. pył unoszący się w powietrzu, zetknięcie z radioaktywnym gruntem, roślinami itd.) jak i wewnętrzne (wywołane oddychaniem oraz pobieraniem pokarmów i wody), jeżeli skażeniu uległ wielki obszar, co powoduje nierównomierność radioaktywnej intensywności (zależnej od zmiennych klimatycznych warunków, wiatrów, opadów atmosferycznych), otrzymanie nawet przybliżonej statystycznej prognozy dla wielkiej populacji (np. dla całej Europy po katastrofie w ZSSR) jest trudne, a wyniki będą niepewne i tym samym rzeczoznawcy nie zdołają się pogodzić co do liczby późnych skutków ponurego zjawiska.

To właśnie spowodowało w zachodniej Europie ogromne różnice zdań między kompetentnymi rzeczoznawcami. Było tylko prawdopodobne na podstawie danych, ogłoszonych (co prawda bardzo późno) przez ZSSR, że niemal wszyscy ludzie w promieniu około 20 kilometrów od Czernobyla muszą umrzeć ponieważ zostali ewakuowani za późno, w licznych przypadkach dopiero po 36 godzinach.

Tutaj w fizykę nuklearną wkracza czynnik polityczny. Rosjanie informowali nie tylko z opóźnieniem, ale sprzecznie, podając różne dane, które przeważnie wprost sobie nie przeczyły, ale po odpowiednim opracowaniu wiodły do sprzeczności. Jeżeli murarze, zajęci betonowaniem na poły „pogrzebanego” reaktora, który spoczął pod 5-6 tysiącami ton boru, ołowiu, piasku i innych substancji balastowych, mogli pracować przy cementowaniu radiopieczek tylko po 12 minut, to wprawdzie trudno ustalić moc promieniowania, ponieważ w tej informacji nie podano sowieckich norm dopuszczalnej ekspozycji na skażenie, można wszakże z grubym przybliżeniem uznać, że promieniowanie rzędu kilkunas-tu miliremów, o którym pisali Rosjanie w innych komunikatach, to bajeczki dla niegrzecznych dzieci. Można z wielkim prawdopodobieństwem uznać w szczególności, że dwie drużyny, które grały w piłkę nożną niespełna 2 kilometry od płonącego reaktora, sfotografowane przez amerykańskiego satelitę wiele godzin po katastrofie, mają znikome szanse przeżycia, ponieważ każdy z grających wchłonął ponad 400, a może 500 albo i 600 rentgenów.

Należy obawiać się, że istnieją dwa schematy czernobylskiej katastrofy: jeden, ogólnie opracowany, uzgodniony na wysokim moskiewskim szczeblu — nie bez cech przedstawienia teatralnego — i drugi, zatajony, o którym nigdy nic pewnego się nie dowiemy.

ZSSR długo milczał o katastrofie, choć w ślad za przejściem chmury radioaktywnej rozpętała się w prasie europejskiej, w opinii publicznej i w gabinetach rządowych burza poruszenia i trwogi. Przyczyny tego milczenia i następującego potem fryzowania oraz szminkowania katastrofy, aby nabrała cech swoistego „piękna”, „tragicznego bohaterstwa” itp., są tak stare, jak ZSSR. W ZSSR nie publikuje się *żadnych* wiadomości bez uprzedniej obróbki propagandowo-politycznej. Ponadto wiadomości, przeznaczone dla zagranicy, nie pokrywają się z przeznaczonymi na użytek wewnętrzny. „Eksportowe” mają bowiem uwzględnić odbiorców i przez to ulegają „ucywilizowaniu”, „dosmaczeniu”, ażeby okazały się strawne dla zachodnich umysłów i ukazały autora — czyli ZSSR — w możliwie przyjemnym, niewinnym świetle członka światowej wspólnoty państw, kulturalnego i w postępowy sposób miłującego pokój. Ten współczynnik *savoir-vivre*'u nie jest potrzebny w wiadomościach dla obywateli ZSSR.

Maszyna propagandowa Sowietów, rozbudowana z większym rozmachem od goebbelsowskiej, zachowuje się w sposób typowy, ilekroć spotka się z paskudnym zaskoczeniem. Najpierw, dopóki się da, przemilcza przykrość, a potem wywraca ją do góry nogami tak, żeby całą winę przypisać Zachodowi, na koniec zaś, w ostatniej, trzeciej fazie postępowania przykrość, oprawiona już w stosowne ramy ideologiczne i przystrojona bohaterскими wyczynami obywateli sowieckich, zostaje przeniesiona do muzeum rewolucji, czyli budowy świetlanej przyszłości jako triumfalny eksponat, poświadczający wspaniałość *systemu i jego budowniczych*. Tak było z Bogu ducha winnym południowo-koreańskim samolotem pasażerskim i kubek tak samo z odmiennym faktograficznie czernobylskim reaktorem.

W pierwszym wypadku Rosjanie oświadczyli najpierw, że „nie wleciało” w ich obszar powietrzny, więc nie mogli nikogo zestrzelić. Kiedy jednak Amerykanie ogłosili fragmenty przechwyconych rozmów ziemia-powietrze i znalazły się w morzu szczątki strąconego samolotu, Rosjanie wyjaśnili, że owszem strzelali, ale to była zaplanowana przez USA misja szpiegowska nad Sachalinem. W końcu okazało się, że zestrzelenie nieuzbrojonego samolotu cywilnego po dwóch godzinach pościgu i siódmym potów, uwieńczone trupami mężczyzn, kobiet i dzieci, było czynem bohaterским i chwalebny, toteż odnośni wojskowi dostali pochwały i wyróżnienia.

Na czernobylskie trupy i półtrupę też po trzech tygodniach zaczął padać deszczyk medali za odwagę, a trójczłonowość wspomnianego schematu propagandy dokładnie się powtórzyła. Kiedy Szwedzi alarmowali Moskwę, bo już im się sypała na głowy radioaktywność, Moskwa wszystkiemu zaprzeczyła. Kiedy nie dało się dłużej milczeć, jednym zdaniem TV skwitowano „wypadek” na Ukrainie, uznano go za już opanowany w skutkach a zarazem oświadczone, że wielką katastrofę robi z niego antysowiecka propaganda w Ameryce i na Zachodzie. Dodajmy w nawiasie, że nie zabrakło ani korespondentów zachodniej prasy w Moskwie, ani europejskich i amerykańskich publicystów (z gatunku tak zwanych komentatorów kremlinologicznych i politologów), którzy skwapliwie potwierdzili prawdziwość sowieckiej informacji. Jedni z nich, bijąc się w piersi za innych, twierdzili, że 2.000 trupów wywołanych katastrofą — taką liczbę podawały tuż po wybuchu liczne gazety europejskie i amerykańskie — było kłamstwem, fałszerstwem, nonsensem. Inni, później, kiedy sami Rosjanie już od wersji „wypadku” przeszli do wersji „bezprecedensowej awarii”, więc katastrofy, tłumaczyli, że różnice oceny rozmiarów tragedii wynikają z obiektywnych różnic mentalności, historii, kultury itp. Rosjanie, którzy najedli się cierpień i w rewolucji i po niej, i w wojnie z III Rzeszą, są *mniej* wrażliwi na społeczne i techniczne,

a nawet na śmiertelne przypadłości. Więc kiedy Gorbaczow w 19 dni po wybuchu srogo karciał Niemcy i USA za panikarską histerię *antysowiectwu*, widoczną w bezzasadnym strachu i blokadzie importu rolnych produktów ze wschodu, nie mówił czegoś, w co sam, pełniąc funkcję pierwszego propagandysty, nie wierzył, lecz mówił z głębi serca tak, jak czuł. Już to na brak adwokatów, rzeczników, obrońców, a nawet entuzjastów nie może się ZSSR uskarżać, gdy idzie o Zachód!

Bardzo nieprzyjemnie pisać takie rzeczy, ale trzeba, skoro chodzi o prawdę: nie należy wątpić w odwagę, z jaką Sowietci walczyli z płonącym reaktorem. Jest jednak rzeczą wołającą o pomstę do nieba i haniebną wysyłanie ludzi na misję zarazem daremną i samobójczą. Wszystkie straże pożarne, ściągnięte z ukraińskiej okolicy, nie mogły przecież ugasić pożaru 1800 ton masy grafitowego moderatora, ponieważ pożar był żywiony strasznym promieniowaniem uranowych trzewi. Woda i chemikalia użyte do gaszenia pogorszyły tylko sytuację, zamieniając się w radioaktywne obłoki, a nieszczęśliwi strażacy, poprzyklepiani do topniejącego asfaltu jak muchy do lepu, ginąc przyczyniali się do zwiększenia promiennych skażeń. Niestety, powtórzyło się bohaterstwo ludzkich walców, którymi z taką szczodroblewością operował Stalin w czasie ostatniej wojny. Strat w ludziach nie liczy się w państwie, które nie liczy się z wartością życia ludzkiego. Katastrofa zostałaby zresztą w całości przemilczana, gdyby nie przekroczyła granic ZSSR.

Wróćmy jednak do początku. Propagandowa obróbka Czernobyla była też trójczęściowa. Najpierw Moskwa zaprzeczała wszystkiemu. Potem minimalizowała „wypadek” i oskarżała Zachód i jego antysowieckie rozdmuchiwanie. Na końcu tej fazy igrzaw nieduża awaria zaczęła urastać do rozmiarów katastrofy co najmniej tak wielkiej, jak ją przedstawiano na Zachodzie. Równocześnie w propagandzie zjawiało się nadludzkie bohaterstwo prostych sowieckich ludzi, którzy na śmierć i życie walczyli z szalejącymi atomami.

Ten stereotyp jest prymitywny. Nikt też nie mógłby go w całości zaakceptować, skoro każdy z trzech aktów prezentacji zaprzecza poprzedniemu, gdyby nie powszechny *strach* przed sowieckim potencjałem militarnym. Strach ten ujawnił się w jakże paradoksalnej i groźnej postaci po Czernobylu, ponieważ spotęgował na zachodzie Europy antyamerykanizm i zasilili szeregi pacyfistów, protestowiczów, zwalczających pokojowe używanie energii atomowej, zielonych, a także czerwonych socjaldemokratów i socjalistów, albowiem wszyscy poczęli wielkim głosem żądać natychmiastowego wyłączenia siłowni atomowych i rezygnacji z projektów budowania nowych reaktorów, zakładów przetwarzania radioaktywnych odpadów itp.

Adresatami tych postulatów, popartych wielkimi demonstracjami, były rozumie się rządy zachodnioeuropejskich państw. Pretensje, jeżeli były kierowane za granicę, to tylko do sąsiedniego państwa demokratycznego: Niemcy mieli pretensję o przygraniczne atomowe siłownie do Francuzów, Duńczycy do Szwedów, Austriacy do Niemców.

Do Sowietów nikt nie miał pretensji, nikt nie demonstrował, chociaż Falin, były ambasador ZSSR w RFN, w wywiadzie udzielonym *Spiegłowi* oświadczył, że wszystkie sowieckie reaktory typu czernobylskiego, na „lekką wodę”, już znowu normalnie pracują, bez jakichkolwiek dodatkowych zabezpieczeń czy to w postaci ciśnieniowej skorupy stalowej, czy w postaci rezerwowych układów awaryjnego chłodzenia. Co więcej, dowiedzieliśmy się, że z czterech czernobylskich reaktorów dwa dają już prąd, czyli pracują i tylko trzeci nie działa, miał bowiem chłodzenie częściowo połączone z chłodzeniem zniszczonego.

Amerykanie, w przeciwieństwie do Europejczyków, ani nie popadli w panikę, ani nie zmienili swego generalnego nastawienia do energii atomowej, co, rzecz jasna, poczytano im za złe.

Tak zatem czernobylska katastrofa spotęgowała, głównie w RFN, trwożny szacunek dla Sowietów i nasiliła antyamerykańskie nastroje. Można powiedzieć bez przesady, że dla pohitlerowskich Niemiec Zachodnich Amerykanie stali się tym, czym byli dla Hitlera Żydzi: istotami ohydny, wrogimi, szkodliwymi, niebezpiecznymi, których należy się pozbyć możliwie prędko. O niczym innym nie marzą zieloni, pacyfiści, cała tak zwana alternatywa, do której biegiem dołączają teraz socjaldemokraci, chociaż to za ich rządów powstawał energożądny przemysł atomowy RFN. Jeżeli przed telewizyjnym przemówieniem Gorbaczowa ktoś śmiał jeszcze mieć na Zachodzie pretensje do Sowietów za politykę fałszu w informowaniu o Czernobylu, to po tym wystąpieniu wszystko się wyklarowało. Nie było żadnej zwłoki w powiadamianiu, awaryjnie zwalczali bohaterstwo ludzkie sowieccy, a winę za niebezpieczeństwo, które dotknęło ZSSR (Europie w ogóle nic się, podług Gorbaczowa, nie stało) właściwie ponoszą Amerykanie, bo się nie chcą rozbroić i wymyślają militaryzację kosmosu (SDI). W tymże czasie *Spiegel* pisał, że w RFN Amerykanie muszą się „kryć za murami swoich g e t t”. Słowo to wypnęło się pismakowi Augsteina przypadkowo, lecz my widzimy w nim kamyczek z mozaiki dowodu na rzecz równania „Amerykanie = Żydzi”.

Niemcy przedhitlerowskie, od czasu cesarza Wilhelma, wiele zawdzięczały po niemiecku patriotycznym Żydom. W książce „Deutschland ohne Juden” Engelmann wykazał skutki likwidacji tych Żydów dla Niemiec. Liczba dorocznie przyznawanych nagród Nobla w dziedzinie nauk ścisłych, medycyny, ilość sławnych

ludzi pióra i kompozytorów po „odżydzeniu” Niemiec gwałtownie spadała. Niemcy wymordowali tych, którym wiele zawdzięczała. To samo dotyczy Amerykanów. Po upadku III Rzeszy zamiast nękać zrujnowane Niemcy reparacjami, podnieśli je z ruin planem Marshalla, potem zaś ocalili przed Sowietami zachodni Berlin mostem powietrznym, a swoją obecnością militarną udaremniają Sowietom zarówno zagarnięcie RFN jak i jej zbyt jawne szantażowanie. Za to należy się Amerykanom od Niemców bezdenna nienawiść, podobnie jak należała się Żydom, bo i jedni i drudzy nie tylko nie mieli na sumieniu żadnych win w stosunku do Niemców, ale poważnie przyczynili się do rozwoju ich kraju zarówno w gospodarce jak i w kulturze. Choć za Hitlera Żydzi nie mieli państwa, a USA są światowym mocarstwem, jedni i drudzy doskonale się nadają do nękania, lżenia, blokowania w „gettach”, ponieważ wiadomo, że wet za wet nie odpłacą. Można Amerykanów opluwać jak Żydów, na co w stosunku do Sowietów żaden przytomny Niemiec nigdy by się nie odważył. Jak wynika z takich faktów, jak antyamerykańskie slogany i demonstracje w RFN, nawet wszędzie tam, gdzie stacjonują tylko Anglicy lub niewielkie oddziały holenderskie, Amerykanie są szczególnie „uprzywilejowani”.

Nie ma wydania tygodnika *Der Spiegel* bez przynajmniej jednego porządnie antyamerykańskiego artykułu. Kiedy w katastrofie Challengeera zginęło 7 Amerykanów, *Der Spiegel* dał na okładkę obraz eksplozji z tytułem „*Der geplatze Traum*”, „Marzenie, które trzasnęło” — z jawną aluzją do *American dream*. Kiedy doszło do Czernobyla, na okładce zjawyły się słowa „*Mörderisches Atom*” — morderczy atom. Jasne: za kosmiczną katastrofę w Stanach winę ponoszą Amerykanie, za atomową w ZSSR — atom. *Der Spiegel* szuka alibi dla autorów tych paszkwili antyamerykańskich i przychodzi mu to z łatwością, bo antyamerykańska postawa przyjęła się jak szczepionka w obrębie amerykańskiej lewicy, intelektualistów, w środowiskach uniwersyteckich, w których większość profesorów nie cierpi Reagana. Ostatnio SDI (*Strategic Defense Initiative*) podzieliła uczonych USA na wrogie obozy: znaczna większość uważa tę ideę Reagana za marnotrawczą, daremna, szkodliwa i zgoła bezsensowną, mniejszość natomiast ją popiera. Zatem i w USA nie brak antyamerykanizmu, hamowanego przez masę społeczeństwa stojące za Reaganem i przez neokonserwatystów.

Najgwałtowniej kipi jednak antyamerykanizm w RFN. Starsze pokolenie odnosi się do tego podobnie, jak w latach trzydziestych odnosiło się do hitlerowskich bojówek i ich ekscesów. Przyglądają się, nie pochwalają, ale i nie przeciwstawiają się ekstremistom. Dlaczego pies z kulawą nogą nie protestuje przed sowieckimi ambasadami czy innymi ich placówkami przeciwko ludobój-

stwu w Afganistanie? Dlaczego w telewizji można było po Czernobylu zobaczyć przed wejściem do sowieckiej ambasady z ałobny wieniec z szarfami i nic więcej? Takie pytania zdziwionych dziennikarzy pojawiają się od czasu do czasu w prasie, ale nikt na nie nie odpowiada. Nie odpowiada, bo nie ma na nie odpowiedzi.

Jak pokazało 40 powojennych lat, Niemcy potrafili się obejść bez Żydów. Natomiast wojska amerykańskie są zakładnikami: pełnią rolę gwarancji, że jeśli Wschód ruszy na Zachód, to Stany Zjednoczone, bez względu na to jaka partia wyniesie swego kandydata na prezydenta, wkroczą do wojennego konfliktu.

Sowiety usiłują zatem wbić klin między Europę i Amerykanów, odłączyć Stany Zjednoczone od starego kontynentu i nie ma na to lepszego sposobu jak doprowadzenie do usunięcia amerykańskich wojsk z RFN. Więc ekstrema niemiecka działa na rzecz sowieckiej dominacji w Europie, domagając się tego samego, co Kreml. Trzeba być wariatem, by wobec kolosalnego potencjału militarnego ZSSR wołać o jednostronne rozbrojenie Zachodu.

Czernobylska katastrofa jak szkło powiększające uwyraźniła zbiorowe pomieszenie umysłowe Niemców. W politycznej diagnostyce dla ich stanu nie da się już używać grzeczniejszych terminów. Tylko hasło „zbiorowy obłęd samobójczy lemingowego rodzaju” może sprostać temu, co dzieje się w RFN. Powojenny program SPD po kawałku ulega anulowaniu. Różnice między starą SPD i zielonymi, którzy mają program na *nie*, ale nie mają żadnego programu na *tak*, maleją. Jest coś niesamowicie groźnego w tej powtarzającej się skłonności Niemców do zesłizgu w taką czy inną irracjonalną skrajność.

W tej sytuacji szukanie poszczególnych Niemców, którzy nie tylko mają dobrze w głowie, ale mają na oku wspólne interesy własne i Polaków, albo pamiętają o „Solidarności”, albo widzą gdzie powstaje rzeczywiste zagrożenie demokracji w światowej skali, jest zajęciem tyleż szlachetnym, co marginalnym. Przyczyny embarga importu produktów rolnych z bloku wschodniego na pewno po części były czysto rzeczowe — możliwość radioaktywnego skażenia. Lecz RFN wyłączyła z embarga od pierwszej chwili NRD. Ukochanie rodaków okazało się silniejsze niż strach przed izotopami.

Rzeczywistość dnia dzisiejszego była nie do przewidzenia przed kilkunastu laty, ponieważ byłaby wtedy uznana za nieprawdopodobny nonsens. Niemcy w RFN wkładają zdumiewający wysiłek w samooszukiwanie się, chcą widzieć wrogów w sojusznikach i sojuszników, czy przynajmniej potencjalnych przyjaciół, w śmiertelnych wrogach.

Urosły już góry tłumaczeń naukowców i historyków, dlaczego Niemcy dali się wziąć na lep Hitlerowi i jego ideologii. Wylicza się wewnętrzne rozdarcia republiki weimarskiej, ciężary spłat nałożone na Niemcy przez Ententę po pierwszej wojnie światowej, nędzę, bezrobocie, kryzys itd. Natomiast zaślizgiwanie się Niemców w nienawiść zwróconą ku Amerykanom pozornie wydaje się zjawiskiem zagadkowym.

Jak ktoś trafnie powiedział, Niemcy nie mogą Żydom wybaczyć Oświęcimia. Nie mogą też wybaczyć Amerykanom ani planu Marshalla, ani berlińskiego mostu powietrznego, ani wojsk stacjonujących dla ich obrony.

Radioaktywna chmura czernobylska, wyrzucona wysoko w atmosferę i niesiona kapryśnie wiatrami, wybiegła najpierw nad Skandynawię, a potem zawróciła. Dwukrotnie przeszła nad Polską, porażając zwłaszcza województwa północno-wschodnie — przy granicy leżącej tylko 440 km od płonącego reaktora. Czernobyla, nawiasem mówiąc, nie ma wcale w szkolnych geograficznych atlasach PRL, bo to jest miejscowość „tajna” typu „zamkniętego”, gdyż reaktory oprócz prądu wytwarzają pluton do bomb atomowych. Katastrofa była właściwie rodzajem *memento mori*, przestrogą, przynajmniej dla świata, jeżeli nie dla Europy, ponieważ w wyrzuconej wybuchem chmurze praktycznie nie było plutonu, a to jest także pod względem chemicznym niesłychanie trujący metal. Skażenie plutonem dałoby efekty kilkaset razy poważniejsze od tych, do których doszło.

Tak zatem z oficjalnego niebytu wydobył Czernobyl wybuch reaktora, dość silny, by promieniowanie wzmogło się po dwu tygodniach u wschodnich wybrzeży USA i w południowo-wschodniej Azji.

W pierwszych dniach po czernobylskiej katastrofie zdawało się, że techniczna i informacyjna kompromitacja Sowietów bardzo poważnie ich obciąży, a więc osłabi politycznie. Tymczasem w burzy historycznego strachu Niemcy zaczęli szukać winowajców nie tam, gdzie mogli ich znaleźć, lecz u siebie. Gorbaczow albo manewrował taktycznie, albo pomylił się, biorąc zbiorowe wrzaski strachu, wydawane przez niemieckie *mass media*, za objawy antysowietyzmu. Gdzie by się tam Niemcy odważyli na jakiś antysowietyzm. Kiedy w bawarskim *Landtagu* jeden z przedstawicieli CSU powiedział, że o podpalaczach wspomina się półgębkiem, natomiast straż pożarną obrzuca się oskarżeniami, ławy socjaldemokratów zareagowały na te słowa chóralnym krzykiem oburzenia. Sowietom niczego nie można wytknąć publicznie, nie wolno wskazać, skąd grozi Europie realne niebezpieczeństwo. Prawdopodobnie zieloni i czerwoni uzyskają w nadchodzących wyborach większość, rządy kanclerza Kohla i pani Thatcher upad-

na, a labourzyści i socjaldemokraci będą nareszcie mogli wziąć się do wygonienia Amerykanów z Europy, do demontażu elektrowni atomowych i do usilnego wspierania kredytami i czym się da wielkiego Imperium Zła. Prawda o katastrofie ukraińskiej ulegnie całkowitemu zakłamaniu. Ogromna większość trupów zniknie, wybraną garstkę obróci się w pomnik bohaterstwa i ofiarności. Profesor Gale, specjalista od transplantacji szpiku kostnego, widział około 300 chorych na chorobę popromienną. Rosjanie pozbyli się go dziwnie szybko, raczej nie tak dziwnie, bo nie mogli mu zamknąć ust, a na konferencji prasowej powiedział, że będzie jeszcze co najmniej 100.000 ciężkich porażeń. Można sądzić, że Rosjanie, odegrawszy przedstawienie „normalnego państwa” z udziałem lekarzy zagranicznych i ekspertów z wiedeńskiej komisji atomowej, położyli krzyżyk na zmarłych, konających i licznych przyszłych ofiarach, bo od powstania Przodującego Ustroju nie robili niczego innego. Profesor Gale zauważył — tyle prawdopodobnie co naiwnie — że medycyna sowiecka okazała się zasadniczo nieprzygotowana do ratownictwa i terapii w przypadku porażeń promiennych. Świadczy to raz jeszcze o słuszności domysłu, jak bardzo jednostronnie rozbudowały Sowiety potencjał atomowy i militarny: jest on wyłącznie ofensywny, ponieważ wszystkie obawy ZSSR przed imperialistycznym atakiem, przed okrażeniem, przed agresją amerykańską, to propagandowa, czelna blaga. Kreml wie doskonale, jak bardzo jest bezpieczny i jak bardzo bezwolna, bezradna i porażona strachem przed nim jest Europa. Stojąc przed bosym, lecz atomowym kolosem sowieckim, który *sam siebie zranił* jednym z noży, szykowanych do zarżnięcia Europy, to zbiorowisko narodów o pięknej i długiej historii pokazało mu, że nie musi się nazbyt fatygować. Jak mówił Cioran, Europa już dawno uległa Sowietom, tylko im wciąż tego mało. Życzą sobie dalszych kapitulacji, dalszego upodlenia i poniżenia. Marksizm to rozdęta w ideologię nienawiść. Rosja nigdy nie wybaczyła Europie tego, że jest o tyle bogatsza i szczęśliwsza od niej. Będzie więc budować dalsze reaktory atomowe, jeszcze potężniejsze i niebezpieczniejsze, aby ludzie sowieccy mieli okazję do bohaterskich walk i zgonów, zaś Europa do dalszych ataków hysterii, wrzasków i pokonów, wybijanych na radioaktywnych progach Imperium. Ogromna ilość idiotów w Europie i Ameryce cieszyła się, że Gorbaczow usprawni sowiecką gospodarkę. Biedni durnie, jeżeli mu się to uda, to waszym kosztem i na wasze nie-szczęście. Europejczykom nie pozostanie nic więcej niż to, by się samym dalej ubezwłasnowolniać, rozebrać swoje elektrownie atomowe, obrzucać się przez granice wyzwiskami, bo sąsiad ma jeszcze jeden niewygaszony reaktor. Natomiast Sowietom będzie wolno wszystko od chwili, kiedy Amerykanie, mając już dość obelg i opluwania wrócą do swych zaoceanicznych siedzib. So-

wiety nie napadną wtedy Europy. Ze studzienią, z galareta nie wojuje się, tylko się ją je. W błysku atomowej eksplozji nagle zobaczyliśmy przyszłość Europy, tego głupca, tchórza i błazna, który wyparł się własnej historii. Na wszystko i na wszystkich przychodzi kres, kiedy stając między walką i hańbą, wybiera się hańbę.

P. ZNAWCA

ORBIS BOOKS (LONDON) LTD.

NAJSTARSZA
KSIĘGARNIA POLSKA W LONDYNIE

66 Kenway Road, London SW5 ORD

Telefon: 01-370 2210

Książki polskie — wydawnictwa emigracyjne i krajowe — oraz w języku angielskim (również wydawnictwa amerykańskie) dotyczące spraw polskich i Europy Wschodniej. Wydawnictwa zachodnie w języku czeskim, rosyjskim i ukraińskim.

Prowadzimy dział antykwaryczny książek polskich — wydania przedwojenne i emigracyjne. Wykazy wysyłamy na żądanie. Prosimy o nadsyłanie dezyderatów.

Słowniki — książki dla dzieci — płyty i kasety.

Wykonujemy zamówienia pocztowe. Przyjmujemy karty kredytowe ACCESS, VISA, AMERICAN EXPRESS, EUROCARD, MASTERCARD.

Nasz biuletyn informacyjny *NOWE KSIĄŻKI* ukazuje się 3 razy do roku.

Prenumerata roczna: £ 3.00; \$ 5.00 — dla stałych klientów bezpłatna.

Kraj

Co zostaje po Bujaku?

W trzecim mniej więcej miesiącu stanu wojennego oglądałem w Warszawie wielki napis na murze: BUJAK WALCZY! Nie wiem oczywiście kto ów napis wykonał, myślę jednak, że o tym jak naprawdę wygląda walka prowadzona przez Bujaka miał on pojęcie mgliste, to znaczy takie, jakie utrzymywało się powszechnie: Bujak to ten, który nie dał się aresztować wraz z innymi członkami Komisji Krajowej w nocy 13 grudnia; ten, który skutecznie wymykał się policji, mimo że ona akurat jego najbardziej starała się złapać. W przewodniczącym RKW „Mazowsze” opinia publiczna widziała przede wszystkim komandosa (każdy dziennikarz pisząc o nim musiał wspomnieć lata służby w tej formacji). Prasa zachodnia niejednokrotnie porównywała go do Robin Hooda, czyli kogoś, kto zorganizowanej przemocy przeciwstawia szlachetność i brawurę, a przede wszystkim sprytnie uchodzi z rąk prześladowców.

Paradoksalnie obraz ten zgodny jest z opiniami, jakie na temat podziemia rozpowszechniają komuniści: podziemie — powiedział Urban — całą energię i wszystkie środki zużywa na ukrywanie się.

Obraz ten jest fałszywy i szkodliwy, wprowadza bowiem zamęt w pojęcia na temat charakteru podziemia politycznego w Polsce, jego roli w oporze społecznym, jego celów i perspektyw. Błędnie przedstawia też samego Bujaka, którego nieprzeciętna osobowość i wielkie zasługi naprawdę nie mają nic wspólnego z treningiem w wojskach spadochronowych. Do walki, jaką Bujak prowadził w jawnej a później podziemnej „Solidarności” nie generał Rozłubirski go przygotowywał, lecz przykład KOR-u, książki Instytutu Literackiego w Paryżu i NOW-ej.

W znanej książce „Konspira” (utrwalającej, niestety, mit kon-

spiratora — dzielnego chłopca-bojowca) Zbigniew Bujak był — obok Lisa, Fransyniuka, Szumiejki, Borusewicza — jednym z rozmówców. Tym jednak, który wyróżniał się przemyślanym stosunkiem do spraw oporu społecznego, do relacji podziemie-społeczeństwo. Kiedy inni trzymali się wciąż koncepcji „wielkiego skoku” Bujak wraz z Kulerskim przeciwstawiali jej wizję „długiego marszu” oraz budowanie niezależnego społeczeństwa.

W jednym z rozdziałów „Konspiry” Bujak mówi, jak takie niezależne społeczeństwo ma wyglądać. Przede wszystkim ma je cechować mnogość i różnorodność form.

A więc przyszłość ruchu oporu widział nie (jak to wyobrażali sobie niektórzy działacze) w scentralizowanej, głęboko zakonspirowanej organizacji kadrowej, lecz w tym co faktycznie nastąpiło — w rozwoju niezależnych firm stawiających sobie rozmaite cele: wydawnicze, oświatowe, badawcze, związane z kulturą, prawniczą, ochroną środowiska, pomocą prześladowanym, a także z drukowaniem znaczków, rozrzucaniem ulotek, gromadzeniem archiwów „Solidarności” itp., itp. Bujak użył tam (w „Konspirze”) porównania trafnego i — w obecnej sytuacji zwłaszcza — bardzo ważnego. Spostrzegł, że w przyrodzie coś, co odznacza się różnorodnością form życia nieporównanie trudniej unicestwić niż to, co jednorodne: bujny podzwrotnikowy las wytrzyma wiele zagrożeń, natomiast tundrę zniszczy byle szkodnik. Opowiedział się więc zdecydowanie za bujnością w niezależnym krajobrazie, nie zaś za „ładem i porządkiem”.

Gdyby podziemie działało inaczej niż to starał się Bujak ująć w metaforze, jego aresztowanie, wraz z aresztowaniem Konrada Bielińskiego i Ewy Kulik, stałoby się kłeską niemal ostateczną. Wszystko trzeba by było zaczynać od nowa.

Gdyby Bujak istotnie był Robin Hoodem — także oznaczałoby to koniec walki jego i jego drużyny. Zostałaby po nim tylko legenda.

Można się spodziewać, że — również i w Warszawie, również w kręgach realnemu socjalizmowi niechętnych — aresztowanie Zbigniewa Bujaka i jego współtowarzyszy przyjmowane będzie niejednokrotnie jako dowód na niewielką sensowność ukrywania się. Już słyszę głosy: „Gdyby się ujawnił, mógłby teraz działać otwarcie, wydawać oświadczenia, czasem złożyć kwiaty pod jakimś krzyżem lub tablicą. A tak — siedzi w więzieniu i nic już zrobić nie może”.

Nie sposób zaprzeczyć, że z punktu widzenia pojedynczego ludzkiego losu jest w tym wiele prawdy. Każdy z ukrywających się wie, jak niewielkie ma szanse trwać w nieskończoność bez wpadki — chyba, że zaszyłby się gdzieś w kącie znanym tylko paru osobom, jak i on zastygł w bezruchu. Nie zrobili tego

jednak Frasyniuk, Piniór, Jedynak, Borsewicz, ani Bujak, Bieliński, Ewa Kulik. Nie robią tego Kulerski, Lityński.

Borsewicza schwytano w podziemnej drukarni; wielu mówiło potem: cóż to za konspirator, który sam chodzi po drukarniach? Ja sądzę, że musiało to wynikać po prostu z jego trybu pracy: miał w tej drukarni coś do zrobienia — coś, co wymagało jego obecności. To nie jest bowiem konspiracja, która kończy się na ukrywaniu i spiskowaniu. Ta konspiracja polega na pracy organizacyjnej, na budowaniu i obronie najrozmaitszych placówek niezależnego życia. Niektóre z nich są ukryte (jak drukarnie) inne (jak rozmaite działania kulturalne, oświatowe) są dostępne nawet dla najszerszej publiczności. W takich przypadkach ogół widzi jedynie rezultaty. Przygotowania, a jest ich zwykle bardzo wiele, muszą się zawsze odbywać bez świadków. Trzeba się umawiać bez telefonu, przewozić jakiś sprzęt, jakieś pieniądze, szukać części zamiennych lub kogoś, kto naprawi maszynę, kontaktować jedne „firmy” z drugimi, wyjaśniać nieporozumienia, rozstrzygać spory, ostrzegać, ewakuować miejsca zagrożone wpadką, pomagać tym, którzy pomocy potrzebują, wcale nie tylko rodzinom aresztowanych.

Mam wrażenie, że piszę o sprawach oczywistych, o których się jednak mimo całej ich oczywistości nie pamięta: widzi się drzewa, nie dostrzegając lasu. Widzi się najróżniejsze formy niezależnych działań w społeczeństwie — i nie zawsze przychodzi do głowy, że są one wynikiem nie tylko spontanicznego zrywu tych, którzy bezpośrednio do rzeczy przyłożyli rękę, lecz także tych, co na wiele sposobów walczą (używam tego określenia bez cudzysłowu) o utrzymanie obszarów niezależności. A jest z tym roboty bardzo, bardzo dużo. Kiedy rozmawiałem z jednym z członków warszawskiego RKW i zapytałem go o wrażenia z lektury wydanych ostatnio w drugim obiegu książek, odpowiedział mi, że żadnej z nich nie wziął nawet do ręki, bo nie miał czasu, a trzy numery „Tygodnika Mazowsze” przeczytał tylko dlatego, że ktoś się spóźnił na spotkanie.

Nie był to Bujak, ale tak wyglądało również, do momentu aresztowania, życie przewodniczącego RKW „Mazowsze”. Pełne spotkań, zebrań (wzięto go po jednym z nich), załatwiania korespondencji, pertraktacji w sprawach sprzętu. Należał do niewielkiego grona, które przyjmowało i decydowało o rozdziale maszyn dla niezależnej poligrafii, stanowiącej — wszyscy się z tym zgadzają — podstawę ruchu oporu.

Warto wiedzieć, że poligrafia ta, wspomagana wciąż przez podziemną „Solidarność”, niezależna jest również od niej samej. To znaczy: nawet prasa związkowa ma znaczną autonomię, choć pracuje dla Związku i w imieniu Związku. „Tygodnik Mazowsze” nie jest „Trybuną Ludu” podziemia, redakcja jego nie musi wciąż

dbać o „przestrzeganie linii”, uzgadniać z Regionem treści artykułów. Obszary niezależności w społeczeństwie nie są zwierciadlanym odbiciem obszarów zależnych, z odwrotnym tylko kierunkiem politycznym. Nie ma tu „centralizmu demokratycznego”, nie działają żadne mechanizmy nakazowo-rozdzielcze. „Firmy” podziemia są wolne, związane jedynie etosem i tradycjami „Solidarności”. Otóż Bujak należał (obok Kulerskiego) do tych działaczy TKK i Regionów, którzy prawa rządzące „podziemnym społeczeństwem” (tak je początkowo nazywano) pojęli najszybciej i najgłębiej. Nie stworzyli ich, bo stworzyły się same, jak w swobodnie rozwijającym się życiu społecznym bywa, lecz nauczyli się działać zgodnie z nimi.

Przede wszystkim — od razu docenili wagę i siłę niezależnych inicjatyw w ruchu oporu, grup, kółek, komitetów powstających nie na wezwanie, nie z czyjejś namowy, lecz — jak to określił Kulerski — z potrzeby, „życia w wolności”: na przykład z potrzeby uczenia się, czytania, oglądania obrazów i filmów — bez kontroli, bez cenzury. Bujak sprzyjał zawiązywaniu się społecznych komitetów, które miały zajmować się sprawami nauki, kultury, oświaty, zdrowia, praworządności. Pomagał, kiedy go o pomoc proszono, uwierzytelniał (co w konspiracji jest bardzo ważną rzeczą), pisał listy popierające. Nie bał się, że wyniknie z tego — jak twierdzili niektórzy inni działacze — „rozbijanie jedności ruchu”. Przeciwnie — w tym, że niezależne życie organizują nie tylko podziemne komórki „Solidarności” widział szansę trwałości oporu społecznego w Polsce.

O tej trwałości myślał często; wciąż pamiętał, że w każdej chwili może wpaść. Często zastanawiał się w rozmowach z innymi ludźmi podziemia: co zrobić, żeby zostało po nim jak najwięcej? Dlatego uważnie przyglądał się temu, co już jest. Chodził na wystawy, oglądał filmy na video. Kiedy dowiedział się o ruchu „walizkowców” — plastików urządzających wystawy okrzęne małych obrazów, łatwych do zamknięcia w walizce, poprosił, by mu taką walizkę obrazów przysłano. Prośba jego została spełniona, i bardzo się tym ucieszył.

Konspiracja jest przede wszystkim monotonna, jeśli się ją traktuje poważnie, nie po sportowemu, po ryzykancku. Tym bardziej monotonna, im bardziej oddalona od wyczynów takich jak rozrzucanie ulotek, przewiezienie offsetu przez miasto pełne patroli. W „Konspirze” opisana jest ucieczka Zbyszka esbekom, którzy zatrzymali go w czasie nielegalnego zebrania, nie wiedzieli jednak kogo zatrzymali i nie bardzo gonili, kiedy puścił się biegiem. Nieporównanie trudniej opisać to, co jest istotą — tak nieefektywną — konspiracji: spotykanie się i załatwianie spraw. Zwłaszcza, że nie chodzi tu w przytłaczającej większości przypadków o sprawy wielkiej wagi, o burzliwe spory programowe.

Kiedy się już raz, tak jak to zrobił Bujak, zdecydowało na kierunek działania: wspieranie wszystkiego, co w społeczeństwie dąży do niezależności — trzeba wysłuchiwać rozmaitych pomysłów, rozmaitych ludzi. To właśnie jest monotonne, ale bez tego nie ma mowy o skuteczności.

W prasie podziemnej a później w prasie zachodniej pisano o spotkaniu Bujaka z amerykańskimi pisarzami, o jego konferencji prasowej dla dziennikarzy w związku z wyborami do sejmu. O innych spotkaniach, których były setki a może tysiące — nie pisano. Tymczasem Bujak nie był typem działacza nastawionego na zachodnią opinię publiczną, wygłaszanie oświadczeń, udzielanie wywiadów. (Robił to czasem, lecz niechętnie). Był nastawiony na to, co od z górą stulecia nazywa się „robotą konspiracyjną”. Ona była jego żywiołem i jego siłą.



Udawało się Bujakowi ukrywać ponad cztery lata bynajmniej nie dlatego, że dobrze biega. Umiejętność ta przydała mu się raz jeden. Lityński, Kulerski — nie potrzebowali jej wcale. Możliwość ukrywania się latami istnieje w Polsce dlatego, że po prostu jest gdzie się schować. Nie w górach ani lasach, lecz w domach, gdzie ukrywający się znajduje gościnę, choć grozi to gospodarzom więzieniem do lat pięciu. Tak samo ryzykują wszyscy wspomagający, ci którzy dają mieszkania i ci którzy ich szukają; inni, którzy dbają o dokumenty, łączność, transport, zaopatrzenie (nie mówiąc już o odpowiedniej charakterystyce; musi być ona zrobiona przez fachowca). Obok gospodarzy (jest ich wielu, bo mieszkania trzeba często zmieniać; poza tym jedne służą do ukrywania się, inne do spotkań, inne do kolportażu — i tak dalej) wspomnijmy też sąsiadów. Bez ich dyskrecji z pewnością nieraz doszłoby do wypadku. To ważne, że w Polsce nie ma lęku przed sąsiadami, lęku, który w tak silnym stopniu istnieje na przykład w Związku Sowieckim.

Są więc w Polsce — trochę w sensie psychicznym, a trochę przestrzennym — obszary wolności, stanowiące ochronę dla ludzi, dla działań niezależnych. Bynajmniej nie chodzi tu tylko o teren Kościoła; często można się było spotkać z domysłem, że Bujak siedzi gdzieś schowany w klasztorze: wiadomo, że okazało się to nieprawdą. Zresztą, gdyby siedział w klasztorze, nie dokonałby tego, czego dokonał. Podobnie gdyby się w ogóle nie ukrywał, działając w opozycji jawnie a — dzięki, powiedzmy, światowej opinii publicznej — bezkarnie. Od nielegalnych struktur, wydawnictw, pism, komitetów zostałby dokładnie odcięty mikrofonami w mieszkaniu i stałaby się obstawą policji. Może mógłby się dużo i szybko wypowiadać. Zrobiłby — niewiele.

Pewien amerykański dziennikarz napisał po powrocie z podróży do Czechosłowacji i Polski, że jeśli w Pradze wszyscy zdają się być przeciw dysydem, w Warszawie wszyscy zdają się ich chronić. Odrzuciwszy pewną przesadę powiedzieć trzeba, że jest w tym wiele prawdy. Dowodem — istnienie w Polsce szeroko pojętego podziemia, wydawnictw, drukarni itp. Czechosłowacja ma wspaniałe środowisko Karty 77, pisze się tam świetne książki i sztuki teatralne — powielaczy się jednak nie używa. Może dlatego, że (jak mi mówiono) wystarczy ilość egzemplarzy, jaką się uzyskuje na maszynie do pisania, a może — co chyba bardziej prawdopodobne — opór społeczny, choć istnieje, nie jest zorganizowany, nie wytworzył własnych struktur.

W naszym kraju społeczeństwo struktury takie wytworzyło i ochrania je, bo są mu potrzebne. Oczywiście, nie dotyczy to całego społeczeństwa, a w każdym razie nie całego w równym stopniu, na pewno jednak nie tylko tych, co piszą, kolportują, czytają, lecz także tego, który zamiast donieść — ostrzeże, i tego, który cieszy się, gdy „Bujak walczy” a martwi, gdy Bujaka aresztują.

Problem: co będzie po aresztowaniu Bujaka? — nawet jeśli pytający myśli o losie samej tylko TKK lub o RKW „Mazowsze” — dotyczy w istocie spraw znacznie szerszych: trwałości oporu społecznego w Polsce. Ta zależy z kolei od — powiedzmy — stanu ducha społeczeństwa, ale nie tylko. Także od struktury samego ruchu oporu.

Są podstawy by sądzić, że struktura ta jest korzystna. Składa się na nią — jak sobie wyobrażał Zbyszek — ogromna ilość niezależnych, żywotnych organizmów. To prawda, że słabsze z nich obumierają, jak niektóre pisma, niektóre wydawnictwa. Powstają jednak nowe, także takie, które służyć mają celom nadrzędnym, przejściu na wyższy stopień organizacji, lepszemu umowie społecznej. Bo to jest jednak społeczeństwo, nie las.

I tak w lutym 1986 TKK zawarła umowę z OKN-em, nadając status formalny współpracy NSZZ „Solidarność” z niezależnymi komitetami społecznymi działającymi na polu oświaty, kultury, nauki i ochrony zdrowia. (Warto wiedzieć, że Bujak był osobiście orędownikiem tej umowy). Następnie powstały i rozpoczęły działanie dwie niezwykle ważne instytucje: „Fundusz Wydawnictw Niezależnych” i „Zrzeszenie Video”. „Fundusz” organizuje pomoc finansową i techniczną dla tego, co od lat jest fundamentem ruchu oporu — dla wydawnictw. „Zrzeszenie” robi to samo w dziedzinie, która w ruchu tym jest nowością, ale za to szalenie obiecującą — w videofonii. Już w kilku miastach działają pierwsze niezależne wytwórnie video i pierwsze „kina społeczne”; ekran telewizyjny, w Polsce symbol kłamstwa,

staje się nagle atrakcyjnym narzędziem poznawania prawdy zakazanej.

We wszystkich tych i im podobnych inicjatywach jest zawsze istotny udział ludzi podziemia, także ukrywających się. Pośredniczyli w czymś, jakiś dokument podpisali imieniem i nazwiskiem, co ważne, bo nazwiska ich mają ten bezcenny walor jawności i pełnej wolności zarazem.

Mamy więc tutaj odpowiedź także i na pytanie: co stanie się po aresztowaniu Zbyszka Bujaka z TKK, z RKW „Mazowsze”, z resztą ukrywających się.

Institucje te oraz ci ludzie są dla trwałości oporu, dla wszystkiego co w społeczeństwie niezależne, czymś ogromnie ważnym, a często niezbędnym. Poza tym, że stanowią legalną kontynuację NSZZ „Solidarność”, wraz ze wszystkimi tego istotnymi międzynarodowymi konsekwencjami — struktury podziemia najzwyczajniej sprawdziły się jako wielka sieć służąca informacji, komunikacji, wzajemnej pomocy oraz koordynowaniu inicjatyw. Bez nich wiele rzeczy by się nie udało, wielu ludzi by się nie spotkało, wiele ważnych przesyłek nie dotarłoby gdzie trzeba, byłoby znacznie więcej chaosu.

Wiadomo, że kierownictwo podziemia nieomylnie nie jest, że popełniało błędy, zwłaszcza gdy — jak to przyznał któryś z jego członków — „próbowało dyrygować morzem”. Można dyskutować, czy podziemne struktury są w stanie pełnić rolę przywódczą a jeśli tak, to w jakim zakresie, jednak z pewnością uważa się je zawsze za wiarygodnego partnera, mogącego przyjść z pomocą w bardzo wielu sytuacjach. Ceni się ich konspiracyjne doświadczenie, ufa informacjom, które stamtąd przychodzą. Gdy na przykład RKW „Mazowsze” zabrał głos w sprawie pewnego działacza podziemia, publicznie z imienia i nazwiska oskarżonego przez jedną ze struktur o współpracę z SB, i potępił ogłaszanie takich trudnych do udowodnienia oskarżeń, potępił w imię racji moralnych — okazało się, że w tej materii RKW posiada autorytet, i że wzmocnił się on jeszcze rozważnym postawieniem problemu.

W skomplikowanym pejzażu podziemia, w jego z wielu względów niełatwej sytuacji TKK i RKW stanowią ważne punkty odniesienia, zmniejszają poczucie niepewności, niestabilności, które zawsze pojawia się, kiedy tyle rzeczy trzeba ukrywać, tylu ludzi zna się tylko z pseudonimów, rozmaite przedsięwzięcia tylko częściowo wyłaniają się z mroku. Zagrożenie i tajemniczość w połączeniu bardzo utrudniają pracę. Otóż istnienie wyżej wymienionych nie-anonimowych instytucji, właśnie dlatego, że nie są tylko odległymi symbolami niezłomności, lecz działają wśród nas, ogromnie oczyszcza atmosferę i pracę ułatwia.

Aresztowanie Zbyszka Bujaka i jego bliskich współpracowników jest dla tych instytucji wstrząsem silnym, którego nie ma co bagatelizować. Kilku ważnych osób zabrakło — zostają jednak inni, zostają całe zespoły. Mają one mocno określoną rację bytu, wypróbowany styl działania.

Warto pamiętać, że to właśnie Zbyszek — wraz z innymi — tę rację bytu określał, styl działania wypracowywał. Zostawił po sobie coś więcej niż tylko legendę harcownika.

Paweł MORGA

Gdy naród budował podziemne struktury...

Obrodziło latoś sfrustrowanymi redaktorami, którzy w przeddzień dziesiątej rocznicy powstania w Polsce niezależnych instytucji, rozwiniętych obecnie na taką skalę, jakiej do tej pory na wschód od Łaby nigdy nie notowano, mówią o ogromnej klęsce i w popłochu poszukują dróg ucieczki od wywalczonej przez polskie społeczeństwo niezależności, w której czują się wyraźnie nie-swojo.

Kiedy bowiem niezależność owa oznaczać ma stan, w którym społeczeństwo polskie mogłoby wyrażać swoje aspiracje czy przekonania przez Centralnych Redaktorów nie zatwierdzone, na ich pulpitych sterowniczych mrugać zaczynają czerwone światełka i następuje czas, kiedy nieznośnemu społeczeństwu trzeba dać nareszcie po łapach. Redaktor Kuczyński (*Kultura* nr 3/1986) powiada, że *ogromną przeszkodą w prowadzeniu przez „Solidarność” sensownej polityki byli ludzie* (str. 111), a chwilę później wspomina, jak redaktor Mazowiecki zwierzył mu się niegdyś na Marszałkowskiej, że *„ten naród” idzie w niewłaściwym kierunku i nie sposób mu w tej drodze towarzyszyć* (str. 112).

Redaktor Dorn (*Znaki Czasu* nr 1) zastanawia się, *co w nas jako narodzie ujawniło się w czasach „Solidarności” małego, słabego lub po prostu głupiego* (str. 45), opisuje, jak to *olbrzymia maszyna „Solidarności” kręciła się w społecznej pustce, pracowała na jałowym biegu* (str. 62), aby dojść do konkluzji, że *samorządna Rzeczpospolita to masło z serwatki ubite* (str. 68).

Redaktor Wierzbicki z kolei powiada, że *Polacy cierpią na pewną chorobę, polegającą na ślepotcie na autentyczne wartości*

(„Myśli staroświeckiego Polaka”, str. 22), charakteryzuje ich zbiorowa głupota (str. 28), a „Solidarność” sparaliżowała samą siebie, topiąc w oceanie demokratyzmu własne centrum kierownicze (str. 27) i pozwalając w ważnych państwowych sprawach zabierać głos *mottochowi kolejkowemu*.

Redaktor Król kombinuje, jakby tu się najwygodniej ułożyć z red. Urbanem w przekonaniu, że wydawanie pism nielegalnych nie jest zajęciem *comme il faut* dla konserwatywnego polityka i że lepiej być legalizowanym przez jakąkolwiek władzę, niż wyrażać poglądy jakichś niezorganizowanych, nieokreślonych mas.

Zjawisko, o którym piszę, nie jest bezprecedensowe, więcej: jeśli by się porządnie wpatrzeć w polską historię, dałoby się bez trudu zauważyć, że tradycyjnie polskiej prawicy zawsze mniej niebezpiecznymi wydawały się różne gry i stosunekczki z zaborcami, niż aspiracje wyzwajającego się narodu — tak było i za czasów Insurekcji Kościuszkowskiej, i w Powstaniu Listopadowym, i wtedy gdy margrabia Wielopolski przeprowadzał swoją *brankę*, i kiedy Bolesław Piasecki pisał o *instynkcie państwowym*. Nic więc nowego, tylko, jak mówi poeta, „*niechaj tu będzie jasno powiedziane*”.

W dziesięciolecie powstania KOR-u wychodzi w Polsce około 400 czasopism niezależnych, zarówno w wielkich centrach intelektualnych i przemysłowych, jak w małych, prowincjonalnych miejscowościach, co mogłoby cieszyć kogoś, kto by kibicował polskiemu społeczeństwu wybijającemu się na niezależność, ale jednocześnie musi robić wrażenie horroru na każdym, kto dostrzeże, iż nie ma pośród nich ani jednego oficjalnego organu, miejsca, skąd redaktor zamiast wypowiadać swoje poglądy, mógłby głosić obowiązujące prawdy.

Nie trzeba zresztą wielkiej wyobraźni, by móc sobie przedstawić, jak czuje się redaktor, którego pozbawiono organu. Zbolały i udręczony rozgląda się za sprawcą, a zarazem gotów jest wiele ofiarować temu, kto by mu organ pozwolił odzyskać. Bo przecież nie o wolność głoszenia poglądów tu chodzi: *Res publica* mogła jako pismo nielegalne być dla redaktora forum interesującym, kiedy w Polsce wychodziło w podziemiu kilka czasopism; dziś, aby być słyszalna, musiałaby jednocześnie być lepsza od kilkuset innych, łatwiej więc słyszalność zapewnić sobie nadaniem przez Urbana statusu Niezależnego Organu Koncesjonowanego, bo przecież takie dziwo na pewno będzie wzbudzało powszechne zainteresowanie.

Redaktor bowiem szczególnie lubi zasiadać i dlatego krzątania związana z budową struktur niezależnego społeczeństwa jest dla niego męcząca i nie przynosi satysfakcji. Ze dziesiątki wydawnictw niezależnych gotowe drukować przemyślenia redaktora, że niezależne wykłady, seminaria, wszechnice robotnicze, audycje

radiowe na taśmach magnetofonowych, filmy na kasetach video, przedstawienia teatralne w prywatnych mieszkaniach, wystawy plastyczne w kościołach — wszystko to stwarza tę nieznośną sytuację kiedy „*dworu nie mamy w Warszawie*” i zamiast zasiadać w salonie, trzeba kręcić w piwnicy korbą powielacza.

Fenomenem lat 80-tych stało się w Polsce upowszechnienie postaw zmierzających do uzyskania czy odzyskania podmiotowości i stało się tak, że owe do podmiotowości pretensje, naturalne dla ludzi ze środowiska intelektualnego, z którego się redaktorzy wywodzą, zaczęły być przejawiane także przez tysiące tych, którzy z intelektualną elitą nigdy nie mieli nic wspólnego, że w zakładach pracy czy prowincjonalnych miasteczkach albo i wsiach zgoła — ludzie coś robią, starają się podejmować działania, które pozwolą im czuć się gospodarzami we własnym kraju, usensownią ich życie.

Jeśli by zadać sobie trud uważnego czytania w *Tygodniku Mazowsze* rubryki mówiącej o aresztowaniach i skazaniach, łatwo by było zauważyć, że w niezależnych działaniach biorą udział ludzie najróżniejszych zawodów, nietypowych zgoła dla inteligentkich formacji opozycyjnych — sklepowe, konduktorki, robotnicy. Ktoś gdzieś buduje radiostację, przy pomocy której emituje ukazujące się na ekranach telewizorów napisy, ktoś organizuje kursy dla licealistów z — by tak powiedzieć — wiadomości o Polsce i świecie współczesnym, ktoś zakłada przy pomocy magnetowidu społeczne kino działające na spółdzielczych zasadach, nie mówiąc już o wydawaniu czy przedrukowywaniu książek i czasopism.

Wszystko to oznacza dążenie do wzięcia na siebie odpowiedzialności za kształt otaczającego świata, co w sferach inteligentkich uchodziło zawsze za wartość bezdyskusyjną i oczywistą. Jest jednak jednocześnie i tak, że mamy przecież tym samym do czynienia ze swoistym zamachem stanu, z podejmowaniem *stricte* inteligentkich ról *na dziko*, przez osoby nieupoważnione, bez żadnej ze strony redaktorów możliwości sprawowania nad tym procesem kontroli.

I oto okazuje się, że wygłaszane jeszcze niedawno przez tych samych redaktorów hasła żądające przywrócenia społeczeństwu polskiemu podmiotowości oznaczać miały, iż chodzi o podmiotowość dla nich tylko, bo *pon sie bojom we wsi ruchu*, bo znów *złakł się syn szlachecki*, bo wartości te w wypadku ich upowszechnienia nie tylko tracą dla redaktorów wszelki urok, ale zamieniają się w swoje przeciwieństwo.

Owóż redaktor pasjami lubi wzbudzać szacunek, pełnić szamańskie role, potrzebne mu jest dla zachowania dobrego samopoczucia, aby otoczony był aurą człowieka wybranego, tego, którego zaprasza się na dwór. A z tym bywaniem na dworze istna roz-

pacz — bywanie u Jaruzelskiego szacunku nie zjednuje, a z kolei na dworze arcybiskupim też nieprzyjemnie, Wierzbicki czuł się tam *jak na zjeździe międzynarodówki socjalistycznej* (str. 50), bo nastąpiły już tak okropne czasy, że nawet Kościół katolicki, tradycyjna ostoja konserwatyzmu, jakoś się z tymi zbuntowanymi Polakami dogaduje, a co gorsza stwarza im miejsce dla ekspresji ich poglądów czy aspiracji.

Całe szczęście nie dotyczy to całego Kościoła, więc można jeszcze liczyć na to, że znajdzie się w nim takich, co będą się starali sytuację opanować, demokrację nieprzystojną ukrócić, gazet — gdyby były w nich np. gorszące wiadomości o wizycie papieża w synagodze — nie czytać, tyle że w takiej sytuacji może dojść do tego, że nie mogą znaleźć dla głoszenia takich poglądów miejsca ani w Warszawie, ani w Rzymie, trzeba się dla ich głoszenia ewakuować do Wiednia, gdzie red. Dorn może znaleźć przytulisko dla atakowania „Solidarności” za jej dążenie do zbudowania samorządnej Rzeczypospolitej. Pomysł, aby obywatele mieli sami stanowić o sobie i świecie, który ich otacza uważa on za szatańską prowokację ze strony lewicy, bowiem ze zredagowanych przez niego oświadczeń wynika, że polskiemu społeczeństwu nigdy się o żadnych samorządnościach nie śniło. *Ufajcie memu szkiełku i oku*, zaklina red. Dorn *via* Wiedeń, nie znalazłszy w Warszawie miejsca dla głoszenia swych poglądów.

Red. Kuczyński z Paryża uważa natomiast, że tendencja do współpracy z generałem Jaruzelskim i jego kolegami jest czymś najnaturalniejszym w świecie i, co znacznie bardziej odkrywcze a oryginalne, nie pozostaje w związku z prowadzoną przez owych generałów polityką, a jest jedynie funkcją czasu. Czytając jego wynurzenia można się dowiedzieć, że poniesiona przez społeczeństwo polskie zimą 1981 roku klęska była tak dotkliwa, że rany po niej trzeba będzie lizać przez całe pokolenie.

Jeżeli klęskę tę widzieć jako utratę szacownych stanowisk przez tych, którzy nie byli gotowi towarzyszyć *temu narodowi* w jego drodze do wybijania się na niezależność, to rzeczywiście była ona nie tylko poważna, ale i nieodwracalna, bowiem rozwijające się z dnia na dzień struktury niezależnego społeczeństwa polskiego, wypracowującego już latami swoją samoświadomość, nie są i nie będą, nawet po upływie pokolenia, podobne do tych zbuntowanych rzesz z Sierpnia, które gotowe były słuchać każdego, kto by chciał stanąć na ich czele. Jest bowiem jedną z zalet długiego marszu, że jego uczestnicy dobrze się wzajemnie poznają.

Piotr Wierzbicki uważa, że najgorsze co w tej chwili można w Polsce robić, to stać na straży uznawanych wartości i proponuje przyjęcie zamiast tego *strategii gry* i założenie, że trzeba stać się ją wygrać, uznając wszystkie chwytaki za dozwolone, że

zasady wolno zmieniać jak rękawiczki i nie ma żadnej potrzeby, żeby społeczeństwo rozumiało ekwilibrystykę swoich przywódców. Kuczyński wyraża pogląd podobny; oto *trzymanie się wartości moralnych prowadzi w warunkach polskich do radykalizmu*, przed którym może nas chronić tylko moralny relatywizm (str. 111), zaś w konkluzji powiada, że *myślenie radykalne w polskiej sytuacji jest myśleniem nihilistycznym* (str. 120).

Zredagowany przez Kuczyńskiego prosty sylogizm, z którego wynika, że to co moralne jest zarazem nihilistyczne jest zaiste godną ilustracją wytężonej pracy umysłowej naszych sfrustrowanych redaktorów.

Ponieważ jednak sam redaktor chciałby być moralny, dodaje na tejże 120 stronie, że w Paryżu, gdzie przebywa, *realizmem jest radykalizm*, co prowadzi nas do jakże prostego wniosku, że moralność zachować można jedynie na emigracji. Jeżeli dobrze wywód jego rozumem, właśnie owe moralne względy nakazują mu doradzenie polskiemu społeczeństwu współpracy z komunistyczną władzą. *Zaleca obecność i penetrację, także w partii i milicji* (str. 119), bowiem tylko *będąc obecnym*, można mieć na władzę zbawienny wpływ i współpracując *wykruszać antyhumanistyczne rogi systemu* (str. 121). Rozumiem, że gdyby nasi ludzie poszli pracować do wydziału Naczelnika Piotrowskiego, nie doszłoby do tragedii, a jakbym powiedzmy został zomowcem, mógłbym w czasie demonstracji tłuc pałą staruszki nie z całej siły, ale ot, na pół gwizdka.

Najbardziej w tym wszystkim zastanawiające, że kiedy na przykład red. Król idzie na kolację do red. Urbana, nie przychodzi mu do głowy, że miłe to zaproszenie zawdzięcza nie tyle miłemu swemu gospodarzowi, ani własnym niewątpliwym walorom, ale temu raczej, że chętnych do jedzenia tych kolacyjek nie jest specjalnie dużo. Najzabawniejsze jednak, że czując się w swych rejestracyjnych działaniach samotnie, opowiada Król w Paryżu o licznych czasopismach niezależnych, podając tytuły i nazwiska, które jakoby się do tych jego działań dołączyły, co jest z kolei przez zainteresowane osoby i firmy prostowane jako wierutne bajdurzenia. Po prostu red. Król nie rozumie, że red. Urban jest z nim gotów rozmawiać o rejestracji tylko pod warunkiem, że będzie ona złamaniem solidarności podziemia i tylko dopóty, dopóki wiadomości o innych gotowych się rejestrować instytucjach niezależnych będą, jak są dziś, nieprawdziwe.

Red. Król uważa, że rzeczą dla niego najważniejszą jest możliwość wykonywania politycznych ruchów i chciałby mieć niezbędną do tego swobodę. Oczywiście, że tworzenie wspólnego, jednolitego, solidarnego frontu z innymi, zwłaszcza kiedy jest ich tysiące, swobodę redaktorów ogranicza. I oto okazuje się, że

największą słabością „Solidarności” był solidarny i masowy charakter tego ruchu, uniemożliwiający elastyczne nim kierowanie przez natchnionych redaktorów, którzy wiedzieli lepiej i którzy chórem powtarzają, że co zbiorowe, to jednocześnie głupie. Takie założenia czyniąc, muszą nasi redaktorzy zadawać sobie pytanie, jak ten wielki społeczny ruch reprezentować jednocześnie nie realizując jego aspiracji. Jest to rzeczywiście zadanie poważne.

Ostatnio mówi się ciągle bardzo dużo o historii Polski i jeżeli chceć tego mówienia słuchać, łatwo zauważyć, że pośród wojen i rozbiorów, zaborów i powstań, ze zmiennymi rezultatami prowadząc walkę o zachowanie swojej tożsamości, społeczeństwo polskie nie miało nigdy w swoich dziejach równie wielkiej jak obecnie okazji do autoekspresji, do zbiorowego wyrażenia swojej woli, swoich pragnień czy wreszcie upodobań. Okazało się w dodatku, że rozmaite od lat powtarzane na temat tego społeczeństwa opinie, krytykujące je za bezmyślny, straceńczy patriotyzm, ten od szturmowania z lancami na czołgi i wywoływania z góry przegranych powstań po to tylko, aby skutecznie wygubić kolejne pokolenie zapaleńców — że to wszystko po prostu nieprawda, że przeciwnie: spokój, powaga i cierpliwość.

Spółeczeństwo polskie w pełni zawiodło redaktorów, mających już gotowe teksty o kolejnej Somosierrze i nikt nie był gotów siodłać ułańskich koni, aby zaspokoić naturalną u redaktorów potrzebę bycia mądrzejszym i utyskiwania nad powszechną głupotą, z której tylko redaktorzy owi są wyłączeni. Starania o uzyskanie dowodów, na podstawie których można by powtórzyć te standartowe zarzuty były momentami rozbijające, a przeważnie żałosne. Ktoś gdzieś narysował misia — Somosierra, ktoś zaprotestował, że mu podpalili kolegę — też Somosierra, bo nawet w Gandhim, gdyby się w Polsce pojawił, nasi redaktorzy gotowi byli dostrzec Koziatuluskiego, a w jego kozie ułańskiego rumaka.

Redaktor od tego jest redaktorem, żeby mieć rację i wiedzieć znacznie lepiej, więc w czasach, kiedy nie stłukła się w Polsce ani jedna szyba, za narysowanie jednego czy drugiego misia oskarżali oni społeczeństwo o bezmyślnie straceńcze skłonności, zaś gdy zachowało się jak myśląca trzcina, a nie szwadron ułanów, ci sami redaktorzy zaczęli wykrzykiwać o zdradzie lub totalnej klęsce. Redaktor Wierzbicki mówi wprost (str. 6-7), że stawia sobie za cel przeciwstawianie się polskiemu społeczeństwu, że to co wspólne, zbiorowe, powszechne wywołuje w nim odruch odrazy.

Cóż, znowu nam mówią, żeśmy stumanieni, choć dzisiaj nie chodzi o szarą garść legunów, ale dziesiątki tysięcy ludzi, którzy budują Polskę na swoją miarę, ową rzecz jakże pospolitą, w której się rządzić chcą sami, nie na staroświeckości, ale na połączeniu tradycji z nowoczesnością opartą, Polskę gotową wszystkich głosów wysłuchać i oprzeć się wszystkim dyktatom, świadomą

ceny, jaką się płaci idąc na przekór społecznym aspiracjom i nadziejom, jaką się płaci za pogardę dla zbiorowej woli — tego się przecież uczymy budując niezależne społeczeństwo i tworząc miejsce dla wszystkich, którzy by się chcieli uczyć tego razem z nami.

Jan WALC

Pisane przejazdem w Paryżu wiosną 1986 roku

4 Listopad 1981

6 czerwca 1986 na spotkaniu z dziennikarzami zagranicznymi rzecznik prasowy rządu PRL — Jerzy Urban — złożył oświadczenie na temat wywiadu, jakiego udzielił dziennikowi *Washington Post*, dotyczącego sprawy płk. Kuklińskiego i okoliczności wprowadzenia stanu wojennego. W tym oświadczeniu znajdował się następujący fragment: „Kukliński wiedział także, że plany, którymi dysponujemy, tworzone są na wypadek odrzucenia propozycji porozumienia, przedstawionych przez I sekretarza KC PZPR i premiera na spotkaniu trzech 4 listopada 1981 roku” (*Trybuna Ludu* 7/8 czerwca 1986 r.). Przypomnijmy, że chodzi tu o spotkanie prymasa Glempa, Lecha Wałęsy i gen Jaruzelskiego, odbyte właśnie 4 listopada 1981.

Spotkanie to nie po raz pierwszy służy stronie rządowej jako dowód rzekomo złej woli „Solidarności” i jej przewodniczącego, Lecha Wałęsy. W związku z tym uważam za celowe ujawnienie niektórych okoliczności, które to spotkanie poprzedziły.

O tym, że takie spotkanie jest planowane dowiedziałem się na kilka dni przed czwartym listopada 1981 roku. Zaproponowano mi wtedy udział w opracowaniu projektu oświadczenia, czy komunikatu, dotyczącego tego spotkania. Dokument ten miał być przedstawiony stronie rządowej jako propozycja Episkopatu i „Solidarności” zarazem. Pracowaliśmy nad nim od wczesnego popołudnia do drugiej w nocy w jednym z budynków Episkopatu. Nie ujawniam nazwisk osób — ze strony Kościoła i „Solidarności” — które w tym uczestniczyły, gdyż nie jestem do tego przez nie upoważniony.

Dokument, który przygotowaliśmy miał ok. 1,5-2 stron maszynopisu. Mówiąc ogólnie zawierał następujące idee: po pierwsze potwierdzał zobowiązania jakie w porozumieniach strajkowych 1980 roku wzięły na siebie rząd i uznawany wtedy ruch związkowy. Potwierdzał zasadę wolności związkowych i zasadę nienaruszalności podstaw ustroju oraz sojusze międzynarodowe kraju. Po drugie zatwierdzał deklarację woli zmian demokratycznych w

gospodarce oraz w instytucjach politycznych i — o ile sobie do-
brze przypominam — zawierał też deklarację odrzucenia siły jako
metody rozstrzygnięcia konfliktów w Polsce. Dokument ten, po
wprowadzeniu pewnych poprawek, został zaakceptowany przez
Kościół, a także przez Lecha Wałęsę. Następnie przekazano go
Kazimierzowi Barcikowskiemu, który ze strony rządowej przygo-
towywał spotkanie z prymasem Glępem i Wałęsą. Barcikowski
był bardzo z takiej inicjatywy niezadowolony i po przeczytaniu
tekstu powiedział, że wątpi aby spotkanie mogło się odbyć jeżeli
Kościół i „Solidarność” zechcą przyjść na nie z takim projektem
komunikatu, ale dodał, że dokument przekaże. W czasie następ-
nej rozmowy stanowisko Barcikowskiego było już stanowcze:
jeżeli Kościół i „Solidarność” nie porzucą zamiaru zaproponowa-
nia owego dokumentu jako projektu wspólnego komunikatu, to
spotkanie z gen. Jaruzelskim nie dojdzie do skutku. Prymas i
Wałęsa oczywiście postanowili zrezygnować z pomysłu, gdyż bar-
dzo im zależało, by to spotkanie doszło do skutku.

Z tego co wiem, samo spotkanie było całkowitym rozczarowa-
niem, gdyż premier przyszedł na nie wyłącznie z zestawem ata-
ków, znanych z prasy, i bez żadnej choćby chęci złagodzenia nar-
brzmiewającego konfliktu, nie wspominając o jego politycznym
rozwiązaniu. Teka premiera była tak pusta, że zorientowani w
tym o czym mówiono 4 listopada zadawali sobie pytanie, jaki
właściwie cel miała strona rządowa godząc się na odbycie zebra-
nia trzech najważniejszych ludzi w kraju. Już wtedy przypusz-
czano, że tym celem jest stworzenie alibi dla rządu.

Moim zdaniem sposób, w jaki władze odniosły się do samego
pomysłu, że Kościół i „Solidarność” przyjdą z projektem własnego
komunikatu, potwierdza to przypuszczenie. *Spotkanie miało się
odbyć i nie miało się na nim dziać nic ważnego, bo rzeczy ważne
były już dawno przewidziane. Już wtedy, nie zaś po Radomiu
i Szkole Pożarnictwa.*

Waldemar KUCZYŃSKI

WKRÓTCE NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Artur Kowalski

KOCHAŁEM JĄ NAD ŻYCIE

Wspomnienia b. komunisty

Zza kulis „Trybuny Ludu”

Książka będzie do nabycia w księgarniach polskich
na Zachodzie i w Izraelu.

Zamawiać ją można:

Profmail Service

P.O.Box 7624, San Jose, USA

Ci, co odeszli

Juliusz Mieroszewski

W dziesiątą rocznicę śmierci Juliusza Mieroszewskiego —
zmarłego 21 czerwca 1976 — możemy tylko przytoczyć słowa,
które wtedy zamieściliśmy w *Kulturze*. Nic się nie zmieniło w
ich aktualności.

„Pokładam w Bogu nadzieję, że nowe operacje nie będą
koniczne i że niedługo będę mógł wrócić do normalnej pracy
— bo choć *Kultura* daje sobie doskonale radę beze mnie —
mnie trudno jest żyć bez pisywania do *Kultury*, której poświę-
ciłem najlepsze lata mojego życia”.

Tak zakończył Juliusz Mieroszewski swój *List do czytelników*
z listopada ubiegłego roku. Powiedział w tym zdaniu, czym
Kultura była dla Niego. Nad świeżym grobem Mieroszewskiego
chcemy powiedzieć, czym on był dla *Kultury*. Więcej niż jej naczel-
nym i bardzo wybitnym publicystą; od którego artykułów nasi czy-
telnicy zaczęli w ciągu dwudziestu sześciu lat lekturę miesięcz-
nika. Był rzadkim okazem pisarza politycznego, oddanego swemu
pismu bez reszty. W małym londyńskim pokoiku, wypełnionym
książkami i gazetami, myślał o jednym tylko: o kolejnym artykule
do *Kultury*. Podczas częstych odwiedzin przyjezdnych z Kraju,
i o ileż rzadszych wizyt znajomych emigracyjnych, mówił o jed-
nym tylko: o sprawie polskiej w kontekście śledzonej uważnie,
opukiwanej dzień po dniu sytuacji międzynarodowej. Żył nie-
ustanną myślą o miejscu niepodległej i demokratycznej Polski
w świecie z trudnym do wyrażenia samozaparciem, graniczącym
z abnegacją. Był emigrantem politycznym doskonałym, zrosnię-
tym ze swoją comiesięczną trybuną nierozzerwalnie. Jak mało kto
miał prawo napomknąć w liście do czytelników (który okazał się
listem pożegnalnym) o „poświęceniu najlepszych lat życia” trwa-
niu i walce na *posterunku* publicystycznym, który był zawsze i
przede wszystkim *służbą* czytelnikom.

Zapewne, *Kultura* będzie sobie dawać radę bez Niego, ale
nie — jak w przesadnej skromności sądził — doskonale. Śmierć
Mieroszewskiego stwarza w naszym piśmie wyrwę, której nikt
nie wypełni. Wraz z Nim umarła część *Kultury*.

REDAKCJA

wia ich w panikę. Przez czas, potrzebny im dla ochłonięcia, zrozumienia wydarzenia i sporządzenia planu działań kierownictwo znika, chowa się za kurtyną głuchego milczenia. W tym okresie działają władze lokalne, które potem można zdezawuować i ukarać.

Wódz pojawia się po przetrwaniu przykrew niespodzianki. Wtedy Gorbaczow może oświadczyć: „Biuro Polityczne ujęło w swe ręce całą organizację prac celem jak najszybszej likwidacji awarii i ograniczenia jej skutków”. Wszyscy mogą odetchnąć spokojnie, nawet jeśli powietrze jest zatrute: generalny sekretarz KC panuje nad sytuacją.

Ucieczka w milczeniu nie przedstawia specjalnych trudności w przypadku kryzysu wewnętrznego: całkowita kontrola informacji pozwala ignorować kryzys do chwili, kiedy kierownictwo oświadczy, że został zażegnany. Wybuch reaktora w Czernobylu przerodził się — zupełnie nieoczekiwanie dla Gorbaczowa — w kryzys międzynarodowy. Monopol informacji został pogwałcony. To najbardziej zirytowało generalnego sekretarza: 60% swego wystąpienia poświęcił „zagranicznym reakcjom”, które — z nielicznymi wyjątkami („przemysłowe kręgi niektórych krajów szybko odpowiedziały na naszą prośbę o sprzedaż pewnych urządzeń technicznych, materiałów, lekarstw”) — bardzo mu się nie podobają. Mało tego, generalny sekretarz przypisał „niektórym państwom NATO, zwłaszcza Stanom Zjednoczonym”, odpowiedzialność za czernobylską „awarię”. Szczególnie oburzyły Gorbaczowa zarzuty „niedostatku” informacji. Odpierając je, nie zawahał się przed zwykłym kłamstwem, twierdząc, że „amerykańskim władzom potrzeba było dziesięciu dni” na poinformowanie świata o „tragedii w elektrowni atomowej na Three Miles Island” w 1979 roku. Jak wiadomo, świat dowiedział się o awarii na Three Miles Island (w której nie zginął ani jeden człowiek), kilka godzin po fakcie: wszystkie stacje telewizyjne USA były na miejscu aż do całkowitej likwidacji awarii.

Wniosek, do jakiego doszedł generalny sekretarz po szesnastu dniach rozmyślań, zawiera się w jednym zdaniu: „Rozumiemy: jest to jeszcze jedno uderzenie dzwonu, jeszcze jedno groźne ostrzeżenie, że epoka nuklearna wymaga nowego myślenia politycznego i nowej polityki”. Można by się z tym wnioskiem zgodzić, gdyby dotyczył sowieckiego myślenia politycznego i sowieckiej polityki. Gorbaczow ma jednak na myśli coś całkiem innego, mianowicie fakt, że Stany Zjednoczone nie chcą przystać na sowieckie propozycje. Telewizyjne wystąpienie Gorbaczowa wytyczyło główne linie wspaniałego manewru dezinformacyjnego, który godzien jest przejść do klasyki gatunku. Sowieckie środki informacji i propagandy (MIP) przedstawiają czernobylską katastrofę jako wynik niezycliwego stosunku „antysowiecystów” do kraju realnego socjalizmu i jako ostrzeżenie pod adresem Zachodu, że musi zrezygnować z broni nuklearnej. Gazety sowieckie roją się od tytułów typu „Uderzenie dzwonu” (cytat z Gorbaczowa), „Dzwon na alarm”, „Kto zatrzuwa horyzonty” (naturalnie nie promieniowanie z Czernobyla, a postępowanie za-

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Poprzedni przegląd, poświęcony pierwszym reakcjom sowieckich władz na wybuch reaktora w Czernobylu i milczeniu Gorbaczowa, zamknąłem 12 maja. Dwa dni później generalny sekretarz odezwał się: wystąpił w telewizji, wszystko wyjaśnił, wszystkim uspokoił i mianował się dobroczyńcą ludzkości.

W telewizyjnym wystąpieniu Gorbaczowa (*Prawda* z 15 czerwca 1986) zwraca uwagę przede wszystkim fakt, że miało ono miejsce szesnaście dni po katastrofie. Warto przypomnieć, że Stalinowi starczyło jedenastu dni, aby dojechać do siebie po napaści Hitlera na ZSSR i przemówić w radio. Mimo że bardzo ciężka, katastrofa czernobylska stanowi jednak dla Związku Sowieckiego mniejsze zagrożenie, aniżeli wojna z Niemcami. A jednak na zbawcze słowa generalnego sekretarza *anno* 1986 przyszło czekać dłużej aniżeli w 1941 roku.

Tłumaczac 3 lipca 1941 porażki pierwszych tygodni wojny, straty w terytorium i ludziach, Stalin powoływał się na to, że „Hitler niespodziewanie i wiarołomnie naruszył pakt o nieagresji”. Gorbaczow 14 maja 1986 tłumaczył się tym, że „po raz pierwszy realnie zetknęliśmy się z tak groźną siłą, jak niekontrolowana energia nuklearna”. Należy sądzić, że bezradność obecnego kierownictwa sowieckiego była nie mniejsza, niż w 1941 roku, skoro Gorbaczow dwukrotnie powtórzył: „Po raz pierwszy zetknęliśmy się z takiego typu niezwykłym wydarzeniem...”.

Chyba nigdy od 1941 roku nie była tak widoczna najbardziej charakterystyczna cecha systemu sowieckiego, całkowita bezradność wobec zaskoczenia, nieprzewidzianego kryzysu. Sowiecki system nie może się obejść bez kryzysów — wewnętrznych albo zewnętrznych — bo kryzysowe sytuacje są niezwykle wygodne dla podejmowania jednoosobowych decyzji, mobilizacji mas, i uzasadniania wszelkich możliwych posunięć. Niezbędny kryzys musi być jednak z góry zaplanowany, przygotowany i zorganizowany. Nieprzewidziany kryzys oszałamia sowieckich przywódców i wpra-

chodnich polityków). Koniec końców wybuch w Czernobylu okazuje się błogosławieństwem. Tak też brzmi tytuł artykułu redakcyjnego *Prawdy* z 17 maja, „W interesie ludzkości”.

Pełna kontrola informacji, która pozwala twierdzić, że radioaktywną chmurę puszczono w Czernobylu dla dobra ludzkości, wymaga dziś trochę wysiłku. Cała sowiecka prasa, radio, telewizja itp. obchodziły 28 maja uroczyste „Dzień żołnierza wojsk ochrony pogranicza”. W swoim czasie sowiecki *pogranicznik* z psem na smyczy (rzeźba, zdobiąca liczne miasta sowieckie) miał za zadanie nie wpuszczać nikogo „stamtąd” i nie wypuszczać nikogo „stąd”. Dziś nie jest to już takie proste. „Wrogowie — żali się *Prawda* z 28 maja 1986 — nie cofają się przed żadnymi sposobami, żeby przeniknąć przez granicę lub (!!! — A.K.) przewieźć szkodliwą literaturę o charakterze antysowieckim... Do naszego kraju starają się przywozić wszystko: video-kasety z filmami pornograficznymi i łzawe modlitwy...”

„Dzień *pogranicznika*” obchodzone pod hasłem „Granicy strzeże cały naród”. Mowa o narodzie sowieckim. W rzeczywistości granicy sowieckiej — w szerszym rozumieniu tego słowa — strzeże cała postępową ludzkość. Kiedy w Związku Sowieckim szykowano się do obchodów „Dnia *pogranicznika*”, czyli fetowania „oddziałów pierwszej linii”, prezydent Międzynarodowego Instytutu Teatrolologii, nigeryjski pisarz Soyinka, zakazał pokazania na festiwalu w Baltimore spektaklu według „Folwarku zwierzęcego” Orwella, przygotowanego przez brytyjski Teatr Narodowy. Okazało się, że „oddziały drugiej linii” — Bułgaria, Czechosłowacja, Węgry i Polska — zagroziły, że wycofają swoje teatry, jeśli „Folwark zwierzęcy” zostanie wystawiony (*International Herald Tribune* z 26 maja 1986).

Lektura prasy sowieckiej dowodzi, że właściwie każda informacja ma wywrotowy charakter. Rzecz tylko w interpretacji. Wiadomo, że Orwell jest pisarzem antysowieckim, z którym się walczy. Jednak prasa sowiecka dzień w dzień dostarcza tekstów, których nawet autor „Folwarku zwierzęcego” nie odważyłby się napisać. *Prawda* wydelegowała np. specjalnego korespondenta dla zbadania „problemu telewizorów”. W sprawozdaniu ze swych peregrynacji po moskiewskich ministerstwach dziennikarz pisze coś, na co moim zdaniem Orwell nigdy by się nie zdobył. „Jakość telewizorów jest ich piętą achillesową” (*Prawda* z 17 maja 1986). Gdyby jakiś czytelnik z innej planety przeczytał to zdanie, to — znając język rosyjski — doszedłby do dziwnego wniosku, że w Związku Sowieckim produkuje się telewizory, które nie działają. Można naturalnie uznać, że nie ma to wielkiego znaczenia, bo nawet jeśliby działały, niewiele w nich można obejrzieć. Rzecz jednak nie w tym. Jeśli piętą achillesową sowieckich telewizorów jest ich jakość, to na czymże polega ich achillesowy biceps? Odpowiedź: na ilości. Z artykułu w *Prawdzie* dowiadujemy się bowiem, że w 1985 roku w ZSSR wyprodukowano ponad cztery miliony kolorowych telewizorów. Niestety, prawie jedna trzecia — czyli więcej niż milion — nie działała. Najbardziej zdumiewający jest jednak plan ministerstwa łączności, który przewiduje „zwięk-

szczenie funkcjonalności aparatów telewizyjnych” do końca pięcioletki o mniej niż jedną trzecią. Znaczy to, że planowo wyprodukuje się ok. 800-900 tysięcy nie działających telewizorów. Jak skądinąd wiadomo, Związek Sowiecki zawsze przekracza plany...

Telewizory są tylko jednym z licznych przykładów. Nasuwa on jednak nieodparte pytanie: jeśli produkuje się tak złe telewizory, to dlaczego miano by budować dobre elektrownie atomowe? Niezliczone artykuły w gazetach sowieckich dają na to pytanie jasną odpowiedź: elektrownie atomowe są zbudowane równie źle, z równie wybrakowanych materiałów, jak wszystko, co produkuje Związek Sowiecki. Gazeta *Trud* z 13 sierpnia 1981 wspominała o „poważnych błędach technicznych”, jakie popełniono przy budowie elektrowni atomowej pod Smoleńskiem. 9 lipca 1983 ta sama gazeta powiadomiła czytelników, że przy budowie elektrowni smoleńskiej zabrakło materiałów, potrzebnych do produkcji sprężonego betonu. Kłopoty elektrowni nie zmniejszyły się i w następnych latach. 23 czerwca 1982 gazeta *Socialistическая индустрия* pisała o brakach materiałów i wyposażenia w rostowskiej elektrowni atomowej. 11 kwietnia 1985 *Stroitielnaja gazeta* zrelacjonowała oszałamiającą historię. Kiedy zjechała komisja, mająca przyjąć niektóre gotowe obiekty, okazało się, że „korytarz transportowy” w pierwszym bloku reaktorowym jest o 38 milimetrów niższy, aniżeli na papierze. Wydawałoby się, cóż to takiego, 38 milimetrów. Jednak komisja odmówiła przyjęcia, motywując to tym, że reaktor nie precyzyjnie się do miejsca montażu. Zaczęto się zastanawiać, co zrobić: obniżyć szyny, na których ma być podwieszony reaktor, czy podnieść powałę korytarza... Ale potrzeba jest matką wynalazków: coś tam wymyślono, obiekt oddano do eksploatacji, elektrownia ruszy!

Czytając tę historię przypomniałem sobie, że już kiedyś coś podobnego czytałem: opowiadanie Mrożka pt. „Wesele w Atomich”.

Główne przyczyny wszystkich usterek — pisano także o wadach elektrowni bałkowskiej, południowo-ukraińskiej, krymskiej, odeskiej, kurskiej, białojarskiej, kalininskiej i innych — wynikają z systemu planowania, złej jakości i niedostatecznej ilości materiałów i wyposażenia, braku wykwalifikowanej siły roboczej. O wszystkim tym mowa była w artykule z *Literaturnoj Ukrainy*, poświęconym elektrowni atomowej w Czernobylu na miesiąc przed jej wybuchem.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że podobnych katastrof nie było więcej: wszystkie sowieckie elektrownie atomowe są niebezpieczne, bo wszystkie są zbudowane po sowiecku. Czernobyl pokazał tylko, że system sowiecki nie nadaje się do epoki techniki nuklearnej.

O tym towarzysz Gorbaczow naturalnie się nie zająknął. Zresztą występując w telewizji uznał w pewnej chwili, że „więcej pytań nie ma” i przeszedł do ważniejszych spraw. 28 maja br. gazety opublikowały uchwałę KC KPZS o „środkach nasilenia walki z dochodami nie pochodzącymi z pracy”. Równocześnie Rada Mi-

nistrów wydała instrukcję „O środkach nasilenia walki z dochodami nie pochodzącymi z pracy”, a prezydium Rady Najwyższej ZSSR dyrektywę na ten sam temat. Zazwyczaj uchwały o „środkach nasilenia walki” z kolejnymi sowieckimi plagami podpisane są równocześnie przez KC i Radę Ministrów. Tym razem KC nie pozostawia wątpliwości, skąd wyszła inicjatywa „nasilenia walki” i kto będzie czujnie kierował akcją.

Tekst uchwały KC wyznacza kolejne „ważne zadanie polityczne, społeczno-ekonomiczne i wychowawcze” — „likwidację obcych naturze socjalizmu dochodów, pochodzących ze źródeł innych niż praca”. KC bije na alarm: „zastosować zdecydowane środki celem likwidacji dochodów nie pochodzących z pracy”, „uderzyć z całą siłą prawa sowieckiego”, „nie pozostawić bezkarnie, bez zastosowania środków działania, ani jednego faktu związanego z pobieraniem dochodów nie z pracy”. KC domaga się „zapewnienia dalszego nasilenia walki z kradzieżą mienia państwowego, łapownictwem, spekulacją i innymi przestępstwami dla zysku...”.

Próbując coś zrozumieć z tego zalewu słów i powtarzających się inkantacji o konieczności tego, tamtego i owego, odkrywa się dwie metody, mające — zdaniem KC — oczyścić społeczeństwo sowieckie z głównej przeszkody na drodze do komunizmu. Pierwsza jest prosta: zwiększyć produkcję deficytowych towarów (zwanych w sowieckiej nomenklaturze towarami zwiększonego popytu) i jak najprędzej stworzyć „przesłanki dla zaspokojenia potrzeb ludności w dziedzinie usług”. Metoda zaiste prosta i doskonała: dać obywatelom sowieckim wszystko, czego im brak i zlikwidować w ten sposób spekulację, czarny rynek, kryzys mieszkaniowy, łapownictwo itd. Czytelnik może zasadnie spytać, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślano. Dlaczego dotychczas jest deficyt? Na to pytanie KC uczciwie odpowiada: nie wiemy. KC najpierw każe „zwiększyć”, „stworzyć przesłanki”, a potem proponuje odpowiednim organom „operatywnie i rzeczowo zbadać przyczyny pojawiającego się deficytu poszczególnych towarów i usług”...

Zanim organy „operatywnie i rzeczowo” zbadają przyczyny, KC proponuje zastosować drugą metodę: zacząć wsadzać do więzień i zwiększyć kary, a dodatkowo zwiększyć produkcję filmów i spektakli „sprzyjających kształtowaniu w obywatelach sowieckich wysokich przymiotów moralnych”.

Szczegóły różnego typu sankcji i represji chętny czytelnik znajdzie w uchwałach Rady Ministrów i Rady Najwyższej. W dyrektywie tej ostatniej widoczny jest też „kierunek głównego uderzenia”, tj. kategorie ludności, przeciwko którym skierowany jest największy gniew KC. Jak się okazuje, największą przeszkodą na drodze do komunizmu są chałupnicy i rzemieślnicy, kołchoźnicy, skupujący chleb, mąkę i kaszę dla karmienia bydła i ptactwa, łapownicy (których będą teraz karać więzieniem do dziesięciu lat, a w szczególnych przypadkach do piętnastu lub karą śmierci), drobni złodzieje mienia państwowego i społecznego.

Wszystko to jest znane aż do znudzenia, wszystko powtarza się bezustannie od siedemdziesięciu lat, wszystkie wykroczenia i prze-

stępstwa wymienione w dokumentach z 28 maja 1986 figurują w kodeksie karnym od 1926 roku i zostały już zaostrzone w jego nowej redakcji. Po cóż było raz jeszcze wracać do odwiecznego tematu?

W epoce Breżniewa demoralizacja warstwy rządzącej osiągnęła nieznane przedtem rozmiary. Ścisłej mówiąc, stała się zbyt manifestacyjna i za bardzo rzucała się w oczy. Jurij Andropow zrozumiał, że kampania „oczyszczenia” breżniewowskiej tajni może mu przysporzyć popularności, potrzebnej generalnemu sekretarzowi zaraz po wyborze. Gorbaczow, korzystając także z doświadczeń Polski, nadal mówi o „oczyszczeniu” i „socjalistycznej sprawiedliwości”. Sowieccy przywódcy doskonale wiedzą, że wspomnianie o korupcji, łapownictwie i niesprawiedliwości społecznej jest niebezpieczne.

Jak bardzo jest niebezpieczne, dowodzi list czytelnika *Literskuroj gazety* D. I. Kalinyczewa, opublikowany 21 maja br., tydzień przed ogłoszeniem uchwały KC. Kalinyczew napisał go w związku z raportażem sądowym Olgi Czajkowskiej pod tytułem „Krewni”, opublikowanym w *Litgazecie* 5 lutego br. Olga Czajkowskaja, znana i popularna reportażyстка sądowa, opisała Aleksieja, który ograbił swego wuja Jurija Borisowicza. Smutna, przykra wręcz historia — bratanek ograbił wuja. Wydawałoby się, że wszyscy jak jeden mąż powinni potępić złodzieja. Ale Kalinyczew wczytał się głębiej w tekst i zarzucił Oldze Czajkowskiej, że nie napisała, kim jest Jurij Borisowicz i jakim sposobem w jego mieszkaniu znalazły się antyczne meble, obrazy itd. Kalinyczew przyznaje, że po przeczytaniu, iż Aleksiej i jego kompani przed obrabowaniem Jurija Borisowicza ukradli samochód sprzedawcy sklepu mięsnego i rzeźnikowi, który rąbał mięso, wyrwał mu się z głębi serca okrzyk: „Dobrze im tak! Oby częściej ich okradano!”. Kalinyczew argumentuje z żelazną logiką: skąd sprzedawcy sklepu mięsnego albo rzeźnik, rąbiący mięso mają pieniądze na samochód? Jasne — z okradania klientów. „Dla czegoż to Aleksiej nie miałby ukraść ukradzionych samochodów?”. Mało tego, uważa autor listu, „taka kradzież ma znaczenie wychowawcze... Złodziei należy okradać. Obowiązkowo!”.

Kalinyczew niezachwianie rozwija swą myśl: „Weźcie akademików i profesorów, wielkich pisarzy i poetów, aktorów i reżyserów, dyrektorów i naczelników, tj. wszelkie wysoko opłacane zawody. Im przecież też należy od czasu do czasu „uszcźknąć” nagromadzonych dóbr...”. List kończy się stwierdzeniem, nad którym powinni się zastanowić wszyscy „wysoko opłacani”: „Wielu ludzi cieszy się, kiedy słyszą, że jakiegoś akademika lub słynnego śpiewaka złodzieje 'obrobili' do suchej nitki. Oczywiście, usta milczą, ale dusza śpiewa!”.

Autorowi listu stara się odpowiedzieć doktor nauk historycznych, profesor Jakowlew, ale jego odpowiedź to puste słowa, żałosny pisk w porównaniu z listem Kalinyczewa, który po siedemdziesięciu latach powtórzył leninowskie słowa „rabuj zrabowane!”. Profesor Jakowlew nie posiada się ze zdumienia: „Jak można? Wynikałoby z tego, że rabusie i złodzieje są bojowni-

kami o sprawiedliwość socjalistyczną!". To właśnie twierdził towarzysz Lenin w niezapomnianym 1917 roku. Profesor Jakowlew przypomnia, że przy socjalizmie muszą istnieć „elementy nierówności”, które znikną dopiero przy komunizmie, i że nie wszyscy „wysoko opłacani” są złodziejami. *Literaturna gazeta* zatytułowała odpowiedź doktora nauk historycznych „Groźna śpiewka”. Nie ulega wątpliwości, że dla „wysoko opłacanych” jest groźna. Aby zażegnać niebezpieczeństwo, KC KPZS kieruje gniew ludu w stronę „osób, żyjących z dochodów nie pochodzących z pracy”.

Niewykluczone, że na jakiś czas uda mu się odwrócić uwagę społeczeństwa. Pewne też, że zwiększy się liczba więźniów w obozach koncentracyjnych. Zdaniem Anatola Szczarańskiego w więzieniach i łagrach sowieckich przebywa obecnie pięć milionów ludzi, a dalsze dwa miliony oczekują w więzieniu na proces. Poza tym odsiaduje wyroki sześć milionów „chemików” — skazanych warunkowo z obowiązkiem podjęcia pracy, bez prawa wyboru miejsca. Za Stalina jednak łagry i więzienia były znacznie gęściej zaludnione — tak że miejsca nie brak...

Adam KRUCZEK

10 czerwca 1986

Kronika niemiecka

Polska otrzymała z NRD w bież. roku dodatkowo 72 tys. zamrażarek skrzyniowych, 31 tys. pralek, 20 tys. wirówek, 10 tys. żelazek, 15 tys. robotów kuchennych i 25 tys. poduszek elektrycznych. Ważną pozycję stanowią m.in. leki nasercowe *curantyl*, *corinfar* oraz *pantheol*. Zawarty też został kontrakt na dostawę w bież. roku z NRD 8.400 samochodów osobowych marki *Wartburg*, 3.200 *Trabantów* i 750 półciężarówek *Roburów*. Polska sprzedaje NRD przede wszystkim warzywa, owoce i przetwory. Wspólną wystawę młodych grafików z Polski i NRD pt. *Przemiany krajobrazu* otwarto w *Neue Berliner Galerie im Alten Museum Berlin*. Grupa 25 studentek i studentów politologii z uniwersytetu w Augsburgu — pod kierownictwem prof. Hansa Mühleisena — przebywała w Polsce (Kraków i Lublin). Uniwersytet w Augsburgu utrzymuje już od dawna kontakty z Polską. Podróż zrealizowana została w ramach prowadzonego przez prof. Mühleisena seminarium *Polityka i społeczeństwo w Polsce*. Bajki polskich Cyganów zostały zebrane przez Jerzego Ficowskiego i wydane pt. *Ein Zweig vom Sonnenbaum (Gałązka słonecznego drzewa)* w oficynie *Neukirchener Verlag*. Uniwersytet Ludowy w Berlinie Zachodnim (*Schloss Glienicke*) urządził tygodniowe sympozjum poświęcone sprawom polskim. Poszczególne zagadnienia referowali: prof. Aleksander Osadczuk-Korab (*Aspekty stosunków niemiecko-polskich po 1945 roku*); prof. Andrzej Wirth (*Polski teatr współczesny*); prof. Włodzimierz Knobeldorf (*Pozory i rzeczywistość — Rozdwojenie realizmu socjalistycznego*); Andrzej Rapacz (*Szkołnictwo w Polsce*); dr Veronika Grabe (*Obraz Niemiec w Polsce*); dr Andreas Lawaty (*Obraz Niemców w twórczości Bolesława Prusa i Niemieckie związki Józefa Wittlina*); Ewa

Czerwiakowska (*Najnowsze tendencje w literaturze polskiej*). Ojcowie franciszkanie, którzy przejęli klasztor w Bensheim (Hesja) przybyli z *Katowickiej Prowincji Zakonnej*. Część zakonników studiowała w *Wyższej Szkole Zakonnej* w Fuldzie, Fryburgu (RFN) i Louvain (Belgia). Polscy franciszkanie w Bensheim objęli opieką duszpasterską chorych w szpitalach i klinikach regionu Bergstrasse (Odenwald). Miejscowa prasa pisze, że „Klasztor franciszkański w Bensheim stał się oazą pojednania polsko-niemieckiego”. Poznański *Teatr Ósmego Dnia* zaprezentował monachijskiej publiczności widowisko *Autodafé*, oparte na motywach powieści Tadeusza Konwickiego *Mala Apokalipsa*. Pracująca we Frankfurcie n/Menem polska lekarka dr Krystyna Graef-Cieślak ponowiła ostatnio zapoczątkowaną jeszcze przed laty akcję charytatywną — *Mleko w proszku i lekarstwa dla polskich dzieci*. Dr Graef-Cieślak: „Otrzymałam z południowej i wschodniej Polski szereg listów. Ludzie proszą o pomoc; dzieci nie mają mleka, lekarze medykamentów. Zostało tam skażone powietrze w większym stopniu niż u nas, także ziemia i woda”. Jak pisze *Frankfurter Rundschau*, jeszcze w maju udało się polskiej lekarce zebrać dary wartości ok. 300 tys. marek. Transporty wysłano do Krakowa, Białegostoku i Lublina. Zachodnio-niemiecki *Caritas*, pragnąc przyjść z pomocą dzieciom polskim, wysłał 140 ton sproszkowanego mleka. Rozprowadzaniem mleka zajmuje się *Komisja Charytatywna Episkopatu Polski*. *Caritas* z Fryburga/Br. wysłała dodatkowo 56 ton mleka. Z Essen i Stuttgartu ofiarowano 6 ton. Bp Czesław Domin ocenia, że obecnie (odżywki dla dzieci ofiarowały także Szwajcaria, Austria i Holandia) wszystkie dzieci do lat trzech będą miały zapewnione zdrowe mleko. Jerzy Urban: „W przeważającej mierze dostawy nie były konieczne, albowiem nie stwierdzono braków zaopatrzenia w bezpieczną żywność i medykamenty”... Polska jest jednym z największych producentów kartofli na świecie. PRL-owska spółka w RFN — *YANO* (Monachium) od lat dopomina się o frytki dla firmy *Mac Donald*, mającą na świecie największą sieć barów samoobsługowych. Nic z tego. W Polsce nie ma zakładów przetwórczych ziemniaka. W Północnej Nadrenii-Westfalii zbiórka pieniędzy na lekarstwa, mleko w proszku i odzież dla polskich dzieci kieruje Cilly Adenauer, wnuczka kanclerza Konrada Adenauera (zm. w 1967). Restauratorzy z Polski pomagają w odbudowie średniowiecznej osady-muzeum w zachodniobierlińskiej dzielnicy Duppel. Prom samochodowy *Rogalin* rozpoczął rejsy (dwa razy w tygodniu) między portami Travemünde (Szlezwik-Holsztyn) i Gdańskiem. Już są kolejni uciekinierzy. Berliński *Pogląd*: „Hamburska sekcja PPS jak również północnoniemiecki okręg tej partii podjęły decyzję o wydaleniu ze swoich szeregów Edmunda Hulsza, któremu zarzucono m.in. uczestnictwo w *Kongresie Wolnej Polski* (organizacji założonej przez dr. Ludwika Frendla, b. przewodniczącego niemieckiego oddziału *Rady Narodowej R.P.* w Monachium) oraz posiadanie obywatelstwa niemieckiego nabytego na podstawie pochodzenia. Decyzję tę musi uprawomocnić centralna PPS w Londynie, na której czele stoi p. Wąsik”. W Warszawie zrezygnowano z wydawania miesięcznika młodzieżowego *Radar*, który w niemieckiej wersji językowej był rozprowadzany w NRD, RFN, Austrii i Szwajcarii. Prałat Georg Hüßler, przewodniczący *Caritasu* w RFN, określił prace odbywających zastępczą służbę wojskową jako „nie do zastąpienia pomoc dla wielu ludzi w potrzebie”. Od 25 lat skorzystało z tej możliwości 266 tys. młodych ludzi (odmowa noszenia broni z pobudek moralnych), z tego 40.432 osoby odbywały służbę zastępczą w zakładach prowadzonych przez *Caritas*. Boński rząd zmuszony jest z tytułu gwarancji udzielonych bankom, wobec których Polska jest zadłużona, obciążyć w roku bieżącym budżet państwa kwotą 1,06 mld marek z powodu przesunięcia na dalsze lata spłaty rat przez PRL i przypadających z tego tytułu odsetek. W obozach przejściowych w Republice Federalnej zarejestrowano w maju bież. roku 1.593 przesiedleńców z Polski. W tym samym miesiącu Sowiety

wypuściły zaledwie 30 osób narodowości niemieckiej. ■ Na konferencji *Panuropa-Union* zorganizowanej w Monachium sprawy polskie referowali dr Herbert Czaja (*CDU*) i Tomasz Mianowicz (Monachium). Powoływano się często na artykuły opublikowane w paryskim *Kontakcie* (Maciej Rybiński i Stefan Krupiński). ■ Na zakończonym w Oberhausen *XXXII Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych* nagrodę jury *Klubów Filmowych* otrzymał film Juliana Antoniszczaka *Światło w tunelu*. ■ Po katastrofie czernobylskiej w samej tylko RFN straty ocenia się na ok. 750 mln dolarów. Taką ocenę podało *Zrzeszenie Niemieckich Rolników*. Tymczasem rząd boński zamierza pokryć tylko część strat. Na razie program pomocy zamyka się sumą 90 mln dolarów. Wielkie straty poniósł handel detaliczny. ■ *Akademia Ewangelicka* w Berlinie zachodnim urządziła symposium z okazji XV rocznicy układu Polska-RFN i XX rocznicy memorandum Kościoła Ewangelickiego na temat przesiedleńców oraz stosunku do sąsiadów wschodnich. Z PRL-owskiej strony referentem był Daniel Passent. ■ Przewodniczący *Niemieckiego Związku Młodzieży Śląskiej*, Koschyk: „Nie nie wskazuje na to, by PRL zamierzała zmienić represyjny kurs w stosunku do Niemców zamieszkałych na Śląsku i Pomorzu oraz zapewnić niemieckiej mniejszości narodowej prawa człowieka i podstawowe wolności”. ■ W Saarbrücken odbyła się XIX konferencja wspólnej komisji podręcznikowej RFN-PRL. Tematem obrad były stosunki między PRL a RFN po *Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie* w Helsinkach. W konferencji uczestniczyło 39 historyków z obu krajów; wygłoszono 19 referatów. Omawiano „problematykę ludnościową” (brak szczegółów). PRL-owskiej delegacji przewodniczył dyrektor *Institutu Zachodniego* w Poznaniu, prof. Antoni Czubiński. ■ Na *Zlocie Niemców Sudeckich* w Monachium szef rządu RFN, Helmut Kohl, powiedział się — wobec Czechosłowacji i innych krajów wschodnioeuropejskich — za porozumieniem, pojednaniem i pokojową współpracą. Podkreślił on również nienaruszalność granic i poszanowanie terytorialnej integralności wszystkich państw w Europie. Jednocześnie zaznaczył, że wypędzeni Niemcy posiadają prawo do stron ojczystych i samostanowienia. ■ Z ulotki wydanej przez *Regionalny Komitet Solidarności (Małopolska)*: „Z wielkim zdumieniem i zaniepokojeniem przyjęliśmy wiadomość o pobycie w Polsce deputowanych do *Bundestagu* z ramienia *SPD*, którzy przyjechali w celu zorientowania się co do możliwości współpracy między związkami zawodowymi RFN a związkami zawodowymi oficjalnie działającymi w Polsce. (...) W tej sytuacji podejmowane przez deputowanych *SPD* pośrednictwo, mające doprowadzić do współpracy niemieckich związków zawodowych z państwowymi związkami zawodowymi w PRL uznać musimy za próbę osłabienia solidarności światowego ruchu związkowego oraz za akt nieprzyjazny wobec narodu polskiego, który od lat pokojowymi formami oporu społecznego przeciwstawia się totalitarnej władzy”. ■ Prace 49 autorów składają się na podręcznik pt. *Sozialistische Systeme. Politik — Wirtschaft — Gesellschaft (Socjalistyczne systemy. Polityka, gospodarka i społeczeństwo)*. Interesująca książka ukazała się w monachijskim *Piper-Verlag*, pod redakcją Klausa Ziemera. Z polskich autorów: Stefan Kwiatkowski (pseudonim) i Wojciech Lamentowicz (*Uniwersytet Warszawski*). ■ Prof. Władysław Bartoszewski został laureatem tegorocznej *Pokojowej Nagrody Gildii Niemieckich Wydawców i Księgarzy* (na liście dotychczasowych laureatów widnieją dwa polskie nazwiska: prof. Janusz Korczak — pośmiertnie i prof. Leszek Kołakowski w 1977 roku). Traktowane jako „drugie po Noblu” wyróżnienie, przyznane Polakowi, który od lat zabiega o poprawę stosunków polsko-niemieckich, odbiło się szerokim echem w zachodnioeuropejskich środkach masowego przekazu. *TV* niemiecka i austriacka nadały długie wywiady, 50-minutową rozmowę przed mikrofonami rozgłośni *WDR* (przejętą przez szereg innych) przeprowadziła z laureatem Helga Hirsch; specjalną audycję poświęciła Bartoszewskiemu Margitta Weber, emitowaną w 7-miu językach przez *Deutsche*

Welle. ■ Zachodniemiecka policja kryminalna aresztowała w Düsseldorfie dwóch PRL-owskich agentów wywiadu, 31-letniego Bartwińskiego i 53-letniego Alfreda Balcerowicza, pracownika centrali wywiadowczej w Warszawie. Bartwiński przybył do RFN w 1981 roku i oficjalnie pracował w centrum targowym w Düsseldorfie. Zajmował się szpiegostwem wojskowym. Podobno w skład siatki wywiadowczej wchodził jeszcze jeden obywatel PRL.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Dnia 6 lutego 1986 został zabity w wypadku drogowym na Litwie ks. J. Zdebskis, jeden z założycieli Komitetu Obrony praw wierzących. Komitet ten powstał w roku 1978, lecz wobec licznych aresztów sam się rozwiązał w roku 1983. Pierwszy konflikt z władzami miał ks. Zdebskis w roku 1964, kiedy to został skazany na rok więzienia za uczenie dzieci religii. Wyrok złagodzone, lecz w roku 1971 — znów za katechizację — gorliwy duszpasterz został skazany i pozbawiony „licencji na uprawianie zawodu duchownego”; przez jakiś czas pracował więc jako robotnik. Po jego aresztowaniu zebrano 17 tysięcy podpisów, domagających się jego uwolnienia. W roku 1976 był ponownie skazany „za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym”, i skierowany do zakładu dla umysłowo chorych. Parafianie twierdzą, że ks. Zdebskis był zawsze abstynentem. Będąc „pod opieką” KGB doznał oparzeń od chemikalii i został skierowany do szpitala chorób wenerycznych, gdzie lekarze odmówili stwierdzenia kompromitującej choroby. W roku 1984 KGB dokonało rewizji w jego mieszkaniu pod pretekstem szukania kradzionych rzeczy. Znalezione dokumenty katolickiego komitetu, deklarację praw człowieka ONZ, nagrania rozgłośni zagranicznych, maszynę do pisania itd. Prasa szwajcarska i włoska oceniły „wypadek”, w którym zginął ks. Zdebskis za spowodowany przez KGB. Przypomnijmy, że ks. Laurinavičius (z komitetu Helsińskiego) również zginął w wypadku drogowym, w biały dzień na ulicy wileńskiej. Usiłowano zamordować ks. V. Stakenasa, porywając go i porzucając związanego i z zakneblowanymi ustami w bagnach na pustkowiu. W cudowny sposób zdołał się uratować. Użyte metody przypominają zamordowanie ks. Popiełuszki. ■ W dniach 24-25 stycznia 1986 odbył się w Wilnie zjazd litewskiej partii komunistycznej. Obrady i sprawozdania były w języku rosyjskim. Generalny sekretarz Griškevičius powiedział, że w okresie sprawozdawczym usunięto z partii ponad trzy tysiące członków. Omawiano różne niedociągnięcia: fabryka telewizorów (wciąż czarno-białych) według wzorów z roku 1979, na które prawie nie ma popytu, dawno opracowała projekt unowocześnienia produkcji, ale nie może otrzymać jego zatwierdzenia przez ministerstwo. Redaktor wileńskiej urzędówki *Tiesa (Prawda)* skarżył się, że ludzie jego „prawdzie” nie wierzą, a ulegają imperialistycznej propagandzie zagranicznych rozgłośni. „Antysowieckie organizacje, trybunały w Kopenhadze, tygodnie uciemiężonych narodów starają się zniweczyć odporność ideologiczną, zwłaszcza młodzież”. ■ Wszelkie odruchy niezależności w związkach zawodowych, w obawie polskiej zarazy, są specjalnie zwalczane w republikach bałtyckich. ■ Dnia 5 kwietnia 1986 polski zespół folklorystyczny w Kownie obchodził 25-lecie. Na program złożyły się pieśni, tańce, żywe obrazy, „Ostatni Mazur”.

polonez, dożynki itp. Na uroczystość przybyła polska delegacja ze Lwowa, a z Wilna polski zespół taneczny kolejarzy i delegacja Polaków studentów medycyny uniwersytetu wileńskiego. ■ Biskupi sześciu litewskich diecezji wydali dn. 11 listopada 1985 list pasterski nawołujący do przygotowań obchodu 600-lecia chrztu Litwy i do studiowania katechizmu i książeczek do nabożeństwa, gdyż są to jedyne dostępne wydawnictwa religijne. Kazania także muszą być w znacznej mierze poświęcone objaśnianiu katechizmu. ■ Uroczystości 600-lecia chrztu Litwy odbywają się w Polsce już w tym roku, a na Litwie dopiero w przyszłym. W Warszawie biskup W. Miziołek odprawił mszę w kościele Trzech Krzyży, po czym nastąpił kwadrans poezji i modlitwa na odsłonięcie cudownego obrazu w Ostrej Bramie. W klubie inteligencji katolickiej odbył się wieczór poświęcony dziejom stosunków polsko-litewskich. W Lublinie jest kościół, którego pierwszym fundatorem był król Jagiełło. Jego popiersie zostało ostatnio odnowione i poświęcone w rocznicę koronacji, dnia 2 marca 1986. ■ Związek „szaulisów” (organizacja para-militarna na Litwie w okresie międzywojennym) na emigracji uchwalił na zjeździe w Chicago, aby domagać się: przyłączenia Wilna do litewskiej prowincji kościelnej, nominacji kardynała Litwina i urzędzenia obchodu 600-lecia chrztu Litwy w jej stolicy Wilnie. Urządzenie obchodu gdzie indziej byłoby osłabieniem praw Litwy do Wilna, więc w wypadku niemożności jego urzędzenia w stolicy należałoby poprzestać na obchodach lokalnych bez centralnego. Natomiast prałat Tulaba (Litwin) pisze z Watykanu: „zaczynamy przygotowywać się do obchodów 600-lecia zarówno na Litwie, jak i na uchodźstwie”. Na Litwie obchód ma być w Kownie. Organizować ma go konferencja biskupów litewskich pod kierownictwem arcybiskupa Povilionisa. Na uchodźstwie projektowany jest centralny obchód w Rzymie dnia 14 czerwca 1987 roku. Oprócz centralnego będą też obchody lokalne pod kierownictwem duszpasterza emigracji litewskiej, biskupa Baltakisa. W uroczystościach rzymskich w bazylice św. Piotra spodziewany jest udział papieża Jana Pawła II. Niewątpliwie Ojciec Święty chętnie by wziął udział w uroczystościach kowieńskich, gdyby to było możliwe. Prałat dodaje: „Problem arcybiskupstwa wileńskiego porusza również Moskwa, lecz nie w trosce o interesy Litwy. Celem jej jest wzniecenie sporów między Polakami i Litwinami”. ■ W czasie swej wizyty w Wilnie generał W. Jaruzelski powiedział: „Tutaj z wami czuję się jak w domu”. Tym witał go biało-czerwonymi flagami. Przekazał on Polskiemu Instytutowi Pedagogicznemu kilka wydań „Pana Tadeusza”. Przemawiał po polsku i zachęcał studentów Polaków słowami: „Jestem dumny, że dobrze pracujecie dla Związku Radzieckiego i socjalistycznej Litwy, i godnie nosicie imię Polaków”. ■ W litewskiej prasie emigracyjnej nadal omawiane są polskie wypowiedzi o stosunkach polsko-litewskich w przeszłości, obecnie i w przyszłości. Cytowane są artykuły prof. Łossowskiego, Podlaskiego i wielu innych. Komentowana jest koncepcja F. Żubra, że dla Litwinów polskie niebezpieczeństwo przestało być aktualne. Napływ Rosjan i bliskość granicy białoruskiej od Wilna mogą być w przyszłości bardziej groźne. Podobne poglądy wyłożył litewski publicysta J. Pronskus. ■ Dnia 9 kwietnia 1986 Jan Paweł II przyjął na specjalnej audyencji bpa Liudasa Povilionisa, administratora Kowna i Wyłkowyszek na Litwie. ■ Nielegalny periodyk *Kronika Kościoła katolickiego Litwy* (KKKL) ukazuje się w kraju już od kilkunastu lat i jest wydawany na emigracji w tłumaczeniu na obce języki. Do szóstego tomu w języku angielskim napisał przedmowę kardynał J. Bernardin z Chicago. Kilka tomów wyszło również w językach hiszpańskim i francuskim, a w litewskim niebawem ukaże się już tom ósmy. ■ Litewsko-amerykańskie pismo półroczne *Metmenis* obchodzi jubileusz wydania 50-go numeru. Redaktorem jest prof. V. Kavolis (USA), a pisują tam prof. Greimas (Sorbona), M. Gimbutiene (archeologia USA), T. Venclova, I. Meras (Izrael) i liczni litewscy historycy, poeci, językoznawcy. Pismo ma charakter literacko-naukowy, a podtytuł brzmi „Twórczość i Analiza”.

Reprezentuje środowisko postępowe i jest przeznaczona dla intelektualistów. Parusetstronicowe tomy mają ozdobną szatę graficzną. Pismo to w okresie, gdy w prasie litewsko-amerykańskiej nie pisano nic o Polakach, albo ujemnie, poświęciło jubileuszowi *Kultury* długi, przychylny artykuł. Odtąd *Kultura* stała się najczęściej cytowanym pismem polskim w prasie litewskiej. ■ Poseł do parlamentu angielskiego J. Wilkinson wysunął dnia 14 marca 1986 projekt, aby BBC zaczęło nadawać programy w językach białoruskim, estońskim, litewskim, łotewskim i ukraińskim. Niefortunne jest informowanie ludności tych krajów tylko w języku rosyjskim, skoro republiki białoruska i ukraińska są uznawane za państwa mające osobnych delegatów w ONZ. Niefortunne też jest obsługiwanie krajów bałtyckich w języku rosyjskim, skoro Anglia nie uznaje wcielenia tych krajów do ZSSR. ■ W ciągu ostatnich kilku lat przeprowadzono na Litwie większe niż w innych republikach reformy w rolnictwie. Chcąc powstrzymać ucieczkę młodych ze wsi do miast, władze starają się stworzyć im lepsze warunki. Powiększono m.in. działki przyzagrodowe, kolchoźnikom przyznano więcej żywego inwentarza, wstrzymano budowę wielopiętrowych domów na wsi, nawracając w planowaniu do dawnej tradycji jednorodzinnych domków i pomieszczeń gospodarskich. ■ W litewsko-kanadyjskiej *Tevishes Žiburiai* z 13 maja 1986 czytamy m.in.: „Działająca obecnie w Polsce podziemia 'Solidarność' już wykazuje zakusy na Wilno. Wydaje znaczki z obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Nawet wódz dzisiejszej Polski, generał Jaruzelski, podczas wizyty w Wilnie oświadczył, że czuje się jak w domu. Tymi słowami Polak, chociaż sługa Moskwy, ujawnił marzenie wszystkich Polaków. Już poprzednio zauważono, że nie tylko polskie uchodźstwo, ale i większość Polaków w Polsce, wśród nich repatrianci i nawet dzisiejsi dygnitarze, nie tylko po cichu, ale i publicznie mówią o odzyskaniu utraconego Wilna. Tam pozostało serce Piłsudskiego i grób jego matki. Dotychczas Polacy nie wypowiadali się, że dążą do wolnej, niepodległej Polski w jej granicach etnograficznych”. (Bez komentarza!). ■ Prymas kardynał Glemp nie wspominał w czasie wizyty w Paryżu o możliwości wizyty Papieża na Litwie, natomiast powiedział, że sam chętnie odwiedziłby Litwę i Łotwę, co od dawna planuje. Nie wie, czy mu się to uda. Generał Jaruzelski odwiedził Wilno, jadąc przez Moskwę. Litwę odwiedzali już kilkakrotnie kardynałowie Bengsch z Berlina i prymas Węgier Lekaj. ■ Od 15 kwietnia do 26 maja 1986 odbywała się w Bernie konferencja 35-ciu państw sygnatariuszy układu helsińskiego, poświęcona tzw. trzeciemu koszykowi. Bałtowie założyli w Bernie biuro informacyjne i przygotowali memoriały, wykazujące, że rząd sowiecki łamie podjęte zobowiązania. Rząd szwajcarski przyznał im prawo do udziału w grupie organizacji nie-państwowych. Sowiecki delegat nie chciał rozmawiać z przedstawicielem Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy (VLIK), „gdyż nie rozmawia z nikim, kto nie uznaje granic Związku Sowieckiego”. Delegat litewski przypomniał, że większość reprezentowanych na konferencji państw nie uznaje aneksji państw bałtyckich do ZSSR, więc delegat sowiecki powinien konsekwentnie nie rozmawiać prawie z nikim. Delegat sowiecki odwrócił się i wyszedł. „Baltic World Conference” urządziła na placu w Bernie wielką antysowiecką demonstrację. Rozdano tysiące ulotek. Manifestacja była omawiana w prasie i na ekranach szwajcarskiej i niemieckiej telewizji. Rząd szwajcarski jeszcze raz przypomniał, że nie uznaje inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego. ■ Rząd amerykański zabiega o prawo wyjazdu z Litwy kilku osób mających podwójne obywatelstwo, sowieckie i amerykańskie. Udzielanie zezwoleń na wyjazd do USA zostało praktycznie wstrzymane od kilku lat, a podwójne obywatelstwo nie jest uznawane. Natomiast rząd szwedzki wyraża niezadowolnienie, że sowicka ambasada posiada kartotekę osób nie tylko urodzonych w Sowietach, ale nawet wnuków osób urodzonych w Rosji czy krajach bałtyckich, chociażby z małżeństw mieszanych. Szwedzka babka nie pomaga. Wnuk uważany

jest za obywatela sowieckiego. Młode pokolenie osiadłych tam uchodźców bałtyckich obawia się odwiedzać kraj ojców. Jest to swego rodzaju szantaż. Kto na terenie sowieckim będzie się wychylał, może być zatrzymany jako obywatel sowiecki. Takiego wypadku nie było, ale... ■ Najbardziej znienawidzonym dniem na Litwie jest przypadająca w końcu kwietnia rocznica urodzin Lenina. Trzeba wtedy cały dzień pracować bezpłatnie, i wszyscy muszą dawać na Fundusz Pokoju: małe dzieci po 20 kopiejek, studenci po 50 kopiejek. Nazywa się to dobrowolną składką. Nigdy nie ogłoszono sprawozdania, w jaki sposób użyto zebrane pieniądze. ■ W związku z katastrofą w Czernobylu nie należy zapominać, że w Ignalinie istnieje elektrownia nuklearna, zaplanowana na cztery reaktory. Na razie jeden jest w budowie, a drugi zaopatruje w prąd pobliskie Wilno. Elektrownia ta zatrała biologicznie jezioro Dryswiaty. Miasteczko stanowi wyspę rosyjsko-ukraińską w powiecie święciańskim, w którym statystyki czytelnictwa wykazały, że trzecia część prenumerat przypada na *Czerwony sztandar*, pismo w języku polskim.

E. ŻAGIELL

PO KATASTROFIE W CZERNOBYLU

W ostatniej chwili przed zamknięciem numeru otrzymaliśmy Oświadczenie niezależnego czasopisma ukraińskiego *Widnowa* wobec katastrofy w Czernobylu. Zawiera ono m.in. sześć postulatów:

1) Utworzenie niezależnej i zdecentralizowanej kontroli wewnętrznej i międzynarodowej nad wszystkimi siłowniami atomowymi na terytorium Ukrainy;

2) Zniesienie dotychczasowej centralizacji, która — oddając wyłączną gestię w ręce Moskwy — uniemożliwia natychmiastowe zastosowanie środków zaradczych przez władze ukraińskie.

3) Skontrolowanie (z udziałem niezależnych komisji międzynarodowych) wszystkich siłowni na terytorium Ukrainy, pod kątem widzenia ich bezpieczeństwa dla ludności cywilnej. Ustanowienie odszkodowań dla rodzin ofiar śmiertelnych katastrofy czernobylskiej, jak również dla osób dotkniętych chorobami skażeniowymi.

4) Wprowadzenie ścisłej współpracy, w ramach kontroli obecnych i przyszłych siłowni na Ukrainie, między odpowiednimi czynnikami ukraińskimi i takimiż czynnikami w krajach sąsiednich: na Białorusi, w Polsce, w Rumunii, na Węgrzech i w Czechosłowacji.

5) Utworzenie placówek konsularnych państw zachodnich we wszystkich republikach ZSSR.

6) Wzmożenie akcji pomocy (dotychczas więcej niż skromnej) dla Ukrainy i Białorusi — dwóch krajów najbardziej dotkniętych katastrofą czernobylską.

Oświadczenie *Widnowy* zostało ogłoszone w Europie zachodniej, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie.

WYMIANA LISTÓW

Kornel Morawiecki, przewodniczący Solidarności Walczącej i redaktor *Biuletynu Dolnośląskiego*, zaproponował Natalii Gorbaniewskiej zostanie członkiem honorowym redakcji *Biuletynu*. W liście do niej z 26 kwietnia br. pisze:

„Pani zgoda... sprawiłaby mi i moim kolegom dużo radości. Ponadto byłaby publicznym przykładem więzi między Panią — przedstawicielką Rosjan sprzeciwiających się komunistycznemu zniewoleniu swej Ojczyzny — a nami, dla których ideały solidarności ludzi i narodów stanowią oparcie w walce o zrzucenie komunistycznego jarzma w Polsce”.

Natalia Gorbaniewska odpowiedziała Morawieckiemu listem z 26 maja br.:
Drogi Panie Kornelu!

Przyjmuję pańską propozycję jako wielki zaszczyt i, rzecz jasna, zgadzam się zostać honorowym członkiem redakcji *Biuletynu Dolnośląskiego*. Traktuję to jako uznanie nie tyle dla moich osobistych zasług, ile dla znaczenia tej uporcej i nieustającej walki na rzecz przewyciężenia niesnasek między poszczególnymi narodami obozu komunistycznego, którą od dnia swego powstania prowadzi *Kontynent*, a przez kilka ostatnich lat również *Russkaja Mysl* — dwie redakcje, w skład których wchodzi. Pieczętuję przechoiwę numer *Biuletynu Dolnośląskiego*, opublikowany jesienią 1980 roku i przywieziony wówczas z Wrocławia do Paryża — z serdecznymi słowami, z którymi współpracownicy redakcji zwracali się do rosyjskich przyjaciół, z ich podpisami. Jest rzeczą wiadomą, że redakcja *Biuletynu Dolnośląskiego* nawet w czasie legalnego istnienia „Solidarności” nie odsoniła pełnego składu swych współpracowników, dlatego nie czas jeszcze, by opublikować facsimile tego drogiego naszym sercom dokumentu. Ale czas ten już nie za górami. Może jedyne co krępuje mnie w Pańskiej prośbie — to słowa o „duchowym patronacie”, „duchowym przewodnictwie”. Z tej mojej bezpiecznej odległości to raczej ja winnam z zachwytem i zazdrością spoglądać na osiągnięcia polskiego, i w szczególności wrocławskiego podziemia. Staram się hamować te narzucające się emocje i odnosić się do Was wszystkich nie jak do wyniesionych pod niebiosa bohaterów, a po prostu jak do ludzi, którzy znaleźli swoje miejsce w życiu. „Nie lepsze i nie gorsze”. Dokładnie tak samo, jak napisał Pan o nas, demonstrantach z Placu Czerwonego: „Zrobili to, co uznali za swój obowiązek, to co mogli” — i dorzuć: to, co odczuwaliśmy wówczas jako rzecz w owych warunkach najbardziej dla nas naturalną. Tak więc może warto raczej mówić o duchowym powinowactwie, niż o czymś innym.

Myszę że ani ja, ani podobnie myślący — i bynajmniej nie odosobnieni — Rosjanie nie różnią się od Was w żadnej zasadniczej kwestii. (Chciałoby się, żeby wszystkie rozdziewki między Polakami i Rosjanami nie wykraczały poza mój z Panem zaoczny — dotyczący tego, jak tłumaczyć „Solidarność Walcząca” — „Boriuszczajasia Solidarnost” czy „Srażajuszczajasia”...). Mam nadzieję, że dożyję czasów, gdy program Wasz stanie się rzeczywistością i sowieckie imperium zacznie się walić i w głębi duszy wierzę, że pierwszą republiką, która oderwie się od obecnego ZSSR, z miejsca czyniącą go bytem dokonany, będzie Rosja. A jeszcze mam nadzieję, że przyjadę do Polski i spotkam wszystkich moich przyjaciół — zwłaszcza tych, których nigdy nie widziałam.

Z serdeczną przyjaźnią i pozdrowieniami dla Pana i całej redakcji
Biuletynu Dolnośląskiego

Natalia CORBANIEWSKA

Paryż, 26 maja 1986

trochę rozjaśnić dzisiejszy mrok. Brak takiej analizy i takiego spojrzenia jest chyba główną wadą licznych dziś tekstów nieoptymistycznie roztrząsających nasze polskie bóle i usiłujących sprostać naszym trwożnym pytaniom o przyszłość.

Najpierw podstawowe truizmy. Powojenna historia Polski charakteryzuje się znamiennej cyklicznością społecznych eksplozji prowadzących w konsekwencji do upadku aktualnie rządzącej ekipy komunistycznej, ogłoszenia kolejnej „odnowy” i obarczenia poprzedników przez ich również komunistycznych następców winą za „błędy i wypaczenia”. Po czym następują pewne ulgi i korzystne zmiany, ale wraz ze społecznym uspokojeniem — ograniczane, a nawet w miarę możliwości wycofywane przez owych „odnowicielskich” następców, wracających pod nowym szyldem w zbliżone do starych koleiny polityczne. Stopniowe „przykręcanie śruby”, odtwarzanie kryzysotwórczych mechanizmów polityki a zwłaszcza gospodarki, prowadzi znów do nieuchronnego kumulowania napięć aż do następnego wybuchu. Impulsem do tego wybuchu są zwykle niekorzystne zjawiska gospodarcze (podwyżki cen!), a siłą zmiatającą z historycznej sceny zużyta i znieawidzoną ekipę — robotnicy. Są oczywiście także eksplozje jakby „niepełne”, kiedy do zmian na szczycie i ogłoszenia „odnowy” nie dochodzi, kiedy ów polski cykl kryzysowy nie zostaje zamknięty: tak było w marcu 1968 i w czerwcu 1976, kiedy to społeczne starcia wstrząsnęły murszejącymi strukturami władzy, lecz władzy udało się zapanować nad rozjuszoną ulicą. W takim wypadku jednak dość szybko (po dwu i pół, zaś w następnym wypadku po czterech latach) dochodziło do eksplozji skutecznej, do zamknięcia kolejnego ogniwa kryzysowego cyklu. Tak więc średnia odległość czasowa pomiędzy „odnowami” wynosi od dziesięciu do najwyższej kilkunastu lat.

To wszystko jest na poziomie politycznego elementarza dzisiejszego Polaka, na poziomie dzisiejszych polskich pogaduszek, gdzie mętna nadzieja miesza się z bezsilnym gniewem, gdzie powtarzany jest namolnie ten nasz ukochany dziś truizm, „że to wszystko niedługo pieprznie” i że jak zwykle w awangardzie będą fabryki (niezbyt to korzystne dla zwolenników tezy o malejącej roli robotników, bo rzeczywiście wszystkie skuteczne przewroty były ich dziełem, a nie nie wskazuje by w przyszłości — po raz pierwszy w dziejach PRL — miało być inaczej).

Truizmy są jaskrawo prawdziwe (choć zdarza się ślepotą nawet i na nie), lecz trzeba pójść dalej w analizie, by na mroczne pytania o polską nadzieję mieć coś więcej w odpowiedzi od płytkich samopocieszeń. Można by wprawdzie poświadczyć osobny tekst dyskusji nad tym, czy jest to jeden wielki i cyklicznie się manifestujący kryzys komunizmu, konwulsje społeczeństwa o starych

Wolna trybuna

Rozpad i kiełkowanie

Opozycja traci wpływy. Wprawdzie ukazuje się wciąż nieprzeliczone mnóstwo podziemnych wydawnictw, wprawdzie wąsoty robotnik-noblista w setkach tysięcy PRL-owskich mieszkań po dawnemu zadziornie spogląda z kalendarzy, plakatów i znaczków, ale coraz słabsza jest reakcja na wezwania i apele, maleje liczba zapaleńców gotowych narażać swą wolność a przynajmniej skórę, niepostrzeżenie lecz niepowstrzymanie wzbiera cichy wpływ apatii i zniechęcenia, a nawet rocznicowe msze, kiedy śpiewając „Boże coś Polskę” wznosimy dłonie rozczapierzone w znak zwycięstwa, nie są już jak niegdyś tłumne. Zachodni dyplomaci z coraz lżejszym sercem wykreślają z kalendarza swych warszawskich spotkań te kłopotliwe rozmowy z „prywatnymi osobami” albo te jeszcze bardziej niezręczne i ukradkowe wizyty na żoliborskim grobie. A do tego teraz, gdy piszę te słowa, aresztowanie Borusewicza... Takie są gorzkie polskie myśli u progu 1986, piątego już — a coraz bardziej ubogiego w nadzieję — roku umundurowanej „normalizacji”. Ku czemu to zmierza? Co z nami będzie?

NAUKI Z POLSKICH KRYZYSÓW

Na dzisiejszy stan spraw polskich warto spojrzeć z perspektywy poprzednich kryzysów społeczno-politycznych. Sierpień ani też stan wojenny — mimo całej swej wyjątkowości — nie były w naszej powojennej historii ewenementem. Zbyt dużo i zbyt wiele razy już się to stało — od Października po Sierpień i od gomułkowskiej „przykrętki” po dramat grudniowej nocy — by nie próbować wyprowadzić stąd wniosków mogących choć

tradycjach demokratycznych wtłoczonego w nie przystające do tych tradycji ramy, czy to jednak ciąg kryzysów o odmiennych każdorazowo obliczach? Albo nad tym, czy w obrębie ustroju mogą zaistnieć struktury odporne na kryzys, a mające twarz bardziej ludzką niż stalinizm? Są to pytania ważne, pozostawmy je jednak poza obrębem rozważań, bo niewiele z nich wyniknie dla oceny dnia dzisiejszego i perspektyw jutra, a wszak w taką właśnie próbujemy zwrócić się stronę.

Patrząc tedy na wszystkie te każdorazowo daremne — bo po spektakularnym upadku starej ekipy prowadzące zawsze do „oziębienia” i „przykrętki” („od odnowy do odmowy” — jak to się dziś w Polsce gorzko powiada) — dostrzegamy jednak, że po każdym z nich coś jednak w polskim krajobrazie społecznym i politycznym zostaje na trwałe, że Polska Gomułki różni się jednak korzystnie od Polski Bieruta, choć ileż pięknych szans i nadziei Października zostało właśnie przez Gomułkę świadomie zaprzepaszczonych. Indywidualne rolnictwo, odejście od stalinowskich represji, pożegnanie z socrealizmem i pewna swoboda dla kultury, to trwałe zdobycze tamtych lat. Podobnie Polska Gierka lepsza była od Polski Gomułki o tolerancję dla Kościoła i opozycji, o otwarcie na Zachód, pewną poprawę w dziedzinie wolności słowa. Pomimo stanu wojennego i wszystkich podeptanych nadziei, w Polsce Jaruzelskiego nie wszystkie zdobycze Sierpnia zostały unieważnione: zasięg niezależnej prasy i niezależnej oświaty jest nieporównywalny z niczym, co było w historii bloku komunistycznego, Kościół jest jak nigdy potężny, chłopci po raz pierwszy otrzymali konstytucyjną gwarancję trwałości swych gospodarstw, choć ograniczona, to jednak wciąż funkcjonuje reforma gospodarcza, tu i ówdzie pozostały posierpniowe relikty samorządu, a nawet związki zawodowe — choć „wronie” — mają zdecydowanie większy niż w innych państwach bloku zakres swobody. Każda bowiem „odmowa”, jaka nieuchronnie następowała po wymuszonej przez zbuntowaną ulicę „odnowie”, każda „normalizacja”, każde „przykręcenie śruby”, likwidowały znaczną część zdobyczy i odbierały ludziom ich rozbudzone nadzieje, ale jednak nie wszystkie. Zbyt silna była obawa kolejnych ekip, że owa śruba zbyt mocno dokręcona — pęknie, bądź też zbyt oczywiste było przekonanie, że po staremu już rządzić niepodobna. Poprawa społecznego i politycznego położenia Polaków, stopniowa erozja komunizmu, odbywa się u nas — jak to napisał trafnie prof. Leszek Nowak — „przez przegrane rewolucje”. Zawdzięczać tę poprawę należy nie dobrośliwości rządzących grup, ale nieprzejednanej cykliczności narodowego oporu, jego nieokiełznanej sile zmiatającej kolejne ekipy — jeszcze niedawno witane z nadzieją, lecz po niedługich latach odchodzące

w niesławę i pogardliwe zapomnienie. Skoro nie ma po temu innych możliwości, Polska prowadzi swój dialog z nie odpowiadającą jej władzą na ulicy albo w halach strajkujących fabryk; smutne to, ale boleśnie prawdziwe. Gdyby nie Czerwiec i Październik, Marzec, Grudzień, potem znowu Czerwiec, Sierpień i raz jeszcze Grudzień, byłibyśmy pewnie Bułgarią, w najlepszym razie Czechosłowacją.

Ale jest też w tej okupionej krwią i cierpieniem wymuszonej liberalizacji komunizmu perspektywa przerażająca: każdy z kolejnych wstrząsów — a Sierpień do najdalejszych już granic — pokazał, że ten system można co najwyżej rozchwiać, osłabić, ale nie trwale zdemokratyzować, że nie udało się go, pomimo tych wszystkich cząstkowych i tak drogo okupionych zwycięstw, wprowadzić na drogę jakichś sensownych reform zapewniających z jednej strony efektywność gospodarowania, a z drugiej — kompromis pomiędzy aspiracjami społeczeństwa, a geopolityczną koniecznością. Każdy kolejny kryzys, każda następna społeczna eksplozja, owszem, prowadzi do dalszej liberalizacji, ale dezorganizuje państwo, coraz dotkliwiej godzi w gospodarkę; już grudzień 1970 dał tego przedsmak, czasy najnowsze postawiły tu pytania na miarę narodowego dramatu. Polska lat osiemdziesiątych nie ma już rezerw jakichkolwiek — ekonomicznych, psychologicznych, organizacyjnych, żadnych. Dokonał się — może groźniejszy od upływu krwi — upust sensu i nadziei. Następny wstrząs — w tej sekwencji nieuchronny — może już być tylko skurczem przedśmiertnym. Ludzie z obozu rządowego powiedzą, że to rachunek za społeczną anarchię. Ja powiem, że to wyrok historii za brak reformatorskiej woli w stokroć bardziej niż dzisiejsza sprzyjających okazjach, za paniczny strach rządzących przed utratą choć części władzy. Tak czy inaczej płacić będziemy wszyscy — nie tylko rządzący, nie tylko partyjni. Polska jest po prostu krajem najbardziej zaawansowanym w procesie rozpadu komunizmu, który odrzucił wszystkie dotychczasowe okazje do zmian. Pytania zostały postawione z bezlitosną ostrością, złudzenia — jeśli były — przysły. To wszystko.

Prawidłowością polskich kryzysów, ale też gorzką ironią historii jest fakt, że po każdym wstrząsie dochodzą do władzy „światli liberałowie” partyjni z minionego etapu realizujący w ramach kolejnej „odmowy” — tę politykę, która byłaby zbawienna dla ekipy właśnie upadłej, a przynajmniej znacznie przedłużyłaby jej trwanie. I tak, polityka Gomułki pewnie byłaby jak znalazł dla Bieruta, a może nawet i Ochaba; polityka Gierka uratowałaby Gomułkę; polityka Jaruzelskiego — z pewnymi swobodami związkowymi i ograniczoną reformą gospodarczą — okazałaby się zbawienną gdzieś w pierwszej połowie lat siedem-

dziesiątych. Tymczasem zmiany w świadomości społecznej poszły już tak daleko, żądania wyartykułowane w ostatnim okresie politycznego wrzenia były tak śmiałe, że ta polityka — pewnie przyjęta z wdzięcznością i uznaniem przed laty — jest dziś odbierana jako niewystarczająca, a nawet zniechęcająca; tak dzieje się za każdym razem — od Gomułki po Jaruzelskiego — a do brotliwi „światli liberałowie” zawsze okazują się o jedną odnowę spóźnieni, stąd nie są w stanie ani nawiązać jakiegos rzetelnego kontaktu ze społeczną większością, ani nawet ustrzec się kolejnego potopu, który ich z kolei obarczy winą za „błędy i wypaczenia”. Z tej perspektywy ich każdorazowe homeryckie boje na kolejnych plenach partyjnych komitetów tak z twarogłowcami, jak i z tymi niedobitkami politycznego rozumu we własnym gronie, którzy chcieliby „pójść dalej” aby nareszcie przerwać ten zaklęty krąg niemożności, jawiłyby się jako humorystyczne, gdyby nie to, że za każdym razem kraj pogrąża się coraz głębiej, a kolejne szanse zostają nieodwołalnie zaprzepaszczone.

Spółeczeństwo ma jednak pamięć i rozum, zdobywa wiedzę wolno, płaci za tę naukę drogo, ale uczy się nieodwołalnie. Do znamienych wniosków prowadzi analiza żądań i postulatów wysuwanych przez zbuntowaną ulicę, czy strajkujące zakłady w kolejnych przesileniach. Poznański czerwiec 1956 sprowadzał się do postulatów ekonomicznych, zaś w październiku tegoż roku, kiedy wrzenie objęło cały kraj, jednym wielkim ogólnonarodowym żądaniem był powrót do władzy Władysława Gomułki. Była to jedyna w historii PRL chwila, kiedy w wolnych wyborach — gdyby takie zostały ogłoszone — zwyciężyłaby prawdopodobnie partia komunistyczna pod wodzą ukochanego przez lud „Wiesława”. Jakby w niepamięć na fali październikowej euforii poszły gorzkie doświadczenia okresu bezpośredniego powojennego, doświadczenia AK, PSL-u, stalinowskich represji. Teraz miało być inaczej, po nowemu, nikt nie pytał o gwarancje i instytucjonalne zabezpieczenia, wszystko sprowadzało się do zmiany na szczycie partii. Zresztą organizacje partyjne wielkich zakładów przemysłowych i wyższych uczelni były siłą napędową Października, a „Międzynarodówka” pieśnią powszechnie śpiewaną na ludowych wiecach; zresztą miało się to dokładnie, choć z innym zakończeniem, powtórzyć podczas czechosłowackiej „praskiej wiosny” w 1968 roku.

Co było dalej — wiemy. W grudniu 1970 roku znów na czoło wybiły się postulaty ekonomiczne, ale już nie partia była siłą napędową protestu, choć wśród zbuntowanych stoczniowców nie unikano jeszcze „Międzynarodówki” i czerwonej — obok biało-czerwonej — flagi. Ale nie było już entuzjazmu dla nowego

partyjnego przywódcy, a przesławne „pomozemy” padło nieskwapliwie, z ociąganiem... Co więcej, pojawiły się wyraźnie wyartykułowane, choć jeszcze nieśmiałe, postulaty mające zabezpieczyć przed powtórzeniem się narodowego nieszczęścia: rotacja na wszystkich stanowiskach rządowych i partyjnych, prawda w prasie, rozdział partii od rządu, wolne wybory w związkach zawodowych, likwidacja CRZZ. W Szczecinie w styczniu 1971 pojawił się nawet postulat wolnych związków. A w dziesięć lat później? Czy trzeba jeszcze raz przypominać, że pierwsze pozycje na słynnej liście 21 postulatów to żądania polityczne? O podwyżkę płac upomnieli się strajkujący dopiero na miejscu ósmym. Zmiany na partyjnym szczycie, zastąpienie Gierka przez Kanię, nie wywoływały już podniecenia, nie rozbudzały nadziei. Śpiewano już tylko hymn i „Boże coś Polskę”. Jakże sformułują żądania i jakie zaśpiewają pieśni Polacy podczas swego następnego zrywu?

Ale nie będziemy to już my, ludzie „Solidarności”. Cykl polskich kryzysów uczy i tej gorzkiej prawdy: nigdy to samo pokolenie dwa razy nie zrywało się do buntu. To nie ludzie z PSL, AK i krwawo rozbitej powojennej opozycji poszli na wiece i strajki w 1956 roku. To nie ludzie Października byli bici w marcu 1968 roku i nie oni przelali krew w grudniu dwa lata później. To nie zahartowani w Grudniu robotnicy ogłosili sierpniowy strajk i ponieśli przez Polskę jak sztandar swoje 21 postulatów. Owszem, trafiali ludzie poprzedniego zrywu do następnej fali, ale już nie jako siła napędowa, nawet nie jako czołowi przywódcy. Doradzali, czasem przeszkadzali, nieraz służyli za chwalebny przykład, historyczną maskotkę, ale nigdy nie byli na czele. Nawet rola Wałęsy w Grudniu była marginesowa; pewnie i lepiej, bo żadna z wielkich postaci tamtych dni nie odegrała istotnej roli po dziesięcioleciu. To oczywiste: musi wejść w życie nowe pokolenie nie obciążone poczuciem klęski, aby na historycznej scenie odegrać dramat swego własnego — a nie pożyczonego u poprzedników — gniewu i nadziei. Tak będzie i teraz.

ROZSYPKA

Blisko sześć lat po Sierpniu, prawie pięć lat po grudniowej nocy nagle uruchomionych czołgów, znajdujemy się zapewne w połowie drogi pomiędzy kolejnymi wstrząsami. Ostatni z nich — tak jak każdy przecież — miał prócz wspólnych z poprzednimi, także swe cechy własne, niepowtarzalne. Wszystkie poprzednie zaczynały się od przelewu krwi (czerwiec 1956 w Po-

znaniu, grudzień 1970 na Wybrzeżu), ten jeden w sposób całkowicie pokojowy doprowadził do zmian na szczycie, znacznej liberalizacji w okresie „szesnastu miesięcy”, a nawet zapoczątkował budowę autentycznych instytucji demokratycznych. Zapewne dlatego, że okres „odnowy” był tak głęboki i długotrwały, do „odmowy” trzeba było użyć czołgów, a zwyczajowe już przykreślenie śruby musiało być krwawe. Też w przeciwieństwie do okresów poprzednich, kiedy normalizację udawało się przeprowadzać cichutko, stopniowo, bezszelestnie... To zapewne działać będzie na rzecz przedłużenia się międzykryzysowej przerwy, bo pamięć represji i daremnie przelanej krwi wyjątkowo mocno obciąża świadomość pokolenia „Solidarności”. Tak samo, jak na rzecz przyspieszenia wybuchu działa wyjątkowo niekorzystna sytuacja ekonomiczna, nagromadzony gniew, liczebność opozycji, słabość wszystkich struktur państwa z wyjątkiem aparatu przemocy, powszechna niewiara w komunizm. Spór o datę należy jednak do dziedziny wróżbiarstwa, a nie polityki.

Cokolwiek jednak powiemy o sytuacji dzisiejszej i jej perspektywach, musimy zrozumieć, że żyjemy w okresie międzykryzysowego odpływu, że nie ma i nie może być dziś popytu na buntownicze apele, że baza dla wszelkiej opozycyjnej działalności musi się kurczyć, a nadzieja upadać. Stąd wszelki spór o właściwy czy niewłaściwy wybór terminu dla strajkowych wezwań, jaki po kolejnych porażkach wiodą opozycyjne tuzy, również jest chybiony. Właściwa odpowiedź brzmi bowiem: żaden! Jest to smutny, bolesny, lecz nieuchronny czas rozsypki i gnicia, kiedy to, co zostało po „Solidarności” musi się rozpaść, obumrzeć, a pewnie i rozproszyć. Klęska jest klęską, nawet jeśli mówimy o moralnym zwycięstwie. Zostaliśmy już przez historię skazani tak samo, jak skazani zostali ludzie Października czy Grudnia, tylko że nas jest o ileż więcej, stąd też nasz żal i nasza niezgoda na ów wyrok bardziej spektakularnie przybierają formy. Nie możemy być niczym więcej niż żyzną glebą dla jutrzejszych roślin. Przygotowanie wchodzącemu dziś w życie pokoleniu lepszych warunków i właściwego startu w piekielnie trudną przyszłość, pomoc w meblowaniu głów i poszerzaniu świadomości jest właściwie wszystkim, czego jeszcze możemy dokonać my, ludzie „Solidarności”. Ci, którzy przyjdą po nas zrobią TO inaczej, zrobią TO po swojemu, a może nawet zrobią TO wbrew nam. I tak już opuszczamy historyczną scenę, nawet jeśli rozpaczliwie bronimy się przed nieuchronnością, nawet jeśli w strachu przed ostatecznym zapomnieniem wciąż usiłujemy powołać się na swą rzekomą niezbędność. Lepiej z godnością i spokojem przystać na swe miejsce w wiecznym ciągu ludzi, spraw i pokoleń.

Lepiej zdaje się to rozumieć władza: unika kreowania męczenników, nieraz potrafi zdobyć się na dystans i obojętność, represje stosuje umiarkowanie, a przede wszystkim wybiorczo — tak w stosunku do całego pokolenia „Solidarności”, jak do jego czołowych postaci. Ale nie w stosunku do najmłodszych: ona już wie, że to są jej najstraszniejsi — bo mający w ręku klucz do jutrzejszych zdarzeń — przeciwnicy. Uwaga władzy jest dziś zwrócona na młodzież; na tych zwłaszcza, którzy w „Solidarności” być nie zdążyli, dla których nie jest ona świadomie ukształtowanym epizodem własnego życiorysu, lecz tylko opowieścią ojca lub starszego brata. Bo za tę marną, ubogą w sens i nadzieję rzeczywistość polskiego kryzysu bez wyjścia odpowiada przecież nie tylko sekretarz i zomowiec, ale także ojciec, starszy brat, Wałęsa, Kuroń z Michnikiem — wszyscy! Wszyscy, którym się nie udało; wszyscy, którzy osuwając się w historyczny niebyt pozostawili to najbardziej stracone ze straconych pokoleń samo ze swym losem i odziedziczoną katastrofą kraju. Stąd ustawa o młodzieży, stąd plena poświęcone młodzieży, stąd próby otwierania przed młodymi jakichś furtek, usiłowanie wychowania ich we właściwym nareszcie duchu. Radziłbym dostrzegać przynajmniej te wysiłki.

Ale niestety władza jest więźniem dotychczasowej polityki: tej, która była prowadzona — z takimi czy innymi modyfikacjami — przez wszystkie minione dziesięciolecia PRL, przez wszystkie poprzednie międzykryzysowe a przecież i tak prowadzące do kolejnych starć okresy: tej, która obowiązuje we wszystkich państwach bloku. Po którejś tam z rzędu burzy wszystko wraca w stare koleiny, jak w niedobranym małżeństwie, kiedy i tak wiadomo, że łzy, przeprosiny i miłosne zakłęcia są tylko daremną, choć niezbędną krzątaniną mającą zagłuszyć nieuchronne kroki Losu. Jedyne bowiem wyjście, jedyna otwierająca jakąś perspektywę furka prowadzi poprzez reformę na tyle głęboką — obojętnie czy oddolną, czy odgórną — że demontującą działający dotąd tak niezawodnie mechanizm kryzysotwórczy, tę pożałowania godną sekwencję „odnowy i odmowy”, „błędów i wybaczeń”, rozbudzonej nadziei, która nie znajdując dla siebie konstruktywnego ujścia, gorzknieje, przeradzając się we frustrację i bunt. Tego jednak ekipa Jaruzelskiego nie potrafi, tak jak nie potrafiły ekipy Gomułki czy Gierka. Być może różni się od swych poprzedników tym, że wie, bo przecież nauki z minionych kryzysów są dostępne dla każdego analizującego najnowszą historię umysłu. Ale cóż po wiedzy, kiedy jest się uwikłanym w interesy własnej grupy, jej polityczną tradycję, a w naszym przypadku i w zależności od ościennego mocarstwa? Na cóż się przydały wiedza i światłe przewidywanie rządzącym

kręgom chociażby w Rosji ostatniego Mikołaja, we Francji ostatniego Ludwika, czy we wszystkich innych znanych w historii upadkach? Tam także odrzucano reformatorów i ich projekty, tam także nie było miejsca dla Kassandry. A więc ekipa generała Jaruzelskiego — tak jak jej wszyscy nieszczęśliwi poprzednicy i z tą samą polityczną ślepotą — odbudowuje po wstrząsie kolejnej nieudanej „odnowy” ten sam co poprzednio mechanizm kryzysotwórczy: w partii, w metodach sprawowania władzy, w gospodarce, w propagandzie, w kulturze, w prawodawstwie, w aparacie represji, wszędzie. Znow usiłuje realizować to, co mogłoby pomóc najwyżej poprzednikom, znow nie potrafi wyjść poza „światły liberalizm” rodem z dawno i nieszczęśliwie minionego etapu, a bierność społeczeństwa oczywista w dzisiejszej fazie międzykryzysowego cyklu, tylko utwierdza rządzących w przekonaniu o trafności wybranej drogi, tak samo jak utwierdzała Gomułkę i Gierka. Na waszą i naszą zgubę...

Cóż z tego, że może nawet wiedzą? Obstawiają się najwyżej wojskiem i aparatem bezpieczeństwa z tą samą polityczną ślepotą i zadufaniem, jakie towarzyszyły wszystkim minionym w historii upadkom. Siła potrafi tylko przesunąć moment katastrofy, nigdy odsunąć.

To samo opozycja. Cóż z tego, że jest nas tak wielu, skoro jesteśmy depozytariuszami koncepcji, owszem szlachetnej, lecz przegranej? Dlatego też nie pomoże ani wyciągnięta ręka Wałęsy, ani krzepiące serca i umysły wspinające pisarstwo Michnika. Dlatego też nie łudźmy się, że sformułujemy program i przestaniemy też mieć wyrzuty sumienia z powodu jego braku. Programu nie ma i nie może mieć także władza, której jedynym celem jest przesunięcie daty kolejnego i pewnie jeszcze bardziej niż wszystkie poprzednie niszczącego — starcia. Nie może być programu, kiedy nie istnieje przestrzeń do jego realizacji. Zaś program na jutro, a raczej na pojutrze, program dla pokolenia, które przychodzi po „Solidarności” dopiero wyrosnie z tych dzisiejszych — zwykle dziś szalonych, nierealnych, ekstremistycznych a nawet pewnie i głupawych — manifestów, pokrzykiwań i utopii, jakimi dziś zajmują się przeróżne grupki nawiedzonych młokosów i politycznych oszołomków. Nie inaczej bywało w podobnych czasach rozsypki dużo wcześniej, dość tu poczytać „Budowanie Niepodległej” Giełżyńskiego, gdzie autor nic nowego nie wymyślił, tylko mądrze zebrał trochę przykładów znanych potem z pomnika. O tym zaś kto wespnie się na pomnik, a czyje usiłowania okażą się tylko polityczną mierzwą zadecyduje jutrzejsze dzianie się dziejów, jutrzejsze sposobności i umiejętność ich wykorzystania. Wałęsa w Sierpniu mógł zawahać się przed wejściem na koparkę, mógł pozostać w tłumie, byłby do dziś tylko

jednym z jego atomów. Nie inaczej będzie za lat może i kilkanaście...

Dwa razy nie wstępuje się nigdy do tej samej rzeki. „Solidarność” długo będzie wielkim i pięknym mitem, nadzieją Polaków, podobnie jak Konstytucja 3 Maja niegdyś, jak „prawdziwy socjalizm” w Październiku. Ale nie idee i hasła „Solidarności” będą z tej przyszłej koparki wypowiedane i nie 21 postulatów będzie słucał z zapartym tchem ten jutrzejszy tłum.

PIĘKNE ŻŁUDZENIA

Dlaczego jednak nie wyjść z tego przeklętego kręgu powtarzających się kryzysów i wciąż tej samej politycznej niemożności? Przecież istnieją wspólne wartości, takie choćby jak gospodarka, jak dobro narodu i państwa; przecież zawsze możliwy jest jakiś program minimum, jakieś porozumienie w obrębie realiów, choćby milczące i nigdzie nie zapisane. Tak powiadają jednym głosem zarówno „zwolennicy porozumienia” z kręgu władzy, jak i „realiści” z opozycji. Tak, to są ci „światli” po obu stronach, polskie centrum, ludzie umiarkowania, rozsądku i wyciągniętej ręki. Tak, sam do nich należę i moje sympatie są zlokalizowane tu właśnie. Ale co innego sympatie i usposobienie, co innego wprowadzone przez rozum wnioski: te ostatnie muszą być chłodne i wolne od złudzeń, niestety. Owszem, ileż tu rozsądnych ludzi i słusznych propozycji, dobrych pomysłów i szlachetnych intencji... Weźmy „Doświadczenie i Przyszłość” z całym dziedzictwem tego szanownego gremium, weźmy Andrzeja Walickiego z jego sławnym artykułem w *Aneksie*, weźmy publicystykę najróżniejszych „realistów” zwłaszcza prawicowych — w sumie bardzo rozsądne myślenie. Weźmy wszystkich — także w partii — na serio zainteresowanych powodzeniem reformy gospodarczej; przecież jest nas imponująco wielu! Sam nie tak dawno (wrzesień 1985) na prośbę osób z bezpośredniego kręgu władzy napisałem memoriał prezentujący możliwości otwarcia i porozumienia. Uczestniczyłem w dorocznych seminariach „warsztatu opinioznawczego” Centrum Badania Opinii Społecznej, gdzie przy okrągłym stole dyskutują o dzisiejszej Polsce zarówno ludzie z kręgu władzy, jak z PRON-u, jak i z opozycji (jest to bodajże jedyne miejsce gdzie taka dyskusja jest jeszcze prowadzona!) Znam stamtąd, czy choćby z kontaktów jakie mi jeszcze sprzed grudnia 1981 pozostały, wielu ludzi z kręgu władzy i widzę, jak z rosnącym przerażeniem patrzą w przyszłość, uświadamiając sobie to fatalne zsuwanie się kraju w polityczną i gospodarczą

przepaść, tę przerażającą niemożność znalezienia odwracającego kryzysową sekwencję wyjścia w obrębie dotychczasowej polityki. Czyż to nie budujące? Czyż nie warto postawić na ich rozum i dobrą wolę? Czyż nie należałoby im nareszcie zaufać?

Tuż przed napisaniem tego tekstu miałem możliwość zapoznania się z napisanym w grudniu 1985 roku pod kierownictwem profesora Mariusza Gulczyńskiego pod auspicjami Rady Krajowej PRON opracowaniem „Stan i potrzeby porozumienia narodowego w połowie lat osiemdziesiątych”. Broszura ta miała być raportem o stanie, perspektywach i barierach porozumienia, miała pokazywać możliwości jego poszerzenia i rozwoju. Jest to więc materiał wielkiej wagi przeznaczony na sesję Rady Krajowej PRON przedstawiający społeczeństwu jakąś obiecującą — bo nie zatwierdzoną jeszcze formalnie przez władze państwowe — propozycję porozumieniową i reformatorską — publiczny owoc usiłowań owych „świątłych i rozsądnych” w orbicie rządu. Smutna to niestety propozycja i potwierdzająca wszystko, co dotąd napisałem o nieszczęsnym uwięzieniu tych „liberałów” w wytyczonych od dziesięcioleci koleinach, w polityce jak raz dobrej dla dawno i bezpowrotnie minionego etapu. Góra urodziła myśl, czego można się było poniekąd spodziewać. Wśród słusznych, lecz ogólnikowych zdań typu: „odformalizowanie, ożywienie i rozbudowanie demokracji”, „zapełnienie próżni społecznej”, „stworzenie szans aktywności ludziom nastawionym krytycznie”, bardzo niewiele jest konkretów. Wymienia się jako bariery w drodze do pogłębienia porozumienia takie fakty jak niedopuszczenie przez władze do utworzenia klubów im. Staszica, Stowarzyszenia Opiekunów Społecznych i Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej, wytyka się potęgę cenzury blokującą proces społecznego porozumiewania, który winien być przecież wstępem do porozumienia jakiegokolwiek. Prawie nie wspomina się o ugrzęźnięciu reformy gospodarczej, o kontrofensywie centralnej biurokracji, która sprawia, że lata 1983-85 zostały dla reformy faktycznie zmarnowane. I to wszystko w dokumencie wewnątrzorganizacyjnym, nie przeznaczonym jeszcze do szerszego rozpowszechnienia. Taka jest niestety granica możliwości, a kto wie czy i nie odwagi naszych „świątłych liberałów”, gdy wypowiadają się bardziej publicznie niż na „czerwonej kanapie” albo przy „okrągłym stole”. Trudno... Szanuję większość z nich, uznaję ich dobrą wolę, doceniam ogrom czasu straconego na daremnych nieraz zabiegach o to, by władze dopuściły na ekrany jakiś nieprawomyślny film, zalegalizowały jakieś marginesowe stowarzyszenie, zezwoliły na spotkanie jakichś kontrowersyjnych dyskutantów. Ale to wszystko jest tylko takim samym cichutkim popiskiwaniami, jakie uprawialiśmy w latach siedemdziesiątych,

siątych, kiedy na naszych oczach rozłaziła się „Druga Polska” i kiedy wszystko szło w kierunku kolejnego dramatu; takim samym jakie uprawiali nasi pełni dobrych chęci poprzednicy w przedpokojach starego Gomułki. Owszem, coś się w ten sposób załatwia, jakieś sprawy popycha, zyskując w zamian poczucie spełnionego obowiązku, a nawet utrudzenia we wspólnej i pełnej słuszności sprawie. Tylko, że nasz wspólny wóz wciąż toczy się po tych samych co poprzednio, do kolejnego nieszczęścia prowadzących koleinach. Trzeba byłoby nie popiskiwać, lecz krzyczeć, bić na alarm, przedstawić społeczeństwu i władzy wielki program reform wprowadzających nareszcie poza ten do znudzenia znany i ze złym skutkiem sprawdzony szlak. Tak dzisiaj, jak za Gierka, za Gomułki, zawsze... „Ależ to niepolityczne, nie na czasie, ONI tego nie zaakceptują!” — zawołają w tym miejscu jednym głosem „światli liberałowie” od Gomułki, od Gierka, od Jaruzelskiego, wszyscy... Jeśli historia powtarza się już tyle razy, to tylko jako tragiczna farsa.

Piękne złudzenia, na które nieuleczalnie chorzy są zarówno „światli liberałowie”, jak i „rozsądni realisci” odżywają niezłym niezmożone zielsko na tyle razy już wypalonym kraterze. Bardzo to ludzkie i bardzo daremne. Program, który uratowałby ten kraj jest do napisania w ciągu paru godzin, po co go zresztą pisać, skoro jest napisany — choć w solennym sosie naukowych wywodów — w znanej książce „Polska pięć lat po Sierpniu” albo w postaci bardziej skondensowanej w wielu tekstach publicystycznych nie tylko prasy niezależnej, także tych w prasie oficjalnej, które biją na trwogę z powodu ugrzęźnięcia i upadku reformy gospodarczej. Ale nie da się wmówić reform jakichkolwiek nie mając samemu wpływu na bieg rzeczy. Konstruktyny program opozycji musiałby wesprzeć się o podobny program władzy, przynajmniej o jej reformatorską wolę. Bez tego wciąż pozostaje pobożnym życzeniem bezsilnych. Czy taki program albo przynajmniej wola nie mogą — jeśli nie dziś, to jutro — zaistnieć, jeśli nie z warszawskiego, to choć z moskiewskiego impulsu? Przecież jest tylu świątłych, przecież Gorbaczow... Wracamy więc do punktu wyjścia. Wiecznie zielone zielsko nigdy nie spełniającej się nadziei... Wobec uwikłania w grupowe interesy warstwy sprawującej władzę, wobec całej nieszczęsnej tradycji politycznej byłyby to prawdziwy cud. Cudów nie wolno wykluczać, nawet w polityce, choć obawiam się, że ich limit na wiek XX został wyczerpany przez cud nad Wisłą, wybór Karola Wojtyły na tron watykański i powstanie „Solidarności”. Ale liczenie na cud jest grzechem przeciw rozumowi. Dlatego memoriały o zbawiennych koncepcjach poczytają sobie tylko opozycjoniści a co najwyżej SB-cy, „światli” zgorzknieją w swych

bezużytecznych koncepcjach z poprzedniego etapu, zaś „realiści” okażą się najbardziej nierealistyczni.

PO „SOLIDARNOSCI”...

Coraz większą rolę w społecznym i politycznym życiu Polski będzie odgrywało to pokolenie, dla którego „Solidarność” jest tylko opowieścią albo co najwyżej epizodem mało znaczącym, bo przeżytym we wczesnej młodości. Biologia pracuje nieubłaganie na rzecz takiego właśnie układu, jak pracowała po Październiku, czy po Grudniu. Władza o tym wie, ale w istocie niewiele może uczynić w obrębie dotychczasowych kolein politycznych, a zwłaszcza beznadziejnie wlokącej się zapaści gospodarczej. W Polsce gierkowskiej usiłowano analogiczne pokolenie przekupić dobrobytem, małym fiatem albo chociaż wyjazdem na zagraniczny zarobek; nawet jakiś czas wyglądało to zachęcająco, ale na koniec to właśnie pokolenie potulnie skandujące „Gierek — partia!” na wiecach w katowickim „spodku” albo na warszawskim „stadionie dziesięciolecia” obrodziło żywiołem „Solidarności”. Dziś z dobrobytu pozostała góra długów, z małego fiata — najwyżej klakson a emigracja może być szansą tylko dla nielicznych. To pokolenie nie ma już złudzeń i skazane jest na Polskę bez złudzeń — tę, która jest, rozchwianą, beznadziejnie chorą, włożoną w układ, którego nikt nie akceptuje i na obronę którego nikt nie znajduje lepszego gestu niż wskazanie palcem na wschód. Perspektywa, jaką temu pokoleniu przedkłada rząd to posłuszeństwo, strach przed pałką i usilna praca, w wyniku której poziom społecznego dobrobytu z 1978 roku osiągnięty będzie gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych. Perspektywa, jaką ofiarowuje mu tradycyjna „posolidarnościowa” opozycja to trzy lata więzienia za druk nielegalnych gazetek, podpisywanie nikogo nie obchodzących petycji i czekanie na cud, który nigdy nie nastąpi. PRON proponuje im dialog w grupie „Consensus” albo w Towarzystwie Reformy Mieszaniowej, ewentualnie jakąś publiczną dyskusję pod warunkiem tylko by nie pozostał po niej — broń Boże — jakiś pisany a nieprawomyślny ślad. Kościół ofiarowuje im modlitwę i od czasu do czasu kilka słów prawdy w kazaniu jakiegoś odważniejszego księdza, ale jakże to mało, gdy ma się dwadzieścia kilka lat i w sercu zapiekły żal do wszystkich, którzy zostawili nam tę Polskę bez złudzeń ześlizgującą się w dobranym towarzystwie Bułgarii i Rumunii na dno Europy. Bo to pokolenie wie, że na własne mieszkanie może liczyć dopiero w XXI wieku, na prawo do własnego zdania — nigdy, zaś nawet ciekawa i pewna praca, która przez parę dzie-

sięcioleci była oczywistym atrybutem socjalizmu, też coraz bardziej przesuwa się do sfery niekoniecznie ziszczalnych marzeń. Nie wiem kto mógłby zaofiarować mu coś wiarygodnego i realnego zarazem? Może najprędzej rząd, gdyby odkładając na bok ideologię zaczął pragmatycznie otwierać pola dla wyżycia się, gry, a nawet bogacenia w sferze gospodarki, czego mglistą obietnicę zawierała osadzona dziś na mieliźnie reforma*. Gdyby z tym samym chłodnym pragmatyzmem patrzył przez palce na krzyk, protest i samoorganizację wiedząc, że to i tak się wypali, gdy najaktywniejsi pozakładają własne firmy i porosną w piórka. Ale to wymagałoby już wyjścia poza utarte koleiny, poza nie-nieszczęsny polski cykl kryzysowy. Wymagałoby wielkiej i przewidującej odwagi. Skoro jej brakuje — jak brakowało po Październiku i po Grudniu — to jest, jak jest i będzie to, co być musi...

To pokolenie jeszcze rozgląda się, jeszcze mileczy, jeszcze czeka. Ale właśnie ludzie tego pokolenia tworzą kadry przeróżnych partii, nielegalnych organizacji, ruchów i grup, jakie nie mają wiele wspólnego z „Solidarnością” i jakie powstają dziś jak grzyby po deszczu. Nie jest to moja sprawa, zbyt sobie zresztą cenię wcale nie tak dawno pozyskane rozkosze bezpartyjności, aby kibicować temu zawłaszczaniu polityki przez generację od polityki odepchniętą, nie umiem nawet naszkicować politycznej mapy tej podziemnej kotłowniny. Przeważają w niej oczywiście efemerydy z dostępem do zdezelowanego powielacza skazane na izolację dziś, a na nieodwołalne zapomnienie już jutro. Nie inaczej było przecież w czasach, które opisuje Giełżyński; wtedy także z chaosu tymczasowych bytów prowadziła droga ku świadomemu konstruowaniu historii.

Dziwić się? Potępiać za gorącoogłową naiwność programów? Wołać — tak jak pewien mój przyjaciel — o jedność, o powstrzymanie tej eksplozji partyjniactwa? Daremnie. Koło dziejów obróciło się już o jakąś część swego kolejnego cyklu. Lepiej w kakofonii manifestów, okrzyków i potępienięczych swarów próbować usłyszeć mało jeszcze zrozumiałe, lecz coraz wyraźniejszy głos Jutra. Bo jest to nie tylko pokolenie jak żadne dotąd w powojennej historii Polski oszukane i pozbawione szans, ale pokolenie jak żadne dotąd antykomunistyczne i radykalne. Pokolenie bez złudzeń. Gdy przyjdzie jego czas zmiecie z historycznej sceny zarówno kolejną ekipę władzy, jak i rupiecie po „Solidarności”; zachowa najwyżej sztandar i parę symboli. Zawsze, zawsze we wszystkich ustrojach, we wszystkich epokach pojawienie się na

* Opublikowany wiosną 1986 projekt programu PZPR w swej części poświęconej gospodarce stawia ostatecznie kropkę nad „i”: z reformy zostanie tylko sztyld.

scenie takiego „straconego pokolenia” bez złudzeń i szans okazywało się społecznym i politycznym dynamitem.

Być może to, co się w Polsce musi stać, okaże się tylko ślepą eksplozją społecznego gniewu, powrotem do grudnia 1970 roku, po którym jednak nie wstąpi na tron dobrotliwy Gierek, lecz zapadnie jeszcze ciemniejsza od dzisiejszej noc. Ale jeśli w tym, co się stanie, będzie choć trochę samoorganizacji, kierownictwa i świadomej woli, to wyartykułowane żądania będą jeszcze bardziej polityczne niż w roku 1980 i bynajmniej nie ograniczą się do płaszczyzny związkowej czy obywatelskiej. Stanie problem władzy, partii i wyborów. A więc rewolucji. I pewnie właśnie dlatego, że nie ma już złudzeń, że pytania o polską nadzieję zostały doprowadzone do ostatecznych konsekwencji, ten międzykryzysowy okres może być wyjątkowo długi a jednocześnie powikłany i nim zamknie się w obalającej kolejną ekipę eksplozji, zawrze w sobie wstrząsy niepełne, poronne — na podobieństwo 1968 czy 1976 roku. Tylko czy ten kraj, to państwo, ta gospodarka jeszcze je przetrzymają? Bo że wstępujące dziś w życie pokolenie znajdzie w sobie dość sił i wściekłości to pewne...

Kiedys Piłsudski napisał ironicznie, że „Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi”. Obojętnie czego Polacy chcą, czego się lękają i czego pragnęliby uniknąć, to cena jaką każe im uiścić Historia — o ile rzeczywiście biegnie opisaną tu koleiną — będzie znacznie, znacznie wyższa.

Kraków, styczeń 1986

Jerzy SURDYKOWSKI

Kronika kulturalna

L jak literatura

Pierwsza litera słowa literatura kreśli prosty kąt (myślenia), prostokąt, który mi bardzo przypada do gustu. Jego perspektywy są prostolinijne i jednoznacznie wielorakie: *liber*, *libertas*, *liberalitas*, *liberatio* — *liberi*. A więc wolność słowa, niezależność myślenia, szlachetność przekonań, otwarta świadomość — a więc książka — *liber* — jako środek komunikacji umysłowej ludzi wolnych — *liberi*.

Kategorie wschód-zachód są w literaturze zmienne i zamienne. Znamy pisarzy Wschodu, którzy myślą i piszą bardzo zachodnio, i znamy takich z Zachodu, których dzieła są orientacji raczej wschodniej. Lec: „I nas nazywają na Zachodzie Wschodem, a na Wschodzie Zachodem”. Selekcje schematyczne rzadko mają sens i długi żywot.

Sensem literatury jest spokojna, opanowana, wszechstronna, nieograniczona wymiana myśli autorów i czytelników — wykluczając analfabetów oczywiście. *Spiritus* (mówionego i pisanego słowa) *flat ubi vult* — i tak: tak czy inaczej. Na tej zasadzie żyje i funkcjonuje kultura ludzkości, a więc i jej literatura, od wieków.

Rzecz jasna, że każda literatura narodowa — im bardziej narodowa, tym więcej i lepiej — ma nam coś swoistego, innego, ciekawego, oryginalnego do powiedzenia. Jeśli jest oryginalna, ciekawa, inna, swoista, a więc narodowa, a nie byle jaka.

Polska literatura jest wybitnie narodowa — inna, swoista, oryginalna. Jej wartości — przede wszystkim poznawcze — są nie do przecenienia. I to decyduje o jej szansach na rynku światowym — ale i o jej trudnościach. Wymaga ona bowiem tłumaczy wtajemniczonych, ale i gotowych do przygód ryzykownych, karkołomnych, niewdzięcznych. Dla czytelnika lektury polskie nie są ani łatwe, ani krotchwilne, raczej praco- i czasochłonne, irytujące, ciężkie, prowokujące do skomplikowanych, nawet nieprzy-

jemnych refleksji i dyskusji. Nawet humor polski śmiechem swoim boli i oskarża, zadaje szokujące pytania... Nie mam tutaj na myśli oczywiście literatury rozrywkowej i wszedobylskiej, z której prócz szybkiej zabawy nic nie wynika i która do niczego nie prowadzi, najmniej do Polski. (Która za to ma większe powodzenie, bo jest bardziej masowa i dochodowa).

Myślę o literaturze opornej, ale dzięki której widzimy więcej, dalej i głębiej, poznajemy nowe światy i zaświaty poza granicami naszych opłotków, naszego ograniczenia.

Walory poznawcze tych trudnych lektur — aktywizacja rozlewnionego czytelnika i otwieranie mu szerszych horyzontów — są liczne i różne. Wymieniam kilka ważniejszych z wielu, na przykładach, które u nas, w Republice Federalnej, zostały zauważone jako wybitny wkład literatury polskiej do literatury i kultury europejskiej, a nawet światowej.

Na przykład poezja: nowe, świeże spojrzenie na realia i mity kultury europejskiej z punktu widzenia odkrywczego „barbarzyńcy” w muzealnym „ogrodzie” naszej tradycji i rzeczywistości (Herbert); filozofia katastrofy i nadziei, wyrosła na gruncie doświadczeń Europy tego stulecia i etyki chrześcijańskiej, sprawdzona przez kryteria dystansu nie tylko geograficznego (Miłosz); nowa i specyficzna wrażliwość i nowe słownictwo i lapidarność pokolenia, któremu wojna dostarczyła raz na zawsze wrażeń nieporównywalnych (Różewicz); życiotwórcza siła mądrości i ironii „Żony Lota”, która sól boleści „na użytek domowy” (światowy) zamieniła na przebogaty gabinet figur z soli attyckiej (Szymborska).

Na przykład aforyzm: forma, zdawałoby się, wyczerpana dawno, a jednak wybuchła — nad Wisłą — w latach pięćdziesiątych gwałtownie do nowego życia, siłą swoich argumentów wewnętrznych (treści) i zewnętrznych (bogactwa point i obrazów myślowych) — „Myśli nieuczesane” Leca po niemiecku są permanentnym *bestseller*-em od dwudziestu lat (40 nakładów — ponad 300.000 sprzedanych egzemplarzy).

Na przykład proza: tutaj można by wliczyć bardzo wielu autorów, których tematy i sposób widzenia rzeczywistości (naszej, wspólnej) są absolutnie oryginalne, u nas dotąd nieznanne, a przy tym poznawczo ogromnie ważne, bo wynikające z doświadczeń dla nas niewidocznych, niedostępnych, ale rzutujących również i na nasze wspólnoeuropejskie życie i na nasze perspektywy: Gombrowicz, Bruno Schulz, Nałkowska, Borowski, Hłasko, Herling-Grudziński, Kołakowski, Andrzejewski i wielu innych... Nie zapominając o Lemie z jego baterią 50-ciu niemieckich książek i milionowych nakładów w świecie.

Wylizanie pojedynczych autorów i dzieł nie jest sprawiedliwe. Literatura polska jako całość, wielorakość prawd i temperamentów powinna być przyjęta przez świadomość europejską i pozaeuropejską jako ważna część większej całości. Nagrody Nobla (Miłosz), Formentor (Gombrowicz), Pokoju i wydawców niemieckich (Korczak, Kołakowski, Bartoszewski), Lenaua, Herdera, Petrarki (Herbert), Państwowa Nagroda Austrii za wkład do lite-

ratury międzynarodowej (Herbert, Różewicz) i wiele wiele innych są sprawdzianem obecności literatury polskiej, jej autorytetu w wielogłosowym świadectwie kultury współczesnej, z jej oczywiście dodatnimi i ujemnymi zjawiskami, z jej radościami i smutkami. I oto jest rzeczą absolutnie normalną, co przed laty byłoby nie do pomyślenia, że niemieckie akademie poezji, literatury i sztuki, jak np. w Berlinie, w Monachium, w Moguncji i Darmstadt wybierają polskich autorów na swoich członków (Herbert, Różewicz, Szymborska), zapraszają ich na imprezy elity literackiej świata, na wykłady, profesury, stypendia i temu podobne formy i fora międzynarodowej współpracy działaczy kultury.

Z punktu widzenia życia literackiego w Republice Federalnej Niemiec współczesna literatura polska przyciągnęła i jakościowo i ilościowo (przecież nawet poetyckich książek Herberta, co w porównaniu z podobnymi książkami autorów niemieckich jest rewelacją, wydano w języku niemieckim dziesięć w łącznym nakładzie 60.000 egzemplarzy) uwagę najlepszej części społeczeństwa czytelników, bibliotek, uniwersytetów, mediów.

Pytanie tylko, czy szanse te Polacy sami wykorzystają poważnie i do końca, czy świadomi swojej odpowiedzialności i konsekwencji na przyszłość.

Karl DEDECIUS

Więzy nierozzerwalne

Mając niecałe 20 lat znalazłem w bibliotece mego wuja dziennik Amiela. Naturalnie był to tylko wybór z tego ogromnego dzieła, które dzisiaj dopiero, więc po stu latach, ukazuje się tomami w całości (ponad 15 tysięcy stron rękopisu) w *L'Age d'Homme* Dimitrijevicza. Amiel w tamtych czasach był bardzo czytany. Sam go czytałem skwapliwie i z tych lektur zostało mi przede wszystkim jedno zdanie: „*Chacun a eu sa terre promise, son jour d'extase et sa fin en exil*”. Pomimo niedzisiejszej patetyczności stylu, utkwił mi na całe życie i sam swoje życie przykładałem do tego zdania.

Co było moją *terre promise*? Na pewno Paryż i skutkiem tego nasz wyjazd w kilkunastu, z pieniędzmi na sześć tygodni i z pobytym w Paryżu od sześciu do ośmiu lat. Dla mnie była to epoka najważniejsza, bo to było pierwsze zetknięcie *Dichtung und Wahrheit* w moim własnym życiu. Najtrudniejsze warunki i ciężka choroba naszego najbliższego przyjaciela, Zygmunta Waliszewskiego, który wrócił do Polski po pięciu amputacjach, oraz pierwsze wielkie olśnienia malarskie.

Drugiej daty, nazwanej przez Amiela *jour d'extase* — do niedawna nigdzie w moim życiu umieścić nie mogłem, ale teraz z całą świadomością mogę powiedzieć, że było to otwarcie mojej

wystawy w Warszawie, w Muzeum Archidiecezjalnym, wystawy zorganizowanej przez księdza Przekazińskiego, Joannę Pollakówą, która jak nikt inny zna moje malarstwo od dobrej i złej strony, i przez tylu moich w Polsce przyjaciół: Jacka Woźniakowskiego, Stanisława Rodzińskiego i innych. Sam się dzisiaj sobie dziwię, jak bardzo to wydarzenie urosło w mojej świadomości, bo też nie pozwalałem sobie marzyć o tym przez te wszystkie lata, a w Warszawie właśnie, gdzie ostatnie dziesięć lat Polski niepodległej przeżyłem, od '39 roku nic nie wystawiałem. Zawsze wiedziałem, że o co mi chodzi bez porównania najwięcej, to pokazać w Polsce, co robię dziś. Teraz ta wystawa dała mi dowód, że mam tam bardzo bliskich sobie ludzi, wcale nie mojej generacji, która prawie cała wymarła, ale wśród malarzy o wiele młodszych ode mnie. Zawsze byłem przekonany, że „samotność — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi...”, zawsze w momencie pracy czułem się zupełnie sam i naraz ta wystawa dała mi odczuć, że to nieprawda. Świadomość, że te obrazy wiszą w Warszawie i że na nie patrzają moi przyjaciele dała mi przeżycie silniejsze niż oczekiwałem, jakbym został nagłe „odkorkowany”.

Dlaczego to dla mnie tak ważne? Bo chciałem tak bardzo, niezależnie od wartości moich płócien, o której nie mam żadnego pojęcia (bo chyba żaden malarz rzetelny nigdy nie jest pewny siebie i przede wszystkim zdaje mu się, że najlepsze płótno dopiero namaluje) czuć się włączony w długi łańcuch malarstwa polskiego. Chciałem tutaj podziękować z głębi serca i tym wszystkim, którzy się do mojej wystawy przyczynili, i tym młodym malarzom, którzy chcieli obok mnie wystawić w znak braterstwa generacji.

Teraz, gdy pracuję coraz mniej i przy stanie mojego wzroku nie mogę marzyć o dalszym malowaniu, problem, który mnie interesuje najbardziej to: jaki będzie rozwój malarstwa polskiego dziś właśnie. Od niedawna dopiero mam intensywne poczucie, że moja epoka skończyła się przed wielu laty i że to co przyjdzie może, nawet musi mieć inne punkty wyjścia i inne źródła natchnienia.

Chciałbym skończyć na moich myślach dzisiejszych, które mnie kierują znów do Amiela. Ten trzeci etap, o którym pisze Amiel, *la fin en exil*, staje mi stale przed oczyma. Jak przeżyć ten etap, którego długość nie od nas zależy? I co znaczy *exil*? Bo *exil* to nie tylko nieobecność w kraju, ale nieobecność wśród żywych. Ilość ludzi bliskich, którzy odchodzą od człowieka mojego wieku jest ogromna. I tu tkwi przede wszystkim *exil*. Obecności ludzi, którzy odeszli nikt nie zastąpi i może dlatego wystawa w Warszawie jest mi tak drogocenna. Ludzie, którzy do mnie stamtąd piszą są już wnukami moich przyjaciół. Oni ich nie zastąpią, ale to że oni są jest moją największą radością, radością mego ostatniego etapu. Dlatego jeszcze raz dziękuję wszystkim, którzy zechcieli w Polsce wystawę zorganizować, i odwiedzić, i potwierdzić przez to, że ciągłość generacji może być naprawdę żywa i zyciodajna.

Józef CZAPSKI

Encyklika o Duchu Świętym

Piąta z kolei encyklika pontyfikatu Jana Pawła II, *Dominum et Vivificantem* (z liturgii świętej: Pan i Ożywiciel) o Duchu Świętym w życiu Kościoła i świata, wiąże się w trylogię, poświęconą Trójcy Świętej, z poprzednimi dwiema encyklikami: *Dives in Misericordia* — o Bogu Ojcu Miłosiernym (z 1980 roku) i *Redemptor hominis* — o Synu Odkupicielu człowieka (z 1979 roku).

Encyklika ta powstała w chwili, kiedy — zdaniem Papieża — dojrzeła świadomość że przy całym zawrotnym postępie cywilizacji naukowo-technicznej los człowieka jest zagrożony. Prezentując tę encyklikę, kardynał Jean Hamer, prefekt Kongregacji Zakonów i Instytutów Świeckich, nazwał ją „przesłaniem wyzwolenia poprzez Ducha Świętego, który ochrania prawdziwą wolność człowieka”. W części trzeciej wyliczone są różne czynniki, które redukują tę wolność i stawiają opór działaniu zbawczemu, pochynając od materializmu. Papież stwierdza, że „systemem, który doprowadził do ostatecznych konsekwencji tę formę myślenia, ideologii i działania, jest materializm dialektyczny i historyczny, uznawany wciąż za żywotną treść marksizmu”. Wprawdzie Papież przyznaje, że są też „inne odmiany ateizmu”, ale „prawdziwy i właściwy materializm”, rozumiany jako teoria i praktyka jednostkowa i społeczna, „ma charakter ateistyczny”.

Jest rzeczą zmienną, że wśród rozmaitych „oporów” negujących istnienie Boga i działanie Ducha Świętego, encyklika umieszcza na tej samej płaszczyźnie, obok ateizmu, także inne „znaki” i „sygnały śmierci”, a więc w aspekcie społecznym „wyścig zbrojeń i związane z nim niebezpieczeństwo samozagłady nuklearnej” oraz „obszary nędzy i śmiercionośnego głodu”, w aspekcie zaś moralnym sztuczne spędzanie płodu i eutanazję.

B. Lai, wytrawny watykanista o orientacji liberalnej, zestawia Jana Pawła II z Leonem XIII. Podobieństwo między nimi wynika — jego zdaniem — z analogicznej rozterki i troski o przygotowanie Kościoła do stawiania czoła zagrożeniom przyszłości. Ostatnia encyklika stanowi „monit” przed nadchodzącą datą roku 2000. W rzeczy samej, Papież parokrotnie nawiązuje do „wielkiego jubileuszu” w nadzwyczajnym Roku Świętym, jaki przypadnie przy końcu drugiego, a na progu trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa, do którego Kościół i wierni muszą się należycie przysposobić. Wprawdzie już w poprzednich encyklikach Jan Paweł II wyjaśniał szereg negatywnych aspektów współczesnej cywilizacji i kultury, bo za naukowym i technicznym postępem nie nadąża rozwój moralny. Nowość polega na tym, że Papież wiąże różne zagrożenia i „grzechy społeczne” z przestrogą pod adresem wiernych pod kątem właśnie zbliżającego się roku 2000.

Komentatorzy laicy, głównie we Włoszech, gdzie do spraw Kościoła i Watykanu podchodzi się ze znajomością rzeczy i wrażliwością, których brak obserwatorom innych nacji, uważają, że tendencją traktowania historii według przypadających rocznic stuletnich względnie tysiącletnich jest „typowa dla kultury słowiańskiej” i sądzą, że encyklika *Dominum et Vivificantem* ma służyć przede wszystkim jako apel do duchowej mobilizacji w perspektywie „wielkiego jubileuszu”. Komentatorzy zaś prasy katolickiej uważają, że encyklika zawiera najwięcej cech autobiograficznych z dotychczasowych dokumentów magisterium papieskiego, wyływa bowiem bezpośrednio z doświadczeń Papieża w Polsce. „Apokaliptyczne niemal widzenie zagrożenia ciężących nad ludzkością” — według tych komentatorów — nie umniejsza jednak nadziei chrześcijańskiej, która zatriumfuje dzięki „pewności wiary”, jaką Papież utożsamia.

Tym razem komunistyczni i skrajnie lewicowi obserwatorzy watykańscy wyraźnie przeholowali. Watykanista organu komunistycznego *Unità* uważa, że encyklika wręcz „przewraca” encyklikę *Pacem in terris* Jana XXIII, ponieważ przekreśla „rozdzielenie pomiędzy marksizmem jako ideologią, systemem filozoficznym i jako ruchem historycznym”. Odrzuca więc tym samym metodę dialogu, za czym Papież się opowiedział w innych okolicznościach (ostatnio w Indiach). Jest to oczywiście błąd w samym założeniu. Papież bowiem nie analizuje doktryny marksistowskiej, tylko wykląda doktrynę Kościoła, która nazywa rzeczy po imieniu, a więc uznaje marksizm wcielony w życie — jak pokazały doświadczenia krajów bloku sowieckiego — za „system programowo ateistyczny”. Jeśli zaś chodzi o dialog, to — zgodnie z optyką Kościoła, a zwłaszcza samego Papieża — można go prowadzić skutecznie jedynie z pozycji niedwuznacznych i jasno określonych. Inaczej bowiem dochodzi do zamieszania i zacierania tożsamości i wiarygodności.

Nowa encyklika jest niezwykle ważna: daje duchowieństwu na całym świecie wykładnię doktrynalną i pastoralną dla wyjaśnienia wiernym istoty zła, jakie wyrządza ateistyczny materializm wcielony w system (teoria) i działanie (praktyka).

Dominik MORAWSKI

Pisane 3 czerwca 1986 r.

P.S. Errata. W numerze 5/1986 *Kultury* w korespondencji „Kościół i trzy dyktatury” na str. 68 w zdaniu: „W tej koalicji demokratycznej...” zamiast „skrajnej lewicy” powinno być „skrajnej prawicy”. Ponadto na str. 71 w 8 wierszu przed końcem: „Gustavo Gutierrez z Limy...” zamiast „jeden z wyznawców...” powinno być „jeden z protagonistów teologii wyzwolenia”.

D. M.

NAGRODY

Fundacja Kościelskich przyznała 24 maja br. trzy nagrody literackie w wysokości Frs 3.000 każda. Otrzymali je: Tomasz Jastrun za całokształt twórczości; Adam Michnik za tom szkiców pt. „Z dziejów honoru w Polsce” oraz Leszek Szaruga za całokształt twórczości.

„Solidarność” pracowników wydawnictw przyznała po raz trzeci doroczną nagrodę za najlepszą książkę polskiego autora, zamieszkałego w Kraju, wydaną w obiegu niezależnym. Nagrodę w wysokości zł 35.000 otrzymała Teresa Torañska za książkę „Oni”. Wyróżnienia honorowe otrzymali autorzy raportu „Polska 5 lat po Sierpniu” oraz wydawnictwo CDN za tom publikistyki rozproszonej Czesława Miłosza pt. „Poszukiwania” (opracowanie Konrada Piwnickiego).

Fundacja im. Jana Pawła II w Rzymie przyznała trzy równorzędne nagrody na rok 1986: prof. Karolinie Lanckorońskiej za wybitny wkład w polską kulturę chrześcijańską i prace naukowe; siostrze Benignie Pluta z Lublina ze zgromadzenia SS Pasterek od Opatrzności za wkład w kulturę społeczno-moralną; środowisku *Tygodnika Powszechnego* i miesięcznika *Znak*.

Fundacja im. Thorntona Wildera przyznała tegoroczną nagrodę Julii Hartwig i Arturowi Międzyrzeckiemu za ich wieloletnią pracę nad przekładami literatury amerykańskiej.

Konrad Górski, historyk z Torunia, otrzymał nagrodę Herdera w Wiedniu.

Na Walnym Zebraniu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, odbytym 24 maja br., ogłoszono nagrody Związku. Otrzymali je: za całokształt twórczości — poeta Jan Winczakiewicz z Paryża; za najlepszą książkę 1985 roku — Bogumił Andrzejewski za „Podróż do krajów legendarnych” i Mieczysław Paszkiewicz za „Ziemia obiecana innym”. Obie nagrody są równorzędne, obydwa nagrodzeni są z Wielkiej Brytanii. (Prezesem Związku po raz 11-ty został dr Józef Garliński).

Książki

Metoda holenderska

W końcu ubiegłego roku ukazała się w Holandii historia literatury rosyjskiej pióra Karela van het Reve* (profesor slawistyki na uniwersytecie w Leiden, dyrektor Fundacji im. Herzena w Amsterdamie i reprezentant umiarkowanego optymizmu politycznego: „... o ile wszystko pójdzie dobrze, Rosja Sowiecka za jakieś 50 lat powinna osiągnąć stopień wolności frankistowskiej Hiszpanii...”) i stała się natychmiast *best-seller*’em na całym obszarze języka niderlandzkiego. Sukces ten jest głównie wynikiem niekonwencjonalności książki, jej „uczonej nonszalancji”, trochę przypominającej Boya, a której główne składniki sam autor opisuje we wstępie jak następuje:

Liczne, prawie wszystkie, historie literatury są nieczytelne przez to, że ich autorzy *wszystko* zdają się cenić, *wszystko* zdaje się im podobać. Po przeczytaniu lub też — mój wypadek — przewertowaniu tego rodzaju książki człowiek często nie może zrozumieć, czemu tacy ludzie zajmują się literaturą. „Zazwyczaj ani śladu jakiejś myśli — ani kochają, ani nienawidzą”, jak trafnie powiada Tucholsky. ... Nawet w obrębie [przyjętej tu] zasady 'jak najwięcej o jak najmniejszej liczbie pisarzy' ograniczyłem jeszcze ich listę. ... Ponadto: w wielu książkach, artykułach i wykładach o literaturze używa się do omawiania poruszanych spraw nie słów, jakie cisną się na usta, lecz specjalnego żargonu. Żargon ten posiada dwie wielkie zalety. Pisarze i wykładowcy nie mający nic szczególnego do zakomunikowania mogą w ten sposób sprawiać wrażenie, że to co mówią jest rzeczywiście warte ubrania w ten język. Dla pewnych studentów zaletą tej metody stanowi to, że przyswajając sobie ów żargon nabierają poczucia, iż uczą się

jakiegoś fachu. U obu rodzajów nawyk mówienia możliwie prosto i jasno wywołuje odruch niechęci i rozczarowania, a książka taka jak ta wydaje im się jedynie serią anegdotycznych opowiadań bez głębszego sensu i bez „podbudowy”. I właściwie mają rację. Podbudowa nie istnieje a, jak mówi poeta, *Tiefsinn hat nie ein Ding erhellt*¹ (str. 12-14).

Mówiąc o „nieistnieniu podbudowy” (a ściślej „tła”; *achtergrond*) van het Reve ma na myśli odrzucenie konwencji, według której poglądy i problemy literatury rosyjskiej winno się prezentować i rozważać z dokładnością tego samego punktu widzenia, z jakiego patrzą Rosjanie. Innymi słowy uważa on, że zajmując się literaturą rosyjską nie ma potrzeby ulegać rosyjskiej mitologii i można pozwalać sobie na własne zdanie na temat takich nadnowskich i nadwołżańskich świętości jak „dusza ludu rosyjskiego”, „misja Rosji”, „ludzie Dostojewskiego” i „nauka Tołstoja”. Rozsadnikiem i propagandystą przekonania, że rosyjskie utwory literackie są nierozłącznie związane z tzw. przekłętymi — i często bardzo partykularnymi — problemami rosyjskimi (a więc są jakoby niezrozumiałe bez „wzucia się”, czyli nasiąknięcia nimi) była zawsze tamtejsza krytyka literacka, którą przyjęło się traktować — jeszcze jedna konwencja — jako nieodłączną część tejże literatury. Van het Reve dokonuje tu zasadniczego cięcia: „Człowiek w głowę zachodzi, jakim sposobem kraj, w którym tacy ludzie jak Czernyszewski, Dobrolubow, Michajłowski, Szełgunow, Skabiczewski, Owsianiko-Kulikowski, Tkaczow, Plechanow e tutti quanti uchodzili i uchodzą za uzdolnionych krytyków, mógł wydać tak świetną literaturę” (str. 477 n.).

Jedną z cech najbardziej drażniących holenderskiego autora u rosyjskich krytyków jest — poza ich rozwlekłością i stronniczością — tendencja do ogólnikowości, najwyraźniej przejawiająca się w XIX-wiecznym sporze słowianofilów z okcydentalistami:

Spór toczył się o to, czy Rosja winna przyłączyć się do Zachodu, pójść tą samą drogą, którą poszedł był Zachód, czy też ma się właśnie od Zachodu różnić, by rozwinać własną, rosyjską specyfikę.

Gdy rozpatruje się ten spór dzisiaj, uderza, że żadna ze stron nie zadawała sobie pytania, co w danym momencie i w danej sprawie powinno się w Rosji zrobić — czy należy zbudować określony odcinek kolei, wprowadzić określone prawo, wypowiedzieć określoną wojnę — nie, kłócono się o to, co w Rosji winno zająć w ogóle. Dyskusja toczyła się w salonach. W piątek zbierano się w domu Swierbiewewa, a w niedzielę u pani Jełagin. Spierano się do późnej nocy — jak opowiadał później jeden z dyskutantów — o to, czy możliwe jest logiczne przejście bez przeskoku od *Sein* poprzez *Nichtsein* do *Werden* i *Dasein*. I cały czas mówiono o 'Rosji' (str. 214 n.).

1. „Głębia nigdy niczego nie rozjaśniła”.

* *Geschiedenis van de Russische literatuur. Van Vladimir de Heilige tot Anton Tsjechov*. G.A. van Ooorschot, Amsterdam 1985, str. 523.

Podobnie sceptycznie-ironicznie zapatruje się van het Reve na pokutującą do dziś konwencję rozpatrywania rosyjskich postaci literackich jako „typów” reprezentujących specyficznie rosyjskie postawy i zagadnienia:

Wielu dopatrywało się w [turgieniewowskim] Rudinie — podobnie jak w Onieginie, Czackim [bohaterze „Rozum-nemu biada” Gribojedowa] i Pieczorinie [czołowej postaci „Bohatera naszych czasów” Lermontowa] — „typowego” przedstawiciela określonej grupy społecznej, ludzi licznie występujących w czasach, w których dzieje się akcja tych książek. Ten pogląd spotyka się zarówno u samych pisarzy (Lermontow, Turgieniew) jak i u ówczesnych i późniejszych publicystów. Nie ma prawie książki o literaturze rosyjskiej, w której by ta opinia *nie* była wyrażona. Szczególną cechą tej opinii jest fakt, że nikt z jej zwolenników nie przytacza żadnego dowodu. Więcej nawet: w obfitej rosyjskiej literaturze pamiętnikarskiej, w korespondencji Puszkina, Lermontowa, Turgieniewa, w tysiącach opublikowanych listów ich współczesnych daremnie by szukać choćby jednej osoby, która przypominałaby Oniegina, Pieczorina czy Rudina. To znaczy Oniegin tu i ówdzie przypomina nieco Puszkina, Pieczorin Lermontowa, a Rudin jest podobny do Bakunina i trochę też do Turgieniewa. Ale Puszkina, Lermontow, Bakunin i Turgieniew byli ludźmi bardzo wyjątkowymi. ... Grupę, do której rzekomo należą takie postacie jak Oniegin, Czacki, Pieczorin, Rudin, przyjęto nazywać od dawna — termin został ukuty przez Turgieniewa w jego opowiadaniu „Pamiętnik zbytecznego człowieka” (1850) — „ludźmi zbytecznymi” (*lisznije ludi*), przez co chciano powiedzieć, że społeczeństwo rosyjskie było tego rodzaju, iż wielu uzdolnionych i moralnie wysoko stojących ludzi nie mogło w nim znaleźć sobie miejsca, dostać odpowiedniej pracy i ożenić się z dziewczętami, które kochali. Czy tak rzeczywiście było, trudno dziś stwierdzić. ... Wydaje mi się, że nie ma na ten temat żadnych danych. Ale niezmienna — i w pewnym sensie pochlebna względem literatury — skłonność historyków tej dziedziny, by przy każdym wy czytany słowie przyjmować bez namysłu i bez dodatkowych badań, iż to do czego się ono odnosi rzeczywiście istnieje, będzie prawdopodobnie trwała jeszcze kilka stuleci i tym samym trwać będzie przekonanie, że w dziewiętnastowiecznej Rosji istniał pewien typ ludzi, nazywanych *lisznije ludi* i opisanych przez rosyjskich autorów w ich książkach. Do długowieczności tego poglądu przyczynia się też skłonność wielu Rosjan do przypisywania swoich niepowodzeń i porażek nie samym sobie, lecz Rosji (str. 290-292).

Również w stosunku do przedmiotu swych badań, tzn. samych autorów rosyjskich, van het Reve zachowuje dystans i nie podaje się autorytetowi wielkich nazwisk i ustalonych poglądów. Najlepiej ilustruje to jego stanowisko wobec Dostojewskiego

(przypominające nieco Nabokowa; w ogóle w książce widać wyraźnie silny wpływ autora „Daru”); oddajmy mu jeszcze raz głos:

Przez wiele lat nie byłem w stanie czytać Dostojewskiego. Należałem do tego, co nazwałem 'klubem antydostojewszczyzn'; klub ten liczy sławnych członków: Gonczarowa, Turgieniewa, Garszyna, Bunina i Nabokowa. Nigdy nie potrafiłem przebrnąć przez „Idiotę”. Ale książki takie jak „Zapiski z martwego domu” (nieco ufikcyjniony reportaż z jego lat katorżniczych) i „Zbrodnia i kara” uważam za arcydzieła; do pewnego stopnia także „Biesy”.

Nie jest łatwo powiedzieć, co tak bardzo odstręcza pewnych czytelników od Dostojewskiego. Można by rzec, że podniósł on „romans dla kucharek” do poziomu „literatury”. Intrygi jego książek są okropne: melodramatyczne powikłania spadkowe, tajemnicze dokumenty, nieślubne dzieci, tajne małżeństwa, oszustwa, zbrodnie — krótko mówiąc rzeczy, które w życiu porządnych ludzi nie zdarzają się nigdy albo niezwykle rzadko. ... Obok spojrzenia na Dostojewskiego jako na autora uszlachetnionych powieści kuchennych można go też uważać za twórcę szczególnego rodzaju „powieści idei”. W zwyczajnych XIX-wiecznych powieściach tego typu „idea” jest zazwyczaj doczepiona osobno. Toczy się jakiś wątek miłosny, a przy tym rozmawia się o sprawach „ideowych”, albo też bohater zostaje wplątany w jakąś określoną sprawę ideową. ... Natomiast u Dostojewskiego bohaterowie stanowią nieomal „ucieleśnienie” idei. W „Biesach” jest nią myśl, że teorie socjalistów są niesłuszne, szczególnie ich twierdzenie, iż po zniszczeniu istniejącego porządku społecznego powstanie lepszy... W „Zbrodni i karze” jest to pytanie, czy ponadprzeciętnie uzdolniona jednostka ma prawo dla osiągnięcia dobrego celu likwidować innych ludzi. W „Idiocie” chodzi o ludzką dobroć. (...)

Z licznych wypowiedzi Dostojewskiego wynika, że on sam był przekonany, iż w rzeczywistości dzieje się tak samo jak w jego książkach, to znaczy że prototypy Raskolnikowa działają zgodnie z teorią odpowiadającą z grubsza teorii książkowego Raskolnikowa. ... tylko raz znalazłem miejsce świadczące o tym, iż zauważył że istnieje różnica pomiędzy tym jak on sobie *wyobrażał*, co ludzi motywuje, a ich rzeczywistą motywacją. Jest to miejsce, w którym daje wyraz swemu rozczarowaniu w związku z procesem Nieczajewa [prototyp młodego Wierchowieńskiego z „Biesów”]. Wyrażnie przedstawił go sobie uprzednio jako demoniczną postać z Dostojewskiego. (...)

Do dziś przyjęte jest uważać Dostojewskiego nie tylko za powieściopisarza, ale i za filozofa, myśliciela, nauczyciela, mędrca. Może więc będzie interesujące przyjrzeć się jego poglądom. Jeśli zaczniemy od literatury, sztuki i muzyki, to stwierdzimy, że nie miał żadnych oryginalnych poglądów, różniących go od jego współczesnych. Był mało

uzdolniony muzycznie, nie grał na żadnym instrumencie, nie przestawał w muzycznym towarzystwie, mało lub wcale nie uczęszczał na koncerty, z wyjątkiem koncertów ogródkowych w niemieckich kurortach. ...Również w dziedzinie sztuk plastycznych nie miał żadnych preferencji wyróżniających go spośród współczesnych. Jego ulubionym obrazem była Madonna Sykstyńska Rafaela, uchodząca w XIX wieku za szczyt sztuki malarskiej. (...)

Jako dziecko był pod wpływem Ann Radcliffe (1764-1823), której powieści jego rodzice czytali sobie na głos w rosyjskich tłumaczeniach: „Żywy trup czyli Neapolitańczyk”, „Tajemnice czarnej wieży” i „Zamek Alberta albo chodzący szkielet”. Spośród Rosjan podziwiał Puszkina i Gogoła, a ze współczesnych mu Niekrasowa, Turgieniewa i Tołstoja. ... Nie ma podstaw by przypuszczać, że przestudiował jakiegokolwiek filozofa.

Jego poglądy religijne są dość proste: ich centrum stanowi gorący kult Chrystusa, tego Chrystusa który głosi, że dobro bliźniego jest sprawą najważniejszą. ...Gdyby miał wybierać pomiędzy prawdą a Chrystusem, wybrałby Chrystusa. Miał przy tym na myśli — i tu dochodzimy do jego poglądów politycznych — że więcej Chrystusa znaleźć można w ludzie rosyjskim, niż w jakimkolwiek innym. Wierzył w to w bardzo naiwny sposób.

W swym „Dzienniku pisarza” opowiada, jak będąc dzieckiem dostał napadu strachu i jeden z chłopów jego ojca przygarnął go i uspokoił. Wydaje się, że uważał, iż niemiecki czy włoski chłop zachowałby się inaczej. I wszystko to po tym, jak jego ojciec został zatłuczony na śmierć przez własnych poddanych, co raczej można by interpretować jako dowód *niechrześcijańskiego* charakteru rosyjskiego chłopca. (...)

Dostojewski był słowianofilem, to znaczy propagował pogląd, że 'nasza wielka Rosja na czele zjednoczonych Słowian wypowie wobec całego świata, wobec całej ludności Europy i ich cywilizacji swoje własne, zdrowe i nigdy jeszcze dotąd przez świat nie słyszane słowo'. [„Dziennik pisarza”, lipiec-sierpień 1877]. (...)

Uderza tu — jak zresztą często w takich wypadkach, porównajmy marksistowskie „prawa rozwoju społecznego” — że żaden słowianofil nie wyłączając Dostojewskiego nigdy nie zadał sobie trudu, by to tak przecież niezwykle ważne i uzdrawiające „słowo” sformułować. „Cywilizacja europejska” wciąż jeszcze tego słowa oczekuje. Nikt nie zastanowił się nad dziwnym faktem, że wierzy w twierdzenie, o którym nie wie, jak brzmi (str. 352-357).

Mam nadzieję, że ta przydługa porcja cytatów z książki Karla van het Reve da czytelnikom pewne pojęcie o jego stylu: nie w sensie układu słów, ale patrzenia na literaturę rosyjską. Jest to jedyna rzecz, jaką mogę zrobić dla popularyzacji tego, co w tytule nazwałem „holenderską metodą” traktowania tema-

tyki rosyjskiej. Wydaje się, że byłoby dobrze, gdyby upowszechniła się ona w polskiej praktyce eseistycznej.

W przeczytanej na krótko przed omawianą tu książką dygresyjnej powieści Stefana Kisielewskiego „Wszystko inaczej” (Puls, Londyn 1986) natknąłem się na zdanie, które zapadło mi w pamięć: „...nie chciałbym dać się wepchnąć przez naszych emigrantów w rosyjski schemat tragizmu i walki o idee, w co, nie wiedząc o tym, usiłuje nas wmanewrować à rebours także krajowa zbuntowana młodzież” (str. 175). Kisielewskiemu chodzi tu o pewną modę na tematykę rosyjską (sam maczałem w tym niegdyś palce, więc myślę, że przystoi mi o tym pisać), którą uważa za „niezamierzoną czy i nieświadomą próbę rusyfikacji naszego życia” — innymi słowy uważa on (trochę jak Żeromski w „Syzyfowych pracach”), że nadmierne nurzanie się w tych odmętach zagraża polskiemu — mimo wszystko zachodniemu — stylowi myślenia. Jakkolwiek jego własne stanowisko w tym względzie („Rosjan nie znam, nie chcę znać i, żyjąc w dzisiejszej Polsce, mogę ich nie znać...”) wydaje się nieco za radykalne, coś jest na rzeczy...

Jeśli pozwoliłem sobie zaprzęgnąć uwagę czytelników *Kultury* recenzją z książki, której zapewne nigdy nie przeczytają, to głównie dlatego, że świadczy ona o możliwości neutralnego wyjścia: czytania książek rosyjskich bez przejmowania się „podbudową” i „tłem”.

M. BRŃSKI

Tamta wojna jeszcze trwa

Dla wielu współczesnych czytelników *Kultury* pojęcie wojny coraz częściej kojarzy się z „wojną jaruzelską”, usuwając coraz bardziej w niepamięć wojnę prawdziwą, tamtą wojnę, która przecież ciągle jeszcze żyje w zbiorowej pamięci narodu i we wspomnieniach jej uczestników. Jest to proces normalny, zmiana pokoleń daje inną skalę doświadczeń i inną perspektywę spojrzenia na najnowsze nawet, ale leżące już poza osobistym doświadczeniem dzieje. Ale tamta wojna ciągle jeszcze trwa nie tylko w postaci pomników i cmentarzy utrwalających narodową mitologię, przynosi ona bowiem raz po raz nowe, niekonwencjonalne książki, ukazujące ją w nowej, niekonwencjonalnej skali. Podkreślić też od razu warto, że książki te, pisane w latach siedemdziesiątych a wydawane bieżąco, przenoszą punkt ciężkości wydarzeń ze spraw polsko-polskie, tzn. konflikty wewnętrzne ostatnich dni wojny i lat bezpośrednio po niej następujących.

W okresie ostatniego pięciolecia ukazało się kilka książek tezę

tę potwierdzających, dwie zaś z nich, wybrane do niniejszego omówienia, zasługują na specjalną uwagę. Nie jest zapewne dziełem przypadku, że autorzy obu tych książek urodzeni byli w tym samym 1927 roku, w chwili więc oficjalnego zakończenia działań wojennych mieli po osiemnaście lat i należeli do pokolenia, które do walki zbrojnej z Niemcami weszło w ostatnim niemal momencie po to tylko, żeby walkę kontynuować bez sławy i chwały i tworzyć dzieje przed laty już opisane w „Popiele i diamencie” czy „Kolumbach”.

I podobnie do losów bohaterów tych modelowych niejako powieści losy i zainteresowania obu autorów różnymi postaciami a mimo to spotkać się im przyszło w podobnym odczytaniu historii swego pokolenia po latach czterdziestu. A ponieważ obie powieści napisane zostały przez autorów nie reprezentujących „pierwszego garnituru” współczesnej literatury polskiej a wydane zostały w małych, trudno dostępnych nakładach, warto je tu najkrócej omówić nim można będzie podsumować cechy wspólne, symptomatyczne zarówno dla generacji Maćków Chełmickich jak i literatury lat osiemdziesiątych.

Mrok Tadeusza Mikołajka¹, autora szeregu powieści wojennych, umieszcza akcję w nienazwanym dokładnie mieście i nie podany dokładnie okresie, nazwy jednak ulic i lokali pozwalają miasto to zidentyfikować jako Wrocław, a różne drobne szczegóły w tekście („w banku było, co prawda na stare pieniądze, ale przeszło sto tysięcy”, str. 91) czas akcji precyzują na lato 1950 roku. Powieść składa się z trzech fragmentów zdających się zapowiadać większą, bardziej zwartą całość, na razie pozostawioną bez zakończenia. Fragment pierwszy rozpoczyna spotkanie w zapelnionym pijakami barze dwóch młodych ludzi, studenta Ryszarda i kapitana Doliny. Trzeci uczestnik spotkania, Oliwa, usuwa się po paru minutach, pozostawiając kolegów pogrążonych w niechętnym wspomnianiu niedawnej przeszłości. Ryszard, akowiec, następnie żołnierz LWP, dezterter i żołnierz leśnego oddziału, potem zaś milicjant i w końcu „ujawniony” i amnestionowany obywatel, wziął kiedyś do niewoli, ułaskawił i puścił wolno kapitaną, który wówczas, w 1945 roku, dowodził wojskową akcją przeciw „bandom”. Wspominki kończą się ciężkim pijaństwem, po czym Ryszard wraca do domu, a nazajutrz zostaje aresztowany przez UB i osadzony „na samym dole wiadomego domu” (str. 112), gdzie poddany zostaje najokrutniejszym torturom psychicznym i fizycznym. Przewyciężywszy słabość młody człowiek „wiedział, że wszystko wytrzyma, bo przecież nie jest to nic innego, tylko spotkanie z samym sobą” (str. 42).

Fragment drugi opowiada o tym, jak następny po pijaństwie dzień spędził kapitan Dolina, wprowadza wątek erotyczny i kończy się równie dramatycznie jak fragment poprzedni — aresztowaniem Doliny po nocy spędzonej z przyjaciółką. Fragment trzeci wreszcie, to historia Oliwy, który dowiedziawszy się o

1. Tadeusz Mikołajek, *Mrok*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1982, str. 120.

obu aresztowaniach, zaczyna montować zbrojną akcję byłych akowców, mającą na celu zastraszenie ubowców i być może odbicie uwięzionego Ryszarda. Powieść urywa się niespodziewanie, pozostawiając czytelnika w zawieszaniu ale z nadzieją, że prawie sześćdziesięcioletni pisarz nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa.

Zapamiętanie Jerzego Przeździeckiego² mówi o Polsce bardziej nam współczesnej roku 1976 (str. 10). Bohaterami książki są sowiecki aktor filmowy i jego polska partnerka. Rosjanin przyjeżdża do Polski kręcić film o wojennej przyjaźni rosyjsko-polskiej, historię niezwykłego partyzanta i jego polskiej opiekunki. Pomysł filmu i jego skrypt nie pozostawiają u nikogo wątpliwości, że będzie to „samograj” (str. 17), toteż oboje główni aktorzy, ludzie w życiu osobistym głęboko nieszczęśliwi i oszukani przez swych współmałżonków, zbliżają się do siebie początkowo w odruchu wzajemnej sympatii, a potem niewinnego romansu, najmocniej jednak łączy ich chęć stworzenia własnego filmu nie o propagandowych stereotypach, ale o prawdziwych ludziach związanych uczuciem lecz rozdzielonych przeciwnymi ideologiami.

Mamy zatem w powieści trzy równoległe wątki: współczesny, realistyczny Piotra i Ireny, „oficjalny”, zaakceptowany przez władze wątek partyzanta i chłopki, oraz trzeci, idealny pomysł filmu o wielkiej miłości polskiej panienci ze dworu (oczywiście łączniczki AK) i agenta sowieckiego wywiadu. Zauważyć zresztą warto, że we wszystkich trzech wątkach, mimo wszelkich prób zbliżenia nie tylko narodów, ale dwojga spragnionych miłości ludzi, autor nie odważa się przełamać pewnego „tabu” podobnego do niepisanych zakazów, do niedawna obowiązujących w amerykańskiej telewizji, a zabraniających pokazywania intymnych scen między partnerami dwóch różnych ras: mimo że oficjalna wersja jest wyśmiewana („czy to film, czy skazka?”, str. 46), nawet w wątku realistycznym Rosjanin nie śmie zbliżyć się do dumnej Polki, ta zaś, mimo ciągłotek, też ma nieprzekraczalne zahamowania... A kiedy okazuje się, że jeden z aktorów — Gruzin, nie Rosjanin! — uwiódł miejscową dziewczynę, niefortunny amant najpierw zostaje dotkliwie pobity przez jej braci, a potem zmuszony do uroczystego ożenku.

Wersja oficjalna kończy się, oczywiście, tryumfalnym wjazdem sowieckich czołgów wyzwalających wieś, gdzie wita je niepokoony partyzant i jego polska opiekunka; w wersji idealnej bohater ginie w nierównej walce z Niemcami; w wersji współczesnej niedoszli kochankowie mile żegnają się na lotnisku, po czym każde z nich powraca w krąg własnych problemów. Jak na zmodyfikowany socrealizm lat osiemdziesiątych, *Zapamiętanie* wolne jest na ogół od akcentów politycznych czy nawet otwarcie krytycznych, poza drobnymi wyjątkami: „U nas są kłopoty z mięsem i z prawdą. Z mięsem 'przejsiowe'” (str. 78) powiada Irena. Toteż bezosobowy obraz Okęcia w ostatniej scenie powieści różni

2. Jerzy Przeździecki, *Zapamiętanie*, Czytelnik, Warszawa 1984, str. 198.

się zasadniczo od zamykającego *Mrok* obrazu wrocławskiego dworca:

„Na dworcu oprócz podróżnych, gromady rozwydrzonych prostytutek, wielu alfonsów i złodziei, strumienie piwa w bufetach i kioskach, tabuny trębaczy z butelkami piwa i wina w dłoniach” (str. 119).

W sumie jednak obie końcowe sceny są zdumiewająco podobne tonem beznadziejności, frustracji, zawiedzionych nadziei i najcięższej tylko nutki wiary w poprawę losu. Obie powieści różnią się, zdawałoby się, wszystkim — przeciwstawieniem tragizmu i satyry, tonem narracji, wagą przedstawianych problemów, a mimo to łączy je chęć kwestionowania podanych do wierzenia prawd, ukazania ich w nowym, bardziej szczerym aspekcie, tak jak widzi je nie oficjalna wersja literatury i publicystyki, ale wersja codziennej prawdy. Fakt, że ani obaj pisarze, ani ich książki nie znalazły się w centrum zainteresowania krytyki, zapatrzonej albo w aprobowane „gwiazdy” literatury albo w jej kontestatorów, zdaje się świadczyć o prawdziwości tej literatury, nazwijmy to otwarciem, drugiego rzędu. Przed paru laty pisałem o tym, jak to poznański pisarz Czesław Michniak wyprzedził problematyką swojej powieści o strajkach prawdziwe wydarzenia sierpnia 1980 roku. Wydaje mi się, że ważne odczytanie powieści Mikołajka i Przędzieckiego może nam powiedzieć więcej o współczesnej Polsce, niż wiele uczonych traktatów.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Encyklopedia NEP

Ukazała się ostatnio w wydawnictwie niezależnym „Słowo”, w serii Zeszyty Edukacji Narodowej, *Niezależna Encyklopedia Powszechna A-Z* (str. 190 — 106 haseł). W Nrze 172 *Tygodnika Mazowsze* ukazało się pt. „Niestety, to nie to” omówienie tego wydawnictwa:

„Nie jest to encyklopedia: hasła mają postać esejów biograficznych (Bohdan Cywiński na blisko 4 stronach, mimo to brak paru istotnych dat), bądź historyczno-politycznych (Czerwiec '76 i bitwa pod Rarańczą — po 6 stron). Hasła osobowe stanowią 2/3 pierwszego tomu, a wybór i proporcje między nimi dla mnie są zgola niezrozumiałe. Jeśli znalazł się w „NEP”-ie gen. Młot-Fijałkowski, czy w następnych tomach należy oczekiwać pocztu międzywojennej generalicji? Czy notatka o mało znanym piśmie podziemnym *Kierunki* zapowiada serię tysięcy haseł o gazetkach związkowych? Tekst jest, delikatnie mówiąc, niezredagowany, ponadto obfituje w literówki. Szokujące wrażenie robią niektóre — jak pisze redakcja — „niesformalizowane” i „zdroworozsądkowe” skróty (np. „ogł. w prasie”, socjol. fantastyka”). Co będzie dalej? 14 tomów, każdy w układzie haseł od A do Z. W ostatnim ma się znaleźć spis wszystkich haseł i wtedy — za ile lat? — zyskamy możliwość względnie wygodnego korzystania z „NEP”-u. Doceniam wysiłek pod-

jęty w warunkach konspiracji. Szkoda jednak, że wydawcy, włożywszy tyle pracy, nie spróbowali ujednolicić zawartości książki. Szkoda też, że nie pomyśleli o oskronejszym tytule. We wstępie piszą, iż „NEP” ma być „suplementem do istniejących encyklopedii”. Niestety, nie zdradzili, do której. W obecnym kształcie I tom „NEP”-u jest książką z gatunku *Silva rerum*, gdzie panuje uroczym pomieszanie materii, proporcji i formy.

G. WIDOK”.

Nadesłane nowości wydawnicze

KOTT (Jan). *Kamienny potok. Eseje*. Str. 232. (Wyd. Aneks, Londyn 1986, cena £ 4, \$ US 10).

WÓJCICKI (Leszek Jan). *Życie na stos. Pamiętnik z Powstania Warszawskiego 1944 r.* Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986).

JEROFIEJEW (Wieniedikt). *Moskwa-Pietuski*. Przeł. z rosyjskiego N. Karsov i Sz. Szechter. Str. 137 i 7 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1986).

BARTOSZEWSKI (Władysław). *Warto być przyzwoitym. Szkic do pamiętnika*. Str. 85 i 11 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1986).

WIRPSZA (Witold). *Polaku, kim jesteś?* Str. 232. (Wyd. Wydawnictwo Pogląd, Berlin Zachodni 1986).

MACKIEWICZ (Józef). *W cieniu krzyża. Kabel Opatrzności*. Str. 194 i 6 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1986).

MACKIEWICZ (Józef). *Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy*. Str. 305 i 15 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn 1986).

PRZYŁUSKI (Bronisław). *Dramaty*. Str. 362 i 8 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986, cena £ 8.70).

KOMAR (Michał). *Zmęczenie*. Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Libella w serii „Historia i teraźniejszość”, Paryż 1986).

Pani Jasnogórska, weź w opiekę naród cały. Modlitwa Jana Pawła II za Ojczyznę. Słowo o Polsce i do Polaków 13. 12. 1981 - 06. 07. 1983. Str. 116 i 2 nlb. (Wyd.

Sekcja polska Radia Watykańskiego, Rzym 1985).

ROZENFELD (Aleksander). *Tam gdzie mnie nie ma. Gdzie? Jessem. Wiersze*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. „Eked”, Izrael 1986).

LAMMICH (Siegfried). *Proces przeciwko zabójcom ks. Jerzego Popiełuski. Relacja obserwatora i dokumenty*. Str. 103 i 7 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1986).

WIELEŻYŃSKI (Lech). *Wspólna praca, wspólny plan. Dzieło i życie mądrego człowieka*. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985, cena £ 10.50).

RESZCZYŃSKA STYPIŃSKA (Maria). *Wiersze ocalone (z tamtych dni)*. Str. 53 i 3 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1985, cena £ 2.25).

POZOWSKA (Maria). *Medytacje*. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).

JANKOWICZ (Stefan). *Pieśni o pułku naszym i inne wiersze*. Str. 122 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1986).

STEINFELD (Ludwika). *Judasz. Poemat nie tylko biblijny. Wiersze różne*. Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. nie podane, Frankfurt/Main, 1986).

KOTYNIOWICZ-PAWŁOWSKA (Estella). *Pół wieku życia. Tom II: Kilka lat potem*. Str. 135 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1986, cena £ 6.60).

Collegium Polonorum nr 8. Str. 203 i 5 nlb. (Wyd. Papieskie Collegium Polskie w Rzymie, Rzym 1985/86).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-4-86

Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego PZL w Mielcu pracuje głównie na potrzeby Związku Sowieckiego. Dotychczas zmontowano w Mielcu na potrzeby partnerów sowieckich ponad 11 tys. samolotów wielozadaniowych AN-2. Ostatnio dostarczono dziesięć samolotów pasażerskich średniego zasięgu AN-28, produkowanych na podstawie dokumentacji sowieckiej. Rozpoczęto przygotowania do podjęcia kooperacji z sowieckim przemysłem lotniczym w zakresie produkcji nowej generacji „aerobusów” — IL-96.

1-5-86

Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność” Politechniki Wrocławskiej podaje, że został opracowany kompleksowy program postępu naukowo-technicznego krajów RWPG do 2000 roku. Obejmuje on kilkadziesiąt centralnych i resortowych programów badawczych. Oprócz tego programu został podpisany dwustronny, długofalowy polsko-sowiecki kompleksowy program postępu naukowo-technicznego w zakresie: 1) elektronizacji gospodarki narodowej; 2) kompleksowej automatyzacji produkcji; 3) rozwoju energetyki; 4) opracowania nowych materiałów i technologii; 5) biotechnologii; 6) rozwoju przemysłu maszynowego. Politechnice Wrocławskiej powierzono koordynację następujących tematów: budowa krajowej akademickiej sieci komputerowej; teoretyczne podstawy technologii maszyn oraz konstrukcji obrabiarek, urządzeń technologicznych i narzędzi; opracowanie metod i technik projektowania systemów informatycznych. Łączne nakłady na te tematy na lata 1986-1990 wyniosą 3 mld złotych, nie licząc udziału Politechniki Wrocławskiej w programach koordynowanych przez innych.

10-5-86

W Sowieckiej Republice Białoruskiej wydaje się sporo książek w języku polskim. Wydawnictwo Junactwa wydaje literaturę dla dzieci o ogólnym nakładzie 260 tys. Ponadto każde z 10 wydawnictw białoruskich, zgodnie ze swą specyfiką, wydaje utwory autorów polskich w językach białoruskim i rosyjskim. Do tej pory wydano 85 pozycji literatury polskiej o łącznym nakładzie 1.800.000 egzemplarzy. Na Białorusi jest znaczne zainteresowanie książkami w języku polskim, np. mińska księgarnia „Drużba” sprzedaje książki w języku polskim na około 90 tys. rubli rocznie.

12-5-86

W protokole handlowym polsko-chińskim na rok 1986 uzgodniono wartość polsko-chińskich obrotów towarowych na 1,5 mld franków szwajcarskich. W porównaniu z 1985 r. jest to wzrost o 20 %. ■ W Warszawie odbyła się konferencja diecezjalnych dyrektorów charytatywnych pod przewodnictwem bpa Domina. Przedmiotem obrad były:

1. Udział Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski w przygotowaniu, celebracji i owocowaniu II Krajowego Kongresu Eucharystycznego.

2. Tematyka Kongresowej Sesji Charytatywnej, która odbędzie się jesienią 1986 r.

3. Nadchodzące mleko z zagranicy dla niemowląt i małych dzieci i jego rozdział poprzez parafie w związku ze skażeniem radioaktywnym w Polsce.

4. Przygotowanie akcji wakacyjnej dla dzieci i młodzieży w miesiącach letnich 1986 r.

Ze szczególną uwagą i troską omówiono sytuację związaną z katastrofą elektrowni atomowej w Czernobylu.

Jak wiadomo, katastrofa ta spowodowała, między innymi, skażenie pierwiastkami promieniotwórczymi gleby i roślin na terenie całego kraju.

W tej sytuacji, co należy wyraźnie podkreślić, Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej przeprowadziło niezwłocznie akcję zaaplikowania roztworu jodowego „lugol” dzieciom i młodzieży do lat szesnastu. Zdaniem lekarzy, w historii lecznictwa polskiego nie było dotychczas tak szeroko zakrojonej akcji, aby w ciągu jednej doby udzielono pomocy medycznej 10,5 mln dzieci i młodzieży.

Jednocześnie Komisja Charytatywna Episkopatu Polski na liczne telefony i telexy z zagranicy odpowiadała i odpowiada, że potrzebne jest przede wszystkim mleko w proszku, odżywki dla niemowląt oraz witaminy dla dzieci.

Komisja Charytatywna Episkopatu Polski z uznaniem stwierdza, że kościelne organizacje „Caritas” za granicą oraz inne tamtejsze ośrodki pomocy społecznej zareagowały natychmiast, przeznaczając na zakup mleka w proszku setki tysięcy dolarów i marek zachodniemieckich.

Nadchodzące transporty mleka w proszku Komisja Charytatywna Episkopatu Polski kieruje do poszczególnych diecezji celem ich rozdysponowania na poszczególne parafie, stosownie do liczby dzieci do lat trzech.

W trosce o zdrowie dzieci i młodzieży Komisja Charytatywna Episkopatu Polski apeluje, aby sumiennie przestrzegano wszystkich wskazań podawanych do publicznej wiadomości w środkach masowego przekazu.

25-5-86

Zywność zajmuje znaczną pozycję w eksporcie na rynki wolnodewizowe. Po węglu jest ona drugim co do wielkości źródłem wpływów dolarowych. W ub. roku sprzedano jej za blisko 950.000.000 dolarów, co stanowi 1/6 całego eksportu do krajów drugiego obszaru płatniczego.

1-6-86

Na posiedzeniu Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego minister Benon Miśkiewicz oświadczył: „Nastał obecnie czas, by usunąć ze szkół wyższych tych wszystkich, którzy demonstrują zdecydowanie wrogą socjalizmowi postawę. Nastał kres cierpliwości”. Poinformował on również o projekcie rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie miesięcznych studenckich praktyk robotniczych. Mają one obowiązywać nowoprzyjętych studentów już w lecie br.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5-5-86

Szereg naukowców wystosowało telegramy i listy protestacyjne do ministra Spraw Wewnętrznych Czesława Kiszczaka w związku z aresztowaniem i usunięciem z pracy dr. Jana Borowca. Dr Borowiec został aresztowany pod koniec października ubiegłego roku pod zarzutem kradzieży maszyny offsetowej, znalezionej w jego garażu. Był on zatrudniony w Instytucie Podstaw Informatyki Polskiej Akademii Nauk. W sprawie dr. Borowca interweniowali m.in. profesor François Jacob, laureat nagrody Nobla w dziedzinie genetyki i przewodniczący Komitetu Obrony Naukowców przy Akademii Nauk we Francji, profesor Anthony Ralston, były przewodniczący największego Amerykańskiego Stowarzyszenia Informatycznego — ACM, liczącego ponad 70.000 członków, oraz szereg niemieckich profesorów informatyki z Uniwersytetu Berlińskiego, Saarbrücken, Passau i innych. Dr Jan Borowiec był zaproszony na dwa lata przez Wydział Informatyki przy Uniwersytecie w Karlsruhe.

Sprawa jego aresztowania była omawiana na konferencji dotyczącej informatyki, która odbyła się w Saarbrücken, w marcu br.

9-5-86

W Londynie odbyło się plenarne zebranie Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Ze sprawozdania wynika, że pracuje 158 placówek Skarbu Narodowego na świecie, które przyniosły w 1985 roku £ 106.691,00. Biuro Głównej Komisji Skarbu Narodowego zarządza ponadto działalnością Funduszu Pomocy Krajowi. W 1985 roku zebrano na ten cel £ 6370,00, jak również na kulturę i naukę £ 2.621,00.

31-5-86

Prezydent R.P. na Uchodźstwie, Kazimierz Sabbat, mianował nową Radę Ministrów w składzie następującym: Prezes Rady Ministrów — Edward Szecepanik (bezpartyjny). Ministrowie: Stanisław Borczyk (Polska Partia Socjalistyczna) — Skarb; Czesław Czapliński (Polskie Stronnictwo Ludowe) — Oświata i Kultura; Andrzej Czyżowski (Polska Partia Socjalistyczna) — Informacja; Tadeusz Drzewicki (Stronnictwo Pracy) — Sprawy Złeczone; Ryszard Kaczorowski (Niezależna Grupa Społeczna) — Sprawy Krajowe; Jerzy Morawicz (bezpartyjny) — Sprawy Wojskowe; Zbigniew Scholtz (Polska Partia Socjalistyczna) — Sprawy Emigracyjne; Aleksander Snastin (Chrześcijańska Demokracja) — Stosunki z narodami ujarzmionymi przez Sowiety; Zygmunt Szkopiak (Chrześcijańska Demokracja) — Sprawy Zagraniczne; Stanisław Wiszniewski (Polskie Stronnictwo Ludowe) — Sprawiedliwość; Jerzy Zaleski (Liga Niepodległości) — Sekretarz Rady Ministrów.

1-6-86

Klub Kontakt (42 rue Raymond-Marcheron, 92170 Vanves — telefon: 46 45 87 16) organizuje periodyczne projekcje filmów wyprodukowanych przez Video-Kontakt. Projekcje odbywają się tylko dla członków Klubu Kontakt. Członkiem Klubu może zostać każdy — składka członkowska wynosi F.25,00 (dla jednej projekcji), F.100,00 (dla pięciu projekcji), a roczna karta wstępu na 15 seansów kosztuje F.200,00. ■ Zmarł w Rzymie w wieku lat 93 ks. Paweł Siwek, filozof i teolog.

4-6-86

Buletyn Aide à l'Eglise en Détresse, podaje, że Kościół w Polsce i na emigracji otrzymał w 1985 roku 5.761.901 dolarów, przeznaczonych w pierwszym rzędzie na konserwację i wyposażenie budynków, modernizację drukarni kościelnych oraz pomoc w utrzymaniu personelu. Pomoc ta była przeznaczona dla seminarzystów i zakonnice kontemplacyjnych. Z pomocy skorzystało 9.026 seminarzystów polskich. Ponadto finansowano książki, środki transportu i rozbudowę kilku seminariów duchownych. Pomoc dla drukarni kościelnych była utrudniana przez władze PRL, które obkładały cłem maszyny drukarskie posyłane do Polski i utrudniały uzyskanie pozwoleń na zakładanie drukarni kościelnych. ■ Kilka dni po uroczystościach dla uczczenia 60-tej rocznicy zamordowania w Paryżu przez Shaloma Schwarzbarda Atamana Petlury nieznani sprawcy dokonali włamania do budynku, w którym mieści się Biblioteka im. Szymona Petlury i ukraińska kaplica prawosławna. Ukradziono cały szereg przedmiotów o dużej wartości historycznej i antykwarycznej.

5-6-86

Nowym dyrektorem naczelnym Radia Free Europe został mianowany Gregory Wierzyński. Przez szereg lat był członkiem redakcji tygodnika *Time*. Gregory Wierzyński jest bratankiem nieżyjącego poety Kazimierza Wierzyńskiego.

11-6-86

Wacław Makowski zmarł nagle w wieku 88 lat w Manchester, Mass. (USA) w czasie wizyty u syna. Ukończył on Techniczny Instytut w Kijowie i Państwową Wyższą Szkołę Lotnictwa w Paryżu, a ponadto był pierwszym dyplomowanym pilotem, który ukończył Polską Szkołę Lotnictwa w 1919 roku. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej i w czasie bitwy o Warszawę wykonał w ciągu jednego dnia siedem misji bojowych. Od 1930 do 1939 roku był dyrektorem Polskich Linii Lotniczych LOT i wiceprezesa IATA. Wprowadził do lotnictwa polskiego nowoczesne samoloty, wspaniale je rozbudowując. Na początku 1939 roku został powołany do lotnictwa wojkowego. Po upadku Polski przedostał się do Anglii i został *commanding officer* słynnego Dywizjonu 303, pierwszej jednostki polskich sił powietrznych, która została odbudowana w Anglii. Dowodził tym dywizjonem od 1940 roku, w czasie bitwy o Anglię i w 1941 roku w nalotach na Berlin. Po wojnie Wacław Makowski należał do Technical Assistance Branch of the International Civil Aviation Organization i był doradcą lotnictwa rządów Iranu, Afganistanu, Tunezji, Marokka i in. W 1937 roku osiedlił się w Montrealu i przyjął obywatelstwo kanadyjskie. Wacław Makowski był odznaczony wieloma orderami — m.in. Srebrnym Krzyżem *Virtuti Militari*, cztery razy Krzyżem Walecznych, komandorią *British Empire* i Legią Honorową.

13-6-86

Towarzystwo Polsko-Ukraińskie w Paryżu zorganizowało wykład Wasyla Markusa, profesora Uniwersytetu Loyola w Chicago, pt. „Status Rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej — UMR — na wygnaniu. Stosunki polsko-ukraińskie w latach 20-tych”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W dniach od 30 do 31 maja br. odbyło się doroczne zebranie Polskiego Instytutu Naukowego. Od szeregu miesięcy Instytut nie ma własnej siedziby i przejściowej gościny udziela mu Fundacja Kościuszkowska. W jej budynku odbyła się pierwsza część obrad. Drugiego dnia wszystkie sesje odbywały się w Hunter College. Na sesji pod nazwą „Paradoksy uchodźstwa” zabrała między innymi głos Anna Frajllich. Wystąpiła ona z tezą, że Polacy ani na uchodźstwie, ani w Polsce nie doceniają polskiej literatury emigracyjnej. Dla przykładu wymieniła Wittlina, którego zaczęto publikować w PRL dopiero po jego śmierci. ■ Inna bardzo interesująca sesja odbyła się pod nazwą „Polska 1986 roku — quo vadis?”. W skład zespołu prowadzącego dyskusję wchodził: John Gronouski, b. ambasador USA w Warszawie, obecnie prezes PIN-u, Andrzej Błaszczński z uniwersytetu stanowego w Connecticut, Bolesław Wierzbianski, wydawca i naczelny redaktor wychodzącego w Nowym Jorku *Nowego Dziennika*, Leszek Waliszewski, b. przewodniczący regionu wrocławskiego „Solidarności” oraz Andrzej Nagórski. Ten ostatni nie był obecny w czasie dyskusji. Wygłosił przemówienie na uroczystym bankiecie, zamykającym obrady PIN-u. W bardzo interesującym wystąpieniu Andrzej Błaszczński w ciemnych barwach scharakteryzował sytuację polityczną i gospodarczą Polski. Według niego PRL ma bardzo nikłe szanse na wyjście z obecnego kryzysu. Wraz z pogarszającą się sytuacją Polaków władze PRL stają się coraz bardziej agresywne w stosunku do ludności i coraz bardziej aroganckie wobec państw kapitalistycznych Zachodu. Wyraża się to tym, że rozmaitym instytucjom na Zachodzie, w tej liczbie własnym wierzycielom, odmawiają udostępnienia danych o sytuacji w PRL. A Błaszczński sądzi, że obecne położenie doprowadzi do tego, że PRL znajdzie się pod względem ekonomicznym krajem trzeciego świata. Na pytanie jednego

z oponentów z sali, który powołał się na to, że Polska znajduje się na 7-mym miejscu w szeregu krajów uprzemysłowionych, Andrzej Błaszczyński odpowiedział, że tak kiedyś było. Obecnie PRL zjechała na dwudzieste miejsce. Na pytanie, czy Polska jest eksploatowana przez Sowietów prelegent odpowiedział negatywnie. (?) Wydaje się że historia obecnego zadłużenia nie była dostatecznie przedstawiona w czasie sesji. Nieco uwagi poświęcił jej Bolesław Wierzbiański. Wystąpienie p. Leszka Waliszewskiego, będącego na sesji kimś w rodzaju nieoficjalnego przedstawiciela „Solidarności”, było niezbyt jasnym apelem do Polonii amerykańskiej, by w ciężkiej sytuacji pomagała Polsce. ■ W pierwszych dniach czerwca rzecznik Białego Domu oświadczył, że SALT II (*Strategic Arms Limitation*) nigdy nie ratyfikowany przez Senat i wielokrotnie łamany przez Sowietów, przestaje obowiązywać Stany Zjednoczone. Ponieważ w ciągu minionych miesięcy Reagan kilkakrotnie nadmieniał, że postanowienia SALT II są ważnym elementem w negocjacjach w Genewie, obecne oświadczenie prezydenta dowodzi, że patrzy on nieco trzeźwiej na rozmowy genewskie z Sowietami. W związku z oświadczeniem Reagana odbyła się w Moskwie konferencja prasowa, w czasie której wice-minister Spraw Zagranicznych ZSSR oraz szef sztabu sił zbrojnych marszałek Achromow surowo potępili Amerykę, wyrażając wątpliwość, czy w nowych warunkach dojdzie do spotkania na szczycie. Ten straszak był prawdopodobnie przeznaczony na użytek niektórych rządów zachodnioeuropejskich i mieszkańców Europy. Amerykanów znacznie mniej obchodziło spotkanie na szczycie. Sądzę, że przekreślenie przez Stany SALT-u II nie bardzo zaskoczyło Sowietów. Według doniesień *Now York Times'a* delegat sowiecki w Genewie wysunął sugestię, żeby traktat ABM (*Antiballistic missile*), który został zaakceptowany przez obydwie strony na czas nieograniczony, uznany został za obowiązujący na czas 15-20 lat. W ramach tej nowej umowy dopuszczone byłyby badania nad bronią defensywną w przestrzeni kosmicznej pod warunkiem, że Ameryka przyjmieby restrykcje, zakazujące jej prowadzenia eksperymentów. Oczywiście Sowietom chodzi tu o SDI (*Strategic Defense Initiative*) czyli „wojny gwiazdne”. Przyjęcie tego typu ograniczenia byłoby absurdem. Badania bez eksperymentów są możliwe jedynie w naukach abstrakcyjnych, jak np. matematyka, i to matematyka w postaci „czystej”, nie stosowanej, ale nie w dziedzinie tak praktycznej, jak obrona kraju. ■ Na ogólnym zebraniu ONZ amerykański sekretarz stanu George Shultz wygłosił przemówienie na temat pomocy dla tzw. krajów rozwijających się. Problem polega na tym, że kraje rozwijające się, z wyjątkiem kilku, wcale się nie rozwijają. Odwrotnie — dystans między nimi i krajami Europy Zachodniej, Stanami Zjednoczonymi i Japonią z każdym rokiem rośnie. Humanitarne względy przemawiają za tym, żeby krajom tym pomagać zwłaszcza w okresie katastrofalnego głodu, jaki np. miał miejsce w Etiopii. W przeszłości Stany Zjednoczone bywały ostro piętnowane przez lewicowych liberałów. Ci, mając przed oczyma daleką wizję przyszłości, oskarżali Amerykę, że przez swoją pomoc wstrzymuje samodzielny rozwój tych krajów. Skądinąd Ameryka była atakowana również i za to, że jej pomoc jest absolutnie niedostateczna. Wynika z tego, że Stany Zjednoczone działały źle dając pomoc i nie dając pomocy. Wniosek praktyczny jest chyba taki, żeby doraźnej pomocy udzielać w każdym przypadku, bez względu na to, jakie rządy są aktualnie w danym kraju. Czy nawet wtedy, gdy, jak w wypadku Etiopii, tamtejsze władze pomagały tylko tym mieszkańcom którym chciały, wykluczając rebeliantów? Tak, bo zawsze jakaś drobna częśćka dostanie się głodującym. W tym wypadku rządy, które dopuszczają do katastrofy trzeba po prostu traktować jak kłeskę żywiolową typu chronicznego trzęsienia ziemi. Gwoli prawdy należy stwierdzić, że kłeska głodowa która nawiedza Etiopię miała miejsce również i za rządów cesarskich Haile Selassiego, który był wiernym klientem Stanów, które w owych czasach absolutnie nie interesowały się tym, co się w zaprzyjaźnionym kraju dzieje. W momentach

względnej spokoju, czyli nie głodu, ale chronicznego niedożywienia, jak to ma miejsce od szeregu lat na przykład w Tanzanii i w wielu innych krajach czarnej Afryki, należy stosować bodźce produkcyjne. Ale to nie może być sprawą Ameryki, tylko suwerennych rządów, które rozdziły się jedne po drugich po drugiej wojnie światowej. Większość tych rządów nie posiadała ani kwalifikacji moralnych, ani politycznych do kierowania wieloplemiennymi ludami, świeżo i dosyć sztucznie powołanymi do niepodległego bytu. Poza tym w większości tych krajów co 5-6 lat następował przewrót i zmiana ekipy rządzącej, czego 90 % mieszkańców nawet nie zauważało. Wynika z tego, że duża liczba krajów Czarnej Afryki skazana jest na „niepodległość” i nikt z jej mieszkańców nie ma w tej sprawie nic do gadania. ■ Kilka dni po katastrofie reaktora w Czernobylu Kongres uchwalił wysłanie do Polski 85 tysięcy ton mleka w proszku. Ponieważ zachodziły uzasadnione obawy, że władze PRL rozdadały mleko nie według potrzeb, ale kierować się będą innymi względami, Jesse Helms, senator z Północnej Karoliny, zgłosił w Kongresie poprawkę, by przesyłkę zaadresować nie do rządu PRL, ale do jakiejś instytucji charytatywnej, ewentualnie do Kościoła katolickiego. Poprawka Helmsa przeszła, ale władze w Polsce obraziły się, że ktoś osmielił się kwestionować ich uczciwość. Mleko w proszku i tak poszło do Polski (innymi kanałami, nie jako pomoc ze strony Stanów) ale urażone władze PRL ustami rzecznika, Jerzego Urbana, oświadczyły, że gotowe są przysłać pewną ilość koców dla bezdomnych w Ameryce, z zastrzeżeniem, że adresemat ma być nie rząd federalny, ale inna godna zaufania instytucja lub organizacja. Propozycja Jerzego Urbana miała charakter propagandowy, niemniej zobowiązywała władze PRL do jej wykonania. W Stanach nie ma żadnych restrykcji jeśli chodzi o wysyłkę koców z Europy, ale wydaje się, że koce nie nadeszły.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 5 maja 1986

KRONIKA KANADYJSKA

W dniach 5-6 kwietnia odbyła się w Calgary konferencja delegatów stowarzyszeń i organizacji polonijnych popierających „Solidarność” z udziałem W. Gilewskiego, kierownika Biura Informacyjnego NSZZ „Solidarność” w Toronto i przedstawiciela centrali związków zawodowych (Canadian Labor Congress), p. Luis Lenkinkiego oraz przedstawicieli z Ohio. Konferencja miała na celu wyrównanie różnic, jakie ujawniły się między stanowiskiem Biura Informacyjnego a niektórymi prosolidarnościowymi organizacjami. Biuro Informacyjne działa wyłącznie według instrukcji Brukseli, stąd ścisłe związki z ruchem robotniczym i związkami zawodowymi. „Solidarność” jednak była i jest nie tylko związkiem zawodowym, i w związku z tym organizacje prosolidarnościowe na emigracji mogą prowadzić różnorodną działalność i stosować dowolne formy w szych akcjach na rzecz „Solidarności” w kraju. Zgoda na takie stanowisko zlikwidowała różnice i wewnętrzne zatargi. ■ 6 maja br. zmarł w Ottawie, w wieku lat 90, Stefan Mieczysław Sznuć, generał lotnictwa, ostatni *attaché* wojskowy przy ambasadzie R.P. w Ottawie, szef sztabu lotnictwa polskiego w bitwie o Wielką Brytanię. Po zakończeniu wojny pozostał z rodziną w Kanadzie, gdzie rozpoczął pracę na polu społecznym. Dzięki doskonałym stosunkom i znajomościom w wojskowych sferach w Ottawie, gen. Sznuć był w stanie opiekować się i pomagać lotnikom, którzy znaleźli się w Kanadzie na szkoleniu lub w innym charakterze i chcieli tam pozostać. Z czasem stał się nieoficjalnym reprezentantem i rzecznikiem Polonii w Ottawie. Przez kilka kadencji był wiceprezesem

Zarządu Głównego KPK z siedzibą w Ottawie. Na skutek jego starań uległo zmianie wiele zasadniczych ustaw dotyczących praw kombatanów, które objęły również żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. ■ Związek Ukraińskich Demokratów w Toronto zorganizował po raz pierwszy w Toronto publiczny polsko-ukraiński dialog. Spotkanie odbyło się 9 maja br. w Instytucie św. Włodzimierza pod przewodnictwem profesora Jurija Darewycza, który mówił o konieczności szczerzej i otwartej dyskusji na temat przeszłości obu narodów. Głównymi mówcami byli: pp. Marko Carynny, Władysław Demianczuk, prof. Petro Poticznyj i Zygmunt Przetakiewicz. ■ Staraniem Fundacji im. A. Mickiewicza odbył się 14 maja br. w Toronto wieczór autorski Ewy Lipskiej, poetki zamieszkałej w Krakowie, przybyłej z wizytą do Kanady. Czytane przez autorkę wiersze po polsku tłumaczyła na język angielski H. Krajewska. Słowo wstępne wygłosił redaktor E. Zyman.

B. H.

KRONIKA NORWESKA

W dniu 15 maja br. skażenie radioaktywne w najlepszym norweskim rejonie rolniczym koło Trondheim czterdziestokrotnie przewyższało stan normalny. Lekarze spodziewają się wzrostu liczby zachorowań na raka. ■ 2 czerwca br. przedsiębiorstwa norweskie podpisały umowę z koncernami zachodniemieckimi, francuskimi, holenderskimi i belgijskimi na długoterminowe dostawy gazu wartości ok. 500 miliardów koron (dwukrotnie więcej niż wynosi obecne zadłużenie PRL). Uniezależni to częściowo Europę Zachodnią od dostaw gazu sowieckiego. Przewiduje się, że na przełomie stulecia Norwegia zabezpieczać będzie ok. 25 % zachodnioeuropejskiego zapotrzebowania na gaz. Związek Sowiecki będzie jednak największym eksporterem gazu do Europy Zachodniej. ■ Andriej Sacharow został wybrany członkiem Norweskiej Akademii Nauk. ■ Rzecznik prasowy rządu PRL, Jerzy Urban, skrytykował na konferencji prasowej w Warszawie norweski Caritas za zamieszczony w prasie norweskiej apel o zbiórkę pieniędzy na zakup mleka w proszku dla polskich dzieci po katastrofie w Czernobylu. Urban zarzucił Caritasowi sfałszowanie danych dotyczących potrzeb. Sekretarz generalny Caritasu oświadczył: „Dane uzyskaliśmy od Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski. Do tego źródła mamy całkowite, wielokrotnie sprawdzone zaufanie”. Według danych Caritasu 2,1 miliona polskich dzieci potrzebowało w maju i czerwcu 6,3 tysięcy ton mleka w proszku. ■ Bogdan Borusewicz został ogłoszony przez Solidaritet Norge-Polen więźniem miesiąca.

Paweł GAJOWNICZEK

KRONIKA FRANCUSKA

Francis King, nowy przewodniczący Międzynarodowego PEN-Clubu został przyjęty przez francuskiego sekretarza Stanu do spraw praw człowieka Claude Malhureta. Francis King, któremu towarzyszyli sekretarz międzynarodowego PEN-Clubu, Jean Blot i przewodniczący francuskiego PEN-Clubu, René Tavernier, przedstawił Ministrowi działalność organizacji na rzecz przesładowanych pisarzy i wręczył mu dwie uchwały francuskiego PEN-Clubu domagające się uwolnienia poetki rosyjskiej, Iriny Ratuszyńskiej, skazanej w roku 1983 na siedem lat obozu karnego i zesłanie za „agitację i propagandę antysowiecką”, oraz polskiego wydawcy Czesława Bieleckiego, znaj-

dującego się w więzieniu pod zarzutem antypaństwowego spisku. Irina Ratuszyńska i Czesław Bielecki są honorowymi członkami PEN-Clubu. Pisarze francuscy protestują również przeciwko warunkom w jakich jest więziony Czesław Bielecki, wyrażając życzenie „by władze francuskie interweniowały w sprawie człowieka, którego odwaga i godna postawa stanowią przykład”. ■ Wszystkie znaczące francuskie centrale związkowe — CFTC, CFDT, FO, oprócz komunistycznej CGT — protestowały przeciwko aresztowaniu i uwięzieniu Zbigniewa Bujaka. Uwęźnienie Bujaka, Konrada Bielińskiego i Ewy Kulik wywołało także reakcję władz francuskich w imieniu których ubolewanie wyraził rzecznik ministerstwa Spraw Zagranicznych. ■ 11 czerwca w związku z aresztowaniami w Polsce, a także w związku ze „sprawą” prof. Gieremka, składając stosowne oświadczenia zarówno w Paryżu, jak i w Warszawie. Minister wypowiedział się za utrzymaniem stosunków z Warszawą, przy czym stwierdził, że należy wykazywać społeczeństwu polskiemu poparcie oraz wierność Francji zasadom przestrzegania praw człowieka. ■ Władze PRL nie wypuściły z Polski prof. Bronisława Gieremka, który miał wygłosić odczyt podczas paryskiego kolokwium poświęconego setnej rocznicy urodzin francuskiego historyka Marc'a Blocha. Gieremek miał być także przyjeźdźcą przez ministra Spraw Zagranicznych — Jean Bernarda Raimonda. Tekst wystąpienia prof. Gieremka odczytał w amfiteatrze Sorbony Jacques Le Goff, dyrektor studiów w l'Ecole des Hautes Etudes. ■ Z okazji rocznicy śmierci Cypriana Kamila Norwida w ośrodku Ojców Pallotynów w Montmorency odbyło się „południe norwidowskie”. Po mszy św. mówiła prof. Irena Sławińska a Janusz Koprowski czytał wiersze Norwida. ■ W kaplicy Domu Jana Pawła II w Paryżu odbył się wieczór autorski poetki Anny Kaplar. ■ 13 czerwca br. w Kościele polskim w Paryżu została odprawiona msza św. w intencji więźniów politycznych. Po mszy odbył się pokaz filmu Tomasza Łabędzia pt. „Kalendarz wojny” (Video-Kontakt). ■ Stowarzyszenie „Solidarité France-Pologne” zorganizowało w Paryżu pokaz dwóch filmów, które otrzymały w 1985 roku nagrodę kulturalną „Solidarność”. Są to filmy: „Przechodzień” Andrzeja Titkova i „Jest” Antoniego Krauzego. ■ Wykładom piątego już „Uniwersytetu letniego” (organizator: Wspólnota polsko-francuska) towarzyszyły dwie wystawy książek w języku francuskim, poświęconych tematyce polskiej oraz wydawanych w Polsce poza cenzurą. Obrady miały miejsce w gmachu Biblioteki polskiej w Paryżu w dniach od 25 do 27 czerwca.

W. SIKORA

Rochester, USA, 15 maja 1986.

Drogi Panie Redaktorze,

Będąc jeszcze w Polsce, pozostawałem pod dużym wpływem poglądów i analiz społeczno-politycznych Władysława Bieńkowskiego. Dlatego też trudno mi brać poważnie niektóre jego wypowiedzi w wywiadzie udzielonym p. Marii de Hernandez-Paluch (*Kultura* nr 3/462/1986). Pomijając już osobliwy tenor wywiadu (lekką protekcyjność z nutkami megalomanii), w kilku kwestiach autor wyraźnie się zagalopował.

1. Twierdzenie, iż społeczeństwo pokochałoby władzę za dźwignięcie gospodarki i poziomu życia wzorem Węgier pobrzmiwa echem starej marksistowskiej maksymy, iż „był określa świadomość”. Skierowane pod adresem społeczeństwa polskiego może być w tym kontekście uznane za obraźliwe.

2. Z jego oceną roli, znaczenia i historycznego miejsca „Solidarności” zgadzam się na ogół, aczkolwiek nie uważam, aby okres ten odbiegał od powtarzalnej historycznie dynamiki ruchów społecznych i rewolucyjnych. Każda rewolucja jest w pierwszych swych porывach reakcją zaprzeczenia, odruchem na „nie” i zawsze zmierza najpierw do usunięcia zła postrzeganego jako najbardziej dokuczliwe. Refleksje twórcze nad przyszłym stanem rzeczy, łącznie z programem, dojrzewają później. Na to nie było czasu. Prócz tego, bardzo prawdopodobne, iż radykalizacja „Solidarności” i pewna dezorientacja w celach doraźnych były rezultatem zagrożenia wewnątrz samego związku; przeciwnik bowiem usiłował wcisnąć się w jego szeregi nie tylko w celach inwigilacyjnych, lecz także manipulacyjnych. Wszyscy to czuliśmy i stąd m.in. wrażliwość na odmienną poglądów i (niestety) tendencje odśrodkowe.

3. Kolejna kwestia, to przyszłość komunizmu. Odnosi się wrażenie, że Bieńkowski uparcie wierzy, iż idee pankomunizmu wciąż modelują ludzkie marzenia o przyszłej organizacji życia społecznego, i że w gruncie rzeczy nie mamy do czynienia z ideami i pomysłami, które historia zdyskwalifikowała, lecz z wadliwą ich realizacją. Jest to oczywiście konsekwentna postawa starego komunisty, aczkolwiek można by mu postawić pytanie-zarzut, jaki stawia „Solidarności”: gdzie jest realistyczny program na „tak”, skąd czerpać jasne dyrektywy „co należy robić, żeby...” itd.? Kierowanie się dotychczasowym zapleczem teoretycznym komunizmu doprowadziło do stanu, jaki ma miejsce obecnie w Polsce i we wszystkich innych krajach, gdzie się zagnieździł.

Zgadzam się, iż nieszczęściem świata jest to, że komunizm opanował Rosję i rozpoczął stamtąd swoją ekspansję, podtrzymywany (dodajmy) megalomanią wielkonarodową Rosjan, ich brakiem tradycji wolnościowych i demokratycznych.

Na koniec: nie jest dla mnie jasne, czy Bieńkowski Anno 1986 nie podziela marzeń Polaków o likwidacji komunizmu w naszym Kraju czy też uważa je za nierealistyczne. Jego stanowisko w tej kwestii jest niekonkluzywne i rozczarowujące.

Zbigniew K. ŁĘGIERSKI

Laupen, 16 czerwca 1986.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie jest moim zamiarem wchodzenie w meritum Pana sporu z Adamem Michnikiem; pominię w szczególności Pana wersję Centrolewu. Natomiast nie mogę pominąć następującego Pana sformułowania:

„Są chwile, które wymagają nielegalnych środków dla ratowania zagrożonej niepodległości państwa” (*Kultura* nr 6/465, str. 27).

Enuncjacja tego rodzaju na łamach *Kultury* jest zjawiskiem co najmniej

Listy do Redakcji

Fribourg, 13 czerwca 1986.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Chcę w tym liście dać wyraz mojemu rozgoryczeniu i zwrócić się do Czytelników *Kultury* z prośbą o pewne informacje,

1. Jestem starym i, jak sędzę, wypróbowanym przyjacielem Izraela. Z tym większym rozgoryczeniem stwierdzam istnienie na światową skalę zakrojonej nagonki na Polskę i Polaków, nagonki, którą prowadzą pewni, niestety bodaj liczni, Żydzi. Nie mogę dać tutaj wyczerpującego dowodu — przypomnę więc tylko skandal Oświęcimski (chce się zabronić Polakom modlenia się za ich zmarłych na ich własnej ziemi), skandal filmu „Holocaust” (kaci nazistowscy w polskich rogatywkach), prześladowanie polskich naukowców na uniwersytetach — nie mówiąc już o propagandzie wokół „pogromów polskich”. Ta nagonka osłabia znacznie sympatie, jakie Polacy mają jeszcze w innych krajach i ułatwia przez to ich dalsze ciemnienie przez Moskali. Prowadzona w okresie, w którym naród polski jest praktycznie obezwładniony, „leży na ziemi”, zasługuje na to, aby ją uważać za wyraz szczególnej podłości. Chcę więc dać wyraz mojemu rozgoryczeniu.

2. A prośba o informacje dotyczy wielkości strat poniesionych przez Polaków z ręki Żydów. Mówi się dziś wiele o „pogromach polskich” — propaganda żydowska była pod tym względem tak skuteczna, że nawet nasi najlepsi przyjaciele powtarzają ten slogan w najlepszej wierze. Otóż pogromy w Polsce niestety były — tak we Lwowie w 1918 i na Kielecczyźnie po 1935. Każdy uczciwy człowiek potępi je i uważa za zbrodnie. Ale, po pierwsze, i wyraz „pogrom” i rzeczywistość jaką oznacza, są nie-polskie, pochodzą ze Wschodu, gdzie mordów na Żydach było bez porównania więcej. Dlaczego więc nie słyszy się nigdy o pogromach rosyjskich? Czyżby dlatego, że Rosja jest potężna, i że łatwiej jest opluwać naród słaby? Po drugie, jeśli z ręki pewnych Polaków zginęło w XX wieku (o ile wiem) parę tuzinów Żydów — to znacznie więcej Polaków zostało po 1945 zamordowanych przez pewnych Żydów. Jak wiadomo, władza leżała w dużej mierze w ich rękach po zajęciu Polski przez wojska sowieckie — a w szczególności, pewni Żydzi kierowali policją bezpieczeństwa. Otóż ta władza i ta policja jest odpowiedzialna za mord bardzo wielu spośród najlepszych Polaków. Chciałbym mieć jakieś wiarogodne szacunki tych polskich strat. Nawet bez nich, jestem przekonany, że znacznie więcej Polaków zginęło z ręki pewnych Żydów niż odwrotnie.

Polacy mają moim zdaniem znacznie większe prawo mówić o pogromie Polaków przez Żydów niż Żydzi o pogromach polskich. Naturalnie najlepiej by było w ogóle nie mówić o tych bolesnych sprawach. Ale jak długo Żydzi nie zmienią swojego stanowiska, Polacy muszą sobie zastrzec prawo odpowiedzi.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku

J. M. BOCHENSKI
Pl. G. Pythen 1
CH - 1700 FRIBOURG
Tel. (037) 22 28 02

nieoczekiwany. Chcę wierzyć, że w ferworze polemicznym przeoczył Pan jej implikacje, zarówno natury zasadniczej, jak i na użytek historii najnowszej.

Uprzejmie proszę o zamieszczenie tego listu w *Kulturze*.

Łączę wyrazy poważania

Krystyna MAREK

To nie był z mojej strony „ferwor polemiczny”.

Jerzy GIEDROYC

Szanowny Panie Redaktorze!

Wiedeń, 20 czerwca 1986.

Będę wdzięczny za zamieszczenie krótkiego sprostowania w związku z publikacją *Czytelnika* z Warszawy w *Kulturze* nr 6/1986 na temat *Znaków Czasu*. Z ubolewaniem przyznaję, że przypis do wspomnień Wacława Borowego w 1 numerze naszego pisma odnoszący się do Władysława Sebyły był przykrą pomyłką. Sebyła zginął w Katyniu w tym samym czasie, co inni oficerowie polscy. Natomiast nota redakcyjna przestrzegająca czytelników naszego pisma przed interpretacją antysemicką jednego ze zdań Borowego wynikała nie z kompleksów, lecz ze świadomości, iż młodzi mało znają wspinała postać Borowego, zaś sam Czesław Miłosz przypisał nam w liście do redakcji (*Znaki Czasu* nr 2/1986) nacjonalizm, którego nie wyrażamy. Ostrożność była więc wskazana. Pełnionej przeze mnie funkcji redaktora naczelnego *Znaków Czasu* nie ujawniłem w 1 numerze pisma nie z przyczyn taktycznych, ani braku odwagi, lecz ponieważ traktuję tę funkcję przejściowo i po uruchomieniu kwartalnika i znalezieniu następcy zamierzam wrócić do Kraju. Smutne jest tylko, że Autor posądzający mnie o mało pochlebne motywy nie może sam ujawnić swojego nazwiska.

Łączę wyrazy szacunku

Andrzej MICEWSKI

Wyjaśnienie p. A. Micewskiego jest sformułowane w ten sposób, że *Czytelnik* nadal nie wie, czy Redakcja *Znaków czasu* uważa za prawdziwą wersję sowiecką, tj. że mord katyński miał miejsce w roku 1941 i że zrobili to Niemcy, czy też, że — jak to dowiedziono — zrobił to Związek Sowiecki w roku 1940?

Prosimy, by Redakcja *Znaków czasu* postawiła tę kwestię jasno i wyraźnie.

REDAKCJA

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J.S., RFN; A.J.K., USA; S.P. w Kraju; M.M.; Z.S., Francja; G.W., Dania; H.Z., Francja; K.M.S., Australia; K.W., Szwecja; W.A., USA; K.K., Szwajcaria; M.W., Anglia. — Z wierszy nie skorzystamy.

B.S., USA: — Ma Pan rację, że opowiadania o polskiej codzienności są chętnie czytane, ale niestety „Zaraza” jest banalna i nieporadnie napisana.

A.N.-M.: — Pisanie recenzji poetyckich wymaga jednak pewnego wyrobienia, nie wystarczy „zapewnić” czytelnika na słowo honoru, że recenzowany tomik jest znakomity.

W.G., Francja: — Nie wiadomo, o co w tych „Ostatnich wiadomościach” chodzi, być może nie rozwinął Pan dostatecznie swego pomysłu.

S.Z., RFN: — Oba Pana artykuły wydają nam się dość mętne. Jedyna w nich myśl jasna to wskazanie Biblii jako „źródła wszystkiego”. Myśl niezbyt oryginalna...

J.R., RFN: — Nawet fragmentaryczne wspomnienia muszą być jakoś ze sobą powiązane i uporządkowane, czego nie można powiedzieć o chaotycznych „Porach roku”. A szkoda, bo rzeczywistość tematyka górnośląska rzadko u nas dochodzi do głosu.

J.R.H., Kanada: — Nie przedrukujemy wierszy z tomików już wydanych. Omówienie Pana tomiku przez kolegę z Kraju ma charakter trochę laurki, a trochę urzędowego certyfikatu.

E.F., Szwecja: — Felietonów nie zamieścimy. Pasują one bardziej do jakiegoś popularnego tygodnika, a nie do *Kultury*.

A.K., Park Ridge, USA. — Pani artykułu o zamordowaniu ks. Popiełuszko nie zamieścimy. Na ten temat pisaliśmy już obszernie zarówno w *Kulturze* jak i w *Zeszytach historycznych*, a Pani artykuł nie wnosi niczego nowego.

Pełnomocnik Autorów Z do EI, USA. — Artykułu „Sowiecka technika przeciw postępowi” nie zamieścimy. Temat jest i bardzo ważny i ciekawy, spodziewaliśmy się więc rzeczowego omówienia, tym bardziej że autorzy — jak się domyślamy — są naukowcami i inżynierami. Temat został potraktowany powierzchownie z niepotrzebnymi dygresjami i dowcipami.

Humor krajowy i inne

W związku z opadami radioaktywnymi po katastrofie w Czernobylu:

HUMOR SOWIECKI:

Biuletyn meteorologiczny z Czernobylu: Niebo błękitne, lekkie chmurki, temperatura 3.000 stopni.

HUMOR FRANCUSKI:

— Dlaczego chmura radioaktywna nie przeszła nad Francją?
— Dlatego, że rząd jej zabronił, tak samo jak samolotom amerykańskim, przelotu nad naszym terytorium.

HUMOR UKRAIŃSKI:

Niech żyje wypadek w centrali atomowej — zawołali mieszkańcy Czernobylu — dzięki niemu możemy po raz pierwszy opuścić nasze miasto bez pozwolenia.

HUMOR POLSKI:

Co to jest chmura radioaktywna z Czernobylu?
— Obłok przyjaźni.

Telewizja warszawska zapowiedziała nowy serial pt.: „Dawka większa niż życie” — w roli głównej Agent JOD 131*.

Ogłoszenie w gazecie: zamienię luksusową willę w Warszawie na śpiwór w Nowym Jorku.

Zebrała Zofia HERTZ

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

| | |
|--|-------------|
| Dochód ze sprzedaży tłumaczenia na język francuski tez Zjazdu „Solidarności” w Gdańsku z 7 października 1981 roku .. | F.12.875,00 |
| E.M., Paryż — na pomoc dla prześladowanych w PRL | F. 200,00 |
| M. i K. Karnkowsy, Baden (Szwajcaria) — zamiast kwiatów na grób śp. dr. J. Rybickiego, człowieka wielkiej dobroci i charakteru, zmarłego w Warszawie 9 maja 1986 roku — F.szwajc. 100,00 | F. 337,00 |
| Krajowy Komitet Pomocy dla Opozycji Demokratycznej w Polsce przy Kongresie Polonii Amerykańskiej (nadesłali Bonawentura Migala i Jan Jurewicz) — \$ 7.500,00 | F.52.500,00 |
| Na apel „Konfederacji 76”, Oddział Boston — na rzecz Polski Walczącej złożyli: W. Ostrowski i członkowie „Solidarności” z Polski — W. Micherda, W. Szypszak i Z. Padzik po \$ 20,00 oraz S. Borucki, T. Wojdakowski, M. Butkiewicz, A. Butkiewicz, W. Wierzbowski, A. Kruczyński, Cz. Rybak i T. Daniszewski po \$ 10,00; Z. Wallek, P. Janik, W.C. z Cambridge, T. Pokorski, A. Biedak i Z. Łabejsza po \$ 10,00; J. Nawrocki i J. Kocjan po \$ 5,00 — razem: — \$ 230,00 | F.1.587,00 |
| Jan Nowak, Annandale, VA (USA) — \$ 89,20 | F. 615,50 |
| Pamięci Bazylego Kułakowskiego (1902-1986), wernego żołnierza Rzeczypospolitej (nadesłał A. Czernichowski, Orléans) | F. 200,00 |
| Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ 100,00 | F. 690,00 |
| W trzynastą bolesną rocznicę śmierci mgr. Adama Koziola — dla rodzin więźniów politycznych w Polsce — przekazują dzieci, Barbara i Jerzy z Matką — \$ 200,00 | F.1.380,00 |
| W czasie zorganizowanej wystawy „Droga do wolności” Związek Narodowy Polski, Grupa Nr 3252 im. ks. J. Popiełuszki, zebrała sumę \$ 130,11, która dziękując wszystkim ofiarodawcom — przekazuje na polską prasę podziemną (nadesłał sekretarz finansowy Z.N.P. Nr 3252 Ryszard Urbaniak) .. | F. 897,75 |
| W Redakcji <i>Listów do Polaków</i> złożyli: A. Kosińska na dzieci w Polsce — \$ 25,00 | F. 172,50 |
| oraz na ruch oporu M. Orłowski — \$ 20,00, J. Harasiuk — \$ 10,00 i W. Aron — \$ 5,00 — razem: \$ 35,00 .. | F. 241,50 |
| ◆ | |
| Wojciech Szczygielski, Zurych — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — Fr. szwajc. 30,00 | F. 114,00 |
| ◆ | |
| Aleksander Bąk, Calgary, Alberta (Kanada) — w związku z aresztowaniem Zbigniewa Bujaka przesyła: | |
| — na pomoc dla więźniów politycznych w Kraju — \$ c. 150,00 | F. 720,00 |
| — na „Solidarność” Walczącą w Kraju — \$ c. 150,00 .. | F. 720,00 |

* W swoim czasie TV polska nadawała cieszący się ogromnym powodzeniem serial pt. „Stawka większa niż życie” w roli głównej kapitan Kloss czyli Agent J 23.

| | |
|--|-----------|
| M.A., Perth (Australia) — przesyła: | |
| — na Fundusz Kultury — \$ A. 100,00 | F. 486,00 |
| — na pomoc dla walczących w Kraju — \$ A. 100,00 | F. 486,00 |
| — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ A. 80,00 | F. 388,80 |
| — dla rodzin więźniów politycznych — \$ A. 100,00 | F. 486,00 |

Zamiast kwiatów na grób śp. Wiktora Domańskiego przekazują na Instytut im. Józefa Piłsudskiego w Londynie: S. Lucas, Sydney — \$ A. 20,00 i pp. E. Grochowscy — \$ A. 20,00 — razem: \$ A. 40,00

F. 194,40

KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, boulevard Saint-Germain, 75006 Paris
Telefon: 43-26-04-42.

NOWOŚĆ!

Kuchnia polska w języku francuskim:

„LA CUISINE POLONAISE”

T. i R. Zienkiewicz

(80 kolorowych zdjęć)

Cena: 150 F.

Ponadto polecamy:

KSIAŻKI POLSKIE

wydania zachodnie i krajowe, polonica francuskie oraz książki w językach czeskim, rumuńskim, węgierskim i kroackim wydane na Zachodzie

PLAKATY POLSKIE, PŁYTY I KASETY

Katalogi wysyłamy bezpłatnie

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 3^e trimestre 1986.

Imprimé en France
N° d'imprimeur 7833.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (1) 39-62-19-04

| PRZEDSTAWICIELSTWA | Egz. poj. | Prenumerata | |
|---|--------------------------------------|--|---|
| | | 1/2-roczna | roczna |
| Ceny na rok 1986 | | | |
| AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| AUSTRALIA : Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 | \$ A. 7,50 | \$ A. 40,00 | \$ A. 77,00 |
| AUSTRIA : Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222. | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| BELGIA : prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury » | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| BRAZYLIA : prosimy o przysyłanie czeków do administracji « Kultury » | \$ US 6,00 | \$ US 30,00 | \$ US 58,00 |
| DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .. | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vliessingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176. | Fl h 20,00 | Fl h 95,00 | Fl h 175,00 |
| IZRAEL : Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2. Tel.: 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiazkowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 | \$ can. 7,50 DM 14,00 F. 41,00 | \$ can. 42,00 DM 80,00 F. 230,00 | \$ can. 82,00 DM 150,00 F. 440,00 |
| NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1. | F.S. 13,00 | F.S. 70,00 | F.S. 130,00 |
| NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, 1500 Moss. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431. | K.S. 41,00 | K.S. 230,00 | K.S. 440,00 |
| SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 2111 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431. | | | |
| SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6. | | | |
| U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 | \$ US 6,00 | \$ US 30,00 | \$ US 58,00 |
| WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |
| WŁOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 | F. 41,00 | F. 230,00 | F. 440,00 |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.440; półroczna — F.230.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 415 — DOKUMENTY

PROTOKOŁY TZW. KOMISJI GRABSKIEGO

TAJNE DOKUMENTY PZPR

Opracowanie i wstęp Grażyny Pomian

Przesłuchania: Edwarda Babiucha, Edwarda Gierka, Zdzisława Grudnia, Mieczysława Jagielskiego, Piotra Jaroszewicza, Stanisława Kowalczyka, Jerzego Łukasiewicza, Tadeusza Pyki, Franciszka Szlachcica, Jerzego Pińkowskiego, Jana Szydłaka i Tadeusza Wrzaszczyka.

Str. 432.

Cena F. 180,00.



TOM 416 — LEOPOLD UNGER

ORZEŁ I RESZTA

(Widziane z Brukseli)

Zawsze aktualny wybór esejów naszego stałego współpracownika BRUKSELczyka, w 8-miu częściach: *Na Zachodzie bez zmian*, *Dziury w przedmurzu*, *Spadek po Jalcie*, *Krótki kurs ZSSR*, *A jednak się kręci (Europa)*, *Wieniec bez laurów*, *Ściana płaczu*, *Epilog*.

Str. 388.

Cena F. 150,00.



TOM 417 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Zawiera m.in. opracowania: Marszałek Józef Piłsudski: *Strzeżcie się agentur*; Eugeniusz Kwiatkowski: *Józef Beck*; D. Rogoyski: *Pięć inicjatyw wydobywania Józefa Becka z pułapki rumuńskiej*; M. Piłka: *Publicystyka Konwentu Organizacji Niepodległościowych*; J. O. Hłakowicz o *Narodowych Siłach Zbrojnych*; St. Borowicz: *Kluby Inteligencji Katolickiej po sierpniu 1980*; M. Kołodziej: *Wiarygodność informacji prasy podziemnej*; M. Poleski: *Sto dni*; H. Kaden: *Wspomnienia solidarnościowe oraz obszernie działy: OKRUCHY HISTORII, RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 70,00.